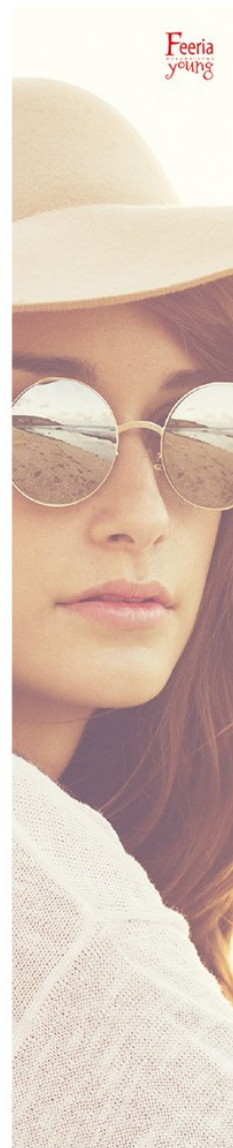


PIERWSZY TOM FENOMENALNEJ SERII **DIMILY**



*Czy wspominałam,
że Cię kocham?*

ESTELLE MASKAME



*Dla moich czytelników, którzy są ze mną od samego
początku,
ponieważ ta książka nie jest moja – jest nasza*

Podziękowania

Pragnę podziękować czytelnikom, którzy są ze mną od samego początku i patrzyli, jak książka ta nabiera realnych kształtów. Dzięki wam pisanie było przyjemnością. Dziękuję również, że wytrzymaliście ze mną tak długo. Pragnę podziękować wszystkim pracownikom Black & White Publishing za to, że wierzyli w tę książkę równie mocno jak ja. Jestem dozgonnie wdzięczna Janne, że zechciała przejąć kontrolę nad światem, Karyn – za jej kompetentne uwagi, a także Laurze – za to, że zawsze się mną opiekuje. Dziękuję swojej rodzinie za wsparcie i słowa zachęty, zwłaszcza mojej mamie, Fenelli, za to, że gdy byłam mała, zabierała mnie do biblioteki i zarażała miłością do książek. Mojemu tacie, Stuartowi, który zachęcał mnie, żebym została pisarką, i dziadkowi, George’owi Westowi, który zawsze we mnie wierzył. Dziękuję Heather Allen i Shannon Kinnear, że wysłuchiwały moich pomysłów i pozwalały rozwodzić się nad tą książką i nigdy, przenigdy nie kazały mi się zamknąć, choć moja paplanina musiała doprowadzać je do szału. Dziękuję Neilowi Drysdale’owi, bo to on pomógł mi dotrzeć do miejsca, w którym jestem teraz. Dziękuję, dziękuję, dziękuję. Na koniec pragnę podziękować Danice Proe, która była moją nauczycielką, gdy miałam jedenaście lat. Ona pierwsza powiedziała mi, iż piszę jak prawdziwa pisarka, i to ona uświadomiła mi, że właśnie tym chcę się zajmować.



1

Jeśli czegoś nauczyłam się z filmów i książek, to tego, że Los Angeles jest najwspanialszym miastem, z najwspanialszymi ludźmi i najwspanialszymi plażami. I, jak każda dziewczyna na ziemi, marzyłam o tym, żeby odwiedzić Kalifornię. Chciałam biec po złocistym piasku Venice Beach, dotknąć gwiazd z nazwiskami swoich idoli na Hollywoodzkiej Alei Sław, stanąć za białym napisem HOLLYWOOD na wzgórzach Los Angeles i spojrzeć z góry na to bajeczne miasto.

To, plus inne nudne rzeczy, które robią turyści.

Z jedną słuchawką w uchu, dzieląc uwagę między muzykę i lotniskowy taśmociąg, który przesuwam mi się przed nosem, próbuję znaleźć kawałek wolnej przestrzeni, żeby zdjąć swój bagaż. Podczas gdy ludzie wokół mnie przepychają się i krzyczą do swoich towarzyszy, że ich walizki właśnie odjechały, a tamci odkrzykują, że wcale nie były ich, ja przewracam oczami i skupiam się na nadjeżdżającej walizce koloru khaki. Poznaje, że jest moja, po zapisanym na boku tekście piosenki, łapię więc za uchwyt i najszybciej, jak mogę, zdejmuję ją z taśmy.

– Tutaj! – woła znajomy głos. Zdumiewająco głęboki głos ojca tonie w dźwiękach muzyki, ale bez względu na to, jak bardzo podkreśliłabym głośność, pewnie i tak słyszałabym go na kilometr. Jest nazbyt boleśnie irytujący, żeby go ignorować.

Kiedy mama poinformowała mnie, że ojciec chce, abym spędziła z nim lato, obie uznałyśmy, że to szaleństwo, i dostałyśmy ataku śmiechu.

– Wcale nie musisz się z nim spotykać – przypominała mi codziennie.

Trzy lata bez żadnego kontaktu i nagle zapragnął, żebym pojechała do niego na całe wakacje? Nie byłybyśmy aż tak

zaskoczone, gdyby nie fakt, że pomysł był dość radykalny. A przecież wystarczyło od czasu do czasu zatelefonować, zapytać, jak się miewam, stopniowo wkupić się w moje łaski. Ale nie. On postanowił chwycić byka za rogi i zaprosić mnie do siebie na osiem tygodni. Mama była zdecydowanie przeciwna temu pomysłowi. Po tym, jak przez trzy lata nie dawał znaku życia, uważała, że nie zasługuje na to, by spędzić ze mną całe lato. Twierdziła, że nic nie wynagrodzi mi straconego czasu. Tymczasem ojciec robił się coraz bardziej uparty i zdeterminowany, żeby przekonać mnie, że pokocham południową Kalifornię. Nie wiem, dlaczego tak nagle postanowił się z nami skontaktować. Może miał nadzieję, że uda mu się naprawić naszą relację, którą zniszczył w dniu, kiedy tak po prostu wstał i wyszedł? Wątpiłam, by tak się stało, ale pewnego dnia ugięłam się i zadzwoniłam do niego, żeby powiedzieć, że przyjadę. Podejmując decyzję, nie myślałam o ojcu. Myślałam o gorących letnich dniach, boskich plażach i o tym, że być może zakocham się – z wzajemnością – w opalonym, umięśnionym modelu od Abercrombie & Fitch. Poza tym miałam własne racje, żeby chcieć się wyrwać jak najdalej od Portland.

Tym bardziej nie mam powodów, żeby cieszyć się na widok osoby, która idzie w moją stronę.

To zrozumiałe, że w ciągu trzech lat ludzie się zmieniają. Trzy lata temu byłam o osiem centymetrów niższa. Trzy lata temu mój ojciec nie miał włosów poprzetykanych siwizną. Trzy lata temu nie czułabym się tak niezręcznie.

Próbowałam się uśmiechnąć. Rozciągnąć usta jak najszerzej, żebym nie musiała tłumaczyć, dlaczego się krzywię. Zawsze łatwiej się uśmiechnąć.

– A oto i moja mała dziewczynka! – mówi ojciec. Patrzy na mnie zdumiony i kręci głową z niedowierzaniem, zaskoczony, że nie wyglądam jak wtedy, gdy miałam trzynaście lat. To niesamowite, gdy człowiek uświadamia sobie, że szesnastolatki nie wyglądają tak samo jak wtedy, gdy chodziły do szóstej klasy.

– Jasne – rzucam, wyciągając z ucha słuchawkę. Kabel dynda

mi w dłoni; dźwięki muzyki wprawiają go w delikatne drżenie.

– Tęskniłem za tobą, Eden – mówi, jakbym miała być przeszczęśliwa, że człowiek, który zostawił mnie i mamę, za mną tęskni. Może jeszcze powinnam rzucić mu się w ramiona i wybaczyć? Niestety, to nie działa w ten sposób. Wybaczenie to nie jest coś, czego należy oczekiwać. Na to trzeba sobie zapracować.

No, ale skoro mam mieszkać z nim przez kolejne osiem tygodni, może powinnam schować wrogość do kieszeni.

– Ja też za tobą tęskniłam.

Patrzy na mnie rozpromieniony. Dołeczki wwiercają się w jego policzki jak kret w pulchną ziemię.

– Daj, wezmę bagaż – mówi. Sięga po walizkę i stawia ją na kółkach.

Wychodzę za nim z lotniska. Nie byle jakiego – ze słynnego LAX. Strzelam oczami, próbując wypatrzyć w tłumie gwiazdy filmowe albo słynne modelki, ale nie widzę żadnych znajomych osób.

Przecinając rozległy parking, czuję na twarzy przyjemne ciepło. Słońce pieści moją skórę, a leciutki wietrzyk bawi się moimi włosami. Niebo jest czyste, jeśli nie liczyć kilku chmur.

– Myślałam, że będzie tu cieplej – mówię wkurzona, gdy uświadamiam sobie, że wbrew temu, w co wierzyłam, Kalifornia nie jest wolna od wiatru, chmur i deszczu. Do głowy mi nie przyszło, że nudne Portland jest latem cieplejsze od słonecznego Miasta Aniołów. Jestem srodze zawiedziona i chociaż Oregon jest nudny jak flaki z olejem, najchętniej wróciłabym do domu.

– I tak jest tu gorąco. – Ojciec wzrusza ramionami, jakby chciał mnie przeprosić w imieniu pogody. Zerkam na niego kątem oka i widzę, że zastanawia się, co by tu powiedzieć. Niezręczność sytuacji potęguje to, że nie bardzo mamy o czym ze sobą rozmawiać.

Stawia walizkę przy czarnym lexusie, a ja patrzę podejrzliwie na lśniący lakier. Przed rozwodem rodzice jeździli badziewiastym volvo, które – w najlepszym wypadku – co cztery tygodnie lądowało u mechanika. Albo więc nowa praca ojca była wyjątkowo

dobrze płatna, albo oszczędzał na nas, gdy byliśmy rodziną. Może uznał, że nie warto na nas wydawać?

– Jest otwarty – mówi, wskazując głową samochód, a sam pakuje do bagażnika moją walizkę.

Okrażam auto, zdejmuję z ramienia plecak, otwieram drzwi i siadam na fotelu pasażera. Nagrzana skórzana tapicerka parzy mnie w gołe uda. Czekam w milczeniu, aż ojciec usiądzie za kierownicą.

– Miałaś dobry lot? – zagaduje. Uruchamia silnik i wyjeżdża tyłem z parkingu.

– Tak, w porządku. – Naciągam pas bezpieczeństwa i zapinam go. Kładę plecak na kolanach i tępym wzrokiem wyglądam przez przednią szybę. Słońce świeci mi prosto w oczy, otwieram więc przegródkę, wyciągam okulary przeciwsłoneczne i zakładam je na nos. Wzdycham.

Niemal słyszę, jak ojciec przełyka ślinę. Chwilę później bierze głęboki oddech i pyta:

– Jak tam mama?

– Świetnie – odpowiadam zbyt szybko i entuzjastycznie, żeby mu pokazać, jak dobrze radzimy sobie bez niego. Nie do końca jest to prawda. Mama radzi sobie. Nie najlepiej, ale i nie najgorzej. Przez ostatnie parę lat próbowała przekonać samą siebie, że rozwód był lekcją, z której wiele się nauczyła. Chce wierzyć, że była to afirmująca życie wiadomość od losu, dzięki której spłynęła na nią mądrość, choć tak naprawdę doprowadziła wyłącznie do tego, że zaczęła gardzić mężczyznami. – Nigdy nie czuła się lepiej.

Tata kiwa głową i zaciska palce na kierownicy. Wyjeżdżamy z parkingu na szeroki bulwar. Na wielopasmowej drodze panuje znaczny ruch, ale samochody mijają się z dużą prędkością. Otacza nas otwarta przestrzeń. Nie ma tu drapaczy chmur jak w Nowym Jorku ani rzędów drzew jak w moim rodzinnym Portland. Jedyne, co mnie cieszy, to fakt, że naprawdę mają tu palmy. W głębi duszy zastanawiałam się, czy to nie mit.

Przejeżdżamy pod skupiskiem znaków drogowych, po jednym nad każdym pasem ruchu, informujących o okolicznych

miastach i dzielnicach. Słowa rozmazują się, gdy mijamy je w zawrotnym tempie. Zapada niezręczna cisza i ojciec odchrząkuje, próbując po raz kolejny nawiązać rozmowę.

– Spodoba ci się w Santa Monica – mówi z przelotnym uśmiechem. – To piękne miasto.

– Tak, sprawdzałam – odpowiadam, opierając się na łokciu i patrząc na bulwar. Tymczasem Los Angeles nie wygląda tak olśniewająco jak na zdjęciach, które widziałam w internecie. – Macie tam to swoje słynne molo, tak?

– Tak, Pacific Park. – Kiedy snop światła pada na jego rękę, moją uwagę przykuwa złota obrączka na palcu serdecznym. Wydaję z siebie stłumiony jęk.

Zauważa moje spojrzenie i mówi:

– Ella nie może się doczekać, kiedy cię pozna.

– Ja też nie mogę się doczekać – kłamię.

Ella. Niedawno ojciec poinformował mnie o swojej nowej żonie, następczyni mojej mamy: czymś nowszym i lepszym. Nie potrafię tego zrozumieć. Co takiego ma ta Ella, czego nie ma moja mama? Lepiej szoruje gary? Robi lepsze klopsiki?

– Mam nadzieję, że się dogadacie – dodaje po chwili nieznośnej ciszy. Zjeżdża na skrajny prawy pas. – Naprawdę chcę, żeby wszystko było jak należy.

Może i chce, żeby wszystko było jak należy, ale ja wcale nie jestem zachwycona perspektywą mieszkania pod jednym dachem z jego nową rodziną. Nie podoba mi się myśl, że mam macochę. Chcę mieć zwyczajną rodzinę, składającą się z mojej mamy, mojego taty i mnie. Nie lubię się przystosowywać. Nie lubię zmian.

– Ile ma dzieci? – pytam z pogardą. Nie tylko zostałam pobłogosławiona macochą, ale mam też przyrodnych braci.

– Troje – warczy ojciec. Najwyraźniej moja niechęć zaczyna działać mu na nerwy. – Tylera, Jamiego i Chase’a.

– Dobrze – mówię. – Ile mają lat?

Skupiony na drodze, zauważa znak STOP i przyhamowuje.

– Tyler niedawno skończył siedemnaście lat, Jamie ma

czternaście, a Chase... Chase jedenaście. Proszę, skarbie, spróbuj się z nimi dogadać. – Jego piwne oczy patrzą na mnie błagalnie.

– Och – wzdycham. Aż do dziś zakładałam, że przyjdzie mi poznać maluchy, które ledwo potrafią sklecić sensowne zdanie. – W porządku.

Pół godziny później jedziemy wijącą się drogą w kierunku czegoś, co przypomina obrzeża miasta. Rzędy wysokich drzew ciągną się wzdłuż chodników po obu stronach ulicy. Ich grube pnie i rozłożyste gałęzie dają wytchnienie od upału. Domy są tu większe niż ten, w którym mieszkam z mamą. Każdy z nich jest inny od poprzedniego i wyjątkowy. Nie ma dwóch takich samych: różnią się od siebie kształtem, wielkością i kolorem. Lexus taty zatrzymuje się przed domem z białego kamienia.

– Tutaj mieszkasz? – Deidre Avenue wygląda zbyt pospolicie, jak jedna z ulic w Północnej Karolinie. A przecież Los Angeles nie ma być zwyczajne. Ma być krzykliwe, nie z tego świata i kompletnie surrealistyczne. Ale nie jest.

Ojciec kiwa głową, gasi silnik i podnosi osłonę przeciwsłoneczną.

– Widzisz tamto okno? – Mówiąc to, wskazuje okno na drugim piętrze, zupełnie pośrodku.

– Tak?

– To twój pokój.

– O. – Nie spodziewałam się, że na osiem tygodni, które przyjdzie mi tu spędzić, dostanę własny pokój. Jednak z zewnątrz dom wydaje się całkiem duży, więc wolnych pokoi mają tu pewnie pod dostatkiem. Cieszę się, że nie będę spać na dmuchanym materacu, na środku pokoju gościnnego. – Dzięki, tato. – Kiedy próbuję wysiąść z samochodu, dociera do mnie, że noszenie szortów ma swoje dobre i złe strony. Dobra jest taka, że skórę na nogach mam chłodną i suchą, a zła, że uda przykleiły mi się do skórzanej tapicerki. W efekcie potrzebuję dobrej minuty, żeby wygramolić się na zewnątrz.

Ojciec otwiera bagażnik, wyciąga moją walizkę i stawia ją na chodniku.

– Lepiej wejdźmy do środka – mówi. Wysuwa uchwyt i ciągnąc walizkę za sobą, kieruje się w stronę domu.

Przeskakuję nad pasem parkingowym i idę za nim wykładaną kamieniami ścieżką, która prowadzi do drzwi frontowych: ciężkich, mahoniowych, dokładnie takich, jakie powinni mieć w swoich domach bogaci ludzie. Przez cały czas gapię się na trampki Converse, które mam na nogach, i nabazgrane na białej gumie słowa. To słowa piosenki, podobnie jak te na walizce, napisane czarnym markerem Sharpie. Patrzenie na nie uspokaja mnie. Przynajmniej do chwili, gdy stajemy przed drzwiami.

Sam dom – mimo ohydnych oznak konsumpcjonizmu – jest bardzo ładny. W porównaniu z budynkiem, w którym obudziłam się dziś rano, przypomina pięciogwiazdkowy pensjonat. Na podjeździe stoi zaparkowany range rover. „Niezły wypas”, myślę.

– Zdenerwowana? – Ojciec zatrzymuje się przed drzwiami i posyła mi krzepiący uśmiech.

– Tak jakby – przyznaję. Próbowałam nie myśleć o tych wszystkich rzeczach, które mogą pójść nie tak, ale w głębi duszy czuję strach. A co jeśli mnie znienawidzą?

– Niepotrzebnie. – Otwiera drzwi i wchodzimy do środka. Kółka walizki drapią drewnianą podłogę.

Tuż za progiem uderza nas przytłaczający zapach lawendy. Przede mną znajdują się schody na górę, a po prawej stronie widzę drzwi, które – z tego, co udaje mi się zobaczyć przez szparę – prowadzą do pokoju gościnnego. Za widocznym na wprost, sklepionym przejściem znajduje się kuchnia – kuchnia, z której idzie w moją stronę kobieta.

– Eden! – woła. Zamyka mnie w uścisku, w czym trochę przeszkadza jej obfity biust, a zaraz potem odsuwa się nieco, żeby lepiej mi się przyjrzeć. Ja robię to samo. Ma jasne włosy i szczupłą figurę. Nie wiedzieć czemu, spodziewałam się, że będzie podobna do mamy, ale najwyraźniej ojciec zmienił gust nie tylko wobec domów, ale i wobec kobiet. – Jak miło w końcu cię poznać!

Odsuwam się od niej i siłą woli powstrzymuję się, żeby nie przewrócić oczami albo nie zrobić głupiej miny. Tata zawłókłby

mnie z powrotem na lotnisko, gdybym okazała brak szacunku.

– Dzień dobry – mówię.

– Boże, masz oczy Dave’a! – To najgorsza rzecz, jaką mogłam usłyszeć, zwłaszcza że dużo bardziej wolałabym mieć oczy mamy. Ona mnie nie zostawiła.

– Moje są ciemniejsze – mruczę z pogardą.

Ella nie draży tematu i kieruje rozmowę na zupełnie inne tory.

– Musisz poznać resztę rodziny. Jamie, Chase, zejdźcie tu! – woła, zadzierając głowę, i zaraz potem znów patrzy na mnie. – Dave powiedział ci o spotkaniu, które organizujemy dziś wieczorem?

– Spotkaniu? – powtarzam. Na mojej liście rzeczy, które muszę zrobić, będąc w Kalifornii, z całą pewnością nie było spotkań towarzyskich. Zwłaszcza tych organizowanych przez obcych ludzi. – Tato? – Zerkam na niego. Mam ochotę spiorunować go wzrokiem, ale tego nie robię. Zamiast tego unoszę pytająco brwi.

– Organizujemy grilla dla sąsiadów – tłumaczy. – Nie ma lepszego sposobu na rozpoczęcie lata niż dobry stary grill.

Marzę o tym, żeby przestał gadać.

Jeśli mam być szczerą, nienawidzę tłumów i grillowania.

– Świetnie – rzucam.

Słyszę głuchy łomot i widzę dwóch chłopców, którzy zbiegają po schodach. Ich kroki dudnią na dębowych deskach, kiedy pokonują po dwa stopnie naraz.

– To jest Eden? – Starszy pyta szeptem Ellę, ale i tak go słyszę. To na pewno Jamie. Młodszy, z dużymi oczami, to pewnie Chase.

– Cześć – mówię i rozciągam usta w promiennym uśmiechu. Z tego, co pamiętam, Jamie ma czternaście lat. Choć jest ode mnie o dwa lata młodszy, niemal dorównuje mi wzrostem. – Co słychać?

– Nic ciekawego – odpowiada. To wykapaną Ella. Te same błyszczące niebieskie oczy i kudłate jasne włosy. – Napijesz się czegoś?

– Nie, dzięki. – Ze swoją wyprostowaną sylwetką i dobrymi manierami wydaje się starszy, niż jest w rzeczywistości. Może jednak się dogadamy.

– Chase, przywitasz się z Eden? – Ella zwraca się do młodszego.

Dzieciak wydaje się bardzo skryty. On również odziedziczył doskonale geny swojej matki.

– Cześć – mruczy pod nosem, nawet na mnie nie patrząc. – Mamo, mogę iść do Matta?

– Oczywiście, skarbie, tylko wróć przed dziewiętnastą – mówi Ella. Zastanawiam się, czy jest typem matki, która nakłada szlaban za zostawienie okruszków na dywanie w pokoju gościnnym, czy taką, która nie przejmuje się, jeśli przez dwa dni nie będzie cię w domu. – Organizujemy dziś grilla, pamiętasz?

Chase kiwa głową, mija mnie i bez słowa błyskawicznie znika za drzwiami.

– Mamo, chcesz, żebym pokazał jej dom? – pyta Jamie.

– Byłoby super – odpowiadam, zanim Ella zdąży cokolwiek powiedzieć. Wolę spędzić czas z nim niż z ojcem, macochą albo – nie daj Boże – z obojgiem. Nie rozumiem, po co miałabym przebywać w towarzystwie ludzi, których wolę omijać szerokim łukiem. Tak więc na razie będę trzymała się moich cudownych przyrodnych braci. Założę się, że dla nich cała ta sytuacja jest równie dziwaczna jak dla mnie.

– To miło z twojej strony, Jay – mówi Ella. W jej głosie wyczuwam ulgę, że to nie ona będzie musiała pokazywać mi, gdzie jest łazienka. – Pokaż Eden jej pokój.

Tata uśmiecha się i kiwa głową.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, będziemy w kuchni.

Powstrzymuję się, żeby nie parsknąć, kiedy Jamie sięga po moją walizkę i zaczyna taszczyć ją po schodach. Jedyne, czego potrzeba mi w tej chwili, to opalone nogi i świeże powietrze, a siedząc w domu, zarówno o jednym, jak i o drugim mogę tylko pomarzyć.

Kiedy wchodzę na schody, dociera do mnie syk ojca:

– Gdzie jest Tyler?

– Nie wiem – odpowiada Ella.

Z każdym kolejnym krokiem ich głosy stają się coraz bardziej przytłumione, mimo to słyszę, jak pyta:

– I tak po prostu pozwoliłaś mu wyjść?

– Tak – mówi Ella.

– Zamieszkasz w pokoju naprzeciwko mojego – informuje mnie Jamie na półpiętrze. – To najfajniejszy pokój. Z najlepszym widokiem.

– Przepraszam. – Pilnuję, żeby uśmiech nie schodził mi z twarzy, kiedy zbliżamy się do jednych z pięciorga drzwi. W pewnej chwili spoglądam na dół i widzę tył głowy Elli, która znika w kuchni.

Dochodzę do wniosku, że jest typem matki, która niespecjalnie przejęłaby się zniknięciem dziecka.



2

Gdybym miała jednym słowem opisać swój nowy pokój, wybrałabym słowo „skromny”. Jak żadne inne pasuje do łóżka, jasnych ścian i prostej komody. Bo to wszystko, co znajduje się w moim pokoju. No i panuje tu straszny upał.

– Ładny widok – zwracam się do Jamiego, choć nawet nie zdążyłam podejść do okna.

Jamie się śmieje.

– Twój tata powiedział, że możesz urządzić go, jak chcesz.

Chodzę po pokoju, okrążam beżowy dywan i zaglądam do wbudowanej szafy z przesuwными lustrzanymi drzwiami. Jest dużo fajniejsza od maleńkiej szafy, którą mam w domu. No i mam własną, przylegającą do pokoju łazienkę. Uchylam drzwi, zerkam do środka i zachwycona unoszę brwi. Prysznic wygląda jak nowy.

– Podoba ci się? – pyta zza moich pleców tata. Odwracam się na dźwięk jego głosu. Uśmiecha się do mnie promiennie. Nie słyszałam, kiedy wszedł do pokoju. – Przepraszam, trochę tu gorąco. Zaraz włączę klimatyzację. Daj jej pięć minut.

– Nie ma problemu – mówię. – Ładny pokój. – Jest prawie dwukrotnie większy od mojej sypialni w Portland i mimo skromnego wystroju nie może się nie podobać.

– Głodna? – Mam wrażenie, że zadawanie pytań to jedyne, w czym jest dobry. – Po takiej podróży pewnie konasz z głodu. Co byś zjadła?

– Nie jestem głodna – mówię. – Chyba pójde pobiegać. Rozprostuję trochę nogi. – Nie chcę rezygnować z codziennej przebieżki; poza tym jogging to doskonała okazja, żeby się przyjrzeć okolicy.

Na starzejącej się twarzy ojca maluje się niezdecydowanie. Przez chwilę marszczy brwi i wzdycha, jakbym go poprosiła, żeby

kupił mi trawkę.

– Tato – mówię stanowczo. Przechylam głowę i udaję rozbawioną. – Mam szesnaście lat. Mogę wychodzić sama. Chcę się tylko rozejrzeć.

– To chociaż weź z sobą Jamiego – upiera się. Jamie unosi brwi. Nie wiem, czy jest bardziej zaciekawiony, czy zaskoczony. – Jamie – zwraca się do niego ojciec. – Lubisz biegać, prawda? Pójdiesz z Eden i dopilnujesz, żeby się nie zgubiła?

Jamie zerka w moją stronę i posyła mi pełen współczucia, porozumiewawczy uśmiech.

– Jasne – mówi. – Tylko się przebiorę.

Myślę, że doskonale wie, jak to jest mieć nadopiekuńczych rodziców, którzy traktują cię jak pięciolatka.

Patrząc na to, co wydarzyło się do tej pory, pobyt w Santa Monica zapowiada się doskonale. Nie minął dzień, a napięcie między mną a ojcem staje się nie do wytrzymania. Nie minął dzień, a ja muszę iść na grilla z obcymi ludźmi. Nie minął dzień, a przydzielono mi eskortę do zwykłej czynności, jaką jest bieganie.

Nie minął dzień, a ja żałuję, że w ogóle tu przyjechałam.

– Nie oddalajcie się zbyt od domu – mówi ojciec i wychodzi z pokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi, chociaż proszę go głośno o zamknięcie.

Jamie opiera się o futrynę i pyta:

– Chcesz iść teraz?

Wzruszam ramionami.

– Jeśli nie masz nic przeciwko.

Pospiesznie kiwa głową i wychodzi z pokoju, pamiętając, żeby zamknąć drzwi.

Wolę nie marnować czasu na siedzenie w domu, zwłaszcza że w pokoju jest duszno, a klimatyzacja chyba nie działa, więc kładę walizkę na miękkim materacu i otwieram ją. Cieszę się, widząc, że moje rzeczy – począwszy od laptopa, a skończywszy na ulubionej bieliźnie – dotarły na miejsce w jednym kawałku. Zwykle, gdy otwieram walizkę, połowa jej zawartości wysypuje się na podłogę, bo obsługa obchodzi się z bagażem jak z workiem

kartofli. Tak więc przetrząsam zawartość walizki aż do dna, bo strój do joggingu był jedną z pierwszych rzeczy, jakie spakowałam.

Kiedy idę do wypasionej łazienki, żeby się odświeżyć i przebrać, mój telefon wibruje, uprzejmie dając znać, że lada chwila się rozładuje. Przypominam sobie, że Amelia prosiła, żebym zadzwoniła, jak tylko dotrę na miejsce. Kładę szorty i biustonosz do biegania na desce sedesowej i krzyżuję nogi. Numer mojej najlepszej przyjaciółki jest przypisany do klawisza szybkiego wybierania, więc połączenie się z nią to kwestia nanosekund.

– No cześć – odzywa się głupekowatym głosem, który brzmi jak skrzyżowanie głosów bohatera kreskówki i komentatora sportowego.

– Cześć – odpowiadam, naśladowując jej ton. Śmieję się i wzdycham. – To miejsce jest koszmarnie. Pozwól mi wrócić i spędzić lato z tobą.

– Też bym chciała! Dziwnie tu bez ciebie.

– Tak dziwnie, jak spotkać się z nową macochą?

– Może nie aż tak – odpowiada. – Jest w porządku? Chyba nie jest tak straszna jak ta macocha z *Kopciuszka*, co? A twoi bracia przyrodni? Zadebiutowałaś już w roli opiekunki do dzieci?

Kręcę głową, chociaż zdaję sobie sprawę, że mnie nie widzi. Gdyby tylko wiedziała, że jest wręcz odwrotnie.

– Tak naprawdę to wcale nie są dzieciaki.

– Jak to?

– To nastolatki.

– Nastolatki? – powtarza. Przez ostatnie dwa tygodnie musiała wysłuchiwać, jak bardzo boję się spotkania z przyrodnimi braćmi, bo nie mam cierpliwości do dzieci poniżej szóstego roku życia. I nagle okazuje się, że moi przyrodni bracia są dużo starsi.

– Tak – odpowiadam. – Są w porządku. Jeden jest trochę nieśmiały, ale to najmłodszy, więc można takie zachowanie zrozumieć. Myślę, że dogadam się z tym trochę starszym. Zresztą nie wiem. Ma na imię Jamie.

– Myślałam, że masz trzech braci – stwierdza Amelia. –

Mówiłaś o trójce.

– Cóż, nie poznałam jeszcze trzeciego – tłumaczę. Aż do tej chwili zapomniałam, że mam nie dwóch, a trzech przyrodnych braci, którzy będą mnie oceniać. – Pewnie poznam go później. Idę pobiegać z Jamiem.

– Eden. – Głos Amelii jest pełen powagi, ale łagodny. – Dopiero przyjechałaś. Wyluzuj. Wyglądasz dobrze.

– Nie. – Ramieniem przyciskam telefon do ucha i jednocześnie ściągam buty. – Mówili coś jeszcze na mój temat? – pytam ostrożnie, choć wolałabym nie wiedzieć. Wszystko przez ciekawość, która zżera człowieka od środka, i fakt, że nie można jej się oprzeć. Ja zawsze się poddaję.

Cisza po drugiej stronie zdaje się nie mieć końca.

– Nie myśl o tym, Eden.

– A więc, tak – mówię bardziej do siebie niż do niej. Mój głos brzmi niczym szept i nie sędzę, żeby Amelia mnie usłyszała. Telefon wibruje po raz kolejny. – Posłuchaj, bateria zaraz mi padnie. Wieczorem idę na jakiegoś przeklętego grilla. Jeśli zrobi się naprawdę źle, będę pisała do ciebie przez cały czas, żeby wiedzieli, że mam przyjaciół.

Amelia śmieje się i niemal widzę, jak przewraca oczami tak, że widać jej tylko białka.

– Jasne. Informuj mnie na bieżąco.

Telefon rozładowuje się, zanim zdążam bąknąć coś na pożegnanie, więc odkładam go na blat i sięgam po ubrania. Bieganie pomaga oczyścić umysł, a tego właśnie mi trzeba. Przebieram się w strój do joggingu – robię to tak często, że potrafiłabym się ubrać nawet we śnie – i idę nadół. W kuchni witają mnie czarne lśniące blaty, białe lakierowane szafki i równie lśniaca czarna podłoga. Wszystko tu jest bardzo, bardzo lśniące.

– O kurczę – mówię. Zerkam na butelkę wody w mojej dłoni i na nieskazitelnie czysty zlew pod oknem. Aż boję się go używać.

– Podoba ci się? – pyta ojciec i dopiero teraz zauważam jego obecność. Pojawia się znikąd, jakby chodził za mną krok w krok.

– Montowaliście go wczoraj czy co?

Śmieje się, kręcąc głową, i odkręca kran.

– Proszę bardzo – mówi. – Jamie czeka na ciebie przed domem. Rozciąga się.

Mijam kuchenną wyspę i napełniam butelkę wodą. Kiedy zaczyna się przelewać, zakręcam nakrętkę i wynoszę się stamtąd, zanim ojciec znowu coś powie. Nie mam pojęcia, jak przetrwam z tym człowiekiem osiem tygodni.

Jamie chodzi w tę i z powrotem po podjeździe. Widząc mnie, zatrzymuje się i uśmiecha.

– Rozgrzewam się – oświadcza.

– Mogę się przyłączyć?

Kiedy kiwa głową, upijam łyk wody i robimy kilka okrążeń dokoła trawnika. W końcu niespiesznie wybiegamy na ulicę. Wokół jest bardzo ładnie.

Pierwszy raz od dawna biegnę bez muzyki; uważam, że byłoby niegrzecznie tak po prostu odciąć się do Jamiego. Biegniemy w milczeniu, tylko od czasu do czasu zamienimy kilka słów albo któreś z nas rzuci: „zwolnijmy trochę”. Nie przeszkadza mi to jednak. Z nieba leje się na nas żar, jakby w ciągu godziny temperatura podskoczyła o kilkanaście stopni. Okolica rzeczywiście jest urocza. Mieszkańcy spacerują z psami, jeżdżą na rowerach albo pchają przed sobą wózki dziecięce. Może jednak zakocham się w tym mieście?

– Nienawidzisz swojego ojca? – pyta nagle Jamie, kiedy zawracamy w stronę domu. Jestem tak zaskoczona, że omal nie potykam się o własne nogi.

– Co takiego? – To jedyna odpowiedź, jaką mogę z siebie wydusić. Próbuję zebrać myśli i wbijam wzrok w chodnik. – To nie takie proste.

– A ja go lubię – mówi albo raczej dyszy Jamie. Aż dziw bierze, że nadal dotrzymuje mi tempa.

– Och.

– Tak. Ale między wami sytuacja jest dość napięta.

– Rzeczywiście – przyznaję. Zagryzam wargę i zastanawiam się, jak by tu zmienić temat. – Świetny dom, co nie? – stwierdzam,

wskazując pierwszy lepszy budynek.

Jamie kompletnie mnie ignoruje.

– Czemu tak jest? – pyta.

– Bo jest beznadziejny – odpowiadam w końcu. To prawda: mój ojciec jest beznadziejny. – Jest beznadziejny, bo zostawił mnie i mamę. Bo nie dzwoni. Jest beznadziejny, bo jest beznadziejny.

– Rozumiem.

Na tym kończy się nasza rozmowa. Resztę drogi pokonujemy w milczeniu, potem rozciągamy się na trawniku i wchodzimy do domu, żeby wziąć prysznic. Tata nie omieszkał przypomnieć nam o grillu, który ma się rozpocząć za dwie godziny. Rozchodzimy się do swoich pokoi.

Jestem spocona i czuję się obrzydliwie, podłączam więc telefon do ładowarki i zaraz potem wchodzę do cudownie czystej kabiny prysznicowej. W strumieniach wody czuję się wspaniale, dlatego przez kolejne pół godziny siedzę pod prysznicem, rozkoszując się gorącą parą, która otacza mnie ze wszystkich stron. Prysznic w domu nigdy nie był taki przyjemny.

Pozostałe półtorej godziny poświęcam na przygotowania. Gdybym mogła, wyszłabym na patio w dresie, ale nie sądzę, żeby Ella była zachwycona tym pomysłem. Dlatego przetrząsam zawartość walizki i wyciągam obcisłe spodnie oraz sportową marynarkę. Swobodnie, ale z klasą. To powinno wystarczyć.

Ubieram się, suszę włosy, układam je w luźne loki i robię makijaż. Spryskuję skórę mgiełką do ciała, kiedy dolatuje do mnie zapach... grilla. Widać dochodzi już siódma.

Idę na dół i kierując się zapachem, wchodzę do kuchni. Prowadzące na patio, rozsuwane szklane drzwi są otwarte i dociera do mnie, że impreza trwa już w najlepsze. Małe sprostowanie: a więc jest już po siódmej. Jest muzyka, która sączy się z głośników gdzieś w tle, grupki snujących się z kąta w kąt dorosłych i wszystko, co sprawia, że tak bardzo nie lubię takich spotkań. Widzę Chase'a, pluskającego się w basenie z innymi dziećmiakami w jego wieku. Dostrzegam też ojca, który obraca akurat hamburgery na ruszcie grilla i, kręcąc biodrami, naśladuje jakiś

taniec z lat osiemdziesiątych. Wygląda po prostu beznadziejnie.

– Eden! – słyszę czyjś głos. Odwracam się i poirytowana odkrywam, że należy do Elli. – Chodź do nas!

Może jeśli udam, że mam jakiś atak, będę mogła wrócić do pokoju albo jeszcze lepiej do domu.

– Przepraszam za spóźnienie. Nie spojrzałam na zegarek.

– Nie, nie, nic się nie stało – mówi Ella. Przesuwa okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy i wchodzi do kuchni, żeby mnie z niej wyciągnąć. – Mam nadzieję, że jesteś głodna.

– Właściwie to ja...

– To nasi sąsiedzi z naprzeciwka – przerywa mi, wskazując głową stojącą przed nami parę w średnim wieku. – Dawn i Philip.

– Miło cię poznać, Eden – mówi Dawn. Wygląda na to, że albo ojciec, albo Ella zdążyli poinformować wszystkich o moim przyjeździe. Philip uśmiecha się półgębkiem.

– Mnie również miło państwa poznać – odpowiadam. Nie wiem, co jeszcze mogłabym dodać. Opowiedzcie mi historię swojego życia? Jakie macie plany na przyszłość? Zamiast tego się uśmiecham.

– Nasza córka też przyjdzie – ciągnie Dawn, a ja od razu robię się nerwowa. – Dotrzyma ci towarzystwa.

– Świetnie – mówię i odwracam wzrok. Dogadywanie się z innymi dziewczynami nigdy nie było moją mocną stroną.

Dziewczyny są przerażające. A poznawanie nowych jest jeszcze gorsze. – Miło było państwa poznać – powtarzam z uśmiechem.

Uwalniam się od nich i od Elli, z nadzieją, że uda mi się uniknąć kolejnych niezręcznych prezentacji. Przez pierwsze czterdzieści minut idzie mi naprawdę dobrze. Stoję pod płótnem i kręcę nosem na koszmarną muzykę, która dobiega z głośników w drugim końcu ogrodu. Czuję się zażenowana już samą swoją obecnością w tym miejscu. Kiedy mięso jest gotowe i wszyscy zaczynają jeść, ich głosy zagłuszają wreszcie tę koszmarną popową papkę. Przez kilka minut skubię bułkę hamburgera, po czym wyrzucam wszystko do kosza. I gdy już mi się wydaje, że przez resztę wieczoru będę miała święty spokój, Ella postanawia

przedstawić mnie każdemu z osobna jako swoją pasierbicę.

– A oto i Rachael! – mówi, prowadząc mnie w stronę kolejnej grupy sąsiadów.

– Rachael? – powtarzam. Może to ktoś, kogo już poznałam, ale nie pamiętam. W ciągu ostatniej godziny usiłowałam spamiętać tak wiele imion, że w efekcie wszystko zamazało mi się w pamięci.

– Córka Dawn i Philipa – tłumaczy Ella. Spogląda ponad moim ramieniem, kiwa głową i zanim się odwracam, woła: – Tutaj, Rachael!

No to pięknie. Biorę głęboki oddech, przekonuję w duchu samą siebie, że potrafię być naprawdę sympatyczna, i rozciągam usta w najbardziej sztucznym uśmiechu, jaki można sobie wyobrazić. Dziewczyna podchodzi do nas i zatrzymuje się obok mnie.

– Och, eee, cześć – mówię.

Ella obdarza nas promiennym uśmiechem.

– Eden, to jest Rachael.

Rachael uśmiecha się do mnie i wyglądamy teraz jak trzy seryjne morderczynie.

– Cześć. – Posyła Elli wymowny uśmiech.

Ella rozumie aluzję.

– Zostawię was. – Śmieje się i odchodzi, by wdać się w kolejną nudną rozmowę z nudnymi ludźmi.

– Rodzice wszystko komplikują – oświadcza Rachael. To wystarczy, żebym zaczęła ją lubić. – Byłaś tu przez cały czas?

Chciałabym móc zaprzeczyć.

– Niestety.

Ma długie jasne włosy, których odcień z całą pewnością nie jest naturalny. Nie obchodzi mnie to, bo nie zdążyła mnie jeszcze znienawidzić.

– Mieszkam naprzeciwno, a ty pewnie nikogo tu nie znasz, więc jeśli chcesz, możemy trzymać się razem. Poważnie, wpadaj, kiedy tylko chcesz.

Jestem zaskoczona i jednocześnie wdzięczna za tę

propozycję. Nie ma mowy, żebym spędziła najbliższe osiem tygodni w domu, z ojcem i jego nową rodziną.

– Brzmi nieźle... – Milknę, bo moją uwagę przykuwa coś innego.

Przez szpary w płocie widzę drogę i mrużę oczy, żeby mieć lepszy widok. Gra muzyka. Choć „gra” to za mało powiedziane. Raczej ryczy na cały regulator. Słyszę ją ponad gównianymi dźwiękami, które zalewają ogród. Pod dom podjeżdża elegancki biały samochód, aż tylne koło odbija się od krawężnika. Widząc to, krzywię się z obrzydzeniem. Z chwilą gdy kierowca gasi silnik, muzyka milknie.

– Na co patrzysz? – pyta Rachael, ale ja jestem tak zaabsorbowana tym, co dzieje się na ulicy, że nie odpowiadam.

Drzwi samochodu otwierają się z taką siłą, że aż dziw bierze, że nie wypadają z zawiasów. Nie widzę wyraźnie, ale z samochodu wysiada wysoki chłopak i zatrzaskuje drzwi z taką samą siłą, z jaką je otworzył. Waha się przez chwilę, patrzy na dom i przeczesuje dłonią włosy. Kimkolwiek jest, wydaje się przygnębiony. Wygląda, jakby właśnie stracił oszczędności całego życia albo jak ktoś, komu zdechł ukochany pies. Chwilę później rusza w stronę furtki.

– Co to za dupek? – mruczę do Rachael, a koleś już kieruje się w naszą stronę.

Zanim jednak którakolwiek z nas zdąży się odezwać, Dupek otwiera furtkę, waląc w nią pięścią i ściągając na siebie uwagę gości. Zupełnie jakby zależało mu na tym, żeby cały świat go nienawidził. Domyślam się, że to jeden z tych, którymi wszyscy w sąsiedztwie pogardzają. Facet wpadł w szal, bo nie został zaproszony na najgorszego grilla, jakiego zorganizowano w okolicy.

– Przepraszam za spóźnienie – rzuca sarkastycznie i na tyle głośno, żeby go wszyscy usłyszeli. Uśmiecha się z wyższością. Oczy ma zielone i błyszczące jak szmaragdy. – Ominęło mnie coś oprócz zarzynania zwierząt? – Mówiąc to, wyciąga środkowy palec w stronę grilla. – Mam nadzieję, że krowa, którą właśnie

zjedliście, wam smakowała. – Po tych słowach wybucha śmiechem. Śmieje się tak, jakby malujący się na twarzach gości wyraz odrazy był najzabawniejszą rzeczą na świecie.

– Ktoś jeszcze ma ochotę na piwo? – Niezręczną ciszę przerywa głos ojca. Kiedy zdumieni sąsiedzi chichoczą i wracają do przerwanych rozmów, Dupek kieruje się w stronę domu. Zatrzaszkuje drzwi z taką siłą, że widzę, jak drżą szyby.

Stoję oniemiała. Nie wiem, co to było i kim był ten człowiek, który właśnie wszedł do domu. Kiedy dociera do mnie, że ze zdumienia otworzyłam usta, zamykam je pospiesznie i odwracam się w stronę Rachael.

Zagryza wargę i opuszcza na nos okulary.

– Domyślam się, że nie poznałaś jeszcze swojego przyrodniego brata.



3

Właściwie nie wiem, czego się spodziewałam przed przyjazdem do Los Angeles, ale jedno jest pewne: do głowy mi nie przyszło, że mój przyrodni brat okaże się szaleńcem.

– To ten trzeci? – pytam, podczas gdy goście ignorują to, co wydarzyło się chwilę temu. Nie wiedzieć czemu, nie potrafię przestać o tym myśleć. Za kogo on się uważa?

– No... tak – mówi Rachael i wybucha śmiechem. – Współczuję ci. I mam szczerą nadzieję, że masz pokój z dala od niego.

– Dlaczego?

Nagle robi się podenerwowana, jakbym odkryła jej najgłębszy i najmroczniejszy sekret, który jest również najbardziej wstydliwą rzeczą na świecie.

– Potrafi być naprawdę irytujący, ale nie powinnam ci o tym mówić. W końcu to nie moja sprawa. – Rumieni się, posyła mi krzywy uśmiech i pospiesznie zmienia temat. – Jesteś jutro zajęta?

Nadal mam w głowie to, co powiedziała o moim pokoju.

– Tak... to znaczy, nie. Przepraszam, nie wiem, dlaczego tak powiedziałam.

Nie ma co, Eden, świetna robota.

Na szczęście Rachael wciąż jeszcze nie spisała mnie na straty jako kompletną idiotkę. Zamiast tego się śmieje.

– Chcesz gdzieś wyskoczyć? Mogłybyśmy pójść na promenadę albo porobić coś innego.

– Chętnie – mówię. Nadal jestem trochę zdenerwowana, trochę zmieszana i trochę poirytowana gwałtownym wtargnięciem Dupka. Jakby nie mógł wejść do domu frontowymi drzwiami. I w ogóle musiał się odzywać?

– To cudowne miejsce na zakupy! – Rachael zaczyna się nad

tym rozwodzić, od czasu do czasu zarzucając włosami; jasne kosmyki za każdym razem chłuszczą mnie po twarzy. W końcu przestaje paplać o promenadzie. – Mam trochę roboty. Lepiej już pójdę. Przepraszam, że nie mogę zostać dłużej. Mama chciała, żebym wpadła tu w drodze do domu i się przywitała. Tak więc, cześć.

– Cześć – odpowiadam.

Obiecuje, że spotkamy się jutro, i znika równie szybko, jak się pojawiła, zostawiając mnie w towarzystwie podchmielonych dorosłych. I Chase'a.

– Eden – mówi jedenastoletnik, idąc w moją stronę. Wymawia moje imię ostrożnie i powoli, jakby chciał się z nim oswoić. – Eden – powtarza, tym razem nieco szybciej i mniej uważnie – gdzie są napoje gazowane? Jego przyjaciele trzymają się nieco z tyłu. W ich niewinnych oczach czai się niepokój. „Jasne”, myślę, „w końcu jestem taaaka przerażająca”.

– Pewnie na stole – odpowiadam. – Zapytaj mamę.

– Jest w domu – mówi Chase. W tej samej chwili jeden z jego kolegów popycha go i wybucha śmiechem, jakby zrobił mu najlepszy kawał świata. Chase wpada na mnie z miękkim plaśnięciem i zawstydzony zatacza się do tyłu. Dopiero po chwili zauważam, że przód koszulki mam kompletnie mokry.

– Przepraszam – bąka. Wbija wzrok w pusty plastikowy kubek, który jeszcze przed chwilą był w połowie pełny.

– Nic się nie stało – mówię. Nawet się cieszę. Mam pretekst, żeby wejść do domu i wyrwać się z tej koszmarnej imprezy. Uradowana idę w stronę drzwi. Mam nadzieję, że ojciec wypije o jedno piwo za dużo i nie zauważy, że zniknęłam na resztę wieczoru. Posiedzę w swoim skromnie umeblowanym pokoju, zadzwonię do mamy, porozmawiam na wideoczacie z Amelią, a może połamię obie nogi. Każda z tych możliwości wydaje się lepsza, niż gdybym miała stać sama wśród obcych ludzi.

Wzdycham głęboko – to był cholernie męczący dzień – i kieruję się w stronę schodów. Kiedy stawiam stopę na najniższym stopniu, słyszę dochodzący z pokoju gościnnego wrzask, który

odbija się echem od ścian domu. Jestem zbyt ciekawska i zbyt zaintrygowana, żeby go zignorować. Najciszej jak mogę podkradam się do drzwi.

Są uchylone i przez wąską szczelinę widzę Ellę, która zamyka oczy i, masując skronie, kryje twarz w dłoniach.

– Nawet się nie spóźniłem – mówi męski głos gdzieś z drugiego końca pokoju. W ostrym tonie natychmiast rozpoznaję Dupka.

– Spóźniłeś się dwie godziny! – krzyczy Ella. Kiedy otwiera oczy, robię krok w tył. Boję się, że mnie zauważy.

Dupek się śmieje.

– Naprawdę myślisz, że wrócę do domu, żeby patrzeć na cholernego grilla?

– O co ci chodzi tym razem? To nie ma związku z grillem – mówi Ella i zaczyna spacerować w tę i z powrotem po kremowym dywanie. – Zachowywałeś się jak dzieciak, zanim jeszcze wysiadłeś z samochodu. Co się dzieje?

Chłopak zaciska szczęki i przechyla głowę.

– Nic – cedzi, zgrzytając zębami.

– Chyba jednak o coś ci chodzi. – W pełnym wzburzenia, surowym głosie Elli próżno doszukiwać się słodyczy, z którą zwracała się do mnie niespełna kwadrans temu. – Właśnie upokorzyłeś mnie na oczach połowy sąsiadów.

– I co z tego?

– Nie powinnam była cię puszczać – ciągnie Ella, tym razem trochę ciszej, jakby to na siebie była zła. – Powinnam była kazać ci zostać, ale nie, nie zrobiłam tego, bo chciałam dać ci trochę luzu, a ty, jak zwykle, tak mi się odpłacasz.

– I tak bym pojechał – ripostuje Dupek. Widzę, jak kręci głową i śmieje się pod nosem. Odwraca się do mnie plecami i mam okazję lepiej mu się przyjrzeć. Za pierwszym razem minął mnie tak szybko, że nie zdążyłam niczego zauważyć. – I co zrobisz? Znowu dasz mi szlaban? – Ma głęboki, schrypnięty głos i zmierzwiłone czarne włosy. Jest szeroki w ramionach i wysoki. Bardzo wysoki. Wyższy od matki o kilka centymetrów.

– Jesteś nieznośny – cedzi Ella przez zaciśnięte zęby.
Mówiąc to, patrzy ponad jego ramieniem i przez ułamek sekundy jej wzrok spoczywa na mnie.

Oddech więźnie mi w gardle. Pospiesznie odsuwam się z nadzieją, że mnie jednak nie widziała, że patrzyła na drzwi, a nie na osobę, która kryje się za nimi. Nic z tego. Sekundę później, zanim zdążyłam się ukryć, drzwi się otwierają.

– Eden? – Ella wychodzi na korytarz i przyłapuje mnie na wpół stojącą, na wpół leżącą na schodach. Moja żalosna próba ucieczki na piętro zakończyła się fiaskiem.

– Ja... – mamroczę. Gdyby nie to, że nie mogę się poruszyć, ukryłabym twarz w dłoniach.

I wtedy dzieje się najgorsze. Dupek wychyla się zza drzwi i wychodzi na korytarz. Po raz pierwszy mogę przyjrzeć mu się z bliska. Ma szmaragdowe oczy – zbyt błyszczące, by nazwać je zielonymi, i zbyt pełne życia, by określić je mianem „zwyczajnych” – które mruży na mój widok, aż ciarki przechodzą mi po plecach. Znowu zaciska zęby, jednak kpiarski uśmiech na dobre znika z jego twarzy.

– A kim, u diabła, jest ta lalunia? – pyta, kątem oka zerkając na Ellę, jakby czekał, aż wyjaśni mu, skąd na schodach jego domu wzięła się obca dziewczyna.

Ella nie spieszy się z odpowiedzią, najwyraźniej zastanawia się nad doborem odpowiednich słów. W końcu dotyka ramienia syna.

– Tylerze – mówi – to Eden. Córka Dave’a.

– Dzieciak Dave’a? – parska Dupek, zwany inaczej Tylerem. Wstaję i prostuję się, ale on patrzy w bok.

– Cześć – zagaduję. Zamierzam wyciągnąć rękę, ale dociera do mnie, jak idiotycznie wyglądam, i zamiast tego splatam palce.

W końcu spogląda na mnie. Gapi się. Świdruje mnie wzrokiem. Zupełnie jakby nigdy dotąd nie widział człowieka. Wydaje się zmieszany, zaraz potem zły, a później znowu zakłopotany. Ma przenikliwe spojrzenie, które sprawia, że czuję się niezręcznie, opuszczam więc wzrok i przez krótką chwilę

patrzę na jego brązowe buty. Kiedy zerkam na niego ukradkiem, przełyka z trudem i patrzy na Ellę.

– Dzieciak Dave’a? – powtarza. Głos ma cichy, podszyty niedowierzaniem.

– Tak, Tylerze – wzdycha Ella. – Mówiłam ci, że przyjeżdża. Nie udawaj, że nie wiedziałeś.

Stoi twarzą do matki, ale przez cały czas zerka w moją stronę.

– W którym pokoju?

– Słucham?

– W którym pokoju będzie mieszkała?

Czuję się dziwnie, kiedy mówi o mnie, jakby mnie tu nie było, i sądząc po jego reakcji, chciałby, żeby to była prawda.

– Obok twojego.

Jęczy, żeby pokazać mi, jak bardzo nie podoba mu się, że będziemy sąsiadami, i odwraca się w moją stronę. Patrzy na mnie wściekłym wzrokiem. Może myśli, że chcę zamieszkać w tym domu z tą żalną namiastką rodziny? Jeśli tak, to bardzo się myli.

Kiedy uznaje, że gapił się na mnie wystarczająco długo, żebym zrozumiała, co chce mi powiedzieć, odpycha Ellę na bok, mija mnie i wbiega po schodach na górę.

Mija kilka sekund, zanim słyszymy trzask zamykanych drzwi. Do tego czasu stoimy w milczeniu. Czekanie, aż trzaśnie drzwiami, żeby znowu można było normalnie rozmawiać, wydaje się w tym domu czymś normalnym.

– Przepraszam – mówi Ella. Wydaje się szczerze przejęta i zawstydzona. Do tego stopnia, że zaczynam jej współczuć. Gdybym codziennie musiała użerać się z takim kretyńcem, trzy razy dziennie przechodziłabym załamanie nerwowe. – On tylko... Wyjdźmy na zewnątrz.

Nic z tego, odpowiadam w myślach.

– Chase wylał na mnie napój, muszę się przebrać.

– Och – mówi. Unosi brwi i krzywiąc się, patrzy na mokrą plamę na koszulce. – Mam nadzieję, że cię przeprosił.

Kiedy wraca do ogrodu, wbiegam po schodach – tym razem

szybko, bez żadnych akrobacji – wpadam do pokoju, zamykam drzwi i oddycham z ulgą. W końcu jestem sama i nikt nie będzie mnie irytował.

Dokładnie osiem sekund później w pokoju obok następuje eksplozja dźwięków, od której zaczynają drżeć ściany. Teraz rozumiem, co miała na myśli Rachael, mówiąc, że ma nadzieję, iż dostanę pokój z dala od niego. Jakie z dala? Jesteśmy sąsiadami, dokładnie tak, jak powiedziała Ella. Brak mi słów. Jestem wkurzona i zmęczona, stoję na środku pokoju i gapię się w ścianę. Wiem, że po drugiej stronie mieszka kretyn.

Na szczęście pięć minut później muzyka milknie i jedyne, co słyszę, to szcęk otwieranych drzwi. Może do tego czasu mój przyrodni brat zdążył już ochłonać. Z tą nadzieją wychylam się na korytarz i napotykam spojrzenie, któremu daleko do spokoju.

– Cześć – mówię raz jeszcze. Skoro ten człowiek jest stałym elementem mojej nowej „rodziny”, muszę przynajmniej spróbować. – Wszystko w porządku?

Szmaragdowe oczy Tylera śmieją się ze mnie.

– Na razie – rzuca. Ubrany w tę samą czerwoną flanelową koszulę i brązowe buty zbiega ze schodów i kieruje się do wyjścia. Nikt poza mną nie widzi, jak wychodzi z domu. Ma szlaban, ale najwyraźniej niewiele go to obchodzi.

Wzdycham i powłócząc nogami, wracam do pokoju. Przynajmniej próbowałam, czego nie można powiedzieć o moim przyrodnim bracie. Zdejmuję marynarkę, ściągam koszulkę i ciskam ją na podłogę. Po raz pierwszy kładę się na łóżku. Zapadam się w miękki piankowy materac. Ignorując muzykę oraz wybuchy pijackiego śmiechu, patrzę w sufit i po prostu oddycham. Nie przestaję oddychać nawet wtedy, gdy silnik z rykiem budzi się do życia, a samochód odjeżdża spod domu. To pewnie Tyler.

Przez następną godzinę opowiadam Amelii o koszmarnym grillu, o tym, jak beznadziejny jest mój ojciec i jakim dupkiem okazał się Tyler. Mniej więcej to samo powtarzam mamie.

– Eden. – Przysypiam już, gdy nagle dociera do mnie dobiegający zza drzwi głos taty. Zanim zdążę cokolwiek

powiedzieć, otwiera je i wchodzi do pokoju. – Sąsiedzi rozeszli się do domów – mówi. Pachnie pieczonym mięsem i piwem. – Idziemy spać. Dość mam tego dnia.

Życzę mu dobrej nocy, odwracam się do ściany i kiedy wychodzi, chowam twarz w poduszce. Mówi się, że zasnąć na nowym miejscu jest albo bardzo łatwo, albo bardzo trudno. Kiedy tak leżę, mimo zmęczenia, które leniwie rozlewa się po całym moim ciele, uświadamiam sobie, że prawdą jest to drugie. Przewracam się na plecy i kładę rękę na czole. Może za dnia w Portland jest nieco cieplej, ale noce w Santa Monica są zdecydowanie bardziej parne. Co gorsza, klimatyzacja nadal nie działa. Nie wiem, czy jest zepsuta, czy ojciec kompletnie o niej zapomniał. Tak czy siak, rano muszę mu o tym przypomnieć.

Po godzinie wiercenia się i przewracania z boku na bok, w końcu udaje mi się zasnąć. Dokładnie na czterdzieści siedem minut. Mam wrażenie, że w tym domu nic nie trwa długo.

Kiedy zasypiałam, wydawało mi się, że jedyną rzeczą, która może mnie obudzić, jest zaduch. Nie sądziłam, że będzie to pijackie zawrośnięcie pod moim oknem. Jęki, stęknienia i rzucane od czasu do czasu przekleństwa wwiercają się w moje uszy i sprawiają, że chcąc nie chcąc, otwieram oczy. Powoli, na kolanach, podchodzę do okna i wyglądam poza krawędź parapetu. Rześkie nocne powietrze przyjemnie muska moją twarz.

– Nie – mruczy pod nosem pijany Tyler. – Nie. – Na jego twarzy maluje się powaga. Opiera dłoń na równo skoszonej trawie. – Co się dzieje, do jasnej cholery? – mówi do siebie ściszym głosem. Domyślam się, że wrócił do domu pieszo, bo nigdzie nie widzę samochodu, a to znaczy, że została mu jeszcze odrobina zdrowego rozsądku. Najwyraźniej nawet ktoś taki jak on uważa jazdę na podwójnym gazie za głupotę. – Kiedy minęła północ? – Śmieje się jak obłąkany.

– Hej – ni to szepczę, ni to wołam, podnosząc się z podłogi i nieco szerzej otwierając okno. – Tutaj.

Potrzebuje kilku sekund, żeby ustalić, skąd dobiega głos, a kiedy w końcu dostrzega mnie na drugim piętrze, rzuca mi

wściekłe spojrzenie.

– Czego chcesz, do cholery?

– Wszystko w porządku? – Z chwilą, gdy wypowiadam te słowa, uświadamiam sobie, jak bezsensowne jest to pytanie. To oczywiste, że nic nie jest w porządku.

– Otwórz drzwi – mówi bełkotliwym głosem. Kiwa głową i chwiejąc się na nogach, znika pod spadzistym dachem domu.

Ponieważ położyłam się spać w samej bieliźnie, czym prędzej coś na siebie narzucam i zbiegam na dół. Uważam, żeby nie narobić hałasu. Nie zapalam świateł i idę na palcach. Jego sylwetka maluje się wyraźnie na tle przeszklonych drzwi.

– Co ja wyprawiam? – szepczę do siebie, majstrując przy zamku. Dupek, który przez cały wieczór działał mi na nerwy, prosi, żebym wpuściła go do domu, a ja robię, co mi każe? A jednak gdy tylko słyszę szcęk zamka, otwieram drzwi.

– Nie spieszyłaś się specjalnie, co? – mruczy, pakując się do domu. Cuchnie alkoholem i papierosami.

Zamykam drzwi i przekręcam klucz.

– Jesteś pijany? – pytam.

– Nie – rzuca. Szeroki uśmiech na jego twarzy zmienia się w złośliwy uśmieszek. – Już rano?

– Trzecia – odpowiadam.

Chichocze pod nosem i próbuje wejść po schodach, ale zatacza się i potyka. – Skąd one się tu wzięły? – pyta, poklepując jeden ze stopni. – Wcześniej ich tu nie było.

Ignoruję go.

– Chcesz wody albo co? – pytam.

– Przynieś mi piwa – bełkocze. W ciemności widzę, że dociera na górę i znika w swoim pokoju. Na szczęście tym razem obeszło się bez trzaskania drzwiami. Gdyby Ella zobaczyła go w takim stanie, pijanego i ledwo trzymającego się na nogach, chybaby go zamordowała.

Ja również wracam do swojego pokoju, zdejmuję ubranie i niedbale rzucam je na podłogę. Upał jest nie do wytrzymania, więc zamiast kłaść się do łóżka i konać z przegrzania, siadam na oknie.

Przyciskam policzek do chłodnej szyby i oddycham nocnym powietrzem. Obok skrzynki na listy leży zgnieciona puszka po piwie.

Dupek.



4

Rachael co prawda obiecywała, że porozmawiamy rano, ale nie spodziewałam się, że cztery minuty po dziesiątej pojawi się pod drzwiami domu mojego ojca. Budzenie się przed południem w wakacje, nie mówiąc o udzielaniu się towarzysko, to jakiś absurd. Każdy nastolatek przy zdrowych zmysłach potwierdzi, że to wbrew normom społecznym. Schodząc po schodach, posyłam jej pełne wyrzutu spojrzenie.

Ojciec jedną ręką przytrzymuje otwarte drzwi, w drugiej ma kubek z gorącą kawą.

– Oto i ona. – Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Pa, tato – mówię i przewracam oczami. On jednak nie przestaje się uśmiechać, zupełnie jakbym była w przedszkolu i właśnie poznała swoją pierwszą przyjaciółkę. W końcu jednak idzie do salonu. – Jest zenujący.

– Mój też. – Śmieje się Rachael. – Chyba wszyscy ojcowie są beznadziejni.

– Taa – mówię. Jestem rozszpana i dziwię się, że umiem sklecić sensowne zdanie. – Nie sądziłam, że pójdziemy tak wcześnie.

Rachael patrzy na mnie zdumiona i posyła mi uśmiech w stylu „jakaś ty głupiotka”.

– Jest sobota. Skoro mamy iść na promenadę, musimy wyjść jak najwcześniej, bo będą tłumy!

Nie wiem nawet, czym jest promenada.

– Ooch. – Przez sekundę (albo cztery) taksuję wzrokiem strój Rachael. Ma na sobie słodkie szorty, kremową bluzkę z dopinanym kołnierzykiem, lustrzane okulary przeciwsłoneczne i całe mnóstwo biżuterii. Ja jestem ubrana w przydużą koszulkę w kreskówkowe alpaki.

– Muszę się przygotować. Wejdiesz i zaczekasz czy...?

– Wpadnij do mnie, jak będziesz gotowa – mówi Rachael. Po czym dodaje dla pewności: – To tamten dom. – Wskazuje budynek po drugiej stronie ulicy. Przed odejściem prosi mnie grzecznie, żebym się pospieszyła.

Przygotowanie się do wyjścia zabiera mi pół godziny. Opuuszczam sobie śniadanie, na sześć minut wskakuję pod prysznic, ubieram się podobnie do Rachael, rozpuszczam włosy i nakładam lekki makijaż. Nic zbyt skomplikowanego i zbyt czasochłonnego.

– Wychodzę – oświadczam, zaglądając do kuchni, skąd dobiega głos ojca.

Na dźwięk moich słów przerywa rozmowę z Ellą.

– Uważaj na siebie i nie wracaj późno. Dokąd się wybieracie?

Wzruszam ramionami.

– Na jakąś promenadę czy coś w tym stylu.

– O! Tyler też poszedł na promenadę – odzywa się Ella. Aż do tej chwili nie pamiętałam o Dupku.

Ojciec odwraca się i wbija w nią spojrzenie.

– Czy on przypadkiem nie ma szlabanu? – pyta odrobinę za ostro. Wygląda na to, że ojciec również za nim nie przepada, i nie mogę go winić. Tyler nie jest szczególnie sympatyczny. – Przestań mu na wszystko pozwalać. Na każdym kroku mu ulegasz.

– Bawcie się dobrze – mówi z uśmiechem Ella. Kompletnie ignoruje ojca, jakby jego słowa nie robiły na niej żadnego wrażenia.

Sytuacja staje się niezręczna, więc czym prędzej wynoszę się z domu. Nie chcę, żeby Rachael na mnie czekała. Znamy się dopiero drugi dzień i nie zamierzam jej wkurzać. Na szczęście, kiedy o dziesiątej trzydzieści siedem pojawia się na podjeździe przed jej domem, nie wygląda na zdenerwowaną długim oczekiwaniem, choć pewnie jest – o tej godzinie nikt nie wybiega z domu bez powodu.

– Zapowiada się upalny dzień – mówi. Spogląda w niebo i

wypuszcza powietrze. Rzeczywiście, jest dużo cieplej niż wczoraj. A nie ma nawet jedenastej. – Dobra, chodźmy. – Na podjeździe stoi zaparkowany czerwony volkswagen beetle. Rachael wyciąga kluczyki i otwiera samochód.

– Od kiedy masz prawo jazdy? – pytam nie bez obawy, nieumyślnie opóźniając naszą podróż na promenadę.

Rachael unosi brew i wzdycha.

– Od listopada – mówi, kiedy tak stoję naprzeciwko, wciąż się w nią wpatrując. – Wiem, co sobie myślisz: nie minął nawet rok. Ale tu nikt nie przestrzega tych głupich przepisów, więc daj spokój i wsiadaj.

Ignorując fakt, że nie mam dwudziestu lat i nie powinnam wsiadać z nią do samochodu, sadowię się na fotelu pasażera. Sprawdzam, czy pas bezpieczeństwa na pewno jest dobrze zapięty.

Robię w głowie szybki rachunek.

– Czyli masz siedemnaście lat – mówię.

Rachael wyjeżdża tyłem na ulicę.

– Tak, w tym roku kończę szkołę – odpowiada, ale skupia się na drodze i z piskiem opon rusza sprzed domu. – Tak jak Tyler. Chodzimy do tej samej szkoły. A ty?

– Jestem w trzeciej klasie. Jeszcze dwa lata i mam nadzieję, że dostanę się na uniwersytet w Chicago. To czekanie ciągnie się w nieskończoność. Zaczęłam już wypełniać podanie umożliwiające złożenie aplikacji w trybie przyspieszonym, bo bardzo zależy mi, żeby się tam dostać. Już w pierwszej klasie uparłam się na Uniwersytet Chicagowski i chociaż mama wołałaby, żebym zdawała na Uniwersytet Stanowy w Portland, czuję, że psychologia w Chicago stoi na wyższym poziomie. Zawsze chciałam studiować psychologię. Interesują mnie ludzie.

– Trzecia klasa jest najgorsza – mówi Rachael. – Zobaczysz, będziesz miała dość. – Włącza radio i zaczyna śpiewać. Przy ogłuszających dźwiękach muzyki skręcamy w lewo i wjeżdżamy w Deidre Avenue.

Po pięciu minutach robi mi się niedobrze i nie wiem, czy to dlatego, że Rachael jest takim strasznym kierowcą, czy przyczyną

jest to, że zbliżamy się do popularnego miejsca spotkań towarzyskich, gdzie będzie całe mnóstwo ludzi. A wśród nich Tyler.

– Zabierze się z nami Meghan – mówi Rachael, ścisząc muzykę. Podjeżdża pod dom z jasnej cegły na rogu ulicy i trąbi. Ja tymczasem nerwowo bawię się palcami.

Chwilę później do samochodu podbiega dziewczyna pochodzenia azjatyckiego o lśniących czarnych włosach.

– Cześć, dziewczyny! – rzuca cichym, łagodnym głosem i siada na tylnym siedzeniu.

Rachael uruchamia silnik.

– Hej, Meg. To jest Eden, siostra Tylera.

– Przyrodnia siostra – poprawiam ją. – Spoglądam przez ramię i patrzę w oczy Meghan. – Miło cię poznać.

– Ciebie też – odpowiada z szerokim uśmiechem i zapina pas. – Przyjechałaś na wakacje, tak?

– Tak.

Jestem wdzięczna, bo z głośników znów płynie głośna muzyka, która nie pozwala na swobodną rozmowę. Wyjeżdżamy z dzielnicy mieszkalnej i kierujemy się w stronę strefy przemysłowej, mijając po drodze motele, kafejki i biurowce. Z czasem ruch robi się coraz większy i stajemy w korku.

– Nienawidzę szukać miejsca do parkowania – skarży się Rachael, wjeżdżając na trzeci poziom parkingu i parkując ukośnie na pierwszym wolnym miejscu. – A teraz chodźmy do sklepów!

Wciąż nie wiem, czym jest promenada.

Kiedy schodzimy na parter, zostaję nieco z tyłu. Rachael i Meghan idą zdecydowanie za szybko, podczas gdy ja wlokę się za nimi, chłonąc każdy szczegół nowego otoczenia. Skręcam za rogiem i wychodzę na ulicę. I wtedy dowiaduję się, czym jest promenada – to szeroka ulica tylko dla pieszych, przy której znajdują się sklepy z markowymi produktami, drogie restauracje i kina. Jeden z tych przereklamowanych kompleksów rozrywkowych, których zwykle nienawidzę.

– Eden, poznaj Third Street Promenade! – mówi Rachael.

Słyszając to, wzdrygam się. – Moje ulubione miejsce w Los Angeles. Nic go nie przebije.

– Zgadzam się – dodaje Meghan.

Albo obie są szalone, albo mają fioła na punkcie wszystkiego, co mainstreamowe i oklepane. Oczywiście, że kochają tę cudowną, fantastyczną promenadę, bo są dziewczynami. Do tego ładnymi. To naturalne, że przywiązały się do tego miejsca i że stało się ono dla nich bezpieczną przystanią.

– Fajnie tu – mówię bez przekonania i od razu wiadomo, że kłamię. Próbuję to ukryć, więc odchrząkuję. – Jak daleko się ciągnie? – dodają pospiesznie.

– Zajmuje powierzchnię trzech kwartałów! – Rachael zerka na zegarek i wymachuje ręką. – Chodźcie, tracimy czas!

Chryste. Zakupy to jedna z najgorszych form rozrywki, chyba że chodzi o myszkowanie w księgarni. Nie sądzę jednak, żeby to miały na myśli moje towarzyszki. Moje obawy potwierdzają się, kiedy obie ciągną mnie do American Apparel.

– Jesteś turystką – mówi Rachael – więc pewnie dostaniesz zawrotów głowy. Idę rozejrzeć się za spodniami.

– Ja potrzebuję stanika – dodaje Meghan.

Po tych słowach zostawiają mnie samą na środku ogromnego sklepu, żebym robiła coś, czego nienawidzę – zakupy. Szczerze mówiąc, przydałoby mi się kilka nowych ciuchów, tak więc zbieram się na odwagę i zaczynam przeglądać wieszaki i półki pełne ubrań. Ostatecznie znajduję uroczą spódniczkę i bluzkę w azteckie wzory, które są całkiem do rzeczy. Chcę je przymierzyć, ale kiedy widzę kolejkę do przebieralni, opuszczają mnie resztki sił.

– Eden. – Rachael pojawia się dosłownie znikąd. – Wyjdź z tej kolejki.

– Jak to? – Przyglądam się jej z uwagą.

– Bo... – Przerzywa, gdy stojąca przede mną kobieta odwraca się i mierzy ją wzrokiem. Rachael chwyta mnie za łokieć i odciąga na bok. – Bo – powtarza – na tyłach sklepu są zamknięte przymierzalnie, z których zawsze korzystamy. To lepsze niż stanie

w kolejce. Chodź, pokażę ci. – Z przewieszoną przez ramię stertą spodni prowadzi mnie na drugi koniec sklepu. – Ja jeszcze się rozejrzę, więc kiedy skończysz, poszukaj nas albo coś.

Obraca się na pięcie, a ja stoję przed białymi drzwiami z tabliczką informującą, że klienci sklepu nie mają tu wstępu. Nie wiem, czy Rachael żartuje sobie ze mnie, ale na wszelki wypadek rozglądam się dokoła, żeby się upewnić, że nikt nie patrzy i wślizguję się do środka. Czuję się, jakbym robiła coś gorszego. Przymierzę ubrania najszybciej, jak się da, i wyjdę stąd, zanim ktoś mnie nakryje. Panuje tu spokój, jeśli nie liczyć płynącej z głośników spokojnej muzyki. Wchodzę do pierwszej lepszej przebieralni. Nie wiedzieć czemu, serce wali mi jak szalone. Już mam zdjąć koszulkę, kiedy słyszę dobiegający z sąsiedniej kabiny chichot. Już mam bez ruchu, oddech więźnie mi w gardle.

– Przestań – ni to chichocze, ni to szepcze głos. Jest tak cichy, że ledwie go słyszę. Z całą pewnością należy do dziewczyny.

– Skarbie – odzywa się niski męski głos. Ktoś cmoka. Albo pieści ustami czyjąś skórę. Nie potrafię stwierdzić.

– Co to za zapach? – pyta dziewczyna. Znowu to cmokanie. – To Mont Blanc? Pachnie jak Mont Blanc.

– Nie, Bentley – odpowiada chłopak. Pociągam nosem. W powietrzu unosi się cudowny zapach wody kolońskiej. – Chodź tu. – Ktoś znowu cmoka. Czyjeś ciało obija się o ściankę mojej kabiny i zamieram z rękami w powietrzu.

Dziewczyna się śmieje.

– Co robisz?

– O co ci chodzi?

– Nie wiem, co robisz, ale to jest przyjemne.

– Pewnie, że tak.

Krzywię się z odrazą, zakrywam usta ręką i kręcę głową. To najbardziej niezręczna sytuacja, w jakiej zdarzyło mi się znaleźć. W obawie, że któreś z nich spojrzy w dół i zobaczy moje stopy, najciszej jak mogę staję na taborecie. Spróbowałam wyjść, nie zwracając na siebie ich uwagi, ale myśl o tym, że narobię hałasu i

odkryją moją obecność, odbiera mi władzę w nogach. Przechyliłam głowę i wbijam wzrok w podłogę. Może oni nie zobaczą moich stóp, ale ja z całą pewnością widzę ich. Błękitne buty na płaskim obcasie i brązowe botki.

– Tyler – dyszy dziewczyna w przerwie między pocałunkami – nie zrobimy tego tutaj.

Nie wiem, czego nie zamierzają tutaj robić, ale wiem, że brązowe buty, głos i imię mogą znaczyć tylko jedno. Proszę, Boże, nie.

Czuję, że zaraz zwymiotuję, i w tej samej chwili słyszę głos Rachael:

– Eden, jesteś tu jeszcze?

Nie czekając ani chwili dłużej, chwytam ubrania, zeskakuję z taboretu, szarpnięciem odsłaniam zasłonkę i posyłam Rachael oszalałe spojrzenie. Podbiegam do niej i macham ręką, dając znak, że musimy się stąd wynosić.

– Ćśśś – mówi dziewczyna. – Kto tam? – pyta, tym razem nieco ostrzej.

Próbuję wypchnąć Rachael przez drzwi, ale ona stoi jak wryta.

– Tiffani?

– Rachael?

Zasłonka sąsiedniej przebieralni rozsuwa się i z kabiny wychodzi wysoka platynowa blondynka. Policzki ma zaróżowione i nerwowo zagryza wargę. Połowa guzików jej bluzki jest rozpięta.

– Ja... nie miałam pojęcia, że ktoś tu jest.

„Pewnie”, myślę sobie.

– Co tu robisz? – pyta Rachael i podejrzliwie unosi brwi. – Ty też tu jesteś, Tyler? – Czekamy na odpowiedź.

– Taa. – Tyler wychodzi z przebieralni, obciąga spłowiałą szarą koszulkę i przeczesuje włosy palcami. Muszę przyznać, że wygląda dużo lepiej niż kilka godzin temu. – Słyszałyście o prywatności?

– A ty o niemigdaleniu się w samym środku American Apparel? – rzuca Rachael, marszcząc nos. – To obrzydliwe.

Idealnie wyskubane brwi Tiffani, jej wysokie kości policzkowe i kąciaki pełnych ust opadają. Z początku wydaje się zawstydzona faktem, że została nakryta, ale chwilę później jej twarz nabiera hardości, a ona sama pospiesznie zapina guziki bluzki. Tym razem to ja odwracam wzrok.

– Co wy tu w ogóle robicie? – pyta Tyler. Jego uwaga koncentruje się na mnie. Na krótką chwilę wbija we mnie przenikliwe spojrzenie i na samą myśl o tym, co zaraz powie, przechodzi mnie dreszcz.

– Mierzymy ubrania – odpowiada zwięźle Rachael. – W przymierzalniach to chyba normalne.

Tiffani piorunuje ją wzrokiem i wyraźnie wściekła patrzy na mnie.

– A ty to kto? – pyta, przekrzywiając głowę.

– Eden – mruczę. Z trudem wytrzymuję jej spojrzenie, po części dlatego, że czuję się głupio, a po części z powodu niezręczności sytuacji. Zamiast tego patrzę na Tylera. – Jego przyrodnia siostra.

– Masz przyrodnią siostrę? – Tiffani łagodnieje, ale chwilę później marszczy brwi i spogląda na Tylera.

– Najwyraźniej – odpowiada i wzrusza ramionami.

Tiffani mruga, wpatrując się przez kilka sekund w Tylera, jakby przyrodnia siostra była kimś w rodzaju mitycznych stworzeń, które istnieją wyłącznie w bajkach. Kiedy w końcu oswaja się z tą myślą, spogląda na mnie i mruży oczy.

– Co tu robiłaś? – pyta z kwaśną miną. – Szpiegujesz nas?

– Wyluzuj, kotku – uspokaja ją Tyler. Przychodzi mi z odsieczą i dotyka jej ramienia. – To nic wielkiego. Przestań się rzucać.

Oburzona jego obojętnością Tiffani rozchyła usta i patrzy na niego zdumionym wzrokiem. Krzyżuje ręce na piersi i robi nadąsaną minę.

– Tak tylko mówię – rzuca.

– No to przestań – stwierdza Tyler. Zaciska wargi i po raz kolejny wzrusza ramionami. – Ona ma to gdzieś. Chodźmy już.

Muszę wpaść do Levi'sa. – Zniecierpliwiony obejmuje ją i przyciąga do siebie, ale dziewczyna ani myśli się ruszyć. Wzdycha i patrzy na Rachael.

– Widzimy się we wtorek – mówi. – Przyjdiesz na plażę?

– Jasne – odpowiada Rachael i zerka na mnie. Wiem, o czym myśli, i modlę się w duchu, żeby nie powiedziała tego na głos. – Eden też może przyjść?

No to pięknie.

Twarz Tiffani tężeje. Powoli wypuszcza powietrze, widać, że się zastanawia, czy pozwolić, by jakiś intruz zepsuł jej plany.

– No dobra – mówi w końcu.

Zawstydzona i poirytowana pozwala Tylerowi wyprowadzić się z przymierzalni. Minie jeszcze kilka godzin, zanim rumieniec zniknie z jej twarzy.

W ciszy, która nastaje po ich wyjściu, gapię się na Rachael i zaintrygowana unoszę brew.

– Dziewczyna – mówi. – Chodzą ze sobą od pierwszej klasy. Pewnie nieźle cię wystraszyli.

Kręcę głową i biorę oddech – wydaje mi się, że pierwszy od dziesięciu minut.

– To taki dupek.

– To Tyler Bruce – mówi Rachael. – On zawsze jest dupkiem.



5

Jeśli mam być szczerą, popołudnie, które spędziłam z Rachael i Meghan na promenadzie, nie było wcale takie złe. Dziewczyny nie siedziały zbyt długo w jednym sklepie, nie wydały wszystkich pieniędzy na buty i, o dziwo, okazało się, że obie uwielbiają kawę, co odkryłam, gdy zatrzymałyśmy się w małym barze kawowym na rogu Santa Monica Boulevard. Nazywał się Refinery i podawano w nim najlepszą latte, jaką piłam od lat.

– Na pewno nie idziesz? – pyta po raz ósmy ojciec, zaglądając do mojego pokoju.

Maluję paznokcie u nóg na krzykliwy szafirowy kolor, ale w przerwie oglądam się przez ramię na człowieka, który tak bardzo mnie irytuje.

– Na pewno – mówię. – Nadal nie czuję się najlepiej. – Odwracam głowę i zajmuję się malowaniem paznokci. Nie umiem kłamać. Kiedy byłam młodsza, wystarczyło na mnie spojrzeć, żeby wiedzieć, że kłamię. Mam nadzieję, że teraz nie jest to aż tak oczywiste.

– Gdybyś zgłodniała, w lodówce jest coś do zjedzenia.

– Jasne – rzucam jeszcze, kiedy wychodzi z pokoju.

Może wymawianie się od rodzinnej kolacji jest nietowarzystkie, ale sama myśl o tym, że musiałabym spędzić sobotni wieczór z moją nową rodziną, przyprawia mnie o ból głowy. Przez ostatnie dwie godziny, odkąd wróciłam z promenady, ojciec męczy mnie, żebym jednak się zgodziła. A ja konsekwentnie odmawiam.

Skończywszy malować paznokcie, przez chwilę krążę po pokoju, a gdy wychodzę na korytarz, Ella zadziera głowę i każe chłopcom szykować się do wyjścia. Zatrzymuję się na szczycie schodów i widzę Tylera, który wychodzi z pokoju.

Mruży oczy i gapi się na mnie. Na mnie i na moje spodnie od dresu.

– Nie idziesz?

– A ty? – odpowiadam pytaniem na pytanie. Jest ubrany w granatową bluzę z kapturem naciągniętym na oczy. W jednym uchu ma słuchawkę.

– Mam szlaban – parska i pociera skroń. – A ty jaką masz wymówkę?

– Źle się czuję – kłamię. Odwracam się i schodzę po schodach, ale czuję, że idzie za mną. – Dziwne – rzucam szeptem przez ramię. – Masz szlaban, a jednak poszedłeś do American Apparel.

– Zamknij się – syczy.

Ojciec i Ella czekają już przy drzwiach. Jamie i Chase wyglądają na śmiertelnie znudzonych. Są młodszy, więc trudno im wymówić się od tego typu koszmarnych imprez.

– Nie wrócimy późno – oznajmia Ella. Mówiąc to, patrzy na Tylera, zupełnie jakby bała się zostawić go samego. Zresztą, ma ku temu podstawy. – Nawet nie myśl o tym, żeby gdzieś wychodzić.

– Gdzieżbym śmiał. – Głos Tylera ocieka sarkazmem. Opiera się o ścianę i splata ramiona.

– Możemy już iść? – pyta Chase. Cieszę się, że nie muszę przechodzić przez to co on. – Jestem głodny.

– Tak, tak, chodźmy – mówi tata. Otwiera drzwi, każe Chase'owi i Jamiemu wsiąść do samochodu i patrzy na mnie ze współczuciem. – Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej.

– Pa – mówię z uśmiechem.

– Zachowujcie się – ostrzega nas Ella. Nadal się niepokoi, ale chwilę później wszyscy wychodzą.

Kiedy zamykają za sobą drzwi i dom pogrąża się w dziwnej ciszy, dociera do mnie, że zostałam sam na sam z tym kretynek. Na cały wieczór. Odwracam się i czuję na sobie jego spojrzenie.

– No i? – mówię.

– No i? – powtarza głosem zupełnie niepodobnym do mojego.

– No i? – mówię jeszcze raz.
– Idę pod prysznic – oświadcza. – Jak tylko zejdiesz mi z drogi.

Odsuwam się, a on mija mnie tak, jak zrobił to wczoraj, jakbym była przeszkodą na jego drodze.

– Cham – mruczę pod nosem. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin, które tu spędziłam, nie usłyszałam od niego ani jednego miłego słowa. Zupełnie brak mu ogłady. Cieszę się, że przez najbliższe pięć minut nie będę musiała z nim rozmawiać.

Znudzona idę do pokoju gościnnego i siadam na kanapie. Prawda jest taka, że kiedy przyjeżdżasz do nowego miasta i nie masz przyjaciół, spędzasz sobotni wieczór na kanapie w nieskazitelnie czystym salonie swojej nowej, zrekonstruowanej rodziny, oglądając powtórki *Z kamerą u Kardashianów*, bo jedyne, co może poprawić ci humor, to podglądanie życia innych. Amelia zabiłaby mnie, gdyby się dowiedziała, że oglądam coś takiego. Nie chodzi o to, że lubię ten program. No, może trochę, ale nigdy się do tego nie przyznam.

W trakcie programu bombarduję mamę SMS-ami, w których skarżę się na ojca. Zgadza się ze wszystkim, co wypisuję.

Gapię się w telefon, gdy w holu rozlega się kobiecy głos.

– Halo? – woła.

Drzwi wejściowe zamykają się z cichym szczęknięciem. Włączam pauzę w telewizorze i siedzę bez ruchu. Z całą pewnością nie jest to Ella. Od ich wyjścia minęło ledwie pół godziny i pewnie nie zdążyli nawet zjeść przystawek.

– Halo? – wołam.

– Kto tu jest, do cholery? – Siła głosu sprawia, że kulę się na kanapie. Ktoś pchnięciem otwiera drzwi i do pokoju wchodzi Tiffani. Usta ma zaciśnięte w wąską kreskę. Na mój widok oddycha z ulgą. – Przepraszam, myślałam...

– Co myślałaś? – przerywam jej i patrzę na nią w osłupieniu.

– Nic – mówi pospiesznie. – Gdzie Tyler?

W tym momencie tracę zainteresowanie całą sytuacją. Włączam odtwarzanie i wbijam wzrok w telewizor.

– Nie widziałam go, odkąd poszedł pod prysznic.
– Dzięki. – Wychodzi z pokoju i chwilę później słyszę, jak biegnie po schodach, zupełnie jakby była u siebie. Ściszam dźwięk w telewizorze i nasłuchuję.

Przez dobre trzy minuty nic się nie dzieje, ale nagle docierają do mnie ich głosy – najwyraźniej oboje schodzą na dół. Przyciskam dłoń do ust i zaciekawiona patrzę na drzwi.

– Wyluzuj – mówi Tyler. – Zamierzałem wpaść do ciebie za jakąś godzinę.

– Mogłeś przynajmniej odebrać telefon – mówi z wyrzutem Tiffani.

– Słuchałem muzyki. Nie zauważyłem, że dzwonisz.
Widzę przez otwarte drzwi, jak zatrzymują się w holu.
– Masz jakiś problem? – pyta Tyler, napotykając moje spojrzenie.

– Chryste – jęczę.
Tiffani z dezaprobatą kręci głową. Zastanawiam się, jak z nim wytrzyma.

– Zamknij się, Tyler – mówi.
– Jak sobie chcesz – warczy mój przyrodni brat, krzywi się i odwraca do mnie plecami. – Wynośmy się stąd.
– Właściwie... – Tiffani urywa. Wysuwa dolną wargę i patrzy na niego spod firanki rzęs. Zadowolenie, które maluje się na jej twarzy, wyraźnie niepokoi Tylera.

– Co znowu? – pyta chłopak.
Tiffani wchodzi do salonu i staje przed telewizorem. Normalnie bym jej wygarnęła, ale nie mam ochoty się z nimi wyklócać.

– Mam pomysł – oświadcza i widzę, że zerka to na mnie, to na niego. Zamieniam się w słuch. I dobrze, bo to, co ma do powiedzenia, zaskakuje nas oboje. – Austin organizuje imprezę, na którą przypadkiem się wybieramy. Idziesz z nami, Eden. – Patrzy na mnie. – Masz na imię, Eden, tak? Nie wyglądasz na imprezowniczkę, ale Rachael mówi, żeby cię zaprosić. Więc chodź.

– Chwileczkę. – Tyler marszczy brwi i podchodzi do Tiffani.

– Myślałem, że idziemy do ciebie. No wiesz... – ściszone głosem mruczy jej do ucha. Słyszę każde słowo i nie mam wątpliwości, jakie mieli plany na wieczór.

– Zmiana planów – szepcze Tiffani. Splata dłonie i odsuwa się od niego. – Idziesz z nami, Eden. I ty, Tyler, też. Idziesz i raz w życiu się nie uchłasz – oświadcza.

– Co jest, kurwa?

– Rachael i Meg są już u mnie i szykują się do wyjścia, więc lepiej się zbierajmy! – Wyciąga z kieszeni kluczyki do samochodu i kieruje się w stronę drzwi. Widząc to, wołam za nią

– Zaczekaj, muszę się przebrać – wołam za nią. Wstaję z kanapy i zerkam na sufit. Może jeśli będę miała szczęście, zwali mi się na głowę. – Dajcie mi pięć minut. – Zastanawiam się, jak to się dzieje, że cały czas przydarza mi się coś takiego, ale z jakiegoś powodu nie potrafię powiedzieć „nie”.

Tiffani śmieje się, chwytając mnie za ramię i przyciąga do siebie. Kiedy znów się odzywa, jej głos podszyty jest współczuciem.

– Możesz pożyczyć coś mojego. A teraz ruszcie się! Za dwie godziny wychodzimy. – Puszczając mnie, obraca się na pięcie i maszeruje w stronę drzwi. Tyler mijają mnie i kierują się do wyjścia.

– Myślałam, że masz szlaban – mówię.

Odwraca się, patrzy na mnie ze spokojem i uśmiecha się złośliwie.

– A ja myślałem, że jesteś chora.

To zamyka mi usta.

* * *

Jazda do domu Tiffani przypomina pełną niepokoju podróż. Jedyne, o czym myślę, to że nie ogoliłam nóg. Zadręczam się tym przez okrągłe dziesięć minut, które spędzam w sportowym samochodzie, wciśnięta w maleńkie tylne siedzenie, z kolanami podciągniętymi pod brodę, bo Tyler celowo odsunął fotel pasażera najdalej, jak się da. Ani on, ani Tiffani nie próbują mnie zagadywać. Zresztą, wcale mi nie zależy. Rozmawiają o ostatnich

wydarzeniach i plotkują o ludziach z liceum. Wygląda na to, że Evan Myers i Nicole Martinez – kimkolwiek są – zerwali ze sobą.

Dom Tiffani znajduje się na skraju dzielnicy, na ogromnym terenie, i jest zbudowany z marmuru, co doprowadza mnie do wniosku, że prawdopodobnie przy wejściu czeka na nią kamerdyner. Ale kiedy wchodzimy do środka, okazuje się, że nie ma tu kamerdynerów ani nawet służby. To zwykły dom z bardzo drogich materiałów.

– Twoja mama wciąż jeszcze nie wróciła, tak? – pyta Tyler. Jego intencje są bardziej niż oczywiste.

– Tak – odpowiada Tiffani. – W kuchni jest piwo. Zaczekaj tam na nas, ale nie przeholuj. – Rzuca mu ostrzegawcze spojrzenie. Gdzieś na górze dudni muzyka. Tiffani łapie mnie za rękę i ciągnie w kierunku, z którego dobiegają dźwięki. Wchodzimy po marmurowych schodach. – Zaraz wracamy! – woła, wychylając się przez poręcz.

– Tiff? – W pokoju na samym końcu długiego korytarza rozlega się głos Rachael. Muzyka cichnie, jak nożem uciął. – Tiffani?

– Wróciłam! – Tiffani pchnięciem otwiera drzwi i wchodzi do pokoju. Ja wlokę się za nią.

– Eden! – Rachael, która układa właśnie włosy Meghan, zrywa się na równe nogi i śmiejąc się, wymachuje lokówką. – Przyszłaś!

„Nie miałam wyboru”, myślę.

– Jesteś pewna, że mogę się z wami zabrać? – pytam, choć sama nie wiem kogo.

– Chyba tak – odpowiada Tiffani. Nie brzmi to zbyt przekonująco. Podchodzi do szafy – albo raczej do sklepionego przejścia, za którym znajduje się ogromna garderoba – i patrzy na mnie przez ramię. – Rachael mówi, że przyjechałaś tylko na wakacje, tak?

– Tak.

– W takim razie musisz wykorzystać ten czas jak najlepiej.

– Święta prawda – przytakuje Meghan. Siedzi na podłodze

ubrana w jedwabny szlafrok, z włosami zakręconymi tylko na połowie głowy. – Zadbamy o to, żeby to lato nie było do dupy.

„Za późno”, myślę sobie. „Już jest do dupy”.

– Chodź, wybierz sukienkę! – piszczy Tiffani, ale jej entuzjazm wydaje się nieszczerzy. – Moim zdaniem powinnaś wybrać czarną. Czarną albo czerwoną. Będzie ci pasowała. I koniecznie musi być obcisła. Tak. Chwileczkę, Meghan, ty zakładasz coś czerwonego, tak? Dobra, w takim razie obcisła i czarna. Skupmy się na tym. – Chociaż każe mi wybrać sukienkę, to zanim w ogóle zdążę się rozejrzeć, wręcza mi jakąś, a chwilę później zmienia zdanie. – Właściwie ta mogłaby być zbyt obcisła – mruczy, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów, aż mam ochotę skulić się w sobie. Czy mi się zdaje, czy właśnie dała mi do zrozumienia, że jestem pulchna?

Chciałabym wierzyć, że nie zrobiła tego celowo i nie to miała na myśli, jednak mimo wszystko robi mi się przykro. Staram się o tym nie myśleć, ale jest już za późno. Jej słowa rozbrzmiewają echem w mojej głowie, podczas gdy Tiffani wciska mi do rąk kolejne sukienki i paple z tym samym wymuszonym entuzjazmem. Staram się oddychać. Próbuję przekonać samą siebie, że to, co mówi, jest nieprawdą.

Z naręczem czarnych sukienek rozpuszczam włosy i pożyczam od Tiffani prostownicę. Meghan proponuje, że zrobi mi makijaż. Tiffani znajduje odpowiednie do mojego stroju buty na platformach, bo tak się składa, że nosimy ten sam rozmiar. Z chwilą, gdy mam przymierzać sukienkę, zwierzam się Rachael, że zapomniałam ogolić nogi. Śmieje się tylko i wysyła mnie do ogromnej łazienki, tłumacząc, gdzie znajdę maszynki do golenia.

Kiedy wbijam się w sukienkę – bardzo, bardzo obcisłą sukienkę, która sprawia, że czuję się jeszcze gorzej – słyszę, że do pokoju wchodzi Tyler. Wyglądam z łazienki i widzę, że wszystkie dziewczyny są ubrane i gotowe do wyjścia. Chociaż sukienki Tiffani, Rachael i Meghan są równie obcisłe jak moja, wciąż czuję się niezręcznie. Materiał nieznośnie przylega do każdego skrawka mojego ciała.

– Dobra, możemy już iść? – pyta wyraźnie znudzony Tyler. Czekał na nas prawie dwie godziny, mając za towarzysza jedynie zimne piwo, co tłumaczy, dlaczego chwieje się na nogach. – Dean i Jake są już na miejscu.

– Dobrze wyglądam? – Tiffani powoli obraca się dokoła, żeby mógł lepiej jej się przyjrzeć. Ma na sobie białą sukienkę, która, choć krótka i obcisła, przydaje jej elegancji.

– Wyglądasz pięknie, skarbie – bełkocze Tyler. Jednym haustem opróżnia butelkę piwa, którą trzyma w dłoni, odstawia ją na komodę i podchodzi do Tiffani. – Naprawdę seksownie. – Obejmuje ją w talii i przyciąga do siebie. Zachowuje się, jakby byli zupełnie sami. Przywiera ustami do jej ust i jedną ręką pieści jej pośladek, drugą trzymając na jej plecach. Tiffani nie próbuje się uwolnić.

Posyłam Rachael pełne obrzydzenia spojrzenie i widzę, jak przewraca oczami. Znowu słyszę to obrzydliwe cmokanie. Tyler i Tiffani, mistrzowie świata w publicznym okazywaniu uczuć.

– Oni tak zawsze? – mruczę pod nosem, bo nie chcę po raz kolejny psuć ich intymnej atmosfery.

– Cały czas – mówi, kręcąc głową ze współczuciem.

Zerkam na nich kątem oka. Wygląda na to, że nie mają zamiaru przestać, chociaż Meghan szturcha ich, żeby się odsunęli, bo chce wyjść na korytarz. Patrząc na nich, można by pomyśleć, że nie widzieli się od trzech lat. Tak bardzo są sobą zajęci.

Cóż, może Tyler jest irytujący, Tiffani niegrzeczna, a ja pulchna, ale przynajmniej moja sukienka nie klei się do mnie tak, jak tych dwoje klei się do siebie.



6

Tuż po dwudziestej Meghan zabiera nas na imprezę, która przeraża mnie do tego stopnia, że zaczynam żałować, iż nie wybrałam się na rodzinną kolację z ojcem i Ellą. Z całą pewnością wmuszanie w siebie wymyślnych, drogich dań byłoby lepsze niż gorzki smak taniego alkoholu w ustach.

Pakujemy się do srebrnej toyoty corolli. W zapadającym zmierzchu dogasające promienie słońca wyglądają tak pięknie, że spoglądam jak urzeczona na koniec ulicy, w stronę horyzontu, aż Rachael, która rozsiadła się na siedzeniu pasażera, szturchnięciem wyrywa mnie z zamyślenia. Niechętnie pakuję się na tylną kanapę obok Tylera, który siedzi w środku, między mną a Tiffani, z piwem na kolanach i butelką wódki pod nogami. Powietrze przesiąknięte jest przytłaczającą mieszanką perfum i wody kolońskiej Tylera, a całości dopełnia muzyka, która z każdą sekundą przybiera na sile. Samochód toczy się ulicą z rozsądną – dzięki Bogu – prędkością. Meghan prowadzi w milczeniu i skupiona pochyla się nad kierownicą. Zupełnie jakby się bała, że coś ją rozproszy. Podczas gdy ona koncentruje się na drodze, Rachael i Tiffani paplają w najlepsze.

– Jeśli zobaczę tam Molly Jefferson, przysięgam na Boga, że wyjdę – oświadcza Rachael, nie odrywając wzroku od ekranu telefonu. Jej palce tańczą na klawiaturze z taką prędkością, że patrzę na nią zdumiona.

– Niby co ta luzerka miałaby tam robić? – pyta ze śmiechem Tiffani. Przeczesuje palcami włosy, aż układają się tak, jak tego chce. – Austin to dziwak, ale przynajmniej ma jakieś zasady. Żadnych frajerów. – Wychyla się i zerka na mnie, ale zaraz potem uśmiecha się i opada na siedzenie.

Kiedy jedziemy przez miasto, zerkam ukradkiem w lewo.

Tyler siedzi z rękami splecionymi na piersi i wygląda, jakby czuł się niezręcznie: twarz ma ściągniętą i cały czas patrzy na hamulec ręczny. Chyba wyczuwa na sobie mój wzrok, bo rzuca mi szybkie spojrzenie i równie szybko odwraca oczy. Widząc to, siadam bokiem i skupiam się na budynkach, które mijamy po drodze. Wciąż jednak jestem zakłopotana. Co kilka minut czuję na sobie jego wzrok, ale kiedy się odwracam, żeby przyłapać go na gorącym uczynku, on patrzy w przeciwną stronę.

– A ta dziewczyna, Sabine? Sabine...? – Rachael podnosi wzrok znad telefonu i z palcem na ustach myśli przez chwilę. Odwraca się i mrużąc oczy, spogląda na Tiffani przez szparę w zagłówek. – Wiesz, o kim mówię, prawda? O tej Niemce z wymiany?

– Dziewczynie, która podsiadła mnie na zajęciach z hiszpańskiego? Sabine Baumann.

– Tak! – piszczy Rachael i opada na fotel. – Mam nadzieję, że jej też nie będzie. Zawsze gapi się na Trevora.

– I na ciebie, Tylerze – dodaje Tiffani. Czuję, że Tyler wzrusza ramionami i nie mam wątpliwości, że Tiffani nie przepada za tą całą Sabine. Zaciska usta i przytula się do niego.

Przez resztę drogi Rachael i Tiffani dyskutują o tym, kto jeszcze może pojawić się na imprezie. Nasza trójka ma w tej kwestii niewiele do powiedzenia: Meghan skupia się na tym, żeby nas wszystkich nie pozabijać, Tyler tępym wzrokiem patrzy przed siebie, a ja... mnie wcale to nie obchodzi.

Piętnaście minut później, po niezliczonej ilości gestów poprawiania fryzur i wielu złośliwych uwagach, docieramy na imprezę, która najwyraźniej trwa już w najlepsze. Na trawniku przed domem kręci się parę osób, podjeżdżają kolejne samochody. Muzyka dudni, kiedy wysiadamy z toyoty, którą Meghan zaparkowała niedbale między zdezelowaną półciężarówką i kabrioletem. Wyciągamy alkohol. Niosąc zgrzewkę piwa Twisted Tea i butelkę wódki, czuję się jak alkoholiczka. Założę się, że sąsiedzi obserwują nas zza opuszczonych żaluzji, gotowi w każdej chwili zadzwonić na policję. Wystarczy rzut oka, żeby wiedzieć, że

jesteśmy nieletni. Nie mam pojęcia, jak Tiffani, Rachael i Meghan skombinowały taką ilość alkoholu, ale jak każdy nastolatek w tym kraju, one również mają swoje sposoby. Zawsze jest jakieś wyjście. Można okazać podrobiony dowód osobisty. Ukradkiem wręczyć pracownikowi sklepu monopolowego dwadzieścia dolarów. Poprosić bezdomnego, żeby kupił alkohol w zamian za kanapkę.

– Hej, Tyler! – woła ktoś z drugiego końca trawnika. Niskawy koleś z krótko przystrzyżonymi włosami i butelką Budweisera w ręce podchodzi do niego i na powitanie zderzają się pięściami. – Fajnie, że wpadłeś.

– Taa – mówi Tyler. – Do kuchni? – pyta, wskazując głową skrzynkę piwa Bud Light, którą trzyma pod pachą.

– Jasne – odpowiada tamten i macha ręką w kierunku domu. – Postaw to gdzieś i chodź do nas. – Tyler chwiejnym krokiem idzie do wejścia, witając się po drodze z kilkoma osobami.

– Cześć, Austin! – Tiffani zwraca się do tego samego chłopaka, który najwyraźniej jest gospodarzem całej imprezy. Wlokę się za nią, podobnie jak Rachael i Meghan, i nie mogę pozbyć się uczucia, że nie pasuję do tego miejsca. Nie znam tu nikogo, a jednak wbijam na imprezę i modlę się, żeby nikt mnie nie zauważył.

– Bawcie się dobrze, dziewczyny – rzuca Austin tonem starego zbereźnika, przez co od razu wydaje mi się odpychający. – Fajne kiecki.

– Wiem – mówi Tiffani. Przewraca oczami, spogląda przez ramię na swoje pośladki i zagryza wargi. – A tak przy okazji, jest z nami Eden.

– Eden? – Wzrok Austina mija ją, Rachael i Meghan i zatrzymuje się na mnie. – Wkręcasz się na moją imprezę, Eden?

Zanim zdążę zapaść się pod ziemię, Tiffani podchodzi do niego i kładzie mu rękę na piersi. Nachyla się i szepcze Austinowi do ucha: – Eden jest siostrą przyrodnią Tylera. – Odsuwa się i posyła mu znaczące spojrzenie. – A ty przecież nie chcesz nadepnąć mu na odcisk, więc...

Austin cofa się o krok, złośliwy grymas znika z jego twarzy, zastąpiony szerokim uśmiechem.

– Witamy na imprezie! Bawcie się dobrze albo wracajcie do domu! – Mówiąc to, wznosi butelkę ku niebu, gwizdże przez chwilę, po czym odchodzi.

– Słyszaliście – odzywa się Rachael. Odkręca butelkę wódki, którą trzyma w dłoni, i pociąga solidny łyk, nawet się przy tym nie krzywiąc. Pewnie dla niej to nie pierwszozna. – Bawimy się!

Niebo nad naszymi głowami ciemnieje, kiedy Tiffani prowadzi nas do środka. Wiem już, że z tej trójki to ona jest samica alfa. Trzy przyjaciółki i ja, sierota z Portland. A ponieważ czuję się jak piąte koło u wozu, coraz bardziej się denerwuję i mam świadomość, że nie jestem tu mile widziana.

Dom jest wypełniony od ściany do ściany ludźmi oraz skrzynkami piwa i panuje w nim straszny, straszny zaduch. Muzyka gra na cały regulator, alkoholu jest pod dostatkiem. Większość gości jest już wstawiona albo zwyczajnie pijana i tylko nieliczni trzymają się prosto na nogach. Kiedy w końcu udaje nam się dotrzeć do kuchni, okazuje się, że Tyler zniknął. Jego skrzynka piwa stoi wśród butelek z alkoholem, którymi zastawiony jest stół i wszystkie blaty. Na podłodze walają się puste kieliszki. Omijam je ostrożnie i kładę zgrzewkę Twisted Tea oraz wódkę na skraju stołu.

– Sorry, Rach – odzywa się męski głos za naszymi plecami. Odwracam się, patrzę w prawo i widzę gościa, który obejmuje Rachael w talii i odciąga ją na bok. – Zastanawiałem się, czy przyjdiesz.

– Trevor! – Rachael, wyraźnie podekscytowana, rzuca mu się w ramiona i cmoka go w usta.

Trevor mija ją i sięga po piwo, podczas gdy ona patrzy na niego jak trzylatek na szczeniaczka.

– Chłopak? – pytam bezgłośnie Meghan, ale ona kręci głową.

– Dołączę do was później! – krzyczy Rachael, chociaż stoi tuż obok. – Miłej zabawy, Eden! – Chwilę później oboje wychodzą z kuchni: on z piwem w dłoni, ona z wódką.

– Rachael ma słabą głowę – mówi Tiffani. Staje do nas tyłem

i sięga po kieliszki. – Pije koktajle, odkąd do mnie przyjechała. – Rzeczywiście, kiedy szykowałyśmy się do wyjścia, Rachael co jakiś czas wymykała się do kuchni. Aż do tej chwili myślałam, że wychodzi do toalety.

Patrzę, jak Tiffani rozlewa tequilę do kieliszków.

– Kim jest ten Trevor? – pytam.

– To koleś, z którym zabawia się na imprezach – odpowiada znudzonym głosem, jakby nie chodziło o nic wielkiego. – Bawią się razem i tyle. Dobra. – Odwraca się z uśmiechem i wręcza mi kieliszek. Zerkam na Meghan, licząc na jej wsparcie, ona jednak wzrusza ramionami i pokazuje mi kluczyki do samochodu.

W Portland kilka razy próbowałam już tequili i pamiętam kwaśny i gorzki smak, jaki pozostawia w ustach.

– Och – mówię, patrząc na kieliszek. Jest wypełniony aż po brzegi. Kątem oka widzę Tiffani, która liże grzbiet dłoni. – Och?

Meghan śmieje się, przewraca oczami i sięga po leżącą na blacie solniczkę. Podaje ją Tiffani.

– Robiłaś to już?

– Czy piłam tequilę? – pytam.

– Czy piłaś ją tak, jak trzeba – poprawia mnie, unosząc brwi. – No wiesz, z limonką i tak dalej.

– Och – mówię po raz trzeci. W Portland pijemy tylko piwo i rum. – Nasze imprezy nie są takie...

– Fajne? – kończy Tiffani i uśmiecha się z wyższością.

Wysypuje na wierzch dłoni szczyptę soli. – Po powrocie będziesz mogła ich nauczyć. A teraz poliz grzbiet dłoni, między kciukiem i palcem wskazującym.

Czuję się jak idiotka. Zupełnie jakbym znowu była w pierwszej klasie, gdzie człowiek cały czas jest poddawany dokładnej obserwacji przez fajniejszych ludzi ze starszych klas. Tyle że to nie jest szkoła, a ci ludzie nie są innymi uczniami. Jestem na imprezie z ludźmi, którzy dokładnie wiedzą, co robić, co mówić i jak dopasować się do otoczenia. Tymczasem ja nie mam o tym bladego pojęcia.

– Dobra – mówię i liżę rękę. Czuję się niedorzecznie i

zaczynam się zastanawiać, czy ojciec i Ella wrócili już do domu.

– Sól. – Tiffani podaje mi solniczkę. Naśladuję ją i wysypuję na rękę odrobinę soli. – Dobra, gdzieś tu muszą być limonki.

– Tutaj, Tiff – mówi Meghan i śmiejąc się, wskazuje koszyk z limonkami, przygotowany specjalnie na tę okazję. A przecież ja nawet nie lubię limonek.

Tiffani teatralnym gestem przykłada rękę do czoła i wzdycha.

– Jeszcze nic nie wypłam, a już padło mi na oczy. Dobra, bierz plasterek. Eden, trzymaj go w ręce, na której masz sól.

Robię, co mi każe, wkładam plasterek między kciuk i palec wskazujący, i czekam na kolejne instrukcje.

– Co teraz? – pytam.

– Sól, tequila, limonka – tłumaczy Meghan. Cofa się, żeby mieć nas na oku. – Już, już, już! – krzyczy, kiedy Tiffani kiwa głową.

Panikuję, ale zlizuję sól i odchylam głowę, próbując przełknąć tequilę. Mam ochotę zwymiotować. Smak jest gorzki i obrzydliwy. Przypominam sobie o limonce i wgryzam się w nią skrzywiona. Sok tryska mi na policzki. Biegnę do zlewu, żeby wypluć to świństwo.

Mam ochotę zapaść się pod ziemię.

– Jak to mówią – rzuca z uśmiechem Tiffani; chyba wyglądam na przerażoną, bo szybko podaje mi puszkę piwa, jakbym dzięki temu miała się pozbyć tego straszego posmaku – jedna tequila, dwie tequile, trzy tequile, gleba. – Kilka osób wchodzi do kuchni po drinki i Tiffani wykorzystuje okazję, żeby się zmyć. – Idę poszukać Tylera. Bawcie się dobrze.

Muzyka przybiera na sile, odbija się od ścian i wwierca się w moje uszy. Mocny, agresywny rytm przyprawia mnie o ból głowy. Meghan łapie mnie za wolną rękę i wywleka z kuchni do dużego – ale pełnego ludzi – pokoju. Po drodze rozmawia z kilkoma osobami, na szczęście jednak żadna z nich nie pyta, kim jest oferma, którą wlecze za sobą.

Z drugiego końca pokoju idzie ku nam zwalisty koleś.

– Jake! – woła Meghan, przekrzykując muzykę.

– Cześć, Meg – mówi chłopak. Ma na sobie czarną koszulkę z nadrukiem, którego nie chce mi się czytać, a jego jasne nażelowane włosy sterczą na wszystkie strony. – Gdzie Tiff i Rach? – Najwyraźniej Jake lubi zdrobnienia.

– Rachael jest z Trevorem – tłumaczy Meghan i oboje przewracają oczami – a Tiffani szuka Tylera. Widziałeś go? Mam wrażenie, że twarz Jake'a tężeje.

– Taa – rzuca zdawkowo. – Robi to, co zawsze.

Meghan zerka na mnie kątem oka, zagryza wargi i pyta:

– A Dean?

– Szukał was. – Śmieje się Jake. Upija łyk piwa i nieco się odpręża. – Co to za nowa? – pyta, patrząc na mnie.

– Eden – odpowiadam, zanim Meghan zdąży się odezwać. – Jestem siostrą przyrodnią Tylera. Przyjechałam na wakacje. – Wiem, jakich pytań się spodziewać, więc uprzedzam Jake'a.

Jego twarz znowu tężeje. Posyła Meghan niespokojne spojrzenie, które ona kwituje wzruszeniem ramion. – Co?

– Zobaczę, co u Rachael – rzuca Meghan. – Muszę pilnować, żeby się nie ubzdryngoliła.

– Może chcesz dać im gumki? – Jake rozciąga usta w złośliwym uśmiechu. Chichocze i żartobliwie poklepuje się po kieszeni. Meghan śmieje się, poprawia włosy i odchodzi. – A więc jesteś przyrodnią siostrą Tylera Bruce'a? – zagaja chłopak.

Mam ochotę zaprzeczyć, ale wiem, że byłoby to głupie, więc mruczę pod nosem: „tak” i najszybciej, jak mogę, zmieniam temat. Pytam go o pierwszą rzecz, jaka przychodzi mi do głowy:

– Wszyscy jesteście w ostatniej klasie?

– A ty nie? – Przechyla głowę.

– W przedostatniej – odpowiadam szeptem. Kolejny powód, dla którego czuję się tu jak piąte koło u wozu. Jestem jedenastoklasistką na imprezie dwunastoklasistów. Amelia w życiu mi nie uwierzy. W Portland uczniowie ostatnich klas nie zadają się z młodszymi. Kolesie są dla nas zbyt fajni, a dziewczyny są zbyt zajęte zachowywaniem się jak dorosłe. Zupełnie, jakby wierzyli, że są rasą nadludzi. Trochę jak nowojorczy.

– Mówiłaś, że skąd jesteś?
Z powrotem skupiam się na Jake’u.
– Z Portland.
– Portland w Maine?
– Portland w stanie Oregon – poprawiam go. Jake upija kolejny łyk piwa. Ta cisza w trakcie rozmowy o niczym tylko potęguje niezręczność sytuacji. – Przepraszam, mówiłeś, że gdzie jest Tyler?

Przestaje pić i unosi brwi.

– Czy to ważne?

„Owszem” myślę, „bo chcę wrócić do domu, a tak się składa, że mieszkamy pod jednym dachem”.

– Miałam zanieść mu piwo – kłamię.

Jake waha się przez dłuższą chwilę, ale w końcu mówi:

– Jest z tyłu. Uważaj na siebie.

– Dzięki. – Wypijam łyk drinka, wychodzę na korytarz i lawirując między ludźmi, kieruję się na tyły domu. Nigdzie nie widzę Tiffani, Rachael ani Meghan. A właśnie teraz przydałoby mi się ich towarzystwo. Zostałam porzucona w tłumie zupełnie obcych ludzi, w zupełnie obcym mieście i nie jest to miłe uczucie.

Na końcu korytarza przez otwarte drzwi wchodzi i wychodzą kolejni goście. Przeciskam się wśród nich, wymykam się do ogrodu i odstawiam piwo na stolik. Jakiś koleś rzyga pod płótnem, a na trawniku leży nieprzytomna dziewczyna. Zastanawiam się, czy jej pomóc, ale moją uwagę przyciąga salwa śmiechu dobiegająca z szopy w kącie ogrodu. Sądząc po głosach, są w niej sami faceci, tak więc zbieram się na odwagę i ruszam w tamtą stronę. Jeśli czegoś nie zrobię, utknę tu aż do rana.

W powietrzu unosi się dym. W szopie nie ma okna, a drzwi są zamknięte, chwytam za klamkę i otwieram je szarpnięciem. Uderza mnie zapach trawki, tak intensywny, że łzy napływają mi do oczu. Zakrywam usta dłonią i zaczynam kasłać. Kiedy nic to nie daje, zaciskam powieki i robię krok w tył.

– To trawka? – pytam.

– Nie, wata cukrowa – dobiega z wnętrza czyjś głos i cała

szopa trzęsie się ze śmiechu. Ja nie widzę w tym nic śmiesznego.

Otwieram oczy i dostrzegam wpatrzonych we mnie czterech gości. Jednym z nich jest Tyler. Trzyma skręta i próbuje ukryć go za nogą, ale to niczego nie zmienia. Widzę go tak samo, jak widzę panikę, która maluje się na jego twarzy.

– Jaja sobie robisz? – pytam z niedowierzaniem.

– Koleś, wyprowadź stąd tę laskę – mruczy któryś z jego kumpli, nie wiem nawet który. Prawdę mówiąc, wcale mnie to nie obchodzi. Patrzę na Tylera. – Chyba że ma ochotę wejść i dotrzymać nam towarzystwa.

– Stary – odzywa się Tyler. Trudno nie zwrócić uwagi na drżenie jego głosu, gdy przęłyka z trudem i śmieje się pod nosem.
– Naprawdę chcesz zaprosić tu tego dzieciaka?

Kolejna salwa śmiechu, zmieszanego z pokasływaniem, ale tym razem Tyler nie dołącza do reszty. Zagryza wargi i patrzy to na mnie, to na swoich przyjaciół, nie mając pojęcia, jak rozwiązać tę sytuację. Na początek powinien chyba pozbyć się jointa, którego trzyma w ręce.

– Co to za jedna? – pyta ten sam głos, który kazał mnie wyprowadzić. W powietrze wzbija się kolejna chmura dymu, którą odganiem od siebie machnięciem ręki. – Nie znasz zasad? – Wyteżam wzrok i widzę parę wpatrzonych we mnie, nabiegłych krwią oczu. Ich właściciel, czarnoskóry koleś, szczerzy zęby w uśmiechu. – Nie przeszkadzaj nam, mała. Wypieprzaj stąd, chyba że masz ochotę się z nami zabawić. – Robi krok do przodu i wyciąga w moją stronę skręta. Joint jest prawie wypalony, ale najwyraźniej mu to nie przeszkadza.

Tyler zrywa się i staje między nami, jakby myślał, że skorzystam z zaproszenia. Liże palec wskazujący, gasi swojego skręta i chowa go do kieszeni. Zaraz potem prostuje się i wściekłym wzrokiem patrzy na tamtego.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – pyta. – Daj spokój, Clayton. Gdzie twój zdrowy rozsądek?

Clayton zaciąga się głęboko i wypuszcza dym prosto w twarz Tylera.

– Proponuję jej, żeby się sztachnęła. Tak nakazują zdrowy rozsądek i dobre maniery. Byłbym chamem, gdybym tego nie zrobił – ciągnie. Zerka na mnie ponad ramieniem Tylera. – Mam rację? – pyta.

Pozostali dwaj kolesie powstrzymują śmiech, ale widzę, że cała ta sytuacja niewiele ich obchodzi. Są zbyt ujarani, żeby się przejmować. Stoją z tyłu i śmieją się jak głupi do sera. Mojemu przyrodniemu bratu wcale nie jest do śmiechu.

– Oduść sobie, stary – cedzi przez zaciśnięte zęby. Robi krok do tyłu i wpada na mnie, wymuszając moje cofnięcie się. – Ona nie chce. Popatrz na nią. – Spogląda przez ramię na moją pełną odrazy minę. Jego wzrok zatrzymuje się na mnie odrobinę dłużej, niżbym tego chciała. Patrzy na mnie nawet wtedy, gdy Clayton mówi:

– Dobra już, dobra. Po prostu ją stąd wyprowadź. Po co nam tu jakiś obcy dzieciak?

– Też się nad tym zastanawiam – mruczy Tyler. Nagle odwraca się w moją stronę. Oburzona tym, co tu zobaczyłam, kręć głową. Ciekawe, czy Ella o tym wie. Czy ma świadomość, że jej syn właśnie się upala?

Tyler robi krok w moją stronę i zawadza o coś zaciśniętą pięścią. Zerka w prawo, moje oczy podążają za jego wzrokiem do metalowego stolika i stojącej na nim maleńkiej lampki. Zamierzam odwrócić wzrok, kiedy moją uwagę przyciąga to, co znajduje się na stoliku. Plik pieniędzy, karty kredytowe i, co najważniejsze, równe kreski białego proszku.

– Boże – szepczę, mrugając jak oszalała, bo nie wiem, czy upaliłam się dymem, czy to, co widzę, jest prawdą. – Boże?

– Mówię poważnie, stary. – Głos należy do Clayтона. – Zabierz ją stąd, zanim naśle na nas gliny.

– Jasne, jasne, ona już wychodzi – mówi Tyler. Chwyta mnie za łokieć i delikatnie wypycha z szopy. Dziwię się, że wychodzi razem ze mną i prowadzi do miejsca, gdzie nikt nas nie usłyszy.

– Jesteś niesamowity – syczę, wrywając się z jego uścisku. – Koka? Poważnie, Tyler?

Kryje twarz w dłoniach. Wydaje się bezradny, jakby po raz pierwszy musiał zmierzyć się z czymś takim.

– To nie jest miejsce dla ciebie – mówi, opuszczając rękę. Chowa je w kieszeniach i czubkiem buta ryje trawę. – Powinnaś... powinnaś wrócić do innych.

Zgrzytam zębami. Jeszcze nigdy nie byłam w takiej sytuacji i nie bardzo wiem, jak się zachować. Powinnam spróbować z nim porozmawiać? Zadzwoić do Elli? Wezwać policję? W końcu postanawiam, że najlepiej będzie, jak sobie pójdę. Odpycham go, serce wali mi jak oszalałe. Jestem wściekła na to, co chwilę temu zobaczyłam. Mam ochotę kopnąć coś, walnąć pięścią w ścianę, rozerwać kogoś na strzępy. Boże, jaka jestem zła.

Tyler wraca do szopy. Nie wiem, co mówi swoim kumplom, ale chwilę później słyszę, jak wyją ze śmiechu, i zastanawiam się, czy to ze mnie się śmieją.

– Daj spokój, stary – krzyczy ktoś. Śmiech w szopie milknie, jak nożem uciął. – To kiepskie. Wyluzuj.

– Zamknij się, Dean. – Głos należy do Tylera, ale się nie odwracam. Jestem zbyt wkurzona, żeby na niego patrzeć.

Słyszę tupot nóg. Podnoszę wzrok dopiero, kiedy chłopak mnie dogania.

– Ty jesteś Dean?

– Niech no zgadnę... A ty pewnie jesteś przyrodną siostrą Tylera. – Patrzy na mnie i przeczesuje palcami brązowe włosy. – Jesteś jedyną osobą, której nigdy wcześniej tu nie widziałem, a Meghan mówi, że tajemnicza przyrodnia siostra przypadkiem jest na tej imprezie. No i jak? Zgadłem?

Silę się na uśmiech.

– Tak. Nie wiesz może, pod jakim numerem mieszka Tyler? Mam na myśli dom przy Deidre Avenue. Muszę się tam dostać, a... nie znam adresu.

– Pytasz, czy wiem, gdzie mieszka mój najlepszy przyjaciel? – Dean się uśmiecha. – Trzysta dwadzieścia dziewięć.

– Najlepszy przyjaciel? – Zerkam na szopę. Raptem pięć sekund temu darli się na siebie.

– To skomplikowane – tłumaczy Dean i wskazuje na dom. – Mogę cię odwieźć. Zaparkowałem niedaleko stąd.

– Piłeś?

– Gdybym pił, nie proponowałbym, że cię odwiozę.

– Dziękuję – wzdycham.

Idę za nim do domu, mam mętlik w głowie. A myślałam, że między mną i Tylerem nie może być już gorzej. Zwalniam na chwilę i oglądam się na szopę. Drzwi nadal są otwarte i widzę, jak Tyler wyciąga z kieszeni jointa. Gdy wkłada go do ust i zapala, nasze spojrzenia się krzyżują.

Na ułamek sekundy krzywi się i wbija wzrok w ziemię. Ktoś wciska mu w rękę butelkę piwa, ale on zdaje się tego nie zauważać. Stoi jak wryty, jakby nie mógł się poruszyć, przygarbiony i ze spuszczoną głową. Chwilę później otrząsa się i wraca do szopy, byle dalej ode mnie. Jedyne, co widzę, to żarzący się w ciemnościach pomarańczowy punkcik.

Kiedy Dean odwozi mnie do domu, uświadamiam sobie, że czeka mnie wiele wyjaśnień. Nie tylko wymigałam się od kolacji, udając chorą, ale wyszłam z domu i poszłam na imprezę. Ojciec pewnie zadzwonił już na policję i zgłosił zaginięcie. Jakby tego było mało, wracam do domu w sukience, która więcej odkrywa niż zakrywa.

– Ojciec mnie zabije – mruczę, opierając głowę o szybę. – Miałam być chora.

Dean zerka na mnie kątem oka.

– Czyli co, cudowne ozdrowienie czy coś w tym stylu?

– Coś w tym stylu. – Prostuję się i instynktownie sięgam po komórkę, odkrywam jednak, że nie mam kieszeni ani telefonu. Zostawiłam go u Tiffani. – Cholera.

– Co się stało?

– Nic. – Wzdycham poirytowana i spoglądam na deskę rozdzielczą w poszukiwaniu zegara. Dochodzi dwudziesta trzecia. Byłam na imprezie ledwie godzinę. Gdybym została dłużej, miałabym więcej powodów, żeby gardzić Tylerem i jeszcze więcej, żeby zacząć wątpić w swój zdrowy rozsądek. – Wracasz tam? –

pytam Deana.

– Tak – odpowiada, wjeżdżając w Deidre Avenue. – Można powiedzieć, że jestem kierowcą Jake’a – chichocze. – Muszę dopilnować, żeby wrócił do domu.

– A Tyler? – pytam i przeklinam się w duchu, że w ogóle mnie to interesuje.

Dean się uśmiecha.

– Tyler nie wraca do domu.

– Jak to? Chcesz powiedzieć, że przekima na ulicy? – Splatam ramiona. Czuję pogardę, ale jestem też zaintrygowana. – Spędzi noc w więzieniu?

– Niezupełnie – tłumaczy Dean. – Zwykle wraca z Tiffani do jej domu.

– Aha. – To obrzydliwe. – Nie mogę uwierzyć, że ćpa. – To jeszcze bardziej obrzydliwe. – Wiedziałaś o tym?

Nastaje długa cisza.

– Wszyscy to wiedzą – odzywa się w końcu.

Mina Jake’a i ukradkowe spojrzenia Meghan nagle nabierają sensu. Oboje wiedzieli, co robi Tyler.

– Dlaczego nikt z was nic z tym nie zrobi? – To chore, że ludzie, którzy uważają się za jego przyjaciół, nie starają się go powstrzymać przed braniem koki. – Czy jego mama wie o tym?

– Wierz mi, próbowałem – mówi Dean. Parkuje przed domem i gasi silnik. – Ale rozmowa z Tylerem nie ma sensu. To jak rzucać grochem o ścianę. Koleś nikogo nie słucha. Dlatego udajemy, że nic się nie dzieje. Myślę, że jego mama wie o trawce, ale na pewno nie o kokainie.

– Jest odrażający. – Kręcę głową z niedowierzaniem i otwieram drzwi samochodu. Drugą ręką sięgam do kopertówki, którą pożyczyłam od Tiffani, i wyciągam z niej pierwszy lepszy banknot. To pięciodolarówka, wymięta jak psu z gardła, ale wystarczy, żeby pokryć koszt przejazdu. – Dzięki za podwózkę. – Mówiąc to, wręczam ją Deanowi.

– Co to? – Zdumiony gapi się na banknot, a zaraz potem na mnie.

– To za paliwo. – Wciskam mu pieniądze do ręki, ale on nawet nie chce o tym słyszeć. – Weź – wzdycham.

– Daj spokój, Eden. – Śmieje się. – Pozdrów ode mnie Ellę i będziemy kwita.

Mrużę oczy i patrzę na niego z niedowierzaniem. W Portland to normalne, że dajemy kierowcy kilka dolców, żeby dorzucić się do paliwa. Jeśli wysiądziesz z samochodu, nie proponując nawet centa, trafiasz na czarną listę i raczej nikt więcej nie zaproponuje ci podwózki. Może tutaj ludzie podwożą się za darmo, a może Dean jest po prostu wyjątkowo miły. Tak czy siak, kładę banknot na desce rozdzielczej i wysiadam, zanim zdąży mi go zwrócić.

– Zatrzymaj je! – wołam, odwracając się i zatraskując za sobą drzwi.

Biegąc w stronę wejścia, spostrzegam, że w domu palą się wszystkie światła. Ojciec albo będzie wyrozumiały, albo wpadnie w szal. Stawiałabym raczej na to drugie. Może wślizgnę się niezauważona tylnym wejściem. Pobiegnę do pokoju, założę piżamę i spróbuję ich przekonać, że przez cały czas byłam w domu. Albo wybuchnę płaczem i będę błagała o przebaczenie.

Zbierając się na odwagę, obciążam sukienkę Tiffani na uda i rozciągam materiał, żeby zakryć chociaż odrobinę więcej ciała. Zdejmuję irytujące sztuczne rzęsy i wyrzucam je na trawnik. Roztaczam wokół siebie woń alkoholu, ale jego tak łatwo się nie pozbędę. Muszę spojrzeć prawdzie w oczy, przyznać, że skłamałam i że zasługuję na wieczne potępienie.

Drzwi nie są zamknięte, więc wślizguję się do środka i najciszej, jak mogę, kieruję się w stronę schodów. Najwyraźniej nie jestem tak dyskretna, jak mogłoby się wydawać, bo słyszę głos ojca, który woła mnie z salonu.

Zagryzam wargę, podchodzę do drzwi i zaglądam do pokoju, tak by nie widział, co mam na sobie.

– Cześć – mówię.

– Cześć? – powtarza i patrzy na mnie zdumiony. – To wszystko, co masz mi do powiedzenia? CZEŚĆ?

– Dobry wieczór – próbuję. Nie należę do dziewczyn, które

lubią pakować się w kłopoty, więc zakradanie się do domu jest dla mnie nowością. W ciągu szesnastu lat mama uziemiła mnie tylko dwa razy. Ojca nie było, więc nigdy nie dał mi szlabanu. – Jestem w domu.

– Tak, widzę, że jesteś w domu – mówi i dźwiga się z fotela. Głos ma szorstki i pełen wyrzutu. Ella przygląda się wszystkiemu z kanapy. – W którym miałaś rzekomo spędzić cały wieczór. Nie czułaś się najlepiej, ale wszystko wskazuje na to, że już ozdrowiałaś. Chciałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Byłam u Tiffani – przyznaję i po części jest to prawda. – Babski wieczór. Poczulałam się trochę lepiej, więc poszłam. Myślałam, że nie będziesz miał nic przeciwko.

– U dziewczyny Tylera? – pyta Ella. Ona również podnosi się z kanapy.

Na nieszczęście Tiffani, tak.

– Tak.

– A skoro mówimy o Tylerze – mruczy tata – gdzie on się podziewa, do cholery?

– Nie wiem – kłamię. „W tej chwili pali skręty, wciąga kokę, pije piwo i śmieje się z głupich żartów, które nie są nawet zabawne”. – Był w domu, kiedy wychodziłam. – Jak łatwo byłoby powiedzieć Elli, że jej syn jest ćpunem. To by go oduczyciło zachowywać się wobec mnie jak palant. Ale z jakiegoś powodu czuję, że nie do mnie należy uświadamianie jej prawdy o własnym synu, dlatego kryję go, dodając kolejną sugestię. Zupełnie jakbym nie potrafiła powstrzymać słów, które wylewają się z moich ust. – Może pojechał po coś do jedzenia?

– Jego samochód stoi przed domem – zauważa Ella. Wygląda na rozczarowaną, jakby miała nadzieję, że to on wrócił do domu, nie ja.

– Może poszedł na spacer?

– Wątpię – mówi. – Nie odbiera telefonu. – Pewnie niełatwo jej wychowywać dziecko, nad którym nie potrafi zapanować.

– Eden – odzywa się ojciec. – Czuję od ciebie alkohol. Nie podoba mi się, że mnie okłamujesz.

Patrzę na niego i zastanawiam się, o czym mówi: o tym, że skłamałam, że jestem chora, że byłam u Tiffani czy że nie wiem, gdzie podziewa się Tyler. Nie wiedzieć czemu, ogarnia mnie wściekłość i słuchając go, krzywię twarz.

– A mnie nie podoba się to, że odszedłeś od mamy, ale nie zawsze wszystko idzie po naszej myśli.

Nie czekam na odpowiedź. Zaciskam pięści i wbiegam po schodach do swojego pokoju. Tequila pali mnie w żołądku, przypominając, że właśnie wróciłam z imprezy, na której wytrzymałam ledwie godzinę. Muzyka przyprawiła mnie o ból głowy i wciąż czuję smród marihuany. Tym razem naprawdę jest mi niedobrze i bynajmniej nie jest to wymówka.

* * *

Rankiem budzi mnie głos Elli, który odbija się echem od ścian domu, i dwukrotnie głośniejszy głos Tylera. Przez chwilę gapię się w sufit, słuchając ich wrzasków, i zastanawiam się, która jest godzina. Zresztą którakolwiek by była, i tak jest zbyt wcześnie na awantury. Najwidoczniej Tyler wrócił w końcu z imprezy.

Do hałasów na dole dołącza uporczywy dźwięk pracującej kosiarki, postanawiam więc wstać. Kiedy się ubieram, słyszę, jak ktoś, klnąc, wchodzi po schodach. To może być tylko jedna osoba i tak się składa, że osoba ta postanawia wejść do mojego pokoju.

– Słyszałeś kiedyś o czymś takim jak prywatność? – Posyłam mu wściekłe spojrzenie i naciągam bluzę.

Tyler przechyla głowę i zamyka drzwi.

– Masz swoje rzeczy. – Trzyma ubrania, które zostawiłam u Tiffani, i kładzie je na łóżku. To dziwne, ale głos ma spokojny, a jeszcze pięć sekund temu darł się tak, że myślałam, że ogłuchnę. – I telefon. – Mówiąc to, podchodzi do mnie. Powoli wyjmuję telefon z jego dłoni i patrzę na niego. Z trudem wytrzymuje moje spojrzenie.

– Dzięki – rzucam beznamiętnie. Nadal jestem na niego niewiarygodnie wściekła.

Przez długą chwilę oboje milczymy. W końcu odwraca się,

jakby szykował się do wyjścia, ale w drodze do drzwi zatrzymuje się i patrzy w moją stronę.

– Posłuchaj – zaczyna – jeśli chodzi o wczoraj...

– Wiem, że jesteś palantem, że ćpasz i że jesteś żałosny jak diabli – mówię. – Nie musisz mi tego tłumaczyć.

Ściąga brwi, zaciska usta w wąską kreskę i robi w moją stronę niepewny krok.

– Po prostu... po prostu nic nie mów.

Splatom ramiona i patrzę na niego z nieskrywanym zaciekawieniem. Pierwszy raz nie wygląda przerażająco.

– Prosisz mnie, żebym na ciebie nie doniosła?

– Nie mów mojej mamie ani twojemu ojcu – mówi łagodnym, niemal błagalnym głosem, od którego robi mi się w głowie kompletny mętlik. Miło, kiedy tak błaga. – Po prostu zapomnij o tym.

– Nie mogę uwierzyć, że się w to wplątałeś – mruczę. Patrzę na telefon: cztery nieodebrane połączenia od ojca, po czym rzucam go na łóżko. – Po co to robisz? Wcale nie wyglądasz przez to lepiej, jeśli o to ci chodzi.

– To nie tak.

– A jak? – Poirytowana rozkładam ręce.

– Nie wiem – mamrocze. – Nie przyszedłem tu, żeby słuchać kazań. Chciałem oddać ci rzeczy i powiedzieć, żebyś trzymała język za zębami. – Przeczesuje dłonią włosy i odwraca wzrok.

Może to dlatego, że nie dosypiam, a może jestem szalona, ale znajduję w sobie odwagę, by zadać mu pytanie, które od piątku ciśnie mi się na usta.

– Dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz?

To go zaskakuje. Nagle wydaje się zakłopotany.

– Kto powiedział, że cię nienawidzę?

– Wykorzystujesz każdą okazję, żeby mi dopiec. Zdaję sobie sprawę, że to dziwne nagle się dowiedzieć, że ma się przyrodnią siostrę, ale mnie też nie jest łatwo. Myślę, że źle zaczęliśmy naszą znajomość.

– Nie – odpowiada. Śmieje się i kręci głową. – Nie

rozumiesz. – Mrużąc oczy, rozgląda się po pokoju i znowu odwraca się w stronę drzwi.

– Czego nie rozumiem? – wołam za nim.

– Wszystkiego – rzuca przez ramię.



We wtorek budzę się o wschodzie słońca i idę pobiegać, zanim reszta domowników zdąży wstać. Słowa Tiffani o ciasnej sukience wciąż rozbrzmiewają w mojej głowie, tak więc stawiam sobie za cel pokonanie dłuższego dystansu niż zwykle i biegnę wzdłuż nadbrzeżnej autostrady, zmuszając swoje ciało do maksymalnego wysiłku. Z niepokojem odkrywam, że nad plażą unosi się welon gęstej mgły, ale powietrze nadal jest ciepłe. Kiedy wracam do domu, ojciec jest już na nogach i parzy kawę.

– Dobrze się biegało? – pyta, jak tylko pojawia się w kuchni.

Wzdycham głęboko, opieram ręce na krawędzi blatu i próbuję złapać oddech.

– Tak – mówię albo raczej dyszę. – Prawie siedem kilometrów. Całe molo tonie we mgle.

– Ja zemdlałbym po pierwszym – żartuje. – Tak, słynna mgła. Mówią na nią „czerwcowy mrok”. Kawy? – Mówiąc to, podnosi dzbanek.

– Nie, dzięki. – Uwielbiam kawę, ale siódma rano to dla mnie za wcześnie. Jedyne, czego mi trzeba, to długi gorący prysznic. – Ktoś jeszcze wstał?

– Ella się ubiera – odpowiada i sięga po kubek – ale chłopcy wciąż śpią.

Po tym, co powiedziałam w sobotę wieczorem, wciąż robi dobrą minę do zlej gry i przy każdej okazji stara się być dla mnie przesadnie miły. Wie już, że mu nie przebaczyłam i nadal mam do niego żal, że nas zostawił. Jeśli chce się podlizać, będzie musiał się bardziej postarać.

– Czy ona w ogóle ma jakąś pracę? – Wczoraj wyglądało na to, że nie ma. Kiedy tata wyszedł do pracy, posprzątała dom,

porozmawiała ze mną, posprzeczała się z Tylerem i zawiozła gdzieś Jamiego i Chase'a.

– Jest rzecznikiem praw obywatelskich – odpowiada z uśmiechem.

Mrugam zaskoczona. Nie myślałam, że jest prawnikiem, mam wrażenie, że przegrywa każdą potyczkę z Tylerem i po kilku minutach daje za wygraną.

– Skoro tak, to czy nie powinna być w jakimś biurze czy coś?

– Ma przerwę w pracy zawodowej – tłumaczy tata. – Mówiłaś, że idziesz dziś na plażę, tak? – pyta, zanim zdążę cokolwiek powiedzieć.

– Tak. Z Rachael. – I Tiffani, i Meghan, ale wątpię, żeby go to obchodziło.

– Ella może cię podrzucić – proponuje. To głupie, bo poznałam ją ledwie cztery dni temu i czułabym się niezręcznie, prosząc, żeby mnie podwiozła.

– Zabiorę się z Rachael – odpowiadam. – Ale dzięki.

– Jak chcesz. – Upija łyk kawy, wpuszcza koszulę do spodni od garnituru i poprawia krawat. – Dobra, czas zmierzyć się z korkami. Czasami wygrywam, czasami przegrywam.

– Po co ci ta koszula?

– Jestem kierownikiem.

– Aha. – Teraz już wiem, skąd ten luksusowy dom. Jeszcze zanim przyszłam na świat, ojciec był inżynierem budownictwa wodno-lądowego. Nic więc dziwnego, że lata doświadczenia zaowocowały intratną posadą.

– Wrócę do domu o szóstej – mówi i mijając mnie, macha na pożegnanie.

Przewracam oczami, podchodzę do zlewu, nalewam wody do szklanki i wychodzę z kuchni. W holu słyszę, że Ella otwiera drzwi od sypialni, wbiegam więc po schodach, zanim zdąży mnie zobaczyć. Za drzwiami pokoiów Tylera, Jamiego i Chase'a panuje cisza.

Biorę prysznic – wystarczająco długi i gorący, żeby rozluźnić mięśnie i znowu poczuć się dobrze. Tym razem pamiętam, żeby

ogolić nogi.

– Eden. – Ella wchodzi bez pukania do mojego pokoju. Na jej widok rozpaczliwie rzucam się po ręcznik. – Przepraszam... ja...

Zaciskam palce na materiale i uśmiecham się nieszczercze.

– W porządku – mówię, choć tak naprawdę wcale tak nie uważam. Stoję półnaga przed obcą osobą.

Ella odchrząkuje, nerwowo wbija wzrok w podłogę i patrzy na dywan.

– Zastanawiałam się, czy masz ochotę na śniadanie. A może jadłaś już ze swoim tatą?

– Dziękuję – mówię. – Nie jestem teraz głodna.

Ella uśmiecha się, kiwa głową i wychodzi. Przynajmniej się stara. Spodziewałam się typowej wrednej macochy, ale na razie nie kazała mi szorować podłóg.

Splatam wilgotne włosy w warkocze i wślizguję się pod kołdrę. Na plażę idziemy po południu, a ja nie mogę przestać ziewać, więc krótka drzemka dobrze mi robi.

* * *

– Tiffani i Meg są już na plaży – oznajmia Rachael, gdy pięć godzin później wsiadam do samochodu. Unosi brwi i taksuje mnie wzrokiem. – Wyglądasz, jakbyś chwilę temu wstała.

– Bo wstałam – mówię. – Dwadzieścia minut temu.

– Jasne, rozumiem, jest lato, ale żeby wstawać o... – stuka palcem w zegar na desce rozdzielczej – ... dwunastej dwadzieścia, to już przegięcie, nie sądzisz?

Przewracam oczami i przeczesuję włosy palcami, żeby mieć pewność, że rozplotłam warkoczyki. Są teraz pofalowane jak włosy syreny, idealne na plażę, no i mają szansę sprostać wymaganiom Rachael. Mocniej zawiązuję pasek kwiecistego kimona.

– Bardzo wcześnie wstałam.

– Po co?

– Żeby pobiegać.

Rachael prycha.

– Dobra, odwołuję wszystko, co powiedziałam wcześniej. Byłaś już na molo?

Zakładam okulary przeciwsłoneczne i patrzę, z jakim skupieniem wpatruje się w drogę.

– Tym z diabelskim młynem? Widziałam je dziś rano. Biegłam wzdłuż autostrady.

– Tak, o nie chodzi – potwierdza Rachael. – Możemy tam skoczyć później, jak będziemy miały czas.

Dzień jest upalny, z wiejącą od Pacyfiku lekką, ale orzeźwiającą bryzą, tak więc nie mam powodów do narzekań, zwłaszcza że mgła się podniosła. Portland nie słynie z plaż, głównie dlatego, że ich tam nie ma. Jest tylko kilka tak zwanych plaż nad jeziorami albo nad brzegami rzeki Willamette, ale nic tak spektakularnego jak tutejsza plaża. Ciągnie się kilometrami na obrzeżach miasta aż do Venice Beach i cały czas ściągają na nią tłumy ludzi.

Rachael znajduje miejsce parkingowe przy molo i wysiadamy z samochodu. W domu przez dziesięć minut przekonywałam samą siebie, żeby założyć bikini, i teraz wiem, że była to najgorsza decyzja w całym moim życiu. Kiedy Rachael wyjmuję z bagażnika ręcznik i głośniki, ja upewniam się, że mam na sobie wystarczająco obcisłe szorty, a kimono szczelnie zakrywa moje ciało. Nie ma mowy, żebym się rozebrała.

– Dobra. – Rachael podchodzi do mnie, przesuwa okulary na czoło i mrużąc oczy, spogląda na telefon. – Meghan pisze, że czekają na nas przy boiskach do siatkówki, obok Perry's, a to znaczy, że są gdzieś tam. – Mówiąc to, wskazuje na prawo. Na tak wielkiej plaży pewnie trudno znaleźć ludzi, których się szuka, ale dzięki technice staje się to łatwiejsze.

Opuszczamy parking i schodzimy na piasek. Moje klapki z nieprzyjemnym mlaskaniem uderzają o podeszwy stóp. Idziemy dobre pięć minut, zanim w końcu dostrzegamy Tiffani i Meghan. Trudno ich nie zauważyć, skoro wymachują rękami jak opętane.

– Dziewczyny! – krzyczy Tiffani. – Chwilę temu jakiś

przystojniak poprosił Meghan o numer telefonu.

Zerkam na zakłopotaną Meghan, która oblewa się rumieńcem i w milczeniu wraca na ręcznik.

– To koleś z Pasadeny – mruczy, zagryzając wargę.

Tiffani kładzie się obok Meghan, a ja idę za przykładem Rachael, rozkładam ręcznik i sadowię się na nim. Krzyżuję nogi i się uśmiecham. Plaża jest ogromna. Za naszymi plecami ciągną się rzędy malutkich sklepików, ścieżki rowerowe i okupowane przez facetów boiska do siatkówki.

– Powiedz, Rach – widzę, jak brew Tiffani unosi się ponad szkłem okularów – co w sobotę wydarzyło się między tobą i Trevorem?

Rachael uśmiecha się znacząco, przewraca oczami i odwraca wzrok.

– Nic – mówi, ale wciąż się uśmiecha.

– Taa, jasne – rzuca Meghan. – Pewnie skończyło się na oralu, bo pieprzenie się dwa tygodnie z rzędu to nie w twoim stylu. Mam rację?

Rachael milczy przez chwilę, w końcu jednak szepcze:

– Masz rację. – Zaraz potem wybucha śmiechem. Zdejmuje koronkową tunikę, ciska ją na piasek i kładzie się na plecach. Patrzę na jej idealne ciało, długie nogi i płaski brzuch. Idealne ciało, które podkreśla bikini w kolorze mięty.

– Eden, a ty gdzie się ulotniłaś? – zwraca się do mnie Tiffani. Jestem tak pochłonięta podziwianiem nóg Rachael, że pytanie kompletnie mnie zaskakuje.

– Słucham?

– Dokąd poszłaś? – Siada, eksponując równie idealne ciało, i patrzy na mnie zza przyciemnionych szkieł. – Z kim wróciłaś do domu? Jak miał na imię?

Niemal krztuszę się własną śliną.

– To nieee tak – odpowiadam, kręcąc głową. – Nie czułam się najlepiej. Dean odwiózł mnie do domu. – Jak długo jeszcze będę wykorzystywała chorobę jako wymówkę?

– Tequila dała ci popalić? – Śmieje się i klęka, żeby poprawić

ręcznik. – A tak przy okazji, chłopcy wieczorem planują gdzieś wyskoczyć. Może do Venice albo na miasto. Dean wymyślił, że moglibyśmy pojechać do Hollywood, żebyś zobaczyła napis. Przecież nie można przyjechać do Los Angeles i nie zobaczyć słynnego napisu. W każdym razie my jedziemy.

– Hollywood to dobry pomysł – oświadcza Rachael. – Mam ochotę wtargnąć na teren prywatny.

– Wtargnąć? – Nie bardzo podoba mi się ten pomysł.

Wszystkie trzy uśmiechają się znacząco, a Tiffani ciągnie, choć mam wrażenie, że w głównej mierze zwraca się do Rachael.

– Pojedziemy trzema samochodami, żeby było łatwiej. Ja zabiorę się z Jake’iem. Dean zaproponował wzięcie ciebie i Meg. – Patrzy na mnie. – Ty pojedziesz z Tylerem. W końcu mieszkacie w tym samym domu.

Gapię się na nią. Mam ochotę się roześmiać, ale w porę się powstrzymuję. To oczywiście, że tak będzie wygodniej, ale zamknięcie nas w tak małej przestrzeni dłużej niż na minutę grozi tym, że się pozabijamy.

– Kto ma ochotę na coś z Perry’s? – pyta Meghan, sięgając po torebkę.

– Dla mnie karmelowe frio – mówi Rachael.

– Eden? – Meghan spogląda na mnie.

– Noo... – Nie mam pojęcia, co to za sklep, i w życiu nie słyszałam o karmelowym frio. – Co tam mają? – pytam.

– Weź jej to samo, co mnie – decyduje za mnie Rachael.

Podpiera się na łokciach i wystawia twarz do słońca.

Chwilę później zostajemy same, podczas gdy Meghan i Tiffani idą do Perry’s po drinki. Zakładam, że karmelowe frio to drink. Tak czy siak, nie mam na nie ochoty.

Wykorzystuję okazję i postanawiam się rozerwać.

– Okej, jeśli dobrze zrozumiałam – krzyżuję nogi i odwracam się do Rachael, która siada, żeby posłuchać, co mam do powiedzenia – jesteście najlepszymi przyjaciółkami, tak?

– Tak... – przyznaje niepewnie, jakby czekała, dokąd zaprowadzi nas ta rozmowa.

– A Tyler, Dean i ten koleś, Jake, też są kumplami?
Nie od razu odpowiada. Zaciska usta i zastanawia się nad doborem słów.

– Tak jakby – mówi w końcu. – Między Tylerem i Jake’iem wyczuwa się pewne napięcie, ale zwykle je ignorują.

– Jakie napięcie? – Przypominam sobie rozmowę z Jake’iem i muszę przyznać, że choć kiepski z niego rozmówca, to wydawał się całkiem sympatyczny.

– Kiedy w pierwszej klasie Tyler zaczął spotykać się z Tiffani, Jake był w niej beznadziejnie zakochany. Przez to dochodziło między nimi do kłótni i bójek. Ale to już przeszłość – dodaje pospiesznie. – Takie tam, gówniarskie zachowania. Chociaż chyba nadal jest między nimi kosa.

– Nieważne – ciągnę. – Chodzi o to, że jesteście paczką przyjaciół, tak? Przynajmniej tak to wygląda.

– Tak – potwierdza Rachael. – Przyjaźnimy się od... cholera, nie mam pojęcia, od siódmej klasy czy coś takiego. Razem chodziliśmy do gimnazjum. Dobra, dość tego gadania! – Wyrzuca ręce w powietrze. – Poopalajmy się trochę.

– Mnie jest tak dobrze. – Uśmiecham się najszerzej, jak potrafię, żeby zniechęcić ją do dalszej paplaniny, ale nic to nie daje.

– Zamknij się – żartuje i kładzie się na plecach. – W życiu się nie opalisz, jeśli będziesz siedziała taka pozakrywana.
Spuszczam wzrok i szczerzej otulam się materiałem.

– Nie, naprawdę, tak mi dobrze.

– Wasze frios! – ogłasza Tiffani, która, na szczęście dla mnie, niczym duch pojawia się za naszymi plecami. Pochyla się nade mną i wręcza mi plastikowy kubek pełen bitej śmietany. Taki sam podaje Rachael, a chwilę później rzuca nam słomki.

Przez chwilę gapię się na frio. Wygląda jak najbardziej kaloryczny napój świata. Na widok śmietany robi mi się niedobrze, przez co nie potrafię się uśmiechnąć. Wiem, że wyglądam jak sekutnica, ale nie mogę przestać marszczyć brwi. Czekam, aż wszystkie na mnie spojrzą, i dopiero wtedy zanurzam słomkę w

kubku i ostentacyjnie upijam łyk mrożonego napoju. „Uśmiechnij się i pokiwaj głową”, myślę. Tak właśnie robię. Udaję, że to najlepsza rzecz, jakiej miałam okazję spróbować, i gdy tylko odwracają wzrok, odstawiam kubek. Nieco później, kiedy jego zawartość roztopi się na słońcu, udam, że o nim zapomniałam.

– Ten przerażający koleś, który zawsze nas obsługuje, dał nam zniżkę – oznajmia Meghan i krzyżując nogi, siada na ręczniku. Zbiera palcem śmietanę i zlizuje ją powoli. – Tylko dlatego, że Tiff z nim flirtowała.

– Wcale nie! – oburza się Tiffani.

Przetrząsam torbę w poszukiwaniu słuchawek, rozplątuje je i włączam muzykę. Kładę się i patrzę w niebo. Ze słuchawkami w uszach, okularami na nosie i stojącym obok mrożonym napojem przestaję słuchać ich paplaniny.

* * *

Spędzamy na plaży pięć godzin i rezygnujemy z wypadu na molo, tak więc po powrocie na Deidre Avenue robię się głodna. Na szczęście Ella zdążyła ugotować obiad.

– Twój tata musi zostać dziś dłużej w pracy, zjemy więc trochę później – oznajmia, kiedy wchodzę do domu. – Dobrze bawiłaś się na plaży?

– Tak – odpowiadam i na tym kończy się nasza rozmowa. Idąc na górę, żeby po raz kolejny wziąć prysznic i przygotować się na wypad do Venice, Los Angeles albo Hollywood, zostawiam za sobą ślady piasku.

Jestem umyta, ubrana i gotowa do drogi. Kiedy zerkam w lusterko, czy kreski zrobione eyelinerem wyglądają jak należy, słyszę dobiegający z dołu głos ojca. Wrócił do domu, a to oznacza, że lada chwila powinniśmy siadać do stołu. Schodzę na dół i w miarę, jak zbliżam się do kuchni, słyszę, że tata zwraca się do kogoś podniesionym głosem.

– Chcesz wiedzieć, co właśnie widziałem? – pyta. Głos ma szorstki, a to znak, że naprawdę jest wkurzony.

Podchodzę do kuchennych drzwi, przywieram plecami do

ściany i zaglądam do środka. Ella stoi przy piekarniku, naprzeciw niej ojciec, a między nimi Tyler.

– No więc – krzyczy ojciec – jadę sobie Appian Way, żeby w drodze do domu podrzucić dokumenty, i zgadnij, kogo widzę na plaży.

Ella zerka na Tylera.

– Mówiłam ci, żebyś nie wychodził – zwraca się do niego.

– Myślę sobie: „Hej, przecież on ma szlaban”, podchodzę, żeby zobaczyć, o co chodzi – ciągnie tata – a on, jak gdyby nigdy nic, siedzi przy stoliku z facetami, którzy wyglądają na dziesięć lat starszych od niego, i rzuca na stół dziesięcio-, dwudziesto-, pięćdziesięciodolarówki.

– Tylerze. – Ella mruży oczy.

– Gówno prawda. – Tyler kręci głową i uśmiecha się z niedowierzaniem.

– Zamknij się, do cholery – warczy ojciec. Podwija rękawy koszuli i poluzowuje krawat. – A więc stoję tam i patrzę, jak smarkacz gra na pieniądze, i wiesz, co się stało, kiedy przegrał? – Ojciec robi dramatyczną pauzę. – Rzucił się na jednego z nich.

– Ten dupek oszukiwał – mruczy pod nosem Tyler i opiera się o blat. Oczy ma ciemne. – Nie mogłem pozwolić, żeby uszło mu to na sucho.

– Chcesz, żeby aresztowali cię za napaść? – Ojciec robi krok w jego stronę i posyła mu mordercze spojrzenie. – Chcesz wylądować w poprawczaku? O to ci chodzi?

– Tylerze, musisz się opamiętać – tłumaczy ze spokojem Ella. Dotyka dłonią czoła i wzdycha ciężko. Jest bardziej zasmucona niż zdenerwowana. – Nie chcę, żebyś wpakował się w kłopoty.

– To nie Las Vegas – wtrąca ojciec. Robi kolejny krok w stronę Tylera, twarz ma czerwoną z wściekłości. – Po co to robiłeś?

– Żeby się trochę zabawić. – Tyler zaciska usta w wąską kreskę.

– Nie mam już siły. – Ojciec kręci głową. Zrezygnowany

macha ręką, odwraca się i wychodzi na patio, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Ella otwiera usta, zanim jednak zdąży cokolwiek powiedzieć, Tyler wybucha śmiechem i wychodzi z kuchni. Widząc to, wciskam się w kąt z nadzieją, że mnie nie zauważy. Ale oczywiście jest inaczej.

Zatrzymuje się i spogląda na mnie z uwagą.

– Mam cię podrzucić, tak?

Nie jestem pewna, czy jazda z kimś, kto cierpi na zaburzenia osobowości, to dobry pomysł. Prawdopodobnie Tyler jest lekkomyślnym kierowcą, ignoruje ograniczenia prędkości i niewykluczone, że byłby w stanie przejechać przypadkowego dzieciaka.

– Chyba tak – mrużę pod nosem.

– Właśnie wyjeżdżam – mówi głosem schrypniętym od krzyku – więc albo jedziesz, albo zostajesz. – Mruży oczy i kieruje się w stronę drzwi. Ella woła za nim, żeby nie ważył się wychodzić z domu, ale ją ignoruje.

Zaglądam do kuchni. Moja macocha jest bliska łez, ojciec krąży nerwowo po ogrodzie. Raczej kiepskie z nich towarzystwo na wieczór, więc ani myślę zostawać w domu. Wzdycham, biegnę do drzwi i doganiam Tylera w momencie, gdy podchodzi do samochodu.

– Zaczekaj! – krzyczę.

I tak nie mam co liczyć na miły rodzinny obiad.



Samochód Tylera stoi na ukos, maską na chodniku, a tyłem na miejscu do parkowania. Patrząc na niego, zastanawiam się, jak bardzo musiał być wściekły, że zaparkował w ten sposób. Może był w podobnym nastroju jak teraz. Tymczasem mój przyrodni brat otwiera drzwi i patrzy na mnie. Nic więcej, tylko patrzy.

– O co chodzi? – pytam.

– No i? – Unosi brwi i wskazuje głową samochód.

Przyglądam się białemu nadwoziu, szukając czegoś szczególnego, ale niczego nie znajduję. – Wiesz w ogóle, co to za wóz? – Patrzy na mnie jak na idiotkę, jakbym nie wiedziała, czym jest poduszka powietrzna. Żeby mu udowodnić, że się myli, podchodzę do bagażnika i patrzę na logo. Cztery splecione z sobą koła.

– Audi? – zgaduję.

– Audi R8 – dopowiada z dumą i przyklejonym do twarzy ohydny uśmiechem.

– Super – mówię. – Mam zacząć cię oklaskiwać czy co?

Śmieje się i opiera rękę o drzwi.

– Dziewczyny są ciemne. Zemdlałabyś, gdybyś wiedziała, ile kosztuje takie cacko.

– Błagam, daruj sobie – mruczę, kręcąc głową i otwieram drzwi. Beztrąsko pakuję się do środka i odkrywam, że w samochodzie są tylko dwa fotele, a wszystko jest zrobione ze skóry i chromu. Może jednak miał rację, mówiąc, że to droga zabawka, więc na wszelki wypadek się nie odzywam.

– Zadzwoń do Tiffani – mówi, sadowiąc się na fotelu kierowcy, i zatrząskuje drzwi. Rzucił mi na kolana telefon i uruchamia silnik.

– Masz na myśli swoją dziewczynę, którą albo obmacujesz, albo kompletnie ignorujesz?

Na widok jego głupawego uśmiechu żołądek podchodzi mi do gardła. Nigdy w życiu nie spotkałam człowieka z tak wieloma wadami, kogoś, dla kogo wszystko jest żartem.

– Dupek z ciebie – mruczę. Biorę telefon i odsuwam się jak najdalej od niego. Wyglądam przez okno, podczas gdy Tyler gwałtownie dodaje gazu.

– Zadzwoń do niej – powtarza. – Nie mam pojęcia, dokąd jedziemy.

Wzdycham i prostuję się na fotelu. Przez chwilę obracam telefon w dłoniach i patrzę na ekran.

– Kod?

– Cztery trzy pięć pięć.

Pospiesznie wbijam cyfry i odblokowuję komórkę. Wchodzę w listę kontaktów.

– To najczęściej wybierany numer, używasz wybierania głosowego czy...

– Jest na liście – rzuca. Głos ma monotony, przez cały czas patrzy na drogę i zaciska palce na kierownicy. – Zadzwoń do niej.

Spełniając jego prośbę, która brzmi bardziej jak rozkaz, przewijam listę kontaktów, aż znajduję numer Tiffani. Zdumiewa mnie zadziwiająca liczba zapamiętanych numerów, z których większość należy do dziewczyn. Chwilę później dzwonię do Tiffani.

– Cześć, skarbie, co słychać? – Słodycz w głosie Tiffani sprawia, że marszczę nos.

– Tu Eden – mówię. – Tyler prowadzi. Postanowiliście już, dokąd jedziemy?

– Pod napis HOLLYWOOD – odpowiada błyskawicznie. – Stwierdziliśmy, że musisz go zobaczyć. Jest niesamowity. – Podekscytowana zagryzam wargę. Zawsze chciałam zobaczyć go z bliska i chociaż wyprawa do Venice brzmi kusząco, cieszę się, że podjęli taką decyzję. – Wyjechaliście już?

– Tak. – Głos więźnie mi w gardle, gdy samochód zjeżdża gwałtownie na przeciwległy pas. Tyler okazuje się beznadziejnym kierowcą. Po prostu nie wiem, jak to się stało, że otrzymał prawo

jazdy.

– Napiszę do wszystkich i dowiem się, czy są już gotowi. Spotkamy się na miejscu – mówi gwałtownie Tiffani. – Przełącz mnie na chwilę na tryb głośnomówiący. – Odsuwam telefon od ucha i robię, co mi każe.

– Tak? – odzywa się Tyler. Zerka na ekran i hamuje gwałtownie przed znakiem STOP, którego najwyraźniej nie zauważył.

– Cały dzień cię nie słyszałam! – Głos Tiffani rozbrzmiewa w głośnikach. Kątem oka widzę, jak Tyler przewraca oczami. – Matka cofnęła ci zakaz wychodzenia?

Tyler zaciąga hamulec ręczny, piorunuje mnie wzrokiem i powoli kręci głową.

– Nie, cały dzień siedziałem w domu.

– To kiepsko – rozczuła się Tiffani. Biedna dziewczyna. Nie ma o niczym pojęcia. – Nie mogę się doczekać, aż cię zobaczę! Niedługo będziemy. Zaczekajcie na nas przy Sunset Ranch.

– Jasne.

– Kocham cię.

– Taa – rzuca znudzonym głosem, wyrywa mi z ręki telefon i się rozłącza. Ziewając, odchyła się w fotelu i przeczesuje palcami włosy.

Parskam i patrzę na niego z niedowierzaniem. Każdego dnia, o każdej godzinie, daje mi coraz więcej powodów, żeby go nienawidzić.

– Jesteś niewiarygodny. „Cały dzień siedziałem w domu”?

– Taki już jestem – mruczy pod nosem, zwalnia hamulec i powoli przejeżdża przez skrzyżowanie.

– Będiesz ją tak okłamywał? – Staram się patrzeć na niego, gdy zerka w moją stronę, i jednocześnie skupiam się na drodze, skoro on tego nie robi. – Byłeś na plaży, grałeś na pieniądze, mało nie wdałeś się w bójkę, a zamierzasz udawać, że przez cały dzień byłeś w domu? Współczuję jej.

Śmieje się gardłowym, głębokim śmiechem, od którego przechodzą mnie ciarki.

– Córeczka Dave’a, nie ma co. Musisz nauczyć się pilnować własnych spraw, dzieciaku.

– Przystań nazywać mnie dzieciakiem – ostrzegam go. – Jesteś starszy o rok i znacznie głupszy.

– Jasne, dzieciaku – rzuca ze złośliwym uśmiechem. – Twój stary to duppek.

– Przynajmniej w tej jednej kwestii jesteśmy zgodni. – Moje westchnienie wypełnia ciszę. Kiedyś tolerowałam ojca. Jako dziecko uważałam, że jest świetny. On jednak znudził się mamą, mną i naszym wspólnym życiem, odszedł i nigdy nie wrócił. A teraz jest wybuchowym dupkiem ze zmarszczkami i siwiejącymi włosami. – Nawet nie wiem, o co mu chodzi. Życie pod jednym dachem z kimś takim jak ty musi być naprawdę wkurzające, ale mam wrażenie, że przez cały czas szuka pretekstów, żeby na ciebie nawrzeszczyć.

Tyler niecierpliwie bębni palcami w kierownicę.

– Mów mi jeszcze.

– Mamie chyba lepiej bez niego – zastanawiam się na głos. – Nie chodzi o to, że twoja mama miała pecha. A twój ojciec? Co się z nim stało? – dodaję pospiesznie.

Tyler ni stąd, ni zowąd wciska pedał hamulca.

– O co ci, kurwa, chodzi?

Mrugam zdumiona jego agresywną reakcją i nie wiem, co powiedzieć. Chcę go przeprosić, ale bełkoczę tylko i potykam się o własne słowa.

– Przepraszam... ja...

Zaciska zęby i rusza tak gwałtownie, że szarpnięcie wbija mnie w fotel.

– Po prostu nic nie mów – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– Nie chciałam cię obrazić... – Nękana poczuciem winy, staram się załagodzić całą sytuację. „Może jego ojciec nie żyje”, myślę. A ja właśnie mu o nim przypomniałam.

– Zamknij się, do cholery – warczy, a ja obiecuję sobie, że więcej się nie odezwę. Boję się, że jeśli to zrobię, przyspieszy jeszcze bardziej.

Splątam ramiona, odwracam wzrok i podziwiam krajobraz Los Angeles, kiedy wyjeżdżamy z Santa Monica na autostradę. Milczenie mi nie przeszkadza. Za każdym razem, gdy się odezwę, dostaję arogancką, sarkastyczną odpowiedź albo jestem przez niego obrażana. Pogłasniam muzykę, kolekcję piosenek R&B ze swojego telefonu, i przez resztę podróży muszę wysłuchiwać litanii przekleństw i bluzgów. Napięcie między nami przypomina niezręczną ciszę między dwojgiem ludzi, którzy powinni ze sobą rozmawiać, ale nie potrafią się do tego zmusić. Jesteśmy przyrodnim rodzeństwem, a zachowujemy się jak odwieczni wrogowie, choć wiem, że nie powinno tak być.

– Jesteśmy prawie na miejscu – mruczy po godzinie szaleńczej jazdy. Przedłużająca się cisza jest tak nieznośna, że nawet nie mogę na niego spojrzeć. Staram się nie myśleć o tym, że w ciągu ostatniej godziny nie zamieniliśmy ani słowa, i zamiast tego skupiam się na uroczej okolicy.

Wyjeżdżamy w długą ulicę o nazwie North Beachwood Drive i w promieniach zachodzącego słońca widzę stojący na wzgórzach dumny napis HOLLYWOOD. Zagryzam wargę i dla lepszego widoku opuszczam osłonkę przeciwsłoneczną. Podekscytowana patrzę na ikonę, którą do tej pory widziałam jedynie na filmach. Oglądanie jej na żywo to zupełnie inne doświadczenie.

Z upływem czasu willowa ulica zmienia się w wąską drogę u podnóża góry. Mijamy znak reklamujący Sunset Ranch, o którym wspominała Tiffani, i zaraz potem zjeżdżamy na niewielki przydrożny parking. Wszyscy są już na miejscu. Nie bardzo wiem, jak to możliwe, że przyjechali przed nami.

– Jechaliście autostradą, tak? – pyta Meghan, kiedy wysiadamy z samochodu. Tiffani podbiega do Tylera i zarzuca mu rękę na szyję.

Mimo tak wielkiego zainteresowania jego osobą Tylerowi udaje się odpowiedzieć:

– Taa, a wy przez Beverly Hills?

Tiffani tuli się do niego i nadstawia usta do pocałunku, ale Tyler nie wydaje się zainteresowany. W końcu, jakby od

niechcenia, pochyla się, całuje ją i uwalnia się z jej objęć. Chyba tylko ja zwracam na to uwagę; gdy to spostrzega, spuszcza głowę i wbija wzrok w ziemię.

Jake podchodzi do nas i zamyka samochód.

– Można poszaleć i człowiek nie musi się martwić, że go zatrzymają. Nie chcieliśmy, żebyście czekali na nas godzinę.

– Niesamowite – mrużę pod nosem. Mrużąc oczy, patrzę na wysokie białe litery i kręcę głową. – Dzięki, że mi go pokazaliście.

Cała szóstka wybucha śmiechem, nawet Tyler.

– Jeszcze ci go nie pokazaliśmy – tłumaczy Rachael. Trzyma w dłoniach kilka butelek wody. – Zabieramy cię na górę.

– Na górę? – Zadzieram głowę i zastanawiam się, jak strome jest to zbocze. Wygląda na to, że czeka nas długa i męcząca wędrówka.

– Tak, na górę – powtarza Dean. On również trzyma butelki z wodą. – Lepiej ruszajmy, jeśli chcemy zdążyć przed zachodem słońca. Droga zajmuje mniej więcej godzinę. A jest gorąco. Więc proszę. – Wręcza mi butelkę. Drugą daje Meghan, a trzecią Jake'owi.

– Kto pamięta trasę? – pyta Rachael, rozdając butelki Tylerowi i Tiffani.

Tyler parska, obejmuje Tiffani w pasie, a drugą ręką wskazuje szlak za naszymi plecami. – To nie takie trudne, Rach. Trzeba ostro skręcić w lewo, a zaraz potem w prawo.

Zauważam znak HOLLYRIDGE TRAIL i domyślam się, że to właśnie tędy pójdziemy. Tyler i Tiffani idą przodem, razem z Jake'iem, Deanem i Meghan. Rachael i ja wleczeni jesteśmy za nimi. Ścieżka jest szeroka i upstrzona końskim łajnem.

– To było najgorsze sześćdziesiąt minut mojego życia – syczę, kiedy zostajemy nieco z tyłu. – Przypomnij mi, żebym nigdy więcej nie wsiadała do samochodu z Tylerem.

Śmieje się, kiedy szurając nogami, wchodzimy na górę.

– Co się stało?

– Mało nas nie zabił, bo zapytałam, gdzie podziwia się jego ojciec – mówię szczerze. Zerkam w stronę Tylera. Idzie teraz na

samym przedzie, zaraz za nim drepcze Tiffani. – Czy jego ojciec... nie żyje?

Rachael niemal krztusi się wodą. Zaraz potem zatrzymuje się i patrzy na mnie przerażona.

– Boże, Eden, nie. Pytanie go o ojca to jak pchanie się przed lufę naładowanej broni. Jak proszenie się o śmierć.

– Dlaczego? – pytam, kiedy podejmujemy wędrówkę.

– Siedzi w więzieniu za kradzież samochodu albo coś w tym stylu – szepcze konspiracyjnie Rachael. Co chwilę podnosi wzrok, żeby mieć pewność, że nikt nas nie słyszy. – Tyler jest ultrawrażliwy na tym punkcie.

Znowu zerkam w jego stronę. W głębi serca jest mi go żal. Może byli sobie bliscy i nagle w jego życiu zabrakło ojca? Pewnie jest mu ciężko, zwłaszcza że jego rodzice się rozwiedli.

Niewiele później docieramy do skrętu w lewo, o którym Tyler tak niegrzecznie przypomniał Rachael. Ścieżka dalej biegnie prosto, ale my skręcamy w lewo i nadal idziemy pod górę. Od tej chwili nie widzę już końskiego łajna.

Dean miał rację, mówiąc, że jest gorąco. Na tej wysokości wilgotność powietrza jest jeszcze większa i w duchu dziękuję mu za wodę, którą od niego dostałam. Mimo wszystko wspinaczka jest przyjemna. To dobre ćwiczenie, a widoki na Los Angeles rekompensują wszelki wysiłek. Od czasu do czasu robimy sobie krótką przerwę, żeby popatrzeć na miasto, na to, jakie jest wielkie i jak pięknie prezentuje się z góry. Panuje tu taki spokój.

W końcu docieramy do rozwidlenia, które przechodzi w bliźniacze wybetonowane drogi, i wybieramy tę po prawej.

– Nie powinniśmy iść w lewo? – pytam, widząc, że zamiast zbliżać się do napisu, oddalamy się od niego. Zastanawiam się, czy to nie jest jakiś okrutny żart z ich strony.

– Nie – odpowiada Jake. Zwalnia i zrównuje się ze mną, podczas gdy wszyscy inni mnie ignorują. – Gdybyś poszła w lewo, wróciłabyś na dół. Idąc w prawo, wyjdziemy tuż za znakiem.

Upijam solidny łyk wody i butelką wskazuję drogę.

– To nielegalne? – pytam.

– Picie wody? – żartuje Jake. – Nic mi o tym nie wiadomo. Przewracam oczami i śmiejąc się, patrzę, jak Meghan pomaga Rachael pokonać jeden z bardziej stromych odcinków.
– Tak czy nie? – Nie daję za wygraną.
– Będzie nielegalne, jeśli przejdiesz przez płot – mówi. – Od tyłu można podejść naprawdę blisko. – Zadziera głowę ku niebu, by chwilę potem spojrzeć mi w oczy. – W sobotę zachowywałem się jak dupek. Przepraszam. Po kilku piwach tracę zdolność konwersacji.

Uśmiecham się. Jestem zaskoczona, że w ogóle pamięta naszą rozmowę, i czerwienię się, słysząc, jak przepraszają.

– Nie zachowywałeś się jak dupek. Zadawałeś tylko głupie pytania.

– Zaczynijmy od nowa – mówi i wyciąga rękę. – Jestem Jake. A ty musisz być tą fajną laską, która przyjechała tu na wakacje. Eden, tak?

Czuję, że moje policzki płoną. Nerwowo zagryzam wargę i przechylam głowę, żeby nie widział, jak bardzo jestem zawstydzona. Podaję mu rękę. Dłoń ma przyjemnie ciepłą.

– Miło cię poznać, Jake.

– No i jak podoba ci się Los Angeles? – pyta.

– Jest piękne. – Zauważam, że albo wszyscy idą teraz szybciej, albo my zwolniliśmy, bo odległość między nami rośnie. Tyler ogląda się przez ramię i rzuca nam pełne dezaprobaty spojrzenie. W odpowiedzi marszczę nos i piorunuję go wzrokiem. O co mu chodzi? Staram się o tym nie myśleć. – Cudowne.

W oczach Jake'a pojawia się błysk, a on sam rozciąga usta w uśmiechu.

– Masz chłopaka w Portland?

– Nie – odpowiadam i patrzę na niego kątem oka. – Jeśli próbujesz być subtelny, kiepsko ci to wychodzi.

– Cholera – mruczy pod nosem i śmieje się serdecznie. – Subtelność i umiejętność prowadzenia rozmowy nie są moimi mocnymi stronami. Ale mam inne zalety. Daj się wyciągnąć gdzieś wieczorem, to się przekonasz.

Wydaje się pewny siebie, kiedy tak unosi brew i czeka na odpowiedź, a ja nie bardzo wiem, jak się zachować. Przypominam sobie sytuację, kiedy chłopak, z którym w pierwszej klasie chodziłam na zajęcia z algebry, zapytał, czy nie wytłumaczyłabym mu podstaw równań kwadratowych. Odmówiłam, bo koleś miał problem z kichaniem. Miał na imię Scott, ale wszyscy mówili na niego Zasmarkany Scotty.

– Może – wykręcam się od jednoznacznej odpowiedzi. Może zgodziłabym się, gdybyśmy wymienili z sobą więcej niż kilka zdań, ale na tym etapie Jake wciąż jest dla mnie obcym facetem. Może innym razem. Może później.

– „Może” brzmi nieźle – mówi. – Jesteśmy już prawie na miejscu.

Spoglądam na drogę i widzę, że skręca w lewo, gdzie zaczyna się wysoka siatka z drutu. Tiffani wyrywa się do przodu i ciągnie za sobą Tylera.

– Chodź, Eden! – woła. – Musisz to zobaczyć!

Jake delikatnie popycha mnie do przodu.

Rachael chwyta mnie za łokieć i ni to podskakując, ni to biegnąc, razem pokonujemy ostatni odcinek drogi. Dotarliśmy do napisu w pięćdziesiąt minut. Siatka biegnie wzdłuż drogi i za kolejnym zakrętem odkrywam, że stoimy za napisem HOLLYWOOD, nad Los Angeles.

Oddech więźnie mi w gardle. Dzięki panującej tu wyjątkowej ciszy mogę się skupić na tej szczególnej chwili. Zaczepiam palce o oczka siatki, serce wali mi jak oszalałe. Widok zapiera dech w piersi. Ogromne litery górują nad miastem. Są znacznie większe, niż mogłoby się wydawać.

– I jak, warto było się wspinać? – pyta Dean, który staje obok mnie. Jego głos wyrywa mnie z zamyślenia. Nie potrafię wydusić słowa, więc w milczeniu kiwam głową, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od panoramy miasta.

– Jest pięknie – szepczę.

– Nie byliśmy tu od roku – zastanawia się głośno Meghan, muskając palcami sploty ogrodzenia. – A mam wrażenie, że minęło

znacznie więcej czasu.

Kątem oka widzę Tylera, który zaciska palce na siatce. Zauważam też kilka kamer.

– Na co czekacie? – pyta. Podciąga się jednym płynnym ruchem i chwilę później ląduje po drugiej stronie siatki. – Chodźcie.

Przez chwilę patrzę na kamery, na rząd znaków informujących o tym, że jest to teren prywatny, i na Tylera. On również na mnie patrzy, uśmiecha się krzywo i mruży oczy.

– Mamy jakieś dziesięć minut, zanim wyślą helikopter – mówi Tiffani i zaczyna wspinać się na siatkę. – Eden, dotknij którejs z liter i spadajmy stąd.

Patrzę na nich niepewnym wzrokiem. Helikopter?

– Naprawdę, to nic takiego. Nie muszę dotykać...

– Po prostu dotknij tego cholernego napisu – warczy Tyler, wbijając we mnie wzrok. Tiffani przeskakuje na drugą stronę. Kładzie rękę na piersi Tylera i odpycha go.

– Nie złapią nas – zapewnia mnie szeptem Rachael. Chwilę później przechodzi przez ogrodzenie, podobnie jak Meghan i Dean. – Nie pierwszy raz to robimy.

– Nie przejmuj się – dodaje Jake. – Jeśli wpadniemy, to razem. – Bierze mnie za rękę i kładzie ją na ogrodzeniu. – Ale musimy się spieszyć.

Ulegam presji rówieśników, przed którą w piątej klasie ostrzegała mnie nauczycielka, zaczepiam palce o krawędź siatki i przeskakuję na drugą stronę. Na moment tracę równowagę i dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo jest tu stromo. Pozostali idą już w stronę słynnego znaku, ale ja czekam na Jake'a, który wskazuje mi najbezpieczniejszą drogę w dół.

– Uwielbiam to miejsce – mówi Dean, zatrzymując się przy pierwszym „O”. Ciekawe, ilu ludzi gotowych byłoby zabić, żeby tylko się tu znaleźć. Szczęściarze z nas.

– Stary, przestań się rozczulać, to tylko stojący na cholernej górze napis – mruczy Tyler. – To miasto jest głupie jak diabli, tak samo jak ten napis.

– Boże, jakiś ty negatywnie nastawiony – mamrocze Tiffani. Ignoruję ich i podchodzę za Jake’iem do litery „H”. Widząc to, odsuwa się i mówi z uśmiechem:

– Ty pierwsza.

Z jakiegoś powodu jestem zdenerwowana. Może dlatego, że robię coś, o czym inni mogą tylko pomarzyć, a może czuję, że lada chwila mogę spaść i roztrzaskać się o skały. Biorę głęboki oddech, robię krok w przód i dotykam pomalowanej na biało metalowej litery „H” w słynnym napisie HOLLYWOOD.

Czuję się dokładnie tak samo jak dwie sekundy temu.

Wzdycham cicho. Nagle dociera do mnie, że zachwycamy się ustawionymi na słupach kawałkami metalu.

Jake kładzie rękę obok mojej.

– No i jak z tą randką? – pyta.

Może bym się zgodziła, bo przecież stoimy pod słynnym napisem HOLLYWOOD, idealnym miejscem, żeby przyjąć zaproszenie na randkę, ale zanim zdążę otworzyć usta, słyszę, jak Tyler krzyczy:

– Co jest, stary?

– O co ci chodzi? – Jake krzywi twarz i spogląda na Tylera, który zaciskając pięści, idzie w naszą stronę.

– Coś ty powiedział? – Jego twarz tężeje, w oczach czai się mrok. Staje naprzeciw Jake’a, pochyla głowę i mruży oczy do tego stopnia, że przypominają wąskie szparki.

– Napięcie – mówi bezgłośnie Rachael, kiedy zerkam na nią, szukając pomocy. Jak przez mgłę przypominam sobie, że mówiła coś o napięciu, które wyczuwa się między tymi dwoma. Teraz widzę to jak na dłoni.

– Odczep się, stary – warczy Jake. Cofa się i wzrusza ramionami.

– Nie. – Tyler robi krok do przodu, prostuje się i palcem dźga Jake’a w pierś. – Zapomnij, że się z nią umówisz. Skopię ci tyłek, jeśli w ogóle o tym pomyślisz.

– Tyler, skarbie, wyluzuj – uspokaja go Tiffani, stając między nimi. Kładzie ręce na piersi Tylera i próbuje go odepchnąć, ale on

wbija wzrok w Jake'a. – Nie bądź dupkiem. Przestań wszczynać awanturę.

– Dajcie spokój. Opuśćcie siebie. – Do rozmowy wtrąca się Dean. Staje naprzeciw Jake'a i kręci głową.

Tymczasem moją uwagę przyciąga odległy warkot silników i szum śmigieł tnących powietrze. Zadzieram głowę i spoglądam w niebo, podczas gdy dźwięk z każdą chwilą przybiera na sile.

Wysoko nad naszymi głowami kołuje policyjny helikopter.



9

Mrużąc oczy, patrzę w górę na wiszący nad nami śmigłowiec. Rozmowy cichną jak nożem uciął, na twarzach pojawia się panika.

– Cholera – wrzeszczy Tyler i wali pięścią w metalowe „H”. Przeczesuje włosy palcami i kręci głową. – Jak to możliwe, że zjawili się tak szybko?

– Zbieramy się! – krzyczy Tiffani. Łapie Tylera za rękę i ciągnie go za sobą, ale zamiast w stronę ogrodzenia zaczynają zbiegać w dół zbocza.

– Wynośmy się stąd! – słyszę za plecami głos Jake’a, który stoi ze wzrokiem wbitym w helikopter i dopiero po chwili rzuca się do ucieczki. – Musimy dotrzeć na dół, zanim przyjadą radiowozy.

– Im nie trzeba powtarzać dwa razy, co? – żartuje Dean i śmiejąc się, wskazuje Tylera i Tiffani, którzy przemykają między skałami i skarłowaciałą roślinnością. – Biedak, nie mogą go znowu aresztować.

– Znowu? – powtarzam, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi. Rachael i Meghan zbiegają ze zbocza, trzymając się za ręce, jakby bały się, że wystarczy chwila nieuwagi i spadną na łeb na szyję. Zresztą pewnie tak właśnie by było.

– Uważaj! – rzuca przez ramię Dean, który ni to biegnie, ni to ześlizguje się w dół ledwie widocznej ścieżki.

Dźwięk helikoptera wibruje mi w uszach, dając zastrzyk adrenaliny; oszalałe tętno boleśnie pulsuje pod skórą. W takich sytuacjach człowiek docenia, że codziennie rano biega. Mimo stromizny zbocza puszczam się pędem za Deanem. Teren jest tu nierówny, a poruszanie się po nim bywa bolesne, więc dwoję się i troję, żeby zachować równowagę, modlę się w duchu, żeby mnie

nie aresztowali, i mam nadzieję, że nie skrećę karku.

– Trzymasz się, Eden? – rzuca przez ramię Jake. Śmieje się i przeskakuje z kamienia na kamień. Nie rozumiem, co go tak śmieszy.

– Staram się! – odkrzykuję. W tej samej chwili wpadam w poślizg na stromiznie i z gardła wyrywa mi się stłumiony okrzyk. Czyjaś pewna ręka chwyta mnie za łokieć.

– Ostrożnie – mówi stanowczo Jake i pomaga mi odzyskać równowagę. Kładzie mi ręce na ramionach. – Nic ci nie jest?

– Nie chcę iść do więzienia – rzucam i spanikowana spoglądam na helikopter. Kiedy opuszczam wzrok, widzę, że reszta grupy dotarła już na dół.

Jake śmieje się i powoli robi kolejny krok.

– Nie pójdziesz do więzienia – uspokaja. Bierze mnie za rękę i ciągnie za sobą. – W najgorszym razie możemy dostać mandat.

Mimo jego zapewnień żołądek mam ściśnięty w twardy węzeł i resztę drogi pokonuję bezmyślnie jak automat. Jake się nie potyka, nie spowalnia nas i nie pozwala, żeby nas złapali. Dziękuję Bogu, kiedy w końcu docieramy do podnóża Mount Lee, mijamy kilka domów i schodzimy ze szlaku. Widzę reklamę Sunset Ranch i mam wrażenie, że w życiu nie patrzyłam na coś równie pięknego.

– Żadnych radiowozów – mruczę pod nosem, a całe moje ciało oddycha z ulgą. Ojciec skremowałby mnie we śnie i spuścił moje prochy w toalecie, gdybym wróciła do domu z mandatem za wtargnięcie na teren prywatny.

– A jednak – kończy Jake. Puszcza moją rękę, zeskakuje na drogę i chwilę potem oboje skręcamy za rogiem. – Nie jesteśmy jeszcze bezpieczni.

Kiedy w końcu docieramy na mały parking, na którym zaparkowaliśmy samochody, zauważam, że Tyler już odjechał. Jake prowadzi mnie do swojego czerwonego forda.

– Meghan i Rach musiały pojechać z Deanem – mówi, otwierając drzwi i siadając za kierownicą. Tiffani zabrała się z Tylerem.

– Jak myślisz, dokąd pojedą? – pytam, sadowiac się na fotelu

pasażera. Mam tylko nadzieję, że Jake jest lepszym kierowcą niż mój przyrodni brat.

Wzrusza ramionami, uruchamia silnik i tyłem wyjeżdża na ulicę.

– Kogo to obchodzi? – pyta. „Mnie”, myślę. – Co chcesz robić? Jesteś głodna?

Kiedy prowadzi, przez dłuższą chwilę przyglądam się jego twarzy i zastanawiam się, jak to możliwe, że nasza ucieczka spod znaku HOLLYWOOD zmieniła się w randkę. Pozostali odjechali i zostaliśmy we dwoje. Pomimo wątpliwości muszę przyznać, że jestem głodna.

– Dziesięć minut drogi stąd przy Sunset Boulevard jest Chick-fil-A – proponuje. – Możemy zjeść coś na szybko.

– Jasne – mówię. – W Oregonie nie mamy Chick-fil-A.

– Co? – pyta zdumiony.

– Nie możemy też sami tankować samochodów – dodaję i na myśl o domu robi mi się smutno. Zastanawiam się, co porabia Amelia i czy mama nie czuje się samotna w naszym małym domu. – Oregon jest do niczego.

– No to pewnie podoba ci się w Los Angeles – stwierdza. – Mamy napisy na górach i sami tankujemy samochody bez obaw, że ktoś nas aresztuje. Bajka. – Śmiejemy się. Miło mieć męskie towarzystwo inne niż mój ojciec i Tyler. Ci dwaj są zbyt antypatyczni i zrzędlivi.

Odchylam się w fotelu, przykładam czoło do szyby i zadzieram głowę, wyglądając helikoptera, ale wszystko wskazuje na to, że odleciał. Znowu mogę odetchnąć pełną piersią.

– No i jak, podoba ci się miasto? – pyta Jake. Podkręca klimatyzację i jednocześnie ścisza muzykę.

– Tak – mówię. Prawdę powiedziawszy, nie miałam okazji zobaczyć zbyt wiele, ale to, co widziałam do tej pory, jest zadziwiające. – Na pewno jest ciekawsze od Portland.

– Nigdy nie byłem w Portland.

– Nic nie straciłeś – uspokajam go. – Chociaż, gdyby się nad tym zastanović, Portland wcale nie jest takie złe – dodaję jednak

po chwili milczenia. – Mamy świetną scenę indie, ale deszcz leje u nas od jesieni do późnej wiosny. A... i pełno tam klubów ze striptizem. Za to ludzie są świetni. – Uśmiecham się i wbijam wzrok w kolana. – Przynajmniej większość.

Sę w tym, że Portland kojarzy mi się z wieloma rzeczami, których nienawidzę. To tam moi rodzice się odkochali. Portland to miejsce, gdzie deszcz nigdy nie ustaje. Gdzie mieszkają tak zwani moi przyjaciele. To całkiem niezłe miasto, tyle że moje życie w nim nie jest ekscytujące ani nawet szczęśliwe. W porównaniu z nim Santa Monica jest jak powiew świeżego powietrza.

– Kluby ze striptizem? – Jake uśmiecha się od ucha do ucha.
– Muszę odwiedzić to straszne miasto.

Przewracam oczami. Faceci wszędzie są tacy sami.

– Jakie naprawdę jest Los Angeles? Nie licząc tych wszystkich atrakcji turystycznych.

Jake zastanawia się przez chwilę i bębni kciukiem w kierownicę.

– Przepaść między bogatymi i biednymi jest ogromna. Z jednej strony widzisz grube ryby, które mieszkają w pałacach i rozbijają się limuzynami, a z drugiej ludzi, którzy żyją na ulicach i których jedynym celem w życiu jest przetrwać kolejną noc. Trochę to kiepskie. Ale ogólnie rzecz biorąc, ludzie są tu świetni.

– Nigdy wcześniej tak o tym nie myślałam – przyznaję.

Jedziemy North Beachwood Drive i dalej prosto, aż do Sunset Boulevard. To szeroka ulica z kinami, restauracjami, liceum i całym mnóstwem samochodów. Przyglądam się temu wszystkiemu z nieskrywanym podziwem.

Kiedy docieramy do restauracji dla zmotoryzowanych Chick-fil-A, Jake podjeżdża do okienka i patrzy na mnie kątem oka.

– Na co masz ochotę?

Ponieważ w Oregonie nie mamy Chick-fil-A, nie mam pojęcia, co tu serwują, tak więc zerkam na menu i wybieram pierwsze zdrowe danie, jakie wpada mi w oko.

– Sałatkę.

Jake kiwa głową i patrzy na mnie wyczekująco.

– To wszystko – mówię.

– Tylko tyle? – Unosi brwi i wzdycha. – O co wam chodzi z tymi sałatkami? – Kiedy odwraca się, żeby złożyć zamówienie, uśmiecham się. – Poproszę kanapkę z pikantnym kurczakiem i colę, a do tego sałatkę i...

– Wodę – podpowiadam, ściągając na siebie jego pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Wodę – dodaje. – Dziękuję, to wszystko. – Kiedy podjeżdżamy do kolejnego okienka, sięga do kieszeni po portfel. – Zapłacę – oświadcza i reguluje rachunek za nas oboje.

Czekając na realizację zamówienia, czuję na sobie jego zdumione spojrzenie.

– Nienawidzę śmieciowego jedzenia – tłumaczę, choć nie do końca jest to prawda. To nie jedzenia nienawidzę, tylko jego efektów.

Jake krzywi się i powoli podjeżdża pod ostatnie stanowisko, żeby odebrać torbę z jedzeniem i napoje. Podaje mi je i chwilę później wyjeżdżamy z powrotem na bulwar.

– Chcesz mi powiedzieć, że nienawidzisz frytek i najlepszej na świecie kanapki z pikantnym kurczakiem?

– Tak – rzucam krótko. – Nienawidzę tej strasznej kanapki z pikantnym kurczakiem i tych obrzydliwych frytek.

– Nawet ich nie spróbowałam. – Chichocze i kręci głowę z udawanym oburzeniem. Skupiony na tym, co dzieje się na drodze, jedną ręką przetrząsa zawartość torby, aż w końcu wyjmuje frytki. Kładzie torebkę na centralnej konsoli i wrzuca frytkę do ust. – Spróbujesz? Są naprawdę dobre.

– Nie, wolę skosztować tutejszej sałatki i zobaczyć, czy może równać się z sałatkami sprzedawanymi w sklepikach w Portland. – Ze złośliwym uśmiechem otwieram plastikowy pojemnik. – Wygląda nieźle.

– Nie wiesz, co cię omija. – Jake wpycha do ust kolejne frytki.

– Choroba serca? – pytam. – I dobrze.

Przestaje żuć, uśmiecha się jak ktoś, kto właśnie przegrał

bitwę na argumenty, i kiwa głową z rezygnacją.

Robi się późno i wracamy do Santa Monica. Jem sałatkę, podczas gdy Jake, skupiony na drodze, kończy kanapkę. Wyjeżdżamy na autostradę i choć nie cierpię ulicznego ruchu, muszę przyznać, że o zmierzchu wygląda on naprawdę pięknie. Muzyka gra głośno, ale nie na tyle, żebyśmy nie mogli rozmawiać i żeby nie mogła jej ignorować, kiedy zaczyna mnie męczyć to mainstreamowe granie. Podróż jest znacznie przyjemniejsza niż ta, którą odbyłam trzy godziny temu z Tylerem.

– Mieszkasz tam, gdzie on? – pyta, kiedy wjeżdżamy do miasta.

– Tam gdzie kto? – Jego głos wyrywa mnie z zamyślenia.

– Tyler. To tam mam cię odwiedzić, tak?

– Tak – mówię. – Nie wiem, dlaczego na ciebie naskoczył.

– Bo jest dupkiem i... – Urywa. – Chyba nie powinienem obrabiać mu tyłka przed jego siostrą.

– W sumie zgadzam się z tym, co właśnie powiedziałaś.

Patrzy na mnie, jakby nie wiedział, czy jestem sarkastyczna, czy też nie; w końcu uznaje, że chyba jednak mówię poważnie.

– Tego się nie spodziewałem.

Wzruszam ramionami.

– Ja też nie oczekiwałam, że znienawidzę swojego przyrodniego brata.

Nie odpowiada, głównie dlatego, że nie wie, co powiedzieć, tak więc ostatnie pięć minut drogi do Deidre Avenue pokonujemy w milczeniu, przy dźwiękach kiepskiej muzyki. Kiedy zajeżdżamy pod dom, światła we wszystkich oknach są zapalone.

– Dzięki, że pomogłeś mi zejść i odwiozłeś mnie do domu – odzywam się, kiedy Jake wyłącza muzykę i gasi silnik. – No i dzięki za jedzenie.

– Nie ma sprawy. Więc jak, dasz mi teraz swój numer, żebym mógł zaprosić cię na randkę? – Oczy mu błyszczą, a na ustach błąka się pełen determinacji uśmiech. – Obiecuję, że następnym razem nie będzie żadnych frytek z Chick-fil-A.

– Cóż, kupiłeś mi sałatkę – mruczę, drażniąc się z nim i

każąc mu czekać na odpowiedź. – Więc chyba mogę dać ci mój numer.

Rozpromienia się i uderza pięścią w kierownicę.

– Super! – Drugą ręką wyciąga z kieszeni telefon i podaje mi, żebym wpisała swój numer.

Czuję, że się czerwienię.

– Nie martw się, nie dałam ci złego numeru.

– Hmm. – Kiedy wysiadam z samochodu, taksuje mnie wzrokiem. – Zadzwoń jutro, żeby się upewnić.

– Jasne – mówię. Przewracam oczami i wychodzę na chodnik. Na zewnątrz jest już ciemno. – Dzięki.

Delikatnie zamykam drzwi, a on salutuje mi na pożegnanie i chwilę później odjeżdża. Słucham oddalającego się warkotu silnika i szumu opon. Po kilku minutach stania w ciemności na chodniku, czerwona jak burak, odwracam się i idę w stronę domu. Dopiero wtedy zauważam samochód Tylera, zaparkowany na końcu podjazdu. Nie sądziłam, że wróci tak wcześnie.

Nagle uświadamiam sobie, że ojciec nie ma pojęcia, gdzie się podziewam. Wymknęłam się z domu przed obiadem, dokładnie w tym samym czasie co Tyler, nietrudno więc skojarzyć fakty.

Wstrzymując oddech, powoli wchodzę do holu i, najciszej jak mogę, zamykam za sobą drzwi. Słyszę telewizor w pokoju gościnnym, przemykam więc tak cicho, że nie słyszę własnych kroków, i na palcach wbiegam na górę. Nie przejmuję się tym, że wyszłam z domu. Nie zrobiłam nic złego – oprócz tego, że dotknęłam napisu HOLLYWOOD, co przypadkiem jest nielegalne – a przecież ojciec nie może zabronić mi wychodzić. Po prostu nie mam siły z nim dyskutować.

– Eden? – szepcze głos u szczytu schodów, więc zatrzymuję się, żeby zobaczyć, kto to. Tyler gapi się na mnie, mrużąc oczy. – Gdzie ty zniknęłaś, do cholery?

– Gdzie TY zniknęłaś, do cholery? – odpalam. Prostuję się, pokonuję ostatnie stopnie i kiedy staję naprzeciw niego, patrzę mu prosto w oczy. – Zostawiłeś nas. To się nazywa praca zespołowa, nie ma co!

Wygląda na zmęczonego, jakby nie spał od kilku dni, a może jest upalony. Tak czy siak, mruczy:

– Po prostu nie przepadam za gliniarzami, okej? Nie mogą znowu mnie złapać.

– Znowu – stwierdzam po raz drugi tego wieczoru. Zastanawiam się, czym jeszcze może się pochwalić, oprócz tego, że wchodzi nielegalnie na teren prywatny i wciąga kokainę. – Kiedy wróciłeś do domu?

– Dwadzieścia minut temu – mówi. – Mama w końcu przestała suszyć mi głowę o tę akcję na plaży.

– Super – rzucam beznamiętnie i ruszam do swojego pokoju. On jednak idzie za mną. – O co ci chodzi? – pytam.

– O nic. – Pospiesznie odwraca wzrok. To idealna okazja, żeby zapytać go, dlaczego tak naskoczył na Jake'a.

– O co chodziło ci z Jake'iem? – Unoszę brwi i splatam ramiona na piersi, ale on odwraca się i wychodzi. Tym razem to ja idę za nim. Pierwszy raz wchodzę do jego pokoju i dziwię się, że od razu nie każe mi wyjść. – Zadałam ci pytanie.

– Nie zamierzam na nie odpowiadać – burczy pod nosem. – Albo nie, odpowiem. – Odwraca się, wypina pierś i zagryza zęby. – Koleś jest drugim z kolei największym dupkiem, jakiego znam. Nie trać na niego czasu. Wystawi cię.

– A kto jest pierwszym? – pytam. – Ty?

Patrzy na mnie przez długą chwilę.

– Byłaś blisko, ale nie.

– Cóż, tak się składa, że Jake jest miły – mówię. Robię krok w tył i dyskretnie oglądam pokój. – W przeciwieństwie do niektórych. Sama zdecyduję, czy chcę się z nim spotykać, czy nie. Ty w tej kwestii nie masz nic do powiedzenia.

– Żartujesz, prawda? – Patrzy na mnie zdumionym wzrokiem i się śmieje. – W porządku. Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem.

– Zresztą, co cię to obchodzi? – Drążę temat poirytowana jego nerwową reakcją. Może gdyby był dla mnie miłszy, wzięłabym pod uwagę fakt, że nienawidzi Jake'a. Ale nie jest, więc wcale się tym nie przejmuję.

– Nie obchodzi mnie – warczy.

– Chyba jednak tak – ripostuję, ale wyklócanie się z nim nie ma sensu. Tacy jak on nigdy nie przyznają się do błędu.

Idzie na drugi koniec pokoju, chowa ręce do kieszeni i staje przed kolekcją płyt DVD.

– Jaki jest twój ulubiony film?

Mrugam zaskoczona. Mój ulubiony film? Poważnie? Wiem, że próbuje uniknąć dalszych pytań, ale mógł wymyślić coś lepszego.

– *Zakochany kundel* – mówię, głównie dlatego, że i tak nie powie mi, dlaczego nie chce, żebym spotykała się Jake’iem.

– Disnejowska bajka? – Wygląda, jakby chciał parsknąć śmiechem, ale kiedy potakuję i uświadamia sobie, że mówię poważnie, też robi się poważny. – Dlaczego?

– Bo to najpiękniejsza historia miłosna wszech czasów – mówię. – *Romeo i Julia* nie umywają się do *Zakochanego kundla*. To dwie różne historie. W *Zakochanym kundlu* Lady jest absolutnie normalna, a Kundel absolutnie lekkomyślny, a jednak się w sobie zakochują. – Przerywam, żeby wziąć oddech, i rozpromieniam się na wspomnienie disnejowskiej bajki. – Poza tym, scena ze spaghetti przeszła do klasyki.

– Absolutnie – mówi z kpiną w głosie. Śmieje się, a ja po raz kolejny uświadamiam sobie, że koleś notorycznie przyprawia mnie o ból głowy. Nie rozumiem tego. Jak to możliwe, że w jednej chwili wścieka się i jest niemiły, a zaraz potem staje się zabawny i wyluzowany? – Poza tym jestem pewien, że Lady nie była normalna. Była nudna i nie miała pojęcia, co to dobra zabawa. Zdecydowanie wolę Kundla.

– Dlaczego? Bo włóczy się po ulicach, jak ty, kiedy pijany wracasz do domu? – Posyłam mu słodki uśmiech, z nadzieją, że irytuję go tak bardzo, jak on mnie. On jednak traktuje tę uwagę jak żart, więc krzywię się i odwracam wzrok.

Oglądam jego pokój. Dominuje w nim kolor granatowy. Łóżko jest niepościelone, w odległym kącie piętrzą się stosy ubrań, a na stoliku przy łóżku stoją puszki po piwie. Raczej nie

spodziewałam się niczego innego. Szafa jest otwarta i widzę rękaw rzuconej w nieładzie sportowej kurtki.

– Grasz w futbol? – pytam.

– Co? – odpowiada pytaniem i podąża za moim wzrokiem, żeby zobaczyć, co mnie tak zainteresowało. – Nie. To Deana. Nie jestem typem sportowca.

– Dean gra w futbol? – Jestem zaskoczona, że to nie Tyler. Idealnie nadaje się na rugbistę: typowy samiec alfa, jak rozgrywający, których pokazują w filmach o amerykańskich nastolatkach. – A ty nie?

– Taa – rzuca i podchodzi do szafy. – Jake też. Grałem, kiedy byłem młodszy, ale w gimnazjum przestałem.

– Dlaczego? – Patrzę na niego zaintrygowana i upominam się w duchu, bo przecież koleś mnie irytuje i że nie powinno mnie to obchodzić, ale wszystko na nic. Jest tyle rzeczy, których o nim nie wiem, i czy chcę tego, czy nie, jestem go ciekawa. Nic na to nie poradzę.

– Według niektórych futbol to strata czasu – mówi głosem, w którym nagle pojawia się szorstkość. Na chwilę zatrzymuje się przy szafie. – Po co tracić czas na sport? Rzucanie piłką nie zaprowadzi cię do Ligi Bluszczowej. Siedź w domu i ucz się, żebyś w końcu coś osiągnął – cytuje, ale wcale go to nie śmieszy. Zamiast tego wbija wzrok w podłogę.

– Kto ci tak powiedział? – Teraz jestem jeszcze bardziej zaintrygowana. Przede wszystkim Tyler nie wygląda mi na kogoś, kto ubiegałby się o miejsce w Lidze Bluszczowej. Prawdę powiedziawszy, wątpię, czy w ogóle lubi szkołę. Ludzie tacy jak on zwykle za nią nie przepadają.

– Po prostu ktoś – mruczy i wzrusza ramionami. – Dlatego nie wolno mi było grać.

Unoszę brwi, ale on nadal stoi odwrócony do mnie plecami.

– Nie wolno?

Wzdryga się i prostuje, żeby wepchnąć rękaw kurtki z powrotem do szafy.

– To znaczy, dlatego przestałem grać – poprawia się. Może

myśli, że nie zwracam na niego uwagi, ale to nieprawda. Obserwuję go i chłonę każde jego słowo, od momentu, kiedy wściekły pojawił się na grillu.

Widzę, że jest podenerwowany, i postanawiam nie drażnić tematu. Najwyraźniej ktoś, kto powiedział mu, że futbol to strata czasu, miał nad nim władzę. Wyczuwam też, że mój przyrodni brat wyjątkowo nie lubi tej osoby. Prawdopodobnie chodzi o któregoś z nauczycieli.

Ponownie skupiam się na Tylerze, który wyciąga z szafy czystą koszulkę i zdejmuję tę, którą ma na sobie. Gdy się przebiera, zauważam, że na łopatce ma wykonany starannym pismem mały tatuaż.

– Muszę oddać Deanowi tę bluzę. Od wieków suszy mi o nią głowę.

Obciąga koszulkę i dopiero po chwili dociera do mnie, że gapię się na niego. Patrzę na jego umięśnione ramiona, opaloną skórę, wyraźnie zarysowaną linię szczęki. Nie powinnam zauważać takich rzeczy, ale je zauważam. Przełykam z trudem.

– Co oznacza twój tatuaż? – pytam lekko schrypniętym głosem. Patrzę na niego, nawet gdy się odwraca, zaskoczony moim pytaniem. – Pominę fakt, że zrobiłeś go nielegalnie.

– Mój tatuaż? – Udaje głupiego.

Dopiero kiedy unoszę brwi i zaciskam usta, udziela mi odpowiedzi.

– To hiszpańskie słowo *Guerrero*. Znaczy „wojownik”. – Wygląda na zdenerwowanego i przez chwilę drapie się w głowę.

– Dlaczego hiszpańskie? – pytam coraz bardziej zainteresowana.

– Mówię płynnie po hiszpańsku – tłumaczy. – Moi rodzice też. Tata nauczył mnie, kiedy byłem dzieckiem.

Słyszając, jak mówi o ojcu, przypominam sobie słowa Rachael. Wiem, że jego ojciec jest w więzieniu, więc zachowuję się jak należy i nie zadaję dalszych pytań.

– Ja nie znam hiszpańskiego – przyznaję, zagryzając wargę. – Ale mówię po francusku. Jak Kanadyjczycy. *Bonjour*.

– *Me frustras* – odpowiada, a ja nie mam pojęcia, co to znaczy. – *Buenas noches*. – Widząc moją zmieszana minę, uśmiecha się z wyższością. – To znaczy „dobranoc”.

– A. – Odwracam się w stronę drzwi, ale przed wyjściem z pokoju spoglądam na niego i mówię z uśmiechem – *Bonsoir*.



10

Wraz z weekendem, który wyznacza koniec pierwszego tygodnia mojego pobytu w Los Angeles, mam kolejną okazję zadzwonić do mamy i porozmawiać z nią w przerwie między jej licznymi zajęciami. Mama pracuje na pełen etat – łącznie z nocnymi zmianami i nadgodzinami – jako pielęgniarka w Providence Portland Medical Center, starając się utrzymać nas z jednej pensji. Bo choć alimenty ojca pomagają, i tak jest jej ciężko.

– Cześć, Eden – mruczy do telefonu, kiedy myślę, że zaraz włączy się poczta głosowa. – Co słychać, skarbie?

– Wydajesz się zmęczona. – Ściągam brwi. Czuję się fatalnie, bo wiem, pod jak wielką znajduje się presją, a ja nie mogę zrobić nic, żeby poprawić sytuację. – Jak długą miałaś zmianę?

– Dwanaście godzin – mówi cicho. Zanim zdążę się odezwać, zaczyna opowiadać: – Pacjentka przyszła dziś ze swoim psem przewodnikiem i była to najśłodsza rzecz, jaką widziałam, odkąd pojawiłaś się na świecie. Dzieciaki w poczekalni miały ubaw. Kiedy wyszedł, zrobiło mi się tak jakoś smutno i pomyślałam sobie, że jak wrócisz, kupimy psa. Będzie dotrzymywał mi towarzystwa, kiedy w przyszłym roku wyjedziesz do college’u. Co o tym myślisz?

Jej dziecięcy entuzjazm sprawia, że się uśmiecham.

– Jasne, możemy kupić psa. Owczarki niemieckie są cudowne.

– Są groźne?

– Tak.

– W takim razie zacznę już szukać – odzywa się po chwili. Kiedy zaczynam się śmiać, ona również parska radośnie, a chwilę później słyszę, jak ziewa. – Przyzwyczaiłaś się już, czy dalej czujesz się nieswojo?

– Wciąż czuję się nieswojo – mówię. – Czekam, aż tata zdobędzie się na szczerą rozmowę, ale chyba prędko to nie nastąpi.

– Dupek – mruczy, odsuwając się od telefonu, ale i tak ją słyszę. – Żałuję, że utknęłaś tam razem z nim. Współczuję ci. Wiesz, że nie musiałaś jechać.

– Nie jest aż tak źle. – Wzruszam ramionami, chociaż wiem, że mnie nie widzi, a chciałabym, żeby było inaczej. Ciężko mi bez niej. Nie jest mi łatwo, bo utknęłam tu z dala od jedynej osoby, która była przy mnie przez całe moje życie i wszystko, co mogę zrobić, to zadzwonić do niej raz na kilka dni. – Poznałam parę osób, z którymi się trzymam. Są dla mnie naprawdę mili, oprócz jednego koleśia.

– Kogo?

– Mojego przyrodniego brata – mówię i śmieję się, bo to głupie, że jedyną osobą, której nie lubię, jest ta, której nie powinnam nie lubić. – Co robisz wieczorem?

– Zamówię kubełek smażonego kurczaka i spędzę niedzielę sama na kanapie, oglądając telewizję, bo mam prawie czterdzieści lat, jestem po rozwodzie, pracuję do późna i wyglądam nieatrakcyjnie – żartuje, a zaraz potem dodaje łamiącym się głosem. – Tęsknię za tobą. Mam nadzieję, że dobrze się bawisz i że jesteś grzeczna.

Niewidzialny ciężar przygniata mi pierś. Jest mi źle, że zostawiłam ją samą.

– Kiedy wrócę do domu, kupimy psa, obejrzymy razem *Słodkie kłamstewka* i zamówimy tyle kurczaka, ile będziesz chciała. Musisz tylko zaczekać siedem tygodni.

– To cholernie długo, Eden Olivio.

Uśmiecham się do siebie.

– Postaraj się nie tęsknić za bardzo i zobaczysz, że czas minie szybciej.

– Dobrze – mówi. – Postaram się nie tęsknić za moją jedyną córeczką, a teraz zmykaj i ciesz się weekendem. Niedługo zadzwonię, kochanie. – Rozłącza się, ziewając, i w słuchawce zapada cisza.

Mama zasługuje na lepsze życie.

– Z kim rozmawiałaś? – Drzwi do sypialni otwierają się i słyszę męski głos.

Zamieram i przerażonym wzrokiem spoglądam na intruza. To Tyler, który, jak zwykle, gdy na mnie patrzy, mruży oczy.

– Pozwoliłam ci wejść?

– Z kim rozmawiałaś? – powtarza, tym razem bardziej stanowczo. – Masz w Portland chłopaka czy co?

Mam ochotę wybuchnąć śmiechem, gdy wbija we mnie wzrok i zaciska usta w wąską kreskę.

– Podśluchiwałaś?

– Mieszkam w pokoju obok – przypomina, stwierdzając oczywiste. – Ściany są tu cienkie jak papier.

Krzywię się i wstaję.

– Rozmawiałam z mamą. – Mam wrażenie, że napięcie znika z jego twarzy. Spoglądam na wiszący przy drzwiach zegar. Dochodzi dwudziesta. – Nie powinieneś być już poza domem?

– Właśnie o tym muszę z tobą porozmawiać – mruczy. Bierze głęboki oddech, zamyka drzwi i staje na środku pokoju. Unoszę brwi i patrzę na niego. – Nie masz planów na wieczór, co?

– Nie – mówię. – Wszyscy są zajęci. – Rachael pojechała na kilka dni do Glendale, odwiedzić dziadków, Meghan ma grypę, a Tiffani co trzeci weekend spędza z ojcem, który nie pozwala, żeby robiła cokolwiek bez niego.

– Dobra, w takim razie jedziesz ze mną – oświadcza. – Przy jedenastej jest impreza. Nie mów o niczym ojcu – dodaje i odwraca się w stronę wyjścia.

– Kto powiedział, że chcę iść z tobą na imprezę? – wołam za nim. Splatam ręce na piersi. Nie dalej jak dziś rano nawrzeszczał na mnie, że stoję na schodach i blokuję przejście. – Wybacz, ale jesteś ostatnią osobą, z którą mam ochotę gdzieś wychodzić.

Zaciska zęby.

– Przygotuj się – rzuca.

– Nie.

– Tak – upiera się. – Co będziesz robiła? Przesiedzisz całą

noc w pokoju jak cholerna luzerka, która nie wie, co to dobra zabawa?

Zaciskam usta. Ma rację. Poniekąd.

– W co mam się ubrać?

Uśmiecha się triumfalnie, a w jego oczach pojawia się błysk.

– Załóż cokolwiek. To nie jest impreza jak ta u Austina. Tutaj ludzie są bardziej... wyluzowani. Możesz przyjść w dresach i nikt nie zwróci na ciebie uwagi.

– Wyluzowani? – Po raz kolejny unoszę brwi. Różne rzeczy przychodzą mi do głowy.

– Taa – mówi. – Napijesz się czegoś przed wyjściem?

Kończą mi się zapasy, bo matka bez przerwy przeszukuje mój pokój, więc mam tylko piwo oraz trochę Jacka Danielsa i wódki. Wiesz co, zaskoczę cię. – Uśmiecha się. Tym razem jest to szczery uśmiech, nie sarkastyczny, pełen zadowolenia uśmieszek. I nie ma w nim krzty egoizmu.

Tyler wraca do swojego pokoju, ja tymczasem zostaję sama, zupełnie zbита z tropu. Jak na kogoś, kto mnie nienawidzi, zależało mu, żebym poszła z nim na tę „wyluzowaną” imprezę. Nie mam nic przeciwko, pod warunkiem że mnie nie obraża i nie piorunuje wzrokiem. Jeśli dzięki temu przekonam go do siebie, niech tak będzie. Spodobała mi się łagodna twarz, którą właśnie pokazał, i mam nadzieję, że przez resztę wieczoru będzie w równie dobrym humorze, bo taki Tyler jest mniej irytujący i nawet da się lubić. Jestem gotowa podjąć to ryzyko.

Na szczęście jestem już po prysznicu. Po południu z nudów zaczęłam oglądać na YouTube video tutoriale o włosach i srodze się rozczarowałam, gdy rezultaty w niczym nie przypominały tego, co obiecywały brytyjskie królowe piękności. W końcu jednak znalazłam coś, co zadziałało, i upiąwszy włosy w luźny kok, uznałam, że jestem gotowa do wyjścia.

– Daj mi jeszcze dwadzieścia minut – mówię Tylerowi, kiedy wchodzi do pokoju z butelką bud lighta w jednej ręce i szklaneczką czegoś, co wygląda jak coca-cola w drugiej.

– Nie ma problemu. – Podaje mi szklankę. Jego zimne palce

ocierają się o moje. Wzdrygam się, on jednak nie zwraca na to uwagi. – Proszę.

– Wódka z colą? – zgaduję.

– Tak – przyznaje niemal z zakłopotaniem. Odkręca butelkę z piwem i stawia ją na skraju komody. – To pewniak. Lubisz wódkę z colą? Jeśli wolisz piwo, przyniosę ci...

– Nie, w porządku – przerywam mu. Mam wrażenie, że mówi dziwnie chaotycznie. – Wódka z colą wystarczy.

– To dobrze – mruczy. Odchyła głowę, pociąga łyk piwa i rozgląda się po pokoju. – Wpadnij do mnie, jak już będziesz gotowa.

– Pijecie?

Oboje odwracamy się w stronę drzwi i widzimy Jamiego, który z posępną miną spogląda na nasze drinki. Tyler próbuje ukryć butelkę za plecami, ale spóźnia się o jakieś piętnaście sekund.

– Nie – kłamie, mimo wszystko starając się ukryć butelkę. Głos ma łagodny. – Wiesz, że nie mamy dwudziestu jeden lat. Po co mielibyśmy pić?

– Przecież widzę. – Jamie wskazuje głową szklaneczkę, którą wciąż trzymam w dłoni. – Mama o tym wie?

Tyler przechyla głowę i masuje ręką szyję.

– Wypiliśmy odrobinę. Dasz nam spokój?

– Dwadzieścia dolców – mówi Jamie. Uśmiecha się figlarnie i wyciąga rękę. Patrzy wyczekująco na Tylera i mruga.

– Ostatnio dałem ci trzydzieści – przypomina Tyler. Mimo to stawia piwo na komodzie i sięga do kieszeni spodni po portfel. – Na grę wideo, pamiętasz? Nie myśl sobie, że zapomniałem.

– Hmm. – Jamie zastanawia się przez chwilę. – W takim razie wezmę dziesięć.

Tyler parska śmiechem. Zastanawiam się, czy często płaci bratu za milczenie.

– Dobra, dziesięć. – Daje mu banknot dziesięciodolarowy i wypycha go z pokoju. – A teraz spadaj stąd.

Jamie odsuwa jego rękę i wkłada banknot do kieszeni.

– Wzięłbym piątkę! – woła, wychodząc na korytarz.

Tyler chichocze i pociąga z butelki.

– Dzieciaki traktują mnie jak bankomat – wzdycha.

Uśmiecha się do mnie i wychodzi z pokoju. – Szykuj się – rzuca przez ramię.

Zamykam drzwi i idę do łazienki. Po odświeżeniu się i zrobieniu delikatnego makijażu, zakładam obcisłe dżinsy, koszulkę na ramiączkach i czerwoną bluzę z kapturem. Tyler dał mi do zrozumienia, że nie powinnam się jakoś specjalnie szykować, więc tym razem zamiast szpilek zakładam trampki Converse.

– Dobra – oznajmiam, wchodząc do jego pokoju. – Wypiłam drinka i jestem gotowa, więc możemy już iść.

Tyler ma na sobie dżinsy i szarą spłowiałą koszulkę. Stoi przy oknie i ustawia na parapecie trzy puste puszkę po piwie.

– Najwyższy czas – rzuca, obracając się przez ramię.

Machnięciem ręki przewraca puszkę i wyciąga z kieszeni kluczyki do samochodu.

– Chyba nie myślisz, że będziesz kierować? – Kręcę głową z dezaprobatą. Mam ochotę wyrwać mu kluczyki, ale w porę się powstrzymuję. – Właśnie wypileś te wszystkie piwa.

– Chryste – jęczy. – Dobra, załatwię nam jakiś transport. Zadowolona?

– Tak – przyznaję, patrząc, jak ciska kluczyki na łóżko.

Wyciąga telefon. Numer, pod który dzwoni, musi być przypisany do klawisza szybkiego wybierania, bo łączy się błyskawicznie. Chwilę później rozmawia już z kimś, a ja mam okazję przyjrzeć się jego twarzy.

– Tak, tak, już jadę, Declan. Kto dziś robi za kierowcę? – Pauza. – Daj mi Kaleba. Możesz poprosić go, żeby podjechał po mnie najszybciej jak może? To kilka domów dalej. – Pauza. – Dzięki, stary. Widzimy się za dwadzieścia minut.

– Kaleb? – pytam, kiedy się rozłącza.

– Kaleb jest w porządku – mówi i śmiejąc się, podchodzi do drzwi. – Jest w college’u, choć wygląda jak uczeń drugiej klasy. Ale wie, co znaczy dobra zabawa. – Otwiera drzwi, ukradkiem

wyślizguje się z pokoju i zbiega po schodach. Ja robię to samo. Zakradamy się do kuchni i wychodzimy przez drzwi na taras.

– Nie powinnam powiedzieć ojcu, że wychodzę? – pytam, skradając się za nim. – Rozumiem, że ty musisz wymykać się z domu, ale ja nie mam szlabanu. Zabije mnie, kiedy odkryje, że wyszłam i nic mu nie powiedziałam.

– Nie przejmuj się – mówi. – Napij się, a za kilka godzin w ogóle przestaniesz o tym myśleć.

Trzymając się z dala od okien salonu, wychodzimy na ulicę i idziemy na parking sześć domów dalej. Chociaż Tyler zachowuje się czasem jak kretyn, dobrze wie, co zrobić, żeby go nie złapano. Gdybym była sama, pewnie byłabym na tyle głupia, żeby czekać, aż ktoś przyjedzie po mnie pod dom. Muszę więc przyznać, że w tej kwestii Tyler wykazał się wyjątkową pomysłowością.

– To duża impreza? – pytam, patrząc, jak opiera się o pień drzewa.

– Niezbyt. – Wzrusza ramionami. Nerwowo zagryza wargę i mam wrażenie, że nie ma ochoty ze mną rozmawiać. Wkurza mnie to, bo przez pięć minut stoimy w milczeniu, aż w końcu przed dom podjeżdża chevrolet pick-up.

Szyba opuszcza się i niski koleś wygląda przez okno.

– Wskakuj, stary! – krzyczy.

Patrzę na niego zdumiona. Tyler miał rację. Kaleb wygląda jak dzieciak, jakby wciąż czekał, aż zmęźnie mu twarz. Jakoś nie mogę go sobie wyobrazić w studenckim kampusie.

Tyler otwiera drzwi od strony pasażera, podczas gdy ja pakuję się na tylne siedzenie wysłużonego pick-upa. Wnętrze samochodu przesiąknięte jest zapachem tytoniu, na podłodze walają się papierowe kubki z McDonalda.

– Kto to? – Kaleb patrzy na mnie w lusterku wstecznym. Jest przeraźliwie blady, a jego jasne włosy mają dziwny kolor brudnego blondu.

– Moja. No... – zaczyna Tyler, ale słowa więzną mu w gardle. Pochyla się do przodu, żeby pogłośnić rap, który sączy się z głośników. – Moja siostra przyrodnia – mówi w końcu.

– Nie wiedziałem, że masz przyrodnią siostrę. – Kaleb patrzy na mnie z jeszcze większym zainteresowaniem. Jego spojrzenie sprawia, że czuję się niezręcznie, ale w końcu odwraca wzrok i wyjeżdża na ulicę. Nie czekając na odpowiedź, zadaje kolejne pytanie i, dzięki Bogu, zmienia temat. – Co słyhać, stary? Mam wrażenie, że nie gadaliśmy od tygodni!

Ponieważ nie znam Kaleba, nie wtrącam się do rozmowy (zresztą żaden z nich mnie do niej nie zaprasza) i na dziesięć minut zamieniam się w słuch. Tyler dziękuje Kalebowi za podwózkę, na co tamten stwierdza, że nie ma za co, i obaj kiwają głowami w rytm koszmarnej muzyki.

Tymczasem ja wpatruję się w tekst piosenki zapisany na butach.

Kiedy w końcu docieramy na miejsce i parkujemy przed niewielkim domem, sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej niż ta, z którą spotkałam się tydzień temu u Austina. Na zewnątrz nie kręcą się żadni ludzie i mogłabym przysiąc, że nic się tu nie dzieje.

– Jesteś pewien, że to ten dom? – pytam, kiedy wszyscy troje wysiadamy z samochodu.

– Tak – odpowiada Tyler. Wskazuje głową drzwi i rusza w stronę wejścia. – Pamiętaj, to mała impreza dla maksymalnie dwudziestu osób.

Mała impreza oznacza, że nie będzie łatwo zgubić się w tłumie czy, trzymać się na uboczu i pozostaje tylko modlić się, żeby zbyt wiele osób nie spostrzegło, że jestem tu obca. Będę rzucać się w oczy. Ludzie zorientują się, że pierwszy raz mnie widzą. A ja będę miała tego dość.

Z chwilą gdy Tyler otwiera drzwi, zderzam się z prawdziwą ścianą dźwięku. House'owe beaty wwiercają się w uszy i niemal czuję, jak uszkadzają mi mózg. Tutaj też cuchnie ziołem, ale ludzi jest mniej, przez co nie mam wrażenia, jakbym się dusiła. Idę za Tylerem do pokoju, w którym składowane jest alkohol. Kaleb zostaje z tyłu.

– Dałeś radę, Tyler – rzuca na nasz widok jakiś koleś. O dziwo, wygląda na zupełnie trzeźwego. – Kto to?

– Moja siostra przyrodnia. Eden, to jest Declan. Ten wieczór spędza ze mną, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Kurczę! – Declan wybałusza niebieskie oczy i podaje Tylerowi puszkę piwa. – Stary, od kiedy masz taką siostrę przyrodną?

– Od ubiegłego tygodnia – mruży Tyler i odwraca się do mnie z uśmiechem. – Czego się napijesz?

– Wszystko mi jedno – mówię, patrząc na zgromadzone na stole zapasy. – Może być jeszcze jedna wódka z colą.

Tyler przewraca oczami, bierze szklankę i robi mi drinka. Declan przygląda się nam.

– Oprowadzę ją – mówi Tyler, kładzie mi rękę na ramieniu, prowadzi mnie w stronę drzwi i delikatnie wypycha na korytarz. Sam jednak wraca do Declana i przez chwilę rozmawiają w kącie pokoju.

Patrzę, jak mówi coś do niego, na co Declan odpowiada skinieniem głowy. Rozmawiają tak cicho, że nie dociera do mnie żadne słowo, w końcu jednak Tyler odsuwa się od Declana i z ciężkim westchnieniem wraca na korytarz. Po drodze wita się z kilkoma osobami, ale jego uwaga skupia się głównie na mnie.

– Dobra, widzisz tych ludzi? – Zatrzymujemy się w drzwiach salonu. Puską piwa wskazuje grupę imprezowiczów, którzy rozsiedli się na kanapach. Sprawiają wrażenie przygnębionych. Jeśli się nie mylę, większość skończyła już dwadzieścia lat.

– No i? – Nie rozumiem, o co mu chodzi. – Wyglądają na znudzonych.

Tyler tłumy śmiech i odwraca się od drzwi.

– Wcale nie są znudzeni. Popatrz tam. – Wskazuje puszką podłogę, gdzie pod niskim stolikiem kuli się mały rudo-biały kociak. – Biedaczek. – Odstawia piwo, pochyla się, bierze kota i gładzi go po grzbiecie. – Czemu nie miałabyś umówić się z tym maluchem? Ma pewnie większe jaja niż Jake.

– Odłóż go – mówię, ale zwierzęciu najwyraźniej podobają się pieszczoty, bo ożywia się i rozpoczyna wspinaczkę po ramionach Tylera.

– Cóż mogę powiedzieć? – Głaszczesz kota za uszami, na co zwierzę reaguje rozkosznym mruczeniem. Patrząc na nich i się uśmiecham. – Jestem magnesem na cipki.

Krzywię twarz i odwracam się od niego, ale Tyler śmieje się, kładzie kota na podłodze i sięga po piwo. Kociak czmycha do drugiego pokoju.

– Popatrz, nawet kot ma dość słuchania tych bzdur.

Tyler przewraca oczami i przestaje się uśmiechać.

– Idź, pogadaj z ludźmi. Ja muszę coś załatwić.

Coś załatwić? Znam to. Dobrze wiem, co takiego będzie załatwiał. Dobry nastrój przyska.

– Żartujesz sobie?

Gapi się na mnie nonszalancko i pociąga łyk piwa.

– O co ci chodzi?

– Nie udawaj głupiego – syczę. Podchodzę do niego i nachylam się tak, żeby mnie słyszał. Niemal dotykam szklanką jego piersi. – Nie przyszedłam z tobą na tę pieprzoną imprezę, żeby stać tu jak kołek, podczas gdy ty będziesz palił skręty i wciągał śliczne białe kreseczki koki w ogrodzie na tyłach domu.

– Nie twoja sprawa – warczy i odsuwa się ode mnie. – Idź, przywitaj się z ludźmi i pozwól, że będę robił to, na co mam ochotę.

Kiedy rusza w głąb korytarza, idę za nim, a gdy dociera do tylnych drzwi, dosłownie staję mu na drodze.

– Nie wyjdiesz tam – ostrzegam go. – To głupie.

Słyszając to, wpada we wściekłość. Ciska puszką o ścianę, aż strużki piwa ściekają na podłogę.

– Zejdź mi, kurwa, z drogi!

– Nie!

Rzuca się do przodu i długimi palcami chwyta mnie za nadgarstek, aż drętwieje mi ramię. Stoi teraz tak blisko mnie, że widząc jego oczy, kulę się ze strachu.

– Eden – szepcze powoli. – Nie rób tego.

– Nie – powtarzam, wyrывая się z jego uścisku. Mimo rozlanego piwa i bólu w nadgarstku, nie zamierzam ustępować. –

Czemu to zrobiłeś?

– Bo musiałem, jasne? – podnosi głos i rozgląda się, czy nikt go nie słyszy.

– Nie musiałeś – poprawiam go. – Chciałeś.

Przez chwilę gapi się na mnie w milczeniu. Zupełnie jakby się zastanawiał, co zrobić, co powiedzieć i jak się mnie pozbyć. W końcu kręci głową i przeczesuje włosy mokrymi od piwa palcami.

– Nie rozumiesz – mówi.

Chcę go zapytać, czego nie rozumiem, ale delikatnie odsuwa mnie na bok i szarpnięciem otwiera drzwi. Wymyka się na zewnątrz i z trzaśnięciem zamyka je za sobą. Jestem wściekła i gdyby nie to, że upokorzył mnie ostatnim razem, gdy za nim wyszłam, zrobiłabym to jeszcze raz. Wiem jednak, że nic to nie da. Zamiast tego odwracam się na pięcie i wychodzę przed dom, żeby się zastanowić, co zrobić.

– Eden? Co ty, u diabła, tu robisz?

Zdumiona odwracam się w kierunku, z którego dobiega głos, i czuję niewypowiedzianą ulgę, widząc Jake'a, który gapi się na mnie z rozdziawionymi ustami.

– Jake! Przyjechałam z Tylerem, ale on... Wkurza mnie.

– Eden... – Przykłada dłoń do czoła, pochyla się nade mną i szepcze mi do ucha – Wiesz, że to impreza dla tych, co palą marihuanę?

– Że co? – krzyczę. Jake oczami daje mi do zrozumienia, żebym się zamknęła, więc milknę i zagryzam wargę.

– Rozejrzyj się – mówi. Czuję na skórze jego gorący oddech.
– Wszyscy są upaleni.

Rozglądam się po korytarzu i zerkam do pokoju. Tyler miał rację. Ci ludzie nie są znudzeni. Mają przekrwione oczy o rozszerzonych źrenicach. Część z nich gapi się w sufit, podczas gdy reszta śmieje się histerycznie. Im dłużej na nich patrzę, tym bardziej wszystko staje się oczywiste. Impreza dla palaczy marihuany.

– A co ty tutaj robisz? – pytam i oburzona krzyżuję ramiona.

– Kumpel chciał, żebym odwiózł go do domu – tłumaczy

Jake. Mruży oczy i rozgląda się dokoła. – Przyjechałem po niego, ale wygląda na to, że już się wyniósł. Ty zresztą też powinnaś. To nie jest towarzystwo dla ciebie.

– Proszę, zabierz mnie stąd – szepczę przerażona. – Nie mogę uwierzyć, że mnie tu przywiózł.

– To dupek.

Zabawne. Tyler mówił to samo o Jake'u. To słowo przeciwko słowu i to ode mnie zależy, po czyjej stronie się opowiem. W tej chwili jestem po stronie Jake'a. Bo gdybym miała zdecydować, który z nich jest dupkiem, bez wahania wskazałabym na swojego przyrodniego brata.



11

Wściekam się na samą myśl, że w ogóle przyszło mu do głowy, żeby zabrać mnie na imprezę dla palaczy marihuany. Naprawdę sądził, że będę się dobrze bawiła z ludźmi, których jedyna rozrywka polega na tym, żeby rozwalić się na kanapie i zapalić skręta? To był cholernie kiepski pomysł i zastanawiam się, po co w ogóle mnie zapraszał. Co on sobie myślał? Czy on w ogóle myślał?

Jake nie jest taki głupi. Ma wystarczająco dużo szarych komórek, żeby wiedzieć, co jest dobre, a co złe, i właśnie dlatego siedzę teraz na fotelu pasażera w jego samochodzie. I mam ochotę walnąć pięścią w przednią szybę.

– Za piętnaście minut mam się spotkać z Deanem – mówi Jake, zerkając na mnie ze smutkiem. – Możesz poszwendować się z nami albo mogę odwieźć cię do domu. Ty decydujesz.

Nie mam ochoty wracać do domu po tym, jak spędziłam w nim cały dzień, a poza tym naprawdę potrzebuję towarzystwa ludzi, którzy nie mają nic wspólnego z prochami. No i do tego Dean jest słodki.

– Jesteś pewien, że mogę z tobą jechać?

– Jasne – mówi. – Dobry wybór.

Wzdycham ciężko, nieco spokojniejsza osuwam się na fotel i reguluję klimatyzację. W samochodzie Jake'a łatwiej się wyluzować, przede wszystkim dlatego, że jadąc z nim, nie mam duszy na ramieniu. – Kogo szukałeś?

– Dawsona Hernandeza – tłumaczy, a ja nie wiem, po co w ogóle zadałam to pytanie. I tak nikogo tu nie znam. – Jest w drugiej klasie. Muszę na niego uważać.

– Gdzie spotkamy się z Deanem? – Zmieniam temat z nadzieją, że dzięki temu zapomnę o imprezie. Im więcej o niej

myślę, tym bardziej robi mi się niedobrze.

– Kapela, którą lubi, chyba La Breve Vita, gra darmowy koncert w centrum miasta. Skoczmy tam.

Co prawda nigdy nie słyszałam o tej kapeli, ale nie mogą być sławni, skoro grają darmowe koncerty.

– Jasne – mówię. – Brzmi nieźle.

Niewiele później docieramy do centrum nocnego życia w Santa Monica. Sobotni wieczór pełen jest neonów, głośnej muzyki, pijanych ludzi i prostytutek. Wjeżdżamy na mały parking za jeszcze mniejszym budynkiem i sama już nie wiem, czy to klub, bar, restauracja, czy może ambulatorium marihuany. Tak czy siak, wchodzimy do środka.

Pomieszczenie przypomina piwnicę. Jest źle oświetlone, zatłoczone i panuje w nim zaduch. Na małej scenie stoją cztery postaci, które brzdękają na gitarach, grają na perkusji albo śpiewają.

– Wreszcie! – Gdzieś ponad muzyką rozlega się głos Deana, a zaraz potem zza naszych pleców wyłania się on sam. Plamy migającego światła tańczą na jego twarzy. – Eden? Nie wiedziałem, że przyjedziesz.

– Znalazłem ją, kiedy szukałem Dawsona – tłumaczy Jake. Dean markotnieje i obaj wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

– Na imprezie Declana?

– Taa – rzuca Jake i śmiejąc się, patrzy na scenę, jakby mnie w ogóle tam nie było. – Nie miała o niczym pojęcia.

Gdy utwór dobiega końca, niewielki tłum oklaskuje kapelę. W pewnej chwili wokalista daje im znać, żeby się uciszyli. Bierze w dłonie mikrofon i przechadza się po scenie.

– Dzięki, że przyszliście. Jesteście zajebiści. Wszyscy. Nawet ten prawiczek w średnim wieku, który przyszedł tu tylko dlatego, że leją darmowe piwo. Jesteś zajebisty, stary. Kurewsko zajebisty. – Śmieje się do mikrofonu i patrzy na rozbawioną publiczność.

– Ta impreza jest dużo lepsza – szepcze Dean, nie odrywając wzroku od sceny. – Uwielbiam ich.

– Dobra, zanim zagramy następny kawałek – ciągnie

wokalista – chcę wam przypomnieć, żebyście mieli gdzieś, co myślą inni. Wasze życie należy do was, wasza muzyka jest waszą muzyką, wasze wybory są waszymi wyborami, a wasza wódka jest waszą wódką. Nie traćcie czasu na gówniane rzeczy. Róbcie wyłącznie to, co chcecie robić. Włączcie się po klubach, skaczcie z samolotu, odwiedźcie Bułgarię. Mam to gdzieś. Róbcie rzeczy, dzięki którym będziecie szczęśliwi, bo LA BREVE VITA! Kolejny kawałek to *Tanto Amore*.

Tłum szaleje, kiedy do perkusisty dołączają gitarzystę, basista i wokalista.

– Czy *la breve vita* to po łacinie? – pytam, odwracając się do Deana. Mam wrażenie, że z nich dwóch to on będzie znał odpowiedź.

Słyszając to, śmieje się i kręci głową.

– To po włosku. Ja też jestem Włochem. Przynajmniej w połowie.

– Żartujesz – mówię. Podnoszę głos, żeby przekrzyczeć muzykę. – Mieszkałeś we Włoszech?

– Nie, urodziłem się tutaj – przyznaje, patrząc to na scenę, to na mnie. – Moja mama jest Włoszką. Ojciec poznał ją, kiedy był na wakacjach w Neapolu, i przeprowadziła się do Stanów. To dziwne, ale nigdy w życiu nie byłem we Włoszech.

– Historia jak z bajki – mówię, pamiętając, jak poznali się moi rodzice. Przypadkiem wylądowali na jednej imprezie, obściskiwali się po pijaku, a następnego dnia poszli na hot dogi. Cholernie romantyczne. – Mówisz po włosku?

– Nie bardzo. Tylko trochę – przyznaje zawstydzony. Bezustannie kiwa głową w rytm muzyki.

Zerkam na scenę i znowu na niego.

– Co znaczy *la breve vita*?

– Życie jest krótkie. – Uśmiecha się tak szeroko, że zastanawiam się, czy przypadkiem nie bołą go usta. – Dlatego ich kocham. Przypominają nam o tym, żeby żyć pełnią życia. No i mają zajebiste kawałki.

Śmiejemy się, ale Jake jest dziwnie poważny. Prawdę

mówiąc, zapomniałam, że tu jest, więc wzdrygam się, kiedy staje przede mną.

– Napijesz się czegoś, Eden? – pyta.

Patrzę na walające się po podłodze plastikowe kubki po piwie i na obskurny bar w kącie pomieszczenia.

– Nie, dzięki. – Uśmiecham się.

Koncert trwa około godziny. Bawimy się świetnie, zwłaszcza Dean, i wychodzę z klubu z poczuciem, że był to udany wieczór. Słuchanie muzyki indie w dusznym, zatłoczonym klubie bije na głowę upijanie się na imprezie ćpunów. Jestem zadowolona, że dałam się namówić. W drodze na parking zahaczamy o jeden z miejscowych sklepików i kupujemy paczkę tacos.

– Mogę cię odwieźć – mówi Dean, zatrzymując się przy samochodzie.auta Deana i Jake’a są jedynymi na parkingu, reszta zdążyła już odjechać. – I tak przejeżdżam obok domu Tylera.

Jake ściąga brwi i wbija ręce w kieszenie.

– Ja ją odwożę – mówi stanowczo. – Pogadamy jutro. Uważaj na siebie.

– Jasne. – Dean kiwa głową. – Do zobaczenia.

Kiedy siada za kierownicą i uruchamia silnik, Jake i ja zostajemy sami w przyjemnej ciszy. No, może cisza to za dużo powiedziane. Powietrze wibruje od głuchego dudnienia dobiegającego z sąsiednich klubów. Mijając nas, Dean podnosi rękę i chwilę później znika nam z oczu.

– No i? – pyta ze śmiechem Jake. – Co chcesz zrobić? Bo tak naprawdę wcale nie mam ochoty odwozić cię do domu.

– Która godzina?

– Parę minut po północy. – Oczy mu błyszczą, usta ma rozchylone. Po tygodniu czuję się swobodnie w jego towarzystwie.

Zauważam też, jaki jest przystojny.

– Chcesz, żebym cię odwiózł? – pyta bez przekonania. – A może powalęsamy się jeszcze trochę?

Nie jestem zmęczona, za to ojciec jest pewnie wściekły. Mimo to nie mam ochoty wracać do domu.

– Możemy gdzieś pójść? – pytam. – Nie widzi mi się

zupełnie spotkanie z ojcem.

Powoli rozciąga usta w uśmiechu.

– Robi się późno, więc może pójdziemy do mnie obejrzeć jakiś film?

– Pod warunkiem że będzie to disnejowska bajka.

– *Król Lew* wystarczy?

– Co to w ogóle za pytanie?

Jake przewraca oczami i kręcąc głową, idzie do samochodu.

– Wskakuj – mówi. – Mamy film do obejrzenia.

Dom Jake'a znajduje się w Wilshire, a willa ojca w północnej części Montany, która – zdaniem Jake'a – jest najdroższą dzielnicą miasta. To otoczony krzewami dom jednorodzinny z jasnej cegły. Wydaje się duży, ale nie tak bardzo jak dom taty, Rachael, Tiffani czy inne, które widziałam do tej pory. W okolicy panuje ścisk, jakby developerom brakowało miejsca i postanowili upchnąć budynki jeden na drugim.

Ale to naprawdę ładne miejsce i kiedy Jake prowadzi mnie na górę, do swojego pokoju, podziwiam rzędy oprawionych w ramki zdjęć, sportowe trofea, bibeloty i rozmaite pamiątki. Jest tu przytulność, której brakuje w domu mojego ojca.

Jake zauważa moje zainteresowanie.

– Moja mama ma na tym punkcie świra.

– Nie – mówię. – To słodkie.

Mruczy coś pod nosem i zapala światło w pokoju. W domu panuje cisza i domyślam się, że rodzice Jake'a śpią.

– Trochę tu brudno, ale nic na to nie poradzę. Przyniosę film.

– Mija mnie i znika za drzwiami na końcu korytarza. Ja tymczasem wchodzę do pokoju.

W jednym kącie leży stos ubrań, w drugim stoi łóżko. Na ścianie wisi ogromny telewizor. Na komodzie dostrzegam piłkę do footballu, a na podłodze kask.

– Tyler wspominał, że grasz – mówię, kiedy wraca do pokoju.

– Tak, jestem pomocnikiem – rzuca beznamiętnie. – Dobra, czas poużalać się nad biednym Simbą.

Włączamy film, ściszymy głos, żeby nikogo nie obudzić, i kładziemy się na łóżku. Dochodzi pierwsza i zaczynam ziewać. Jake też jest zbyt zmęczony, żeby zwracać uwagę na śmierć Mufasy.

– Wiesz – mruczy, bawiąc się poduszkami – nigdy nie oglądałem *Króla Lwa* z żadną dziewczyną.

Prostuję się i z bólem serca wpatruję się w ekran.

– Ćśśś. – Uciszam go ruchem ręki. – Mufasa nie żyje, Jake. Okaż trochę szacunku.

– Boże, błogosław Mufasę. Niech spoczywa w pokoju w animowanym niebie – mówi z powagą. Uśmiecha się, przekrzywia głowę i opiera się na łokciach.

Nie pamiętam, kiedy zgasiliśmy światło, ale nagle uświadamiam sobie, że w pokoju jest ciemno i tylko poświata emanująca z telewizora oświetla jego twarz i oczy.

– To była piękna mowa pogrzebowa – mówię.

– Dzięki. – Siada wyprostowany i patrzy na mnie z uwagą. – A teraz popraw mnie, jeśli się mylę. Pochodzisz z Portland, które najwyraźniej jest fajnym miastem, nie możesz sama zatankować samochodu, w Chick-fil-A zamawiasz sałatkę, lądujesz na imprezach dla palaczy marihuany i kochasz filmy Disneya. Nieźle.

– Mniej więcej tak to wygląda – przyznaję, kiwając głową.

– Nie wracaj do domu – prosi. Film się jeszcze nie skończył, ale już mnie nie interesuje. Patrę na kąciki ust Jake’a, które podnoszą się, gdy się uśmiecha. – Zostań na noc.

– Ojciec się wścieknie, jeśli nie wrócę na noc do domu – szepczę, ale to wcale nie jest zły pomysł. Oboje jesteśmy zmęczeni i odwożenie mnie o tak później porze nie jest najlepszym pomysłem. Jake mógłby zasnąć za kierownicą.

– Po prostu zostań – powtarza. Blask w jego oczach sprawia, że dostaję gęziej skórki. – Gdzieś na dole mam *Księgę dżungli*.

– Lubię *Księgę dżungli* – szepczę. Spuszczam wzrok i bawię się palcami. Ale kiedy patrę na Jake’a, jego usta, na które gapiłam się chwilę temu, zbliżają się do mnie i czuję, że oddech więźnie mi w gardle.

Sekunda ciągnie się w nieskończoność, zanim w końcu muska wargami moje usta. Czuję ucisk w piersi i dygoczę. Jego ciepły oddech łaskocze mnie w policzek, twarz zamiera tuż przy mojej twarzy. Zupełnie jakby czekał, aż go odepchnę albo odwzajemnie pocałunek. Nawet nie muszę się nad tym zastanawiać.

Odnajduję ustami jego usta, przymykam oczy i czuję jego dłoń, która pieszczotliwie gładzi mnie po plecach. W otaczającej nas ciszy słyhać jedynie cichutki głos Simby.

Już wcześniej całowałam się z chłopakami, ale nigdy w takich okolicznościach. Całowałam ich przy okazji gry w butelkę, w *Prawda czy wyzwanie* i *Siedem minut w niebie*. Ale to nie jest gra, wyzwanie ani głupie macanki w szafie. To dzieje się naprawdę, tu i teraz, a ja nie mam pojęcia, co robię, dlaczego całuję kolesia z Kalifornii, którego poznałam ledwie tydzień temu i dlaczego oglądam *Króla Lwa* w jego łóżku. Nie wiem, co robię, ale wiem, że mi się to podoba.

Po dłuższej chwili odsuwa się ode mnie. Czuję w kąciku ust jego oddech, kiedy mówi:

– Chyba nie powinnaś wspominać o tym Tylerowi. Gdyby się dowiedział, skopałby mi tyłek.

Uśmiecham się i patrzę mu w oczy.

– Nie miałam takiego zamiaru – zapewniam.



12

Tak więc mija pierwszy tydzień moich wakacji w Santa Monica, a ja budzę się obok największego wroga mojego przyrodniego brata. „Cudownie, Eden”, myślę sobie.

Otwieram oczy i widzę promienie słońca, które wciskają się do pokoju przez szpary w żaluzjach, a gdy odwracam się na bok, widzę chłopaka, który leży obok mnie. Jake wierci się i przeciąga, prezentując mięśnie, na których widok kompletnie odechciewa mi się spać.

– Dzień dobry – mruczy. Siada na łóżku, przeciera oczy i patrzy w okno. Jest ubrany, podobnie jak ja.

– Spałam tu? – pytam głupio, bo przecież wszystko na to wskazuje. Nie tak miało być. Nie tylko wymknęłam się z domu, ale w ogóle nie wróciłam na noc. Ojciec mnie zabije. – Muszę wracać – mówię, poprawiając włosy, i zrywam się na równe nogi. Najszybciej, jak się da.

– Ale, skarbie... – zaczyna, jednak w tej samej chwili ktoś puka do drzwi. Nie mam pojęcia, która jest godzina, ale wiem, że nie jest to środek nocy, więc nie dziwię się, kiedy do pokoju wchodzi kobieta.

Patrzy na nas, splata ręce na piersi, mierzy mnie wzrokiem i rzuca Jake'owi gniewne spojrzenie.

– Wiedziałaś, że przyprowadziłaś dziewczynę – mówi z pogardą. – Czy ta przynajmniej ma jakieś imię?

– Mamo – syczy Jake i podnosi się z łóżka.

– Nie, Jake. – Kobieta kręci głową z dezaprobatą i nie odwracając się, wskazuje drzwi. – Za pięć minut ma jej tu nie być.

Kiedy wychodzi, Jake jęczy przeciągle. Aż do teraz myślałam, że jest miły. Tak miły, że się z nim całowałam. Ale pod wpływem zachowania jego mamy rodzą się we mnie wątpliwości.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Często przyprawdzasz do domu dziewczyny? – mruczę i sięgam po trampki.

– Nie – odpowiada pospiesznie. – Ona żartowała.

Zerkam przez ramię i ściągam brwi, żeby wiedział, że mu nie wierzę i że nie zamierzam tak po prostu zignorować tego, co właśnie usłyszałam. Może nigdy dotąd nie oglądał z żadną dziewczyną *Króla Lwa*, ale to nie znaczy, że nie oglądał z nimi *Aladyna*.

– Muszę iść – powtarzam.

– W porządku – mówi, kiedy dociera do niego, że nie żartuję. Jeśli zostanę tu choćby chwilę dłużej, ojciec zgłosi moje zaginięcie. – Wezmę tylko kluczyki.

Patrzę na niego przez jakiś czas i zastanawiam się, jaką podjąć decyzję. Nie wiem, co jest gorsze: pozwolić, żeby mnie odwiózł, czy wrócić do domu taksówką. Tak czy siak, będzie to kiepsko wyglądać.

Jake zakłada koszulkę i bierze kluczyki z parapetu. Ciekawe, czy często tak robi?

– W porządku – powtarza. – Jedźmy.

Wychodzimy na korytarz i szybko, ale jak najciszej schodzimy po schodach z nadzieją, że unikniemy kolejnego spotkania z jego mamą. Nie sędzę, żeby była zachwycona, tak jak nie sędzę, że zachwycony będzie mój ojciec.

– Jaki dzisiaj dzień? – pytam, żeby tylko coś powiedzieć, kiedy w końcu wsiadamy do samochodu.

– Niedziela – mówi posępnym głosem, który sprawia, że zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest zły. Oczy ma przymrużone. Nie wiem, czy jest przybity nagłym wtargnięciem mamy, czy tym, że nie chciałam zostać dłużej. Ale przecież trzeba wracać do domu i muszę się tam dostać najszybciej, jak się da.

– To dobrze – stwierdzam. Patrzę na drogę. Jestem zbyt zmęczona, by silić się na rozmowę.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, Jake jest już nieco bardziej wyluzowany. Powoli gasi silnik i uśmiechając się nieśmiało, patrzy

w moją stronę.

– Powinniśmy to powtórzyć – stwierdza. – Zostań u mnie na noc w przyszły weekend. Moi rodzice mają rocznicę ślubu, więc nie będzie ich w domu.

– W zasadzie możemy gdzieś wyskoczyć – mówię z wahaniem. Sama nie wiem, co o nim myśleć.

– Możesz zostać na cały weekend.

– Nie sądzę, żeby mój tata...

– Po prostu to przemyśl – przerywa i świdruje mnie wzrokiem. W końcu jednak się uśmiecha. – Dobrze, że pojawiłem się na tej imprezie, co? To się nazywa być we właściwym miejscu, we właściwym czasie.

– Dzięki, że mnie stamtąd wyciągnąłeś – mruczę. Nie pamiętałam o tej koszmarnej imprezie. Aż do teraz. Zastanawiam się, czy Tyler wrócił do domu.

Jake wzrusza ramionami i uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Dzięki, że mi na to pozwoliłaś. To był naprawdę fajny wieczór.

– Taa – mówię. Zerkam w stronę domu i stwierdzam, że najwyższy czas wejść do środka i stawić czoło ojcu. – Powinam już iść.

– Do zobaczenia – mówi, kiedy wysiadam z samochodu. Zamykając drzwi, zastanawiam się, czy rzeczywiście tak myśli.

Naciągam kaptur na głowę, odmawiam w duchu szybką modlitwę i wbijam ręce w kieszenie. Mam nadzieję, że kaptur ukryje potargane włosy i rozmazany makijaż. Wyglądam, jakbym całą noc imprezowała na Las Vegas Strip. Chociaż wątpię, żeby ludzie imprezujący w Las Vegas ubierali się w bluzy z kapturem i dzinsy.

Nie słyszę, jak Jake odjeżdża, ale kiedy docieram do drzwi, przez które tak bardzo boję się przejść, wiem, że już go nie ma. Na szczęście nie muszę otwierać drzwi, ktoś robi to za mnie.

Zaskoczona wzdrygam się i czuję, jak czyjaś ręka wciąga mnie przez próg. Jest zbyt męska jak na Ellę i zbyt umięśniona, żeby należeć do ojca. I oto mam odpowiedź na nurtujące mnie

pytanie: Tyler dotarł do domu.

– Ej. – Odtrącam jego rękę i odsuwam się, kiedy ostrożnie zamyka drzwi. Nie zdążyłam się jeszcze odezwać, a on już patrzy na mnie, jakbym zaproszyła ogień w jego pokoju. Wygląda na to, że nikt nie jest w stanie go zadowolić.

– Żartujesz – mówi. – Tak? Jaja sobie robisz.

Gapię się na niego. I wzdycham. Bawię się sznurkami bluzy. I znowu wlepiam w niego wzrok.

– Mogłabym powiedzieć ci dokładnie to samo – rzucam w końcu. W tym momencie jest mi wszystko jedno. Próbowalam być miłą, ale on miał to gdzieś. Koniec z tym. – Zabrałeś mnie na imprezę pełną ćpunów i luzerów. Czyś ty oszalał?

– Ćśśś – syczy. Unosi palec i mrużąc oczy, zerka w stronę korytarza, jakby chciał się upewnić, że nikt mnie nie słyszał. – Mów ciszej.

– Przepraszam. – Mój głos ocieka sarkazmem. – Zapomniałam, że twoja mama nie wie, jak żaloszny jest jej synalek.

Przez ułamek sekundy dostrzegam w jego oczach coś, czego nigdy dotąd nie wiedziałam. Coś, czego nie potrafię nazwać. Wygląda, jakby moje słowa go zabolaly, ale nie wiem, czy tak jest naprawdę, bo chwilę później znowu mruży oczy.

– Dave! – krzyczy schrypniętym głosem. – Eden wróciła!

– Żartujesz? – pytam. Mam ochotę przywalić mu pięścią w twarz.

Jego triumfalny uśmiezek mówi mi, że wcale nie żartuje.

– Ponieś konsekwencje.

– Twojej głupoty – cedzę przez zaciśnięte zęby. – To ty zmusiłeś mnie, żebym poszła na tę imprezę.

– Zabawne, bo pamiętam, że sama zgodziłaś się na nią pójść.

– Dziwi mnie, że w ogóle cokolwiek pamiętasz. Czyżbyś wrócił do domu trzeźwy? Bardzo w to wątpię. – Zdejmuję kaptur i słysząc dobiegające od strony kuchni kroki, wzdycham i zaciskam zęby. Jeśli tata mnie nie zabije, jestem pewna, że zrobi to Tyler.

– Powodzenia – rzuca. Śmieje się pod nosem i opiera się o ścianę. Splata ramiona i rozbawiony patrzy na ojca, który idzie w

moją stronę.

– Gdzieś ty się, do diabła, podziewała? – Pierwsze pytanie leci w moją stronę niczym pocisk. Sądząc po jego minie, nie jest zbyt radosny. – Wiesz w ogóle, która jest godzina? Mogłaś przynajmniej odebrać telefon. Zamartwiałem się o ciebie, Eden.

– Przepraszam, ja... – W tej chwili dopada mnie absolutny kryzys i nie wiem, czy powiedzieć prawdę, czy wyłgać się ze wszystkiego. Brak mi jednak odwagi, żeby się przyznać, a też nie mam doświadczenia w wymyślaniu wiarygodnych historyjek, tak więc żadna możliwość nie wydaje się szczególnie atrakcyjna.

Czując na sobie wzrok ojca i widząc jego uniesione brwi, kiedy czeka na to, co zaraz powiem, spanikowana rozglądam się dokoła i zatrzymuję wzrok na Tylerze. Wciąż się uśmiecha i wyraźnie zadowolony patrzy, jak próbuję ocalić siebie przed ojcowskim gniewem. Jestem zbyt przerażona, żeby spiorunować go wzrokiem, a im dłużej na niego patrzę, tym bardziej jego uśmiech przygasa.

– Była u Meghan – mówi nagle. Twarz ma ściągniętą i cały czas patrzy mi w oczy. – Przecież mówiłem. – Dopiero teraz spogląda na ojca.

Tata, wyraźnie zaskoczony, zastanawia się przez chwilę i jeszcze wyżej unosi brwi.

– Nie mówiłeś.

– Dałbym sobie rękę uciąć, że mówiłem wam, kiedy wieczorem wróciłem do domu. Zresztą, sama mnie o to prosiła. – Zakłopotany patrzy na ojca, jakby w obawie, że cierpi na amnezję. – Pamiętasz?

– Nie.

Tyler wzrusza ramionami.

– Cóż, musiałem zapomnieć – bąka i przygląda mi się spokojnym, niemal współczującym wzrokiem. – Przepraszam, Eden. Dałem ciąa.

Nastaje długa cisza. Tata wygląda na kompletnie zbitego z tropu, Tyler rzuca mu bezczelne spojrzenie, a ja wciąż próbuję zrozumieć, co się właściwie dzieje. Jeśli dobrze rozumiem, mój

brat przyrodni właśnie uratował mi tyłek. Pomógł mi. To niewiarygodne.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek go zrozumiem, bo teraz to raczej niemożliwe. Najpierw bawi go to, że zostałam przyłapana, a zaraz potem staje w mojej obronie. Dlaczego? Jego zmienne nastroje i łatwość, z jaką żongluje sympatią i nienawiścią, przyprawiają mnie o ból głowy. Szczerze, wolałabym, żeby się w końcu zdecydował. Dzięki temu oszczędziłby mi kłopotu i nie musiałabym go rozgryzać.

– Następnym razem uprzedź mnie, gdy będziesz wychodziła – mówi ojciec. Jest wyraźnie zdenerwowany i kiedy już myślę, że odwróci się i da mi święty spokój, dodaje: – A przy okazji, idziemy na późny lunch. Wszyscy. Ty również, Tylerze. Ubierzcie się jakoś.

Myśl o posiłku w „rodzinnym” gronie przestała mnie już martwić. Wciąż jednak niepokoi mnie przenikliwe spojrzenie Tylera. Gdy więc ojciec wraca do kuchni, wykorzystuję okazję, by dowiedzieć się, co miała znaczyć szopka, którą mój przyrodni brat odgrywał przez ostatnie pięć minut.

– Tym razem ci się upiekło – mruczy, ale go ignoruję.
– Dlaczego to zrobiłeś? – pytam.
– O co ci chodzi?
– Dlaczego mnie kryłeś? – Patrzenie, jak grunt pali mi się pod nogami, najwyraźniej go bawiło i nagle, nie wiedzieć czemu, postanowił wtrącić swoje trzy grosze i stanął w mojej obronie. A ja nie mam pojęcia dlaczego. – Nie rozumiem.

Wzrusza ramionami i patrzy na mnie ze spokojem. Jego huśtawki nastrojów mącą mi w głowie.

– Byłem ci to winien – mówi. – Za to, że zabrałem cię na tę imprezę. Nie przemyślałem tego. Przepraszam. – Jego przeprosiny brzmią szczerze, a co najdziwniejsze, chociaż raz na mnie nie krzyczy.

– Po co w ogóle proponowałeś, żebym z tobą poszła? – pytam z pogardą. – Naprawdę myślałeś, że będę się dobrze bawić?

– Przepraszam – powtarza, tym razem jeszcze ciszej, i przez krótką chwilę mam ochotę mu wybaczyć, ale w tym samym

momencie słyszę, jak dopowiada. – A więc byłaś z Jake’iem?

Domyślam się, że widział samochód.

– A nawet jeśli, co cię to obchodzi? Masz na jego temat swoje zdanie, ja mam swoje. Nie chcę o tym rozmawiać, bo to nie ma nic wspólnego z tobą.

– Muszę wziąć prysznic. – Zmienia temat, chociaż to on zaczął tę rozmowę. Znowu mruży oczy, tym razem jednak delikatnie. – Pogadamy o tym później. Jeśli przeżyjemy ten cholerny lunch.

– Porozmawiamy później? – powtarzam. Nie myślałam, że mój przyrodni brat jest mistrzem konwersacji. Zwłaszcza że rozmowa dotyczy chłopaka, z którym niedawno się całowałam.

– Taa – rzuca. Wchodząc na górę, odwraca się przez ramię. – I pamiętaj, co powiedział twój stary. Załóż coś ładnego.



Na lunch docieramy z dwudziestominutowym spóźnieniem. Pierwsze dziesięć minut to wina Elli, która dwa razy się przebierała, zanim uznała, że wygląda jak należy. Drugie to wina Tylera, który uparł się, że pojedzie swoim samochodem. Ojciec i Ella planowali wziąć lexusa oraz range rovera i nie widzieli powodu, żebyśmy jechali w trzy samochody. Zresztą Tyler miał szlaban. Ostatecznie dał za wygraną i manifestując swoje niezadowolenie, wsiadł do samochodu Elli. Ja tymczasem nie mogłam pojąć, jak można przejażdżkę range roverem traktować jako karę.

– Proszę za mną, panie Munro – mówi elegancka kelnerka w eleganckiej restauracji i prowadzi nas do eleganckiego stolika z eleganckimi sztućcami. Elegancja, elegancja i jeszcze raz elegancja. Pięć lat temu ojciec wziąłby mnie i mamę do podrzędnego lokaliku typu fast food.

Ojciec dziękuje kelnerce i siadamy przy stole. Tata, Ella i Chase po jednej stronie, Tyler, Jamie i ja – między nimi – po drugiej. Lokal jest duży, ale stolików jest tu niewiele, przez co wydaje się jeszcze bardziej przestronny. Nie ma nic gorszego od restauracji, w której ludzie siedzą stłoczeni jeden przy drugim.

– Miło, że w końcu jesteśmy razem – stwierdza Ella, kiedy kończymy zamawiać napoje. Ja wybieram wodę, Tyler bezskutecznie próbuje zamówić piwo. – Powinniśmy powtarzać to w każdą niedzielę.

Tata kiwa głową i patrzy na nią tak, jak kiedyś na moją mamę.

– Jestem za – mówi.

– A ja przeciw – rzuca Tyler. Uśmiecha się, spuszcza głowę i splata ręce na piersi. Ani Ella, ani ojciec nie zwracają na niego

uwagi. Pewnie przyzwyczaili się, że zawsze jest na nie, więc nie ma sensu się z nim wyklócać. Mam podobne podejście.

Kelnerka przynosi napoje i zamawiamy danie główne. Wybieram pierwszą lepszą potrawę, jaka rzuca mi się w oczy. Zresztą, wszystkie mają tak skomplikowane nazwy, że i tak nie wiem, o co chodzi. Prawdopodobnie zamówiłam właśnie wielorybie jądra.

– Ile jeszcze musimy tu siedzieć? – pyta pięć minut później Tyler, tępym wzrokiem wpatrując się w Ellę i ojca. Poluzowuje czarny krawat i rozpiną kołnierzyk koszuli. – Mam ciekawsze rzeczy do roboty.

– Przestań marudzić – fuka Ella. – A wzięłaś dziś lekarstwa? – pyta za chwilę z powagą.

– Mamo – warczy Tyler. Zerka na mnie kątem oka i rzuca matce wściekłe spojrzenie. – Pójdę się przewietrzyć. – Zaciska palce na krawędzi stołu, wstaje, omal nie przewracając krzesła, i kieruje się w stronę drzwi.

– Zostaw go – wzdycha Ella i kładzie rękę na ramieniu ojca, który wygląda, jakby chciał pobiec za pasierbem.

– Powtarzasz to za każdym razem – mówi ojciec z wyrzutem. Rozumiem, że Tyler bywa irytujący, ale coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że tata po prostu go nie lubi. Koniec kropka.

Ella ściąga brwi, ale zaraz zmusza się do uśmiechu i głaszcze ojca po plecach.

– Daj mu trochę luzu – prosi.

Mam ochotę zapytać o wspomniane przez nią lekarstwa, ale powstrzymuję się i nie pozwalam, żeby ciekawość wzięła nade mną górę. Myślę o tym, chociaż to nie moja sprawa. Równie dobrze może chodzić o tabletki na zaburzenia erekcji albo coś równie intymnego, chociaż, sądząc po tym, jak Tyler i Tiffani kleją się do siebie, szczerze w to wątpię.

Ella postanawia zmienić temat, odwracając uwagę od najstarszego, najbardziej lekkomyślnego syna, i skupia się na Jamiem.

– Jak tam twój projekt z biologii, Jay?

– W porządku – mówi Jamie. Wzrusza ramionami i zawstydzony wbija wzrok we własne nogi. – Muszę jeszcze dokończyć wykres przedstawiający osmozę.

– Nienawidziłam dyfuzji, osmozy i transportu aktywnego – oznajmiam, chcąc włączyć się do tak zwanej rodzinnej rozmowy. – Zaczekaj, aż pójdziesz do liceum. Tam biologia jest jeszcze gorsza.

Ojciec nagradza moje starania promiennym uśmiechem i kiwa głową na Jamiego.

– Pójdziesz poszukać brata? Zaraz przyniosą jedzenie.

– Ja pójdę – rzucam bez zastanowienia. Jestem zaskoczona własną reakcją. – Strasznie tu duszno. Sama chętnie się przewietrzę – kłamię i najszybciej jak mogę zrywam się od stolika. Może wciąż zżera mnie ciekawość?

Wychodzę na zewnątrz i rozglądam się po parkingu. Moją uwagę zwracają dwa samochody – jeden z nich parkuje, drugi odjeżdża spod restauracji. Popołudniowe słońce grzeje mnie w plecy. Jest tak jasno, że mrużę oczy. Skupiam się na stojących obok siebie lexusie i range roverze. Ella uparła się, żeby zająć wyjątkowo wąskie miejsce parkingowe i skończyło się tym, że zamiast niej musiał parkować Tyler. Dopiero po chwili dostrzegam sylwetkę na fotelu kierowcy.

Nie wiedząc, co powiedzieć ani o co zapytać, ostrożnie podchodzę do samochodu. Tyler należy do tego typu osób, które w każdej chwili mogą uruchomić silnik, wrzucić bieg wsteczny i ruszyć z piskiem opon, zabijając mnie na miejscu, tak więc czuję niepokój, gdy zbliżam się do drzwi i pukam w szybę.

Odwraca głowę. Rysy jego twarzy wyostrajają się, gdy marszczy brwi. Mija kilka chwil, zanim w końcu opuszcza szybę.

– Czego chcesz? – warczy.

– Wracasz? – Zagryzam wargi i robię krok do tyłu. Już wypowiadając te słowa, wiem, że niepotrzebnie pytam.

– Pieprzyć to. Nigdzie nie idę – mruczy i odwraca się ostentacyjnie.

Zaciskam wargi, przechylam głowę i naśladowuję jego minę.

– Nie sądzisz, że trochę dramatyzujesz? To nic takiego. Tylko

zadała ci pytanie.

Patrzy na mnie zdumiony, ale nie przestaje marszczyć brwi.

– Głupia jesteś? Pytam poważnie. Nic nie rozumiesz, cholerna Eden Munro.

– Znowu zaczynasz. – Teraz ja również podnoszę głos. – Reagujesz przesadnie na każdą bzdurę. Staram się zrozumieć, co się z tobą dzieje, ale za każdym razem, kiedy próbuję z tobą porozmawiać, traktujesz mnie jak gówno, więc daruj sobie. Ja wracam. Nie jestem egocentryczną idiotką, która wpada w szal, gdy coś nie idzie po jej myśli. – Po tych słowach odwracam się na pięcie i ruszam w stronę drzwi.

Słyszę jednak, jak woła mnie po imieniu, a gdy zerkam przez ramię, nie wydaje się już taki spięty.

– Podejź tu – mówi, ale ani myślę się ruszyć. Niby dlaczego miałabym go słuchać? – Wsiądź do samochodu, to ci powiem, o co mi chodzi, i wrócimy tam razem.

Tyler, który obiecuje, że chociaż raz będzie ze mną szczery. Nie mogę przepuścić takiej okazji. A jeśli dzięki temu wróci do stołu, powinnam go wysłuchać. Wzdycham przeciągle, podchodzę do range rovera i, nadal nieufna, sadowię się na siedzeniu pasażera.

– Dobra, o co ci chodzi?

Z krawatem przewieszonym przez szyję i jedną ręką na kierownicy gapi się na mnie przez dobrą minutę. Czekam, aż coś powie, a tymczasem on uśmiecha się głupkowato.

– Dobra, chcesz, żebym był z tobą szczery? W porządku. Będę szczery do bólu, kiedy ci powiem, że wynosimy się stąd do jasnej cholery.

Zanim dociera do mnie to, co właśnie usłyszałam, uruchamia silnik, wciska pedał gazu i z piskiem opon przecina parking. Nie rozglądając się, wyjeżdża na ulicę i zmusza innych kierowców do gwałtownego hamowania.

– Jaja sobie robisz? – wrzeszczę. Sięgam po pas i zapinam go w pośpiechu. W tej chwili naprawdę obawiam się o własne życie.

– Nie – odpowiada. – Jestem po prostu szczery.

– Natychmiast mnie odwieź – żądam. Siedząc bokiem, z jedną ręką na desce rozdzielczej, a drugą na pasie, zerkam przerażona to na Tylera, to na drogę. Na niego, żeby móc mu posłać nienawistne spojrzenia, a na drogę, bo nie ufam mu jako kierowcy.

– Naprawdę chcesz wracać? – Samochód kołysze się na boki.
– Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że chcesz tam wracać, jeść obrzydliwe żarcie i przez kolejną godzinę siedzieć przy stole ze swoim ojcem. Powiedz, że naprawdę tego chcesz.

Gapi się na mnie i tylko od czasu do czasu zerka na drogę.

– Nie – przyznaję. – Wiem jednak, że muszę wrócić, zanim oboje nas zabiją. Wolno ci w ogóle tym jeździć?

– A tobie tak wyglądać? – pyta między kolejnym gwałtownym hamowaniem a wciśnięciem pedału gazu.

Bezradnie rozkładam ręce. Mam go serdecznie dość.

– Nie musisz mnie obrażać.

– Chryste, nie chciałem cię obrazić – mruczy. Przeczesuje włosy palcami i w ostatniej chwili hamuje przed jadącym z przodu porsche. – Nie wracamy. Jedziemy do domu, żebym mógł napić się piwa i wytłumaczyć ci, że Jake się tobą bawi.

– Dziękuję, Tylerze – rzucam zgryźliwie. – Dziękuję, że pakujesz mnie w kolejne kłopoty.

– Ostatniej nocy to ty nabroiłaś – wyklóca się ze mną i wścieka się na światła, które jego zdaniem zbyt długo pozostają czerwone. – Fakt, to ja wyciągnąłem cię z domu, ale to ty postanowiłaś do niego nie wracać, więc nie zwalaj wszystkiego na mnie.

Poddaję się.

– W porządku. Tyle że mamy nowy problem. Twoja mama wpadnie w szal, kiedy zobaczy, że jej samochód zniknął. Skąd w ogóle wzięłaś kluczyki?

Śmieje się, kiedy światła zmieniają kolor na zielony, i wciska pedał gazu.

– Wyluzuj, zmieszczą się w samochodzie twojego ojca. Miałem kluczyki w kieszeni po tym, jak musiałem parkować. A

teraz przestań mnie rozpraszać, próbuję prowadzić.

W milczeniu patrzę na jego zaciśniętą szczękę, kiedy w końcu postanawia skupić się na drodze.

– Postaraj się bardziej.

Dwadzieścia minut później docieramy do domu i nie mogę uwierzyć, że udało nam się wrócić w jednym kawałku. Po drodze Tyler zadzwonił do Elli, żeby powiedzieć jej, że „mamy gdzieś” wspólny lunch i wracamy do domu. Rozłączył się, zanim zdążyła się odezwać.

– Idź do mojego pokoju – instruuje mnie, kiedy wysiadamy z byle jak zaparkowanego samochodu, i ruszamy w stronę drzwi. Na szczęście ma przy sobie klucze. – Wezmę coś do picia i porozmawiamy o tym dupku, który tak bardzo ci się podoba.

Stoję za jego plecami, czekając, aż otworzy drzwi.

– Ani myślę z tobą rozmawiać – oświadczam. Nie mam nic do powiedzenia w sprawie swoich decyzji i nie wiem, dlaczego sobie ubzdurał, że jest inaczej.

Wydaje z siebie dramatyczne westchnienie.

– Idź na górę, do mojego pokoju. Za dwie minuty przyjdę. – Wolnym krokiem przecina hol i kieruje się w stronę kuchni. Ja tymczasem idę na górę.

Wchodząc po schodach, zatrzymuję się jeszcze i wołam:

– Żeby było jasne, idę do swojego pokoju.

– W takim razie będę u ciebie za dwie minuty – odkrzykuje.

Tym razem daję za wygraną, kręcę głową i wchodzę do pokoju. Potrafi być bardzo uparty jak na kogoś, komu nie zależy.

Ściągam buty, pospiesznie wrzucam stos brudnych rzeczy do łazienki i przezornie zamykam drzwi. Poza tym w pokoju panuje względy porządek. Tyler nie zauważa niczego, kiedy chwilę później wchodzi z butelką piwa w dłoni.

– Dobra, od czego by tu zacząć? – zastanawia się na głos.

Pociąga łyk piwa i podnosi rękę. – Powiem krótko: Jake Maxwell mógłby się ubiegać o tytuł aktora roku.

– Zabawne – rzucam. – A ja myślałam, że w tej branży najlepszy jesteś ty.

Wygląda na urażonego. Odchrząkuje i kręci głową.

– Nie, między mną a Jake’iem jest zasadnicza różnica.

Dziewczyny pragną mnie, a Jake pragnie ich. Ja nie uganiam się za dziewczynami. Po prostu wpadam na nie na imprezach. Trochę poflirtuję, czasem, jak wypiję, pocałuję się z którąś, gdy Tiffani nie ma w pobliżu. Nic więcej. – Patrzy na zdumienie, które maluje się na mojej twarzy, upija kolejny łyk piwa i opowiada dalej: – Tymczasem Jake to wytrawny gracz. Tygodniami albo nawet miesiącami zwodzi dziewczyny, sypia z nimi, a potem zrywa wszelkie kontakty. Spotyka się nawet z trzema naraz. – Śmieje się ponuro. – Gwarantuję ci, że kiedy się z nim prześpisz, koleś zniknie. Zawsze tak robi. Sprzeda ci głodny kawałek o tym, że jego uczucie się wypaliło albo że nie może już z tobą rozmawiać, bo ma bardzo surową matkę, która zabrania mu spotykać się z dziewczynami do czasu, aż pójdzie na studia.

Patrzę na niego. Zadaje sobie wiele trudu, żeby zniechęcić mnie do Jake’a, ale do tej pory to właśnie Jake traktował mnie dużo lepiej.

– Po co mi to mówisz?

– Bo tak – odpowiada.

– To kiepski powód.

Tylko się uśmiecha.

– Tak jak to, dlaczego wyszedłem z restauracji.

* * *

Jak się spodziewałam, ojciec i Ella są wściekli, kiedy wieczorem wracają do domu. Nie tylko musieli zapłacić za dwa zmarnowane posiłki, ale, ich zdaniem, zepsuliśmy pierwszy rodzinny wypad. Przypominają Tylerowi, że ma szlaban, a mnie odsyłają do pokoju. Czeka mnie długa noc.

Rozmawiam na wideoczacie z Amelią, która przekazuje mi najnowsze ploteczki z Portland. Nasz nauczyciel literatury angielskiej pan Montez został przyłapany przez uczniów ostatniej klasy, jak we Freddy’s kupował gumki. Pan Montez przekroczył już pięćdziesiątkę, na wyobrażenie całej sytuacji robi mi się więc

niedobrze. Tymczasem Amelia zaśmiewa się do łez przez dobre pięć minut. Oprócz nowinek z życia intymnego naszego nauczyciela nic więcej się nie dzieje i zaczynamy rozmawiać o college'u. Amelia zamierza studiować biochemię na Uniwersytecie Stanowym w Corvallis w stanie Oregon, godzinę drogi na południe od Portland. W przeciwieństwie do niej ja nie mogę się doczekać, żeby wyrwać się z Oregonu. Zaczynam paplać o tym, jak świetne są studia psychologiczne na uniwersytecie w Chicago, ale w połowie zdania połączenie zostaje zerwane. Przez kilka minut gapię się na monitor, podczas gdy laptop próbuje połączyć się z internetem, buforowanie trwa jednak całą wieczność i nic więcej się nie dzieje. Nagle słyszę pukanie do drzwi, które oddzielają mój pokój od pokoju Tylera. Trzy puknięcia.

Unosząc brew, zerkam podejrzliwie w stronę, z której dobiega dźwięk, odsuwam laptopa i trzymając się blisko ściany, zakradam się pod drzwi. Nie wiem, czy to przypadek, czy ktoś puka celowo, ale postanawiam podjąć tę grę. Pukam raz i czekam. Chwilę później słyszę cztery stuknięcia.

Nie mam pojęcia, co u diabła wyprawia mój przyrodni brat, ale wątpię, żeby znał alfabet Morse'a, więc dochodzę do wniosku, że postanowił jeszcze bardziej mnie zdenerwować.

– Możesz przestać? – pytam na tyle głośno, żeby usłyszał mnie za ścianą, ale wystarczająco cicho, żeby nie zwrócić na siebie uwagi ojca.

– Wyłączyłem internet – mówi stłumionym głosem, jak ktoś, komu śmiech utknął w gardle. – Od twojej rozmowy rozboleła mnie głowa. „Boże, Amelio, czy Chicago nie jest boskie? Jest takie cudowne! Uwielbiam psychologię. Kocham odrabiać pracę domową i naukę!”

Patrzę na drzwi do łazienki, krzyżuję nogi i opieram się o ścianę.

– Nic takiego nie mówiłam. – Z wściekłości walę łokciem w ścianę.

Tym razem pukanie od strony jego pokoju trwa dobre piętnaście sekund.

– Mogę tak przez całą noc – mówi w końcu. – Słyszałem, że w college’u ludzie nie dosypiają, więc będzie to dla ciebie niezła lekcja. Raz-dwa sprawię, że zaczniesz cierpieć na bezsenność.

– Czy ktoś ci kiedyś powiedział, jak bardzo jesteś irytujący?
– Splatam ramiona na piersi i przewracam oczami, choć tak naprawdę chce mi się śmiać. Nie wiem dlaczego, ale bawi mnie słuchanie, jak rozmawia ze mną przez ścianę. Nieczęsto słyszy się takie rzeczy.

– Hmm, nie sędzę – odpowiada. Żałuję, że nie mogę zobaczyć jego twarzy. Ciekawe, czy on też się uśmiecha. Leży na podłodze, stoi czy siedzi? Jak wyglądają teraz jego oczy? – No, jaki jestem irytujący? Proszę bardzo, studentko, oświeć mnie.

Mam wrażenie, że uśmiecha się od ucha do ucha, ale nie mogę być pewna. Zadzieram głowę i przykładam ucho do ściany, żeby lepiej słyszeć jego łagodny głos. Rzadko bywa taki miły.

– Zacznijmy od tego, że odłączyłeś internet, a teraz pukasz w moją ścianę.

– Formalnie rzecz biorąc, to nasza ściana. – Kolejne stuknięcie. Tym razem tylko jedno.

– Tak czy siak, to cholernie irytujące. Przestań, proszę.

– Nie mogę – odpowiada. Znowu zaczyna bębnić palcami w ścianę, głośno i nieprzerwanie.

W odpowiedzi walę w nią pięścią, na co w końcu wybucha śmiechem.

Wracam do łóżka, wyłączam laptopa i wślizguję się pod kołdrę. Nie mogę przestać myśleć o tym, co mój przyrodni brat robi za ścianą. Czy on też leży w łóżku i wpatruje się w sufit? Esemesuje z przyjaciółmi? A może szuka dobrego filmu, który mógłby zobaczyć?

Kiedy w końcu zasypiam, jest już dobrze po północy. Przed snem rozmyślałam o Jake’u, o tym, co powiedział mi o nim Tyler, i jak matka Jake’a potraktowała mnie rano. Zachowywała się, jakbym była statystycznie następną dziewczyną, którą nakryła w pokoju syna. Nie była zaskoczona. Nic więc dziwnego, że zastanawiam się, czy to, co powiedział Tyler, przypadkiem nie jest

prawdą.



Rankiem jestem zbyt zmęczona, żeby zjeść śniadanie. Wykończona wbijam wzrok w podłogę i powoli próbuję dokończyć tosta, którego zrobiła dla mnie Ella.

– Wszystko w porządku? – pyta ojciec. Wpuszcza koszulę do spodni i poprawia ohydny krawat.

– Taa – mruczę. Budziłam się co kilka godzin, bo wydawało mi się, że wciąż słyszę pukanie. – Jestem tylko zmęczona.

Kiwa głową w odpowiedzi.

– Masz jakieś plany na tydzień?

– Nie.

Ojciec zawsze był kiepskim rozmówcą, zadawał beznadziejne pytania i rzucał głupie uwagi, żeby wypełnić niezręczną ciszę. Czasami modłę się, żeby w ogóle się do mnie nie odzywał.

– Czas na mnie – mówi. – Dziś wrócę do domu później niż zwykle.

Nie odpowiadam. Ze spuszczoną głową podchodzę do zmywarki i gdy ojciec, powłócząc nogami, opuszcza kuchnię, wkładam talerz do przegródki. Rozpoczyna się drugi z ośmiu tygodni w Los Angeles, a ja mam już serdecznie dość tego miejsca. Tata jest do niczego. Moja przybrana rodzina jest do niczego. Całe lato jest do niczego.

– Dzień dobry – słyszę, zamykając zmywarę.

Odwracam się i na widok Tylera krzywię się z odrazą.

– Faj – fukam.

– Powinnaś odpowiedzieć „dzień dobry” – mówi i przechodząc obok, trąca mnie łokciem. Ma na sobie czarne szorty oraz luźną kolorową koszulkę i kiedy otwiera lodówkę, łapię się na tym, że podziwiam jego umięśnione ramiona.

– Przez ciebie nie mogłam zasnąć – mówię, mrużąc oczy.

– Że co? – Zerka przez ramię i ściąga brwi.

– Przez to pukanie.

Patrzy na mnie oczami, z których można wyczytać rozmaite emocje, i nagle zaczyna się śmiać.

– Nie pukałem. Ojciec nie wspominał ci, że dom jest nawiedzony? Tu wszędzie są demony.

– Zamknij się – mówię i przewracam oczami. – Nie mogłeś spać czy co?

Odwraca się z butelką wody w ręce i kopnięciem zamyka drzwi lodówki.

– Niezupełnie. – Uśmiecha się złośliwie i splata ramiona, dzięki czemu znowu widzę jego tatuaż. – Miałem nadzieję, że się obudzisz i odpukasz.

– Przepraszam – bąkam. – Nie byłam w nastroju na komunikowanie się z tobą przez ścianę o czwartej nad ranem. – Na lewym przedramieniu ma wystającą żyłę, ale staram się na nią nie patrzeć. Amelia i ja zwykle rozplywamy się z zachwyty nad facetami o żyłastych ramionach, rękach i szyjach. Nie wiedzieć czemu, żyły mają w sobie coś pociągającego.

– Auć. To bolało. – Powoli przygryza usta i patrzy mi w oczy. Wiem, że to tylko żarty, ale nagle robi się poważny. – A dziś wieczorem?

– Co dziś wieczorem?

– Odpukasz? – pyta.

Odwracam wzrok i podnoszę ręce w geście poddania. Mam dość tej dziwnej gry.

– Nie, Tylerze, nie odpukam. To całe pukanie w ściany jest jakieś dziwne.

– Cholera – mruczy. Wzrusza szerokimi ramionami i spogląda na zegarek.

Zamierzam uciec do swojego pokoju, jednak zatrzymuję się na dźwięk otwieranych drzwi. Może tata czegoś zapomniał, a może Ella wychodzi na zakupy.

Jak się okazuje, nie są to nasi rodzice, tylko Dean. Poznaje

jego łagodny głos, gdy przed wejściem do kuchni zagląda do salonu i mówi:

– Dzień dobry, pani Munro.

On również ubrany jest na sportowo. W jednej ręce trzyma kluczyki do samochodu, w drugiej telefon. Wita mnie skinieniem głowy i zwraca się do Tylera: – Gotowy?

– Stary, miałeś tu być dwadzieścia minut temu – marudzi Tyler. Dziwne, nie wygląda na kogoś, kto ceni sobie punktualność. A jednak.

– Tak, wiem – przyznaje Dean. – Musiałem zatankować.

– A ja przez ciebie musiałem znosić towarzystwo tej pieprzonej luzerki – parska i patrzy na mnie z dezaprobatą. – Dobra, spadamy. – Zapada długa cisza. Czując na sobie nasze spojrzenia, Tyler spuszcza nieco z tonu. – Dajcie spokój. To taka rywalizacja między rodzeństwem.

– Nie jesteśmy rodzeństwem – rzucam.

– Dzięki Bogu.

Postanawiam ignorować jego głupie uwagi. Podchodzę do drzwi na patio, otwieram je i wpuszczam do domu ciepłą bryzę. Za moimi plecami Tyler i Dean informują, że jadą na siłownię. Nie dziwi mnie to. Na pierwszy rzut oka widać, że dużo ćwiczą. Zastanawiam się, czy nie zapytać go później, do której siłowni chodzi, bo rozważam wykupienie karnetu na pozostałe sześć tygodni, ale dochodzę do wniosku, że lepiej będzie, jeśli pozostanę przy porannych przebieżkach. Szczerze, nie sędzę, żeby Tyler ucieszył się z towarzystwa siostry-rywalki.

* * *

W środę wszyscy są już z powrotem w Santa Monica. Rachael wraca z weekendu u dziadków, który, jak twierdzi, był tak potwornie nudny, że miała ochotę podpalić ich dom, Tiffani – z pobytu u ojca, który jej zdaniem przypominał mieszkanie ze Shrekiem, a Meghan czuje się świetnie po tym, jak wymiotowała przez trzy dni z rzędu.

Zamiast wyskoczyć na plażę, do kafejki albo na promenadę,

postanawiamy nadrobić zaległości w manikiurze.

– Poważnie, dziadek zmuszał mnie, żebym grała z nim w bingo – żali się Rachael. Przez ostatnie piętnaście minut relacjonuje nam swój koszmarny weekend. – Co wieczór słyszałam: „Rachael, czas na bingo!”. „Do diabła, dziadku, tylko nie to”, myślałam sobie.

– Mój ojciec wyciągnął albumy ze zdjęciami, chyba z tysiąc osiemset pierwszego roku. – Tiffani krzywi się. Siedzi na krześle, a manikiurzystka uwija się przy jej paznokciach.

Rachael i ja jako pierwsze doprowadziłyśmy swoje paznokcie do porządku; teraz kolej Tiffani i Meghan. Siedząc na krześle w kącie salonu, cały czas zerkam na swoje dłonie i nie mogę się nadziwić, jak piękne i błyszczące są moje paznokcie. Powinnam robić to częściej. To wcale nie jest takie złe.

Przyjechałyśmy do salonu kosmetycznego aż do Venice, bo Tiffani twierdzi, że robią tu najlepszy manikiur. Nie mam nic przeciwko temu, ponieważ tutejsza plaża jest niesamowita – przynajmniej z tego, co udało mi się zauważyć w ciągu tych czterech minut.

Rachael przechadza się w tę i z powrotem, co kilka sekund zerkając na swoje paznokcie. Nie dziwię się jej.

– Wolalabym codziennie oglądać albumy ze starymi zdjęciami niż grać w bingo.

– Ja wolę bingo i zdjęcia od wymiotowania – odzywa się Meghan. Na szczęście jest nieco bardziej nieśmiała od Rachael i Tiffani, więc nie tylko ja nie biorę udziału w rozmowie. – Czuję, jakby kwas wypalił mi wnętrzności.

– Przynajmniej doszłaś do siebie przed urodzinami – mówi Tiffani. Siedzi obok Meghan, podczas gdy manikiurzystki zapamiętałe piłują ich paznokcie. Tiffani zerka w stronę Meghan. – Organizujesz imprezę?

Meg krzywi się i wzrusza ramionami.

– Wiesz, jacy surowi są moi starzy.

– Chryste, Meghan! – wybucha Rachael. Zatrzymuje się i wyrzuca do góry ręce. – W sobotę mam wolną chatę, możemy

urządzić imprezę u mnie!

– Kolejna impreza? – mrużę, ale na szczęście żadna z nich mnie nie słyszy. Jestem tu od tygodnia, a już zaliczyłam dwie badziewiaste imprezy, na których wszystko kręci się wokół alkoholu, narkotyków i seksu. Jakoś wcale mnie to nie bawi.

– Jesteś pewna? – Meghan rzuca jej przez ramię spojrzenie. Wygląda, jakby się wahała i miała poczucie winy. Doskonale ją rozumiem. Rachael ryzykuje, że goście zdemolują jej dom.

Ona tymczasem przewraca tylko oczami.

– Jasne, Meg. To żaden problem. Zróbmy to.

– Powiem Tylerowi, żeby poinformował kogo trzeba – proponuje Tiffani. Kiedy słyszę, jak wymawia jego imię, czuję w brzuchu przyjemne łaskotanie. Zastanawiam się, co teraz robi mój przyrodni brat.

– Powiedz mu, żeby nie zapraszał znajomych Declana – uprzedza ją Rachael i posyła Tiffani stanowcze spojrzenie. – Nie chcę w swoim domu żadnych nielegalnych rzeczy; jeśli ojciec coś znajdzie, zabije mnie.

– Przekażę.

Jeśli dobrze pamiętam, Declan to koleś, który w weekend zorganizował tę koszmarną imprezę dla ćpunów. Dzięki Bogu, Rachael jest na tyle rozsądna, żeby nie zapraszać takich jak on.

– Możecie wpaść do mnie w sobotę rano i pomóc w przygotowaniach – mówi, a chwilę później piszczy podekscytowana, sprawiając, że manikiurzystki aż się wzdrygają: – Będzie super!

Nie jestem przekonana. Na pewno będę się kiepsko bawiła. Będę miała dość alkoholu, pijanych ludzi, hałasu i na pewno pokłócę się z Tylerem. Kiedy wypije, robi się jeszcze bardziej irytujący, a ja w środku nocy będę musiała wlec go do domu na drugą stronę ulicy.

– Meg, powinnaś zaprosić tego przystojniaka z plaży. – Tiffani droczy się z Meghan, ale mam wrażenie, że mówi poważnie. – Rach, wiem, że zaprosisz Trevora. – Rachael oblewa się rumieńcem i pospiesznie odwraca się w stronę okna. Widząc to,

Tiffani chichocze i patrzy na mnie. – Ja przyjdę z Tylerem, więc zostajesz ty, Eden. Musimy ci kogoś znaleźć.

Przez krótką chwilę żałuję, że nie jestem dobrą koleżanką mającą odwagę powiedzieć jej, że Tyler wcale nie jest w nią tak bardzo zapatrzony, ale przezornie gryzę się w język i mówię – Ja przyjdę z Jake’iem.

– Co? – pytają wszystkie trzy jednocześnie.

Tiffani odrywa ręce od blatu stołu, żeby odwrócić się w moją stronę. Czuję na sobie ich spojrzenia.

– Z Jake’iem? Naszym Jake’iem?

– Boże jedyny, co nas ominęło? – Rachael żąda wyjaśnień. Patrzy na mnie zdumionym, pełnym wyczekiwania wzrokiem i zagryza wargi. – Człowiek tak po prostu nie mówi, że wpadnie z kimś na imprezę. Za taką deklaracją zawsze kryje się coś więcej. Zakochałaś się w nim?

– Spędziliśmy razem sobotni wieczór – przyznaję. Czuję, że płoną mi policzki i wbijam wzrok w podłogę. Żałuję, że w ogóle się odzywałam. – No i... zostałam u niego na noc.

– Chryste – szepcze Meghan. Mruga z niedowierzaniem i wymienia spojrzenia z Tiffani i Rachael. – Wystarczył tydzień, żeby poderwał kolejną laskę?

– Meg – syczy Rachael i pospiesznie zerka w moją stronę. – Jak daleko się posunęliście?

– Słucham?

– No wiesz... – Spogląda niepewnie na Tiffani, która pyta bez ceregieli:

– Zrobiłaś mu laskę?

Słyszając to, omal się nie krztuszę.

– Nie – rzucam i pospiesznie kręcę głową. – Oglądaliśmy *Króla Lwa*.

Rachael przekrzywia głowę.

– To jakieś słowo-klucz czy...? – pyta.

– Nie. Naprawdę oglądaliśmy *Króla Lwa*.

– Aha – mówi i wybucha śmiechem.

– Zamknij się, Rachael – fuka Tiffani. Odwraca się, kładzie

ręce na stole i pozwala zdumionej manikiurzystce wrócić do pracy.

– I nikt jej nie powiedział o lodach Maxwella? – pyta Meghan.

Mam ochotę wybiec z salonu i wrócić prosto do Santa Barbara. Jestem zażenowana i najchętniej zapadłabym się pod ziemię.

– Lodach Maxwella? – powtarzam ściśniętym głosem.

– Tak nazywamy obciążanko – tłumaczy Meghan. – Bo tak się składa, że nasz dobry przyjaciel Jake Maxwell wyjątkowo lubi, jak mu się obciąża. Dla niego to normalka i wygląda na to, że będziesz następna. – Obie z Tiffani wybuchają śmiechem.

– Jesteście obrzydliwe – mówi Rachael. – Nie słuchaj ich, Eden. Niczego nie musisz robić.

– My jesteśmy obrzydliwe? – Tiffani przykładą rękę do piersi w udawanym oburzeniu. Kręci głową i patrzy na mnie. – Prawda wygląda tak, Eden: Meghan jest specjalistką od walenia konia, a specjalnością Rachael jest obciążanie. – Obie manikiurzystki przewracają oczami i wymieniają ukradkowe spojrzenia. Założę się, że nie mogą się doczekać, aż wyjdziemy. – Na każdej imprezie znajdziesz je w sypialni z chłopakami. W przypadku Rach zwykle jest to Trevor. Tylko ja mam klasę.

– Hej! – Rachael i Meghan oburzają się, choć niespecjalnie zaprzeczają temu, co mówi Tiffani.

– Nie wiedziałam, że dziewczyny z klasą obściskują się w przymierzalniach American Apparel – żartuje Rachael.

– To się nie liczy – wyklóca się Tiffani. Zagryza wargę i patrzy, jak manikiurzystka kończy malować paznokcie jej prawej ręki. – Ja przynajmniej jestem w jakimś związku.

Cała ta rozmowa jest niezręczna. Zastanawiam się, czy Rachael albo Meghan zdobędą się na jakąś ciętą ripostę. One jednak krzywią się i zerkają na siebie, ale żadna nic nie mówi.

Czuję na sobie spojrzenie Rachael i pytająco unoszę brwi, zaintrygowana ich nagłym milczeniem, ale ona dyskretnie kręci głową, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że to nie jest właściwy czas na zadawanie pytań.

Chwilę później odchrząkuje i postanawia skierować rozmowę na zupełnie inne tory.

– Czyli w sobotę szykuje się niezły ubaw, co?



O piętnastej dwadzieścia siedem w sobotę dostaję SMS-a od Rachael. Jej rodzice wyjechali dopiero teraz – cztery godziny później, niż planowali – i mamy zaledwie pięć godzin, żeby przygotować dom na totalną rewolucję. Rachael prosi o jak najszybsze przyjście, co dla mnie nie stanowi żadnego problemu.

– Idę do Rachael – informuję ojca, jednocześnie próbując rozplątać sznurowadła. – Problem z facetem – dodaję. – Pewnie zamówimy coś do jedzenia, więc raczej nie wrócę na kolację.

Wyłącza dźwięk w telewizorze i patrzy na mnie, jakby się zastanawiał, czy nie powinien zaprotestować.

– Pamiętaj, że zabieramy Jamiego i Chase’a na mecz Dodgersów do Anaheim. Wyjeżdżamy za godzinę i wrócimy rano. Poradzisz sobie sama?

– Jasne. – Świetnie. Nie będę musiała się tłumaczyć, dlaczego wychodzę wieczorem. – Pewnie nie wrócę przed waszym wyjazdem, więc bawcie się dobrze. Cześć, Ella.

Ella się uśmiecha. Opiera głowę na ramieniu ojca, a jej ręka spoczywa na jego udzie. Próbuje ją polubić, ale nie potrafię.

– Baw się dobrze z przyjaciółmi.

Kiwam głową, zamykam za sobą drzwi i przechodzę na drugą stronę ulicy. Po dwóch tygodniach zdążyłam przyzwyczać się do słońca i ulica jest już znajomą przestrzenią, ale nadal nie wiem, co sądzić o dziewczynach, z którymi się zadaję. Czy Rachael i Meghan to teraz moje przyjaciółki? Spędzamy razem tyle czasu, że chyba mogę tak o nich myśleć. Z Tiffani nic nie jest takie oczywiste. Czasami zachowuje się jak moja przyjaciółka, a kiedy indziej mam wrażenie, że mnie nienawidzi.

O piętnastej trzydzieści jeden staję pod drzwiami domu Rachael i, jak nietrudno się domyślić, jestem pierwsza. Rachael

ciągnie odkurzacz po drewnianej podłodze, szukając kontaktu. Wygląda na zmęczoną i rozdrażnioną. A przecież nawet nie zaczęłyśmy sprzątać.

– Nie mogłam zacząć, dopóki nie wyjadą – tłumaczy, wlokąc za sobą odkurzacz. – Nabraliby podejrzeń, gdybym nagle zabrała się za sprzątanie.

– W porządku, Rachael – uspokajam ją. – Wyluzuj, mamy jeszcze pięć godzin.

– PIĘĆ godzin, Eden! – krzyczy. Kopnięciem odsuwa odkurzacz i przeczesuje palcami włosy. Dziś są pofalowane i naprawdę jej pasują. – Pięć godzin, żeby posprzątać, wynieść niepotrzebne rzeczy, kupić alkohol i jedzenie oraz zaktualizować iTunes! Po co się w to pakowałam? – Widząc, jak na mnie patrzy, parskam śmiechem.

– Rachael.

– Co? – Nie odrywa ode mnie wzroku.

– Pomożemy ci, pamiętasz? – Unoszę brwi i kiwam głową, żeby ją uspokoić. Jedyne, czym powinna się przejmować, to żeby nie nakryli jej rodzice. – Tiffani i Meghan są już w drodze, tak?

– Tak – wzdycha. Przykłada rękę do piersi, a drugą opuszcza na nos okulary przeciwsłoneczne i rozgląda się za kontaktem.

– Tak – powtarzam. – Dlatego pomożemy ci sprzątać, a potem wszystkie pójdziemy do sklepu i zrobimy porządek z playlistą. Mamy wystarczająco dużo czasu.

W odpowiedzi Rachael włącza odkurzacz i zaczyna wściekle jeździć szczotką tam i z powrotem. Postanawiam nie pytać jej o okulary ani o stan psychiczny, w jakim się znajduje.

– Jestem! – Ktoś za moimi plecami próbuje przekrzyczeć ryk odkurzacza. Odwracam się i widzę Tiffani, obładowaną paczkami krakersów i chipsów. Aż mi głupio, że sama nic nie przyniosłam. – Czy ona chodzi po domu w okularach przeciwsłonecznych?

Kręcę głową z politowaniem.

– Jest trochę zestresowana – tłumaczę.

– Chodź, zajmiemy się kuchnią. – Patrzy na odkurzającą Rachael i przewraca oczami. – Zostawmy ją samą.

Idziemy do kuchni, gdzie Tiffani niedbale rzuca zakupy na blat. Nie ma tu wiele do sprzątnięcia, jedynie brudne talerze i sztućce, które wkłada do zmywarki. Ja tymczasem otwieram drzwi do ogrodu i wyglądam na zewnątrz. Tam też panuje porządek.

– Ile osób przyjdzie? – pytam i zamykam drzwi.

– Około czterdziestu – mówi. Słyszę odkurzacz gdzieś w drugim końcu domu. – Staraliśmy się ograniczyć liczbę gości do minimum. Nie zaprosiliśmy kumpli Declana Portwooda, a to już o piętnaście osób mniej.

– To ci, którzy ćpają w ogrodzie na tyłach domu, tak? – pytam dla pewności.

– Coś w tym stylu – odpowiada ze spokojem. Rozkłada na blacie torby z chipsami i stawia obok nich dipy.

– Tyler nie należy do tej paczki?

Tiffani zamiera z opakowaniem chipsów w dłoni. Spogląda na mnie i wiem już, że nie powinnam była się odzywać. Widzę po niej, że jest to temat, którego lepiej nie poruszać.

– Nie – rzuca mało przekonująco.

Dobrze wiem, że Tyler kumpluje się z Declanem i innymi ćpunami. Wiem, bo byłam z nimi na imprezie.

– A właśnie że tak – upieram się.

– Co chcesz mi, kurwa, udowodnić? – warczy. Jej wybuch agresji kompletnie mnie zaskakuje, a przecież nie miałam zamiaru jej prowokować. Wkurzanie jej jest ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę.

– Tak tylko mówię – bąkam pod nosem. Patrzymy na siebie przez dłuższą chwilę, aż w końcu Tiffani odwraca wzrok. Mruży oczy i widzę, że jej nastrój się zmienił. Wraca do układania krakersów i dipów, podczas gdy ja stoję beczynn timer, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

– Nie lubię o tym mówić – wyznaje po chwili ciszy pełnej napięcia. – Świadomość, że ludzie wiedzą, jakie rzeczy muszę tolerować, jest naprawdę przykra.

Nie lubi o tym rozmawiać, bo to dla niej żenujące? Czy nie powinna martwić się o Tylera, zamiast przejmować się tym, co

myślą o niej ludzie?

– Sądzę, że przydałaby mu się pomoc.

Tiffani patrzy na mnie z protekcjonalnym uśmiechem na ustach.

– Jeśli mam być szczerą, Eden, to wątpię, żeby obchodziło go twoje zdanie.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Myślę wyłącznie o tym, jak bardzo jestem poirytowana, i mam ochotę się odgryźć. Na szczęście nie muszę niczego wymyślać, bo do kuchni wchodzi wyraźnie zaniepokojona Meghan.

– Czy ktoś może mi powiedzieć, dlaczego nasza przyjaciółka odkurza stół w okularach przeciwsłonecznych na nosie? – pyta od progu.

Przez kolejne dwie godziny sprzątam dom, jednak im dłużej o tym myślę, tym mniej widzę w tym sensu. Na koniec imprezy i tak będzie wyglądał jak pobojuwisko. Odkurzamy, chowamy bibeloty Dawn, które zdaniem Rachael są w jej rodzinie od pokoleń, myjemy podłogi i zamykamy na klucz pokój rodziców. Pozostałe trzy sypialnie – tę, w której śpi Rachael, i dwie dla gości – zostawiamy otwarte.

Kiedy dom jest gotowy na imprezę, jedziemy kupić produkty pierwszej potrzeby – alkohol i prezerwatywy. Czekamy w samochodzie Rachael przed tanim sklepem monopolowym, podczas gdy Tiffani wchodzi do środka, kręcąc biodrami i wydymając usta. Piętnaście minut później wychodzi z wózkiem pełnym piwa i rozmaitych alkoholi, w tym tego najbardziej zabójczego – tequili.

– Tym razem trafiłam na Hindusa – opowiada, kiedy pomagamy jej rozładować wózek. – Chciał mój numer telefonu, więc dałam mu twój, Meg.

Zatrzymujemy się przy sklepie spożywczym Ralph's i przez kolejne pół godziny przechadzamy się alejkami, wrzucając do wózków napoje i chipsy. Rachael chce mieć pewność, że niczego nie zabraknie. Kiedy mamy wystarczającą ilość alkoholu i słonych przekąsek, a samochód jest tak obciążony, że ledwie się toczy,

orzekamy zgodnie, że zmieściliśmy się w wyznaczonym czasie. Co więcej, uwinęliśmy się w ciągu zaledwie trzech godzin, a to oznacza, że zdążymy wyskoczyć na promenadę, żeby z pomocą moich trzech przyjaciółek kupić mi jakiś ciuch. Tiffani wybiera kolor, Rachael decyduje o stylu, a Meghan dobiera dodatki. Ostatecznie wracam do domu z krótką i obcisłą koralową sukienką, która spełnia moje wymagania.

– Mam nadzieję, że twoi starzy nie zadzwonią do moich – mruczy Rachael, kiedy zajeżdżamy pod dom i zaczynamy wypakowywać zakupy. Nie ma się czym przejmować. Ojciec i Ella będą oglądali mecz i opychali się nachosami.

– Pojechali na mecz Dodgersów – uspokajam ją. – Mamy szczęście, że lubią futbol.

Rachael, Tiffani i Meghan wlepiają we mnie wzrok, aż w końcu odzywa się Rachael:

– Eden, Dodgersi to drużyna baseballowa.

– Co za różnica? – rzucam beznamiętnie.

Na te słowa kręci głową i śmiejąc się, wskazuje dom mojego ojca.

– Idź się przygotować – mówi. – Już prawie dziewiętnasta. Powiedziałam ludziom, żeby zaczęli się schodzić tak po dziewiątej. Ty też, Tiff. Ja i Meghan poradzimy sobie z resztą.

Przed rozejściem się do domów Tiffani i ja zapewniamy, że wrócimy przed dziewiątą. Istnieje niepisana zasada, która mówi, że jeśli twoja przyjaciółka organizuje imprezę, musisz przyjść, zanim zjawi się reszta gości. Meghan zostaje u Rachael. W końcu to jej impreza.

Pół minuty później jestem już w domu i idę na górę, niosąc do pokoju swoją nową sukienkę. U szczytu schodów czeka mnie jednak niemiła niespodzianka.

– Wygląda na to, że zostaliśmy sami – mówi Tyler. Widzę go pierwszy raz od dwóch dni. Często wychodzi, a Ella w ogóle nie zwraca na to uwagi. Może kiedyś było inaczej, ale wygląda na to, że dała za wygraną i nie oczekuje już żadnych wyjaśnień.

Tymczasem ojciec uparcie próbuje wprowadzać zasady, których

Tyler ani myśli przestrzegać. – Pojechali na mecz Dodgersów. Aniołowie¹ przegrają jak nic.

– Wiem – mówię. – Możesz się przesunąć?

– Jasne. – O dziwo, odsuwa się, żeby mnie przepuścić.

Mijając go, marszczę brwi i zatrzymuję się przed drzwiami pokoju. Wygląda na zameczonego. – Co? – pyta.

– Idziesz dzisiaj do Rachael, prawda? – pytam, chociaż wiem, że idzie. Najwyraźniej jest stałym bywalcem wszystkich miejscowych imprez.

– Taa – rzuca. Przechyla głowę i patrzy na mnie spod przymrużonych powiek. Nie potrafię odgadnąć, w jakim jest nastroju. Ale wiem, że wystarczy minuta, żeby wpadł w złość albo się uspokoił. – Ty chyba też idziesz, co?

– Tak.

– Fajnie. O której wychodzimy?

– Jak to „my”? – pryham i z sukienką przewieszoną przez ramię otwieram drzwi do pokoju. – Przejdę na drugą stronę ulicy sama. Bez ciebie. Ty możesz przyjść, o której będziesz chciał.

– Wyluzuj – mruczy. Zaciska usta i kręcąc głową, schodzi na dół, dając mi czas, żebym mogła się przygotować. On może się objąć. Jest facetem. Tacy jak on potrzebują dziesięciu minut, żeby wyszykować się na imprezę. Wystarczy, że wezmą prysznic i założą czystą koszulkę.

Chwilę później słyszę, jak włącza telewizor. Ja tymczasem zamykam się w łazience, żeby przy użyciu szamponu i maszynki wypełnić nużące kobiece obowiązki. Szybko suszę włosy i decyduję, że nie będę ich upinać. Nie przykładam się do przygotowań, głównie dlatego, że nie ma tu nikogo, na kim chciałabym zrobić wrażenie, tak więc maluję się, zakładam sukienkę oraz szpilki i zerkam na zegar. Dwudziesta czterdzieści dziewięć.

Tyler i ja opuszczamy swoje pokoje dokładnie w tej samej chwili. On również wygląda jakby był gotowy do wyjścia. Ma na sobie białą koszulkę i czarną skórzaną kurtkę – prosty strój, w którym prezentuje się niezwykle atrakcyjnie. Im dłużej o tym

myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że w glanach czy trampkach, w koszulce czy koszuli, zawsze wygląda dobrze. Powietrze wypełnia mocny zapach wody kolońskiej, która idealnie dopełnia całości. Jest podobny do tego, którym zachwycła się Tiffani w przymierzalni American Apparel. Tej o nazwie Bentely.

Poddaję się.

– Wychodzę – oświadczam. – Idziesz ze mną?

Jego wzrok prześlizguje się po mnie, przez co czuję się coraz bardziej skrepowana.

– Właściwie to muszę dokądś skoczyć – mruczy w końcu.

– Dokąd?

– Po prostu dokądś – rzuca, jakby uchylał się od odpowiedzi.

– Idź. Przyjdę za dwadzieścia minut.

– Ale dokąd idziesz? – Nie daję za wygraną. Coś w jego spojrzeniu sprawia, że robię się niespokojna. Może nawet podejrzliwa. Nie patrzy mi w oczy, zaciska pięści i wykrzywia usta.

– Do diabła, Eden. – Poirytowany macha ręką i wraca do swojego pokoju. Idę za nim. Panuje tu mrok, żaluzje są opuszczone, nie pali się żadna lampka. Wytężam wzrok, żeby go zobaczyć.

– Dlaczego się wściekasz? – pytam, widząc, że nerwowo przeczesuje dłonią włosy. Z jakiegoś powodu nagle zrobił się nerwowy. – Zapytałam tylko, dokąd idziesz.

– Muszę się z kimś spotkać, jasne? – krzyczy. Ciało ma naprężone niczym struna. – Muszę coś odebrać, a ty dasz mi święty spokój.

Patrzę na niego, na jego oczy, które z każdą chwilą robią się coraz ciemniejsze. Widzę jego pierś, która unosi się i opada, i mam wrażenie, że czuję bicie jego serca.

– Chcesz spotkać się z Declanem. – Nie pytam. Stwierdzam. To oczywiste. – On nie przychodzi do niego na imprezę, więc idziesz do niego. Tak?

Opuszcza ramiona, zamyka oczy i ze świstem wypuszcza powietrze. Słucham jego oddechu i patrzę, jak kręci głową. Kiedy

otwiera oczy, jest wściekły.

– Po prostu idź już na tę pieprzoną imprezę.

– Nie – mówię stanowczo i ani myślę się ruszyć. Najwyższy czas, żeby ktoś zajął się tym problemem, zamiast go ignorować. – Nie wypuszczę cię, żebyś mógł się z nim spotkać.

– Eden. – Przętyka z trudem. Spokój, z jakim wypowiada moje imię, jeszcze bardziej mnie rozjusza. Robi krok w moją stronę i pochyla się tak, że jesteśmy sobie równi wzrostem. Sposób, w jaki na mnie patrzy, przygotowuje mnie o gęsią skórkę. – Nie możesz nic zrobić.

– Masz rację – mówię jeszcze bardziej stanowczo, choć głos trochę mi drży. Jego twarz jest tak blisko mojej, że odnoszę wrażenie, jakby Tyler kradł mi tlen, którym oddycham, i trudno wypowiadać mi kolejne słowa. A jednak robię to, bo czuję, że nie mogę się wycofać. – Nie mogę nic zrobić, bo TY masz to gdzieś. Masz gdzieś to, że się martwię, że przedawkujesz albo dostaniesz zapaści i umrzesz. Nie obchodzi cię to, że masz siedemnaście lat i jesteś uzależniony od kokainy. Masz to gdzieś, prawda? – Nie odzywa się, tylko patrzy na mnie i coraz bardziej mruży oczy. – Interesuje cię tylko to, żeby dobrze prezentować się na imprezach i imponować ludziom tym swoim wizerunkiem twardziela. To ŻAŁOSNE!

– Nie dlatego to robię. – Kręci głową.

– Więc po co? Bo próbujesz być taki, jak ci twoi, pożałuj Boże, przyjaciele...

– Bo dzięki temu nie myślę! – warczy. Przykłada dłoń do czoła i zaciska powieki. Zapada długa, nieznośna cisza. – Dzięki temu nie muszę myśleć – powtarza szeptem. Otwiera oczy, patrzy na mnie wściekłym wzrokiem i cedzi przez zaciśnięte zęby: – A teraz najchętniej przestałbym myśleć.

Wściekłość na niego i nagła złość na wszystko, co od niego usłyszałam, uderzają we mnie ze zdwojoną siłą. Przypomina to zastrzyk adrenaliny. Szaleństwo, pulsując w moich żyłach, uwalnia coś, czego nie potrafię nazwać i nad czym nie jestem w stanie zapanować. Z chwilą gdy wypowiada te słowa, ujmuję w dłoń

jego twarz i czuję pod palcami ciepło jego skóry. Wpijam się ustami w jego wargi, przytłoczona tym nagłym uczuciem. Zamykam oczy i daję się pochłonać ogłuszającej ciszy. Serce boleśnie tłucze mi się w piersi, ale dotyk jego miękkich ust jest rozkoszny. I nagle uświadamiam sobie, w jakiej znalazłam się sytuacji. To kwestia sekund, zanim znowu się na mnie wścieknie.

Powoli odsuwam się od niego. Robię krok do tyłu i żołądek podchodzi mi do gardła, kiedy widzę, jak patrzy na mnie kompletnie zaskoczony. Czekam, aż wybuchnie i zapyta, czy oszalałam, na co odpowiem, że tak.

– To nie byłam ja – bełkoczę. Słowa więzną mi w gardle, kiedy jękając się, próbuję wytłumaczyć to, co właśnie się wydarzyło. – Ja nie... nie wiem, co to było. Ja... ja nie... ja... ja... przepraszam. Próbowałam... chciałam, żebyś się zapomniał i...

Urywam, gdy zamyka mi usta pocałunkiem. Jest tak silny, że się zataczam, a on pcha mnie do tyłu, aż uderzam plecami w ścianę sypialni. Ujmuje w dłonie moją twarz, pieści palcami skórę i zanurza je we włosach. Usta ma jędrne, zachłanne i silne. Cudowne. Oddaję mu się bez reszty, moje ciało drży pod jego dotykiem. Czuję jego gniew. Nie wiem, dlaczego się nie odsuwam. Wiem, że powinnam, wiem, że to nie powinno być się wydarzyć, ale jest w tym wszystkim coś tak hipnotyzującego, że nie potrafię przestać. Kładzie mi rękę na plecach i na ułamek sekundy przyciąga mnie do siebie.

I nagle przestaje.

Tak po prostu. Odrywa usta od moich warg, wypuszcza mnie z objęć i robi krok do tyłu. Wszystko kończy się równie nagle, jak się zaczęło.

– Cholera – szepcze tak cicho i łagodnie, że to jedno słowo wydaje się idealnym podsumowaniem tego, co właśnie się wydarzyło. Ja myślę dokładnie to samo.

„Cholera”.

Los Angeles Angels of Anaheim – drużyna baseballowa
[przyp. tłum.]. [\[wróć\]](#)



Tyler patrzy mi w oczy. Moje są szeroko otwarte, pełne zdumienia i zaskoczenia, ale ciepłe. Jego są inne. To rozległy ocean tysiąca emocji, które zmieniają się tak szybko, że za nimi nie nadążam. I nagle rozszerzają się pod wpływem tej najmroczniejszej – wściekłości.

– Idę do Rachael – bąka. Zapina kurtkę, przeczesuje dłonią włosy i odwraca się ode mnie. W ciągu zaledwie kilku sekund opuszcza pokój i ani razu nie ogląda się za siebie. Nie dbam o to. Jestem zbyt oszołomiona, by się tym przejmować.

Nie ma logicznego wytłumaczenia na to, co się właśnie wydarzyło, a Tyler najwyraźniej nie zamierza się nad tym zastanawiać. Mam wrażenie, że stoję pod ścianą całą wieczność. Z odrętwienia wyrywa mnie dopiero trzask zamykanych drzwi.

W głowie mam gonitwę myśli, serce wali mi jak oszalałe, a gdzieś w tym wszystkim, powoli, ale nieubłaganie dociera do mnie jedno. Właśnie całowałam się z Tylerem.

Moim przyrodnim bratem. Właśnie całowałam się ze swoim przyrodnim bratem. Kolesiem, który doprowadza mnie do szału i który podnosi mi ciśnienie za każdym razem, kiedy go widzę. Gościem, który ma dziewczynę. Dziewczynę, która – tak się składa – jest moją przyjaciółką.

„Co z tobą, Eden?”

Żółć podchodzi mi do gardła i zakrywam dłonią usta. Czuję, że zaraz zwymiotuję, broda mi drży, jakbym miała się rozplakać i biorę głęboki oddech. Może go pocałowałam, ale on odwzajemnił pocałunek. I to jak!

Wracam myślami do Rachael i Meghan, które organizują imprezę w domu naprzeciwko. Imprezę, na której miałam się pojawić piętnaście minut temu. Muszę tam iść i udawać, że nic się

nie stało.

Muszę wyglądać jak zwykła dziewczyna, która nie całowała swojego przyrodniego brata.

Wypuszczam powietrze i nakazuję sobie wziąć się w garść. Przynajmniej do końca wieczoru. Chociaż wątpię, żeby mi się udało, zwłaszcza że Tyler też tam będzie. Mam z nim rozmawiać? Zapytać, co, do cholery, wydarzyło się między nami? Ignorować go? Sama już nie wiem.

Potykając się, wracam do pokoju, patrzę na swoje lustrzane odbicie, sięgam po torebkę i szykuję się na najgorsze. Przynajmniej Tyler poszedł prosto do Rachael i darował sobie spotkanie z Declanem – jeśli spróbuję z nim porozmawiać, nie będzie pod wpływem narkotyków.

Schodzę po schodach i zapasowym kluczem zamykam drzwi domu. Oddycham głęboko. Słyszę muzykę, od której wibruje powietrze, i wiem, że z czasem, w miarę jak ludzie będą coraz bardziej pijani, stanie się jeszcze głośniejsza.

Kiedy przechodzę przez ulicę, pod domem Rachael parkuje samochód pełen zupełnie obcych kolesi. Oni najwyraźniej nie mogą powiedzieć tego samego o mnie, bo pierwszy, który wysiada z samochodu, ze skrzynką piwa, patrzy na mnie i mówi:

– Ty jesteś Eden, tak?

– Tak – potwierdzam. Nie zatrzymuję się, po prostu zwalniam. Nie jestem w nastroju do udzielania się towarzysko.

– Słyszałem o tobie – mówi tamten z uśmiechem.

Kopnięciem zamyka drzwi samochodu, wkłada skrzynkę pod pachę i wyciąga w moją stronę wolną rękę. – Siostra Tylera, tak?

Omam nie wymiotuję. Słowo „siostra” sprawia, że czuję do siebie odrazę i wstyd mi za kazirodczy czyn, którego się dopuściłam. Jestem niemal pewna, że coś takiego jest nielegalne albo niemoralne. Bąkam jedynie „przyrodnia”, kiwam głową i idę dalej. Kiedy otwieram drzwi, zalewa mnie fala muzyki, która przynajmniej zagłusza myśli kłębiące się w mojej głowie.

– Gdzieś ty się podziewała, do cholery? – krzyczy z pokoju gościnnego Rachael i macha do mnie szklanką. Zastanawiam się,

co pije. Kiedy podchodzi do mnie i otwiera usta, wyczuwam w jej oddechu alkohol.

– Ludzie zaczynają się schodzić, a ty pojawiaasz się dopiero teraz? Meg wszędzie cię szuka.

– Przepraszam – mówię. To wszystko, na co mnie stać. –
Gdzie ją znajdę?

– Robi drinki. – Rachael kiwa głową w rytm muzyki i uśmiecha się od ucha do ucha. Podejrzewam, że zaczęła pić, gdy tylko Tiffani i ja rozeszliśmy się do domów. – Weź sobie jednego!

Na szczęście nie ma za dużo ludzi i, dzięki Bogu, większość z nich nadal jest trzeźwa. Reszta zjawi się w ciągu nadchodzącej godziny. Teraz, kiedy jeszcze są spokojni i wyluzowani, mogę im się lepiej przyjrzeć. W kuchni znajduję Meghan. I, niestety, Tiffani. Znowu czuję w ustach ohydny smak żółci.

– W końcu! – sarka Meghan i biegnie ku mnie w podskokach, potrząsając grzywą ciemnych włosów. Wygląda na to, że ona również pije dłużej niż od dwudziestu minut. Obejmuje mnie, na co Tiffani przewraca oczami. Czując na sobie jej spojrzenie, pospiesznie odwracam wzrok. – Masz, weź! – Wciska mi w dłoń drinka, a sama sięga po kolejną szklaneczkę.

– Co to? – pytam.

– Nie wiem.

Gdy do kuchni wchodzi kolesie z samochodu, Meghan instruuje ich, gdzie zostawić alkohol. Kątem oka dostrzegam uśmiechającą się do mnie Tiffani.

Z kieliszkiem wina lawiruje między ludźmi. W białej sukience, której tył sięga niemal podłogi, wygląda oszalamiająco.

– Rachael i Meg doprowadzają mnie do szału – rzuca lekko i chichocze. – Są kompletnie wstawione.

– Właśnie widzę – mówię bez entuzjazmu. Nie mogę spojrzeć jej w oczy, ale znajduję w sobie siłę, żeby zapytać: – Tyler już przyszedł?

– Chce chyba pobić rekord w picciu piwa – rzuca z dezaprobatą i wygląda przez kuchenne okno. Kiedy słyszę, jak o nim mówi, ogarnia mnie jeszcze większe poczucie winy, do tego

stopnia, że mam wrażenie, iż zaraz się rozplączę. – Czekam, aż będzie miał dość i tu wróci.

Patrzę w okno i dostrzegam dwóch gości, wokół których walają się puszki po piwie. Jeden z nich to Tyler, drugiego pierwszy raz widzę na oczy. Obserwuję, jak Tyler kluczykami do samochodu robi dziurę w puszcze, przytyka do niej usta i opróżnia ją w ciągu kilku sekund. W ten sposób, jedno za drugim, kończą swój żywot kolejne piwa.

– Och. – Wzdrygam się. Skupiam wzrok na Tiffani i staram się ignorować poczucie winy, które siłą wdziera się do mojej głowy. Całowałam jej chłopaka. Słowa wracają do mnie jak bumerang, bez końca, jakbym wciąż nie miała świadomości tego, co się stało. – To chyba nie wyjdzie im na dobre?

– Raczej nie – przyznaje, wzruszając ramionami. Upija łyk wina, marszczy nos, a zaraz potem się krzywi. Jestem zaskoczona, że pije wino. To równie wytworne jak jej sukienka i razem z nią tworzy elegancką aurę, z którą nie mogę rywalizować. W porównaniu ze mną wygląda jak dojrzała kobieta. – Jest taki irytujący. Po co tam stoi i się upija? Powinien być tutaj, razem ze mną.

Myślę, że wiem, dlaczego Tyler rujnuje sobie wątrobę i jest na skraju zatrucia alkoholowego. Jeśli ma w głowie taki mętlik jak ja, to tylko alkohol może sprawić, że przestanie myśleć. Sama chętnie bym się napiła, ale boję się, że zwymiotuję, więc posyłam Tiffani nieszczery uśmiech i trzymając szklanekę, którą wręczyła mi Meg, wychodzę z kuchni. Nie mam ochoty pić, udzielać się towarzysko ani tańczyć, tak więc przy pierwszej lepszej okazji pozbywam się drinka i zamiast tego skupiam się na Rachael. Jest zbyt szczęśliwa, zbyt napalona i zbyt zdezorientowana. Zupełnie jakby alkohol dostał się prosto do jej krwiobiegu. I tak oto na kolejną godzinę zamieniam się w opiekunkę do dzieci.

– Jestem zupełnie trzeźwa, Eden – powtarza żałośnie, gdy po raz setny podnoszę ją z podłogi. Próbuje utrzymać równowagę w butach na platformie, jednak co kilka minut pada jak kłoda.

Pomagam jej wstać i przewracam oczami, gdy odprawia

mnie machnięciem ręki.

– Oczywiście, że jesteś trzeźwa.

– Zajmę się nią – słyszę za plecami czyjś głos. Chwilę później ktoś wyciąga do pijanej dziewczyny rękę i podtrzymuje ją, zanim znowu zdąży się przewrócić.

– Trevor! – piszczy Rachael. Zarzuca mu ręce na szyję i zasypuje go pocałunkami. Trevor unosi kciuk, żeby pokazać mi, że wszystko w porządku, i od tej chwili mogę jedynie się o niego modlić. Tego wieczoru Rachael zachowuje się koszmarnie.

Uwolniona od obowiązków anioła stróża lawiruję między ludźmi, żeby przebić się przez tłum – przyszli już chyba wszyscy goście, bo nagle w domu robi się tłoczno i duszno – ale czyjaś potężna sylwetka staje mi na drodze. To Jake, ze swoimi głupimi oczami, głupimi włosami i głupim uśmiechem.

– Gdzie byłaś, nieznajoma? – chichocze, obejmuje mnie ramieniem i upija łyk piwa. Delikatnym szarpnięciem przyciąga mnie do siebie. – Dzwoniłem do ciebie przez cały tydzień.

Rzeczywiście, przez cały tydzień ignorowałam jego telefony i SMS-y. Nie mogłam przestać myśleć o tak zwanych lodach Maxwella.

– Przepraszam, byłam zajęta – kłamię, bo tak naprawdę czytałam książki i ćwiczyłam. I całowałam się ze swoim przyrodnim bratem. – Kiedy przyjechałeś?

– Dwadzieścia minut temu! – Stara się przekrzyczeć muzykę; głos ma donośny, czysty i denerwujący. Pochyla się nade mną i unosi kąciki ust. Jego oddech łaskocze moją skórę, kiedy zbliża usta do mojego ucha. – Pamiętaj, że moi starzy w czwartek wyjechali z miasta – mruczy niewyraźnie. – Możesz wrócić ze mną. Zostać u mnie na noc.

Słyszałam na jego temat wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że lepiej trzymać się od niego z daleka. Nie mam zamiaru być kolejną dziewczyną, którą doda do swojej listy.

– Nie, dzięki – mówię z uśmiechem. Może jeśli łagodnie mu odmówię, odpuści sobie. – Mieszkam parę metrów stąd, więc łatwiej mi będzie wrócić do domu.

W pierwszej chwili wydaje się podenerwowany, ale zaraz się uspokaja.

– Cóż, przynajmniej się ze mną pobaw. Przyniosę ci drinka.

– Nie mam ochoty na drinka – oświadczam bardziej stanowczo, niż kiedy rozmawiałam z Tiffani. Jestem zbyt rozkojarzona, zbyt zdezorientowana i zbyt zła na samą siebie, żeby silić się na serdeczność. – Przepraszam, Jake, jestem trochę przeziębiona. Nie mam dziś nastroju. – Poniekąd jest to prawda i tylko w ten sposób mogę się go pozbyć.

– Jak sobie chcesz. – Wzrusza ramionami, pociąga łyk piwa i odchodzi.

Ludzie wokół mnie są coraz bardziej pijani, a im bardziej się zataczają, tym bardziej kleją się do siebie. Nigdzie nie widzę Rachael i Trevora, ale domyślam się, gdzie się zaszyli.

Tak więc, kiedy oni siedzą na górze zajęci tym, czym zwykle zajmują się na imprezach, ja biorę na siebie obowiązki pani domu, bo chyba jestem jedyną trzeźwą osobą w całym tym towarzystwie. Wyciągam z wanny nieprzytomną dziewczynę, ścieram z podłogi rozlany alkohol, przynoszę wodę kolesiowi, który wymiotuje w ogrodzie za domem. Dzięki temu mogę zapomnieć o tym, co wydarzyło się między mną i Tylerem.

Aż do czasu, gdy widzę go pierwszy raz od trzech godzin.

Zbieram plastikowe kubki, porozrzucane u podnóża schodów, gdy potykając się, przechodzi obok mnie. Jest kompletnie zalany, w jego żyłach zamiast krwi płynie alkohol. Pochyla się, upada na kolana i przyciska dłonie do podłogi. Przez długą chwilę gapi się na własne ręce, kołysząc głową na boki.

Podchodzę do niego. Nie bardzo wiem, co mam robić. Zaczynam więc od początku i ze spokojem wymawiam jego imię. Głos więźnie mi w gardle, ale nawet w tym stanie mnie słyszy. Podnosi wzrok i spogląda na mnie. Powieki ma ciężkie, źrenice rozszerzone, wzrok zmęczony i rozbiegany. Jego oczy są ciemne.

– Skarbie – słyszę za plecami uspokajający głos Tiffani. Chwilę później staje przede mną, bierze go pod rękę i próbuje postawić na nogi. On jednak osuwa się na ziemię, lewym

policzkiem szorując po ścianie, podczas gdy ona bezskutecznie próbuje go przytrzymać. – Tylerze – rzuca wściekle. On jednak ją ignoruje, zbyt pijany, by cokolwiek do niego dotarło. Tiffani zarzuca sobie na szyję jego ramię i pomaga mu usiąść na schodach. I nagle wymierza mu policzek. – Wytrzeźwiej – prycha. – Jesteś koszmarny.

Nigdy nie widziałam go tak pijanego i ona chyba też. Jest wyraźnie poirytowana. Ze świstem wypuszcza powietrze i ujmuje w dłonie jego twarz, robiąc wszystko, żeby trzymał prosto głowę. Powieki mu opadają.

Tiffani marszczy czoło i zerka na mnie przez ramię.

– Ella mnie zabije, jeśli wróci do domu w takim stanie – mruczy i kręci głową z obrzydzeniem. Tyler mruczy coś pod nosem, ale jego słowa nie mają sensu. – Zabiorę go do siebie.

Kiwam głową, podczas gdy Tyler ześlizguje się ze schodów i ląduje na podłodze.

– Dlaczego jest taki pijany? – pytam.

– Nie chciał odpuścić – tłumaczy Tiffani. Mimo iż piła wino, jest w miarę trzeźwa. Klęka obok Tylera, chwytając go za ramiona i próbuje podnieść do pozycji siedzącej. – W pewnym momencie wypił chyba z sześć kieliszków z rzędu. – Sprawia wrażenie bezsilnej, gdy próbuje oprzeć go o ścianę, a palce Tylera wczepiają się w materiał jej białej sukienki. – Zwykle wie, ile może wypić. To takie żenujące.

– Przyniosę wody – proponuję i czym prędzej idę do kuchni. Kiedy stoję przy zlewie i napełniam szklankę, nie mogę pozbyć się uczucia, że Tyler celowo doprowadził się do takiego stanu. Jest tylko jeden powód, dla którego mógł to zrobić: przez to, co zaszło między nami. To moja wina.

Zakręcam wodę, odwracam się i wpadam na Deana.

– Dobrze zobaczyć kogoś trzeźwego – mówi, wskazując głową szklankę, którą trzymam w ręce. On ma w dłoni piwo.

– To dla Tylera – tłumaczę. – A ty, jak się czujesz?

– Jestem trochę wstawiony – przyznaje nieśmiało i drapie się po głowie. – Ale Tyler jest nieprzytomny – dodaje, wzruszając

ramionami.

– Wiem – mówię tym samym beznamiętnym tonem, którym zwracam się do ludzi przez cały wieczór. – Miłej zabawy, Dean. – Mijam go, przeciskam się między gośćmi oraz pustymi skrzynkami po piwie i wracam na korytarz.

Tiffani siedzi pod ścianą z głową Tylera na kolanach i rękami skrzyżowanymi na piersi. Nie potrafię powiedzieć, czy Tyler śpi, czy może nie żyje. Podaję jej szklanekę.

– Dzięki – mówi i widać, że naprawdę jest mi wdzięczna. – Robi ze mnie idiotkę, więc najlepiej będzie, jeśli go stąd zabiorę. Nie chcę, żeby inni widzieli go w takim stanie.

– Przykro mi, że zepsuł ci wieczór. – Sama nie wiem, dlaczego przepraszam ją w imieniu Tylera. Może dlatego, że to przeze mnie tak się upił.

– Zawsze psuje mi zabawę. – Wzdycha i gdy Tyler podnosi rękę, żeby dotknąć jej brwi, odsuwa ją od siebie. Tyler mamrocze coś pod nosem. – Jesteś takim dupkiem, Tylerze – zwraca się do niego. – Wiesz o tym, prawda?

– Tiffani?

Podnosi na mnie wzrok. Twarz ma napiętą i widać, że jest na niego wściekła.

– Tak?

– Rano, kiedy się obudzi... – zaczynam i patrzę na Tylera. Przewraca się na bok, oczy ma zamknięte, ale usta rozchylone. – Możesz mu powiedzieć, że muszę z nim porozmawiać?



W poniedziałek wypada czwarty lipca. Najważniejsze święto narodowe, kiedy sztuczne ognie widać wszędzie, a człowiek ma wrażenie, że populacja miast wzrasta dwukrotnie, bo tysiące ludzi wylegają na ulice, żeby wziąć udział w obchodach. Nie wiem, jak mieszkańcy Los Angeles świętują Dzień Niepodległości, ale w Portland idziemy na Waterfront Blues Festival, żeby zobaczyć fajerwerki nad rzeką Willamette. Przed wyjściem do pracy ojciec doradza mi wybranie się na pokaz sztucznych ogni w Culver City, ale wątpię, żeby tutejsza parada przebiła te w Portland.

– Jeśli chcesz, możesz pojechać z nami zobaczyć paradę na Main Street – proponuje Ella, kiedy wchodzę do kuchni w piżamie. Chase i Jamie siedzą przy stole. Chase, ze wzrokiem utkwionym w telewizorze, wpycha do ust kawałki bekonu, podczas gdy Jamie wsypuje do talerza płatki śniadaniowe.

Dziwnie się czuję, kiedy zostaję w domu z Ellą i chłopcami, bo trzy tygodnie temu ci ludzie byli mi zupełnie obcy, a teraz mam traktować ich jak drugą rodzinę i czuć się swobodnie w ich towarzystwie. Cóż, nie potrafię, tak więc jedyne, co mogę zrobić, to udawać.

– Dobrze – zgadzam się. – Tyler już wrócił?

Nie widziałam go od sobotniej imprezy. Wyszłam zaraz po tym, jak Tiffani wepchnęła go nieprzytomnego do czyjegoś samochodu. Nie było sensu siedzieć tam dłużej. Wróciłam do domu, położyłam się i zasnęłam, zanim ojciec i Ella wrócili do domu. Nie wiem, czy zauważyli imprezę po drugiej stronie ulicy, ale jeśli tak było, nie wspomnieli o tym ani słowem. Zapytali mnie tylko, gdzie jest Tyler, więc powiedziałam, że spędził noc u Tiffani. Słyszając to, Ella się skrzywiła.

– Tak – mówi, pobrzękując naczyniami w zlewie. – Ubiegłej

nocy wrócił do domu. Chyba jeszcze śpi.

Nie słyszałam, jak wrócił, i prawdę mówiąc, jestem trochę zaskoczona. Musiał spędzić u Tiffani cały dzień, próbując zaleczyć kaca. Może dziś, w końcu, będę miała okazję porozmawiać z nim o tym, co wydarzyło się w sobotę. Nie mogę dłużej udawać, że nic się nie stało. I nie mogę tak po prostu o tym zapomnieć.

– On też pojedzie z nami na paradę? – pytam, siląc się na swobodę, bo nie chcę, żeby pomyślała, że się o niego martwię. Nie wyobrażam sobie, jak zareagowałiby ojciec i Ella na wiadomość o tym, co się stało. Zachowuję się więc nonszalancko i siadam przy stole obok Chase’a.

– Nie sądzę – mówi Ella. Wyciąga korek ze zlewu i wyciera ręce w mały kuchenny ręcznik. – Chyba pozwolę mu się wyspać.

Parada zaczyna się o dziewiątej trzydzieści. To wcześniej, niż się spodziewałam, ale mam dwadzieścia minut, żeby się przygotować, zanim ja, Ella i moi dwaj bracia przyrodni wyjdziemy z domu, a tymczasem trzeci wyśpi się w pokoju za ścianą. Staram się nie myśleć o nim za wiele.

Zamiast tego próbuję wypatrzeć dla Elli miejsce parkingowe, co w tej sytuacji graniczy z cudem. Ulice pełne są samochodów i ludzi, a na straganach stojących dziś na każdym rogu można kupić amerykańskie flagi. Ostatecznie parkujemy dziewięć przecznic dalej i docieramy na Main Street piechotą. Ulica jest wyłączona z ruchu, na chodnikach tłoczą się ludzie z pomalowanymi twarzami i flagami w ręku. Nasza czwórka znajduje miejsce na końcu ulicy i gdy parada maszeruje obok nas, widzimy ją jak na dłoni. Są tu konie, orkiestry, staromodne wozy policyjne, ludzie ze sztandarami, wozy strażackie, uliczni artyści, ruchome platformy – tyle wszystkiego, że pod koniec mam już dość patrzenia na kolory: czerwony, niebieski i biały. Uważam jednak, że jest to miły początek dnia, i w ciągu dwóch godzin przekonuję się, jak mieszkańcy Santa Monica celebrują to doniosłe święto. Mimo to jestem zdania, że w Portland Dzień Niepodległości obchodzi się z większą pompą, i żałuję, że mnie tam nie ma. Mama i Amelia przygotowują się pewnie do pójścia nad rzekę, gdzie odbędą się

koncerty rozmaitych zespołów.

Tłumy zaczynają się rozchodzić i Ella uznaje, że najlepiej będzie zaczekać w centrum, aż wszyscy rozjadą się do domów. Dla zabicia czasu idziemy na lunch do małej kafejki. Chase wlecze za sobą flagę, a ja wyglądam jak adoptowane dziecko. Ella i chłopcy mają jasne włosy, ja jestem brunetką.

– Tata mówił ci o fajerwerkach dziś wieczorem? – pyta Ella, kiedy kończymy zamawiać sandwicze. Opiera łokcie o blat stołu, splata ręce i uśmiecha się do mnie.

– Tak – mówię. – Gdzie dokładnie jest Culver City?

– Jakies dwadzieścia minut drogi stąd. W Santa Monica nie ma fajerwerków od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku – ciągnie, kręcąc głową – więc zwykle jeździmy do Marina del Rey, ale w tym roku tam też nie ma pokazu. Słyszeliśmy jednak, że sztuczne ognie w Culver City naprawdę robią wrażenie.

– A Tyler jedzie? – Mówiąc to, spuszczam wzrok. – To znaczy, jedziemy wszyscy, tak? – szybko dodaję, bo zdaję sobie sprawę, że moje pytanie może budzić podejrzenia.

– Oczywiście. Cieszysz się, Chase? – Ella z dumą uśmiecha się do syna. Kiedy chłopiec entuzjastycznie kiwa głową, uświadamiam sobie, że nigdy nie widziałam, żeby patrzyła tak na Tylera. Nagle robię się niespokojna i jest mi smutno. To tylko lekkomyślny dzieciak, który robi wszystko, żeby matka nie mogła być z niego dumna. Szkoda, że nie jest inny.

Po lunchu odwiedzamy kilka sklepów i wczesnym popołudniem wracamy do domu. Tyler jest już na nogach. Wiem to, bo słyszę, jak krząta się po pokoju, jak wybija stopami jednostajny rytm. Zupełnie jakby chodził w tę i z powrotem.

Ja tymczasem szykuję się na wieczór. Biorę prysznic, a potem zamknięta w pokoju dobieram strój, czekając, aż wyschną mi włosy. Włączam muzykę i nasłuchuję, kiedy Tyler zapuka w ścianę, każąc mi ją ściszyć, ale nic takiego się nie dzieje.

W końcu jednak suszę włosy i schodzę na dół po coś do picia. Przed wyjściem sprzątam pokój i wyłączam muzykę.

Nie wiedzieć czemu, w domu panuje dziwna cisza. Zastanawiam się, czy wszyscy wyszli, ale kiedy docieram do holu, coś w kuchni zwraca moją uwagę. To Ella i Tyler. Nie przygotowują jednak jedzenia ani nie rozmawiają. Nic z tych rzeczy. Podkradam się do drzwi, wyglądam zza rogu i w milczeniu patrzę na tych dwoje.

Tyler wtula twarz w szyję Elli. Ona otacza go ramionami. Ma zamknięte oczy i opiera brodę na barku syna. Jego ręce zwisają wzdłuż ciała, ramiona ma przygarbione i oddycha ciężko. Słyszę westchnienia, ktoś pociąga nosem i nie wiem, czy jedno z nich płacze, czy oboje. Ella tuli go do siebie. Tuli go tak, jakby od tego zależało jej życie.

– Rozumiem – szepcze drżącym głosem. – Masz prawo tak się czuć, Tylerze. Masz do tego wszelkie prawo. Czasami człowiek może mieć dość.

To oczywiste, że coś jest nie tak. Po prostu nie wiem co. Czekam, aż Tyler się odezwie, ale on milczy. Słyszę jedynie szcęk otwieranych drzwi i głos ojca:

– Zgadnijcie, kto wrócił wcześniej do domu?

Tyler odskakuje od Elli jak oparzony, podnosi głowę i idzie na drugi koniec kuchni. Wypuszcza powietrze i obiema dłońmi przeczesuje włosy. Oczy ma zapuchnięte. Pospiesznie otwiera drzwi na patio i wychodzi do ogrodu.

Ella dotyka dłonią piersi i odprowadza go wzrokiem. Usta jej drżą. Zaraz się jednak uspokaja i zanim ojciec zdąży ją zobaczyć, zaczyna krzątać się przy ekspresie do kawy.

– Podobała ci się parada? – Prostuję się, słysząc pytanie. Kaszlę i kiwam głową, kiedy mijając mnie, poluzowuje krawat. Uśmiecha się i wchodzi do kuchni, witany promiennym uśmiechem swojej nowej żony.

Zastanawiam się, czy wie, że jest sztuczny.

* * *

– Pojedziemy wszyscy jednym samochodem – oznajmia ojciec, kiedy dwie godziny później jesteśmy gotowi do wyjazdu do

Culver City. – Z tyłu są tylko trzy miejsca, więc będziecie musieli się ścisnąć. Chase, masz się schylić, gdybyśmy natknęli się na gliny.

Tyler splata ramiona, przewraca oczami i opiera się o ścianę. Znowu jest sobą. Uśmiecha się z wyższością i patrzy na wszystkich wyzywającym wzrokiem. Wciąż jestem ciekawa, co takiego wydarzyło się wcześniej. Pytania kłębią się w mojej głowie, ale wiem, że nie mogę ich zadać. To nie moja sprawa.

– Dlaczego nie mogę pojechać swoim samochodem? – pyta.

– Bo masz szlaban i nie dostaniesz swojego samochodu – rzuca ojciec, ledwie na niego zerkając. – Ty i Eden będziecie mieli telefony, żebyśmy mogli się z wami skontaktować po pokazie. Jamie i Chase, wy zostanieie z nami.

– To już koniec idiotycznych wywodów Dave’a? – mruczy Tyler i zadowolony z siebie uśmiecha się pod nosem. Złośliwy uśmieszek niemal nie schodzi mu z twarzy.

Na ojcu jego uwagi nie robią wrażenia.

– Po prostu wsiadajcie do samochodu – rzuca zwięźle.

Tyler śmieje się, kiedy idziemy do range rovera i wszyscy czworo pakujemy się na tylną kanapę. Jesteśmy tak ściśnięci, że nie mamy jak zapiąć pasów. Siedzę między Chase’em a Tylerem i, chcąc nie chcąc, napieram na niego. Ja patrzę na swoje stopy, podczas gdy on wygląda przez okno. Pod wpływem dotyku jego ciepłej skóry włoski na rękach stają mi dęba. Zagryzam wargi, żeby nic nie mówić, ale kiedy w połowie drogi zerkam na jego buty, czuję, że muszę coś powiedzieć. Ma na nogach conversy. Tak jak ja.

– Nie wiedziałam, że nosisz conversy. – Staram się mówić jak najciszej, żeby zajęci rozmową ojciec i Ella mnie nie usłyszeli.

– Taa – potwierdza i zerka na mnie kątem oka.

To wszystko, co mówimy do siebie w drodze do Culver City. Ruch jest niewiarygodny, tak więc tkwimy w korku przez czterdzieści minut, aż w końcu zatrzymujemy się przed miejscowym liceum. Jak się okazuje, to tu odbywa się pokaz fajerwerków. Ella miała rację, mówiąc, że do Culver City zjadą

prawdziwe tłumy. Musimy zapłacić, żeby dostać się na szkolny parking, i drugi raz, żeby wejść na teren imprezy. Przynajmniej nie zostaliśmy zatrzymani za nieprzepisową liczbę osób w samochodzie.

– Możecie poszukać przyjaciół. – Ella zwraca się do mnie i Tylera, kiedy wchodzimy do budynku i, podążając za oznaczeniami, kierujemy się na szkolne boisko. – Gdybyśmy nie mogli was znaleźć, zadzwonimy.

– I zachowujcie się – dodaje ojciec, ale patrzy wyłącznie na Tylera. Bo tylko o niego się martwi. Bo Tyler jest nieprzewidywalny i lekkomyślny.

– Tak, tak, jasne – mruczy mój przyrodni brat i machnięciem ręki odprawia naszych rodziców. Przyspiesza kroku, żeby czym prędzej uwolnić się od nich, lawiruje między ludźmi i chwilę później znika w tłumie.

– Wiem, że gdzieś tu jest Meghan – zwracam się do ojca, ale patrzę przed siebie, wyglądając w tłumie głowy Tylera. – Pójdę jej poszukać.

– Uważaj na siebie – ostrzega i kiwa głową, dając znać, że mogę iść.

Odwracam się na pięcie i niemal biegnę w kierunku, w którym chwilę temu poszedł Tyler. Rozbrzmiewające w oddali dźwięki orkiestry sprawiają, że czuję się jakbym szła na mecz. Co poniekąd jest prawdą.

Pokaz odbywa się nad boiskiem do futbolu i kiedy docieram do wyjścia, na trybunach i płycie boiska są już tysiące ludzi. Na bieżni znajdują się stoiska z jedzeniem i w miarę jak dzień chyli się ku zachodowi, tłum gęstnieje. Nie ma szans, żebym znalazła Meghan.

Gdziekolwiek spojrzę, widzę spacerujące rodziny z dziećmi, pary w podeszłym wieku i studentów. Są i tacy, którzy dla wygody rozłożyli na płycie boiska krzesła i koce. Ja jestem zupełnie sama i zaczynam żałować, że nie zostałam z ojcem, Ellą i chłopcami.

– Nie sądziłem, że pójdziesz dokądkolwiek sama. – Gdzieś obok mnie rozlega się głos, który próbuje przekrzyczeć orkiestrę i

gwar rozmów. To uśmiechnięty Tyler, który gapi się na mnie z nieskrywanym zainteresowaniem. – Teraz możemy porozmawiać.

– Teraz? – powtarzam z niedowierzaniem. Ze wszystkich miejsc wybrał właśnie to, pękający w szwach szkolny stadion w czasie obchodów Dnia Niepodległości.

– Nie tutaj – mruczy, patrząc ponad moją głowę na murawę, ludzi i stragany. – Chodź. – Opuszcza głowę, odwraca się i kieruje tam, skąd przyszedł, podczas gdy ja depczę mu po piętach.

Schodzimy z boiska w stronę budynku szkoły, przepychając się między ludźmi. Serce podchodzi mi do gardła, kiedy przekraczamy szkolny próg. Nie wiem, czy jest na mnie zły ani czy będzie chciał wysłuchać moich przeprosin, i na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

Jestem tak zdenerwowana, że prawie nie zauważam, jak skręca w korytarz opatrzony znakiem ZAKAZ WSTĘPU. Tylko niektóre korytarze są otwarte, by umożliwić gościom wyjście na boisko; pozostała część szkoły jest zamknięta. Jednak Tyler lekceważy te zasady, a mnie jest tak niedobrze, że nawet nie zamierzam się z nim kłócić. Niebawem docieramy do końca korytarza i Tyler się zatrzymuje.

Hałas z zewnątrz jest tu prawie niedosłyszalny, a ponieważ światła na korytarzach są zgaszone, jedyną rzeczą, która rozświetla twarz Tylera, są wpadające przez okna promienie zachodzącego słońca. Widzę stąd stadion, ale nie on mnie interesuje. Interesuje mnie człowiek, który stoi przede mną.

Przez chwilę gapi się w ścianę, a kiedy odwraca się w moją stronę, wszelkie zadowolenie znika z jego twarzy. Na szczęście wzrok ma łagodny. Przełyka z trudem i pyta:

– Co, do diabła, wydarzyło się w sobotę?

– Nie wiem – przyznaję. Głos więźnie mi w gardle, żołądek ściska się w supeł. – Przepraszam. Wkurzałeś mnie, a ja nie chciałam, żebyś znowu kupował narkotyki i... dlatego to zrobiłam. Ja... nie chciałam. Przepraszam, dobrze? To takie dziwne i na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. Dlatego musimy udawać, że nic się nie wydarzyło.

Patrzy na mnie i oblizuje wargi.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo.

– Co? – Teraz, kiedy wyrzuciłam z siebie to, co tak bardzo ciążyło mi na sercu, czuję się nieco spokojniejsza. To znaczy, do chwili, gdy spogląda na mnie tak, jak nigdy dotąd. Pod tym spojrzeniem moje ciało zaczyna płonąć, zupełnie jak wtedy, w sobotę.

– Odwzajemniłem twój pocałunek – stwierdza. – I nie zamierzam za to przeproszać.

– Dlaczego?

Dostrzegam błysk w jego oczach, kiedy zastanawia się, czy odpowiedzieć na moje pytanie. Jest w nich spokój i opanowanie, ale gdy się odzywa, głos ma szorstki.

– Bo dokładnie wiedziałem, co robię.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Mój głos przypomina szept. Serce obija się o żebra, powodując ból w klatce piersiowej, a węzeł w żołądku jeszcze bardziej się zaciska.

– Bo cholernie chciałem to zrobić – warczy. Odwraca się do mnie plecami, wzdycha i przyciska dłoń do ściany.

– Chciałeś? – powtarzam. Mam mętlik w głowie. Jeszcze nigdy nie było mi tak niedobrze. – Co masz na myśli?

– Chcesz poznać prawdę? – Potakuję, chociaż na mnie nie patrzy. Wbija wzrok w podłogę i kręci głową. – Chodzi o to, że cholernie mi się podobasz. Rozumiesz, Eden? – Z chwilą, gdy wypowiada te słowa, odwraca się w moją stronę. W jego oczach nie ma już spokoju, szaleje w nich burza. – A wiem, że nie powinnaś, bo jesteś moją cholerną siostrą przyrodnią. Ale nic na to nie poradzę. To głupie jak diabli i wiem, że ty nie czujesz tego samego względem mnie, bo inaczej nie przeproszałabyś mnie za to, co wydarzyło się w tę pieprzoną sobotę. – Urywa i przez ułamek sekundy patrzy w podłogę. – Wolałbym, żebyś nie przeproszała. Bo skoro przeproszasz, to znaczy, że żałujesz.

Jestem tak oszołomiona, że nie wiem, co powiedzieć. Czy to możliwe, że Tyler, chłopak, który odkąd przyjechałam, traktował mnie jak popychadło, w rzeczywistości kocha się we mnie? To nie

ma sensu.

– Myślałam, że mnie nienawidzisz – udaje mi się wydusić, bo tylko to przychodzi mi do głowy.

– Jest wiele osób, których nienawidzę – odburkuje – ale ty do nich nie należysz. Nienawidzę za to tego, że tak bardzo mnie kręcisz.

– Przestań – mówię. Cofam się o krok, macham głową i podnoszę rękę. – Jesteś moim przyrodnim bratem. Nie możesz mówić takich rzeczy.

– Kto wymyśla te idiotyczne zasady, co? – Śmieje się złośliwie, zerka przez okno, a zaraz potem na mnie. – Trzy tygodnie temu nie wiedziałem nawet, kim jesteś. Nie patrzę na ciebie jak na siostrę. Dla mnie jesteś dziewczyną, która niedawno pojawiła się w moim życiu. Więc jak, do cholery, można nazywać nas rodzeństwem?

Czuję, że jeszcze chwila i zwymiotuję. Kręci mi się w głowie, dziesiątki pytań zalewają mi umysł.

– Ale przecież masz dziewczynę – szepczę. – Tiffani jest twoją dziewczyną.

– Ale nie chcę, żeby nią była! – krzyczy poirytowany, że w ogóle o niej wspomina. Przeczesuje palcami włosy i szarpie ich końcówki.

– Nie rozumiesz? Nie chcę być z Tiffani. To tylko kolejny sposób na to, żeby nie myśleć.

– O co chodzi z tym twoim niemyśleniem?

– O nic! – wrzeszczy. Wypuszcza powietrze, zaciska usta i mówi, tym razem spokojnie: – Powiedziałem, co chciałem powiedzieć. Wiesz, co o tobie myślę, i dałaś mi do zrozumienia, że nic z tego nie będzie. To tyle z mojej strony. A teraz idź podziwiać pieprzone fajerwerki. – Mija mnie, obiema rękami przeczesując włosy. Żyła na jego szyi pulsuje.

– Zaczekaj – mówię. Oglądam się za nim i widzę, że się zatrzymuje. Nie odwraca się jednak. Po prostu stoi tam, a jego ramiona unoszą się i opadają. – Nie dałeś mi powiedzieć, że ty też mnie intrygujesz.



Pełną napięcia ciszę, która zdaje się trwać całą wieczność, przerywa eksplozja sztucznych ogni. Niebo za oknem zmienia się w płótno pełne kolorowych zawijasów. Tyler i ja obracamy ku niemu twarze. Świetlne refleksy tańczą na naszej skórze. Policzki Tylera emanują delikatnym pomarańczowym światłem, które przygasa, gdy feeria barw za oknem zostaje wessana przez noc. Na jej miejscu pojawia się kolejna, ale Tyler nie wygląda już przez okno. Zamiast na fajerwerkach, skupia się na kolorze moich oczu.

– Intryguję? – powtarza głosem wyschniętym na wiór. – To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

Niebo skwierczy i syczy ku uciesze tłumów. Uniesione twarze ludzi zdają się błyszczyć w ciemnościach. Mamy stąd widok na całą płytę stadionu.

– Ominą nas fajerwerki – mruczę. Brzmi to żałośnie i mam tego świadomość. Nic nie jest w stanie uspokoić mojego galopującego serca.

– Mam gdzieś fajerwerki – sarka Tyler. Głos ma niski, ale unosi go za każdym razem, gdy jego wrogość wobec mnie narasta. – Jaja sobie robisz? Intryguję cię?

Nie wiem, co go tak uraziło. „Intrygujący” brzmi dobrze, „intrygujący” znaczy inny. Nigdy dotąd nie spotkałam osoby, która intrygowałaby mnie tak bardzo.

– Twój mur – szepczę drżącym głosem. Przygryzam wewnętrzną stronę policzka, próbując zapanować nad mową, uspokoić się i sklecić jakieś sensowne zdanie. – Intryguje mnie mur, którym się otoczyłeś.

– Nie wiem, o czym mówisz – warczy. Jabłko Adama unosi się i opada. W jego oczach dokonuje się subtelna zmiana. Dobrze wie, o czym mówię.

– Aż do tej chwili nie miałam o tym pojęcia – ciągnę ze spokojem. Kręcę głową, spuszczam wzrok, a chwilę później patrzę mu w oczy. – Otoczyłeś się murem, który mnie intryguje.

– Wiesz co? – syczy. Zaciska zęby i wysuwa dolną szczękę. – Mam to gdzieś. Myśl sobie o mnie, co chcesz.

– Mam sobie myśleć, co chcę? – Mrużę oczy i wpatruję się w niego, podczas gdy on rozgląda się nerwowo na boki, patrzy na podłogę albo w sufit. Wszędzie, tylko nie na mnie. – A więc myślę, że mnie wkurzasz – mówię. – Myślę, że jesteś aroganckim dupkiem, który nie potrafi być miły, bo słowo „miły” nie pasuje do tego, kogo udajesz.

Ściska palcami grzbiet nosa, przymyka oczy i bierze kilka głębokich oddechów. Jego pierś unosi się, kiedy powietrze wypełnia jego zniszczone płuca. Palenie go niszczy.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Pozwól mi skończyć – przerywam mu. Niepokój ustępuje miejsca podsycanej adrenaliną pewności siebie. – Myślę też, że jesteś palantem. Masz wybujałe ego i wydaje ci się, że jesteś fajny, udając twardziela. Tyle że tak naprawdę wygląda to żałośnie.

Mina mu rzednie, z twarzy znika napięcie, grymas wykrzywia usta.

– Dobra, zrobiłem z siebie idiotę, przyprowadzając cię tu i mówiąc ci, że mi się podobasz. Mogłaś potraktować mnie łagodniej.

– Myślałam, że taki twardziel jak ty zniesie wszystko.

Wciska pięści w kieszenie spodni i odwraca wzrok do okna. Przez krótką chwilę po prostu gapi się w niebo ze smutkiem w oczach. Między kolejnymi fajerwerkami słyszę jego głęboki oddech. Mruga gwałtownie i zerka na mnie przez ramię.

– A ja myślałem, że się domyślisz, że wcale nie jestem twardzielem.

Z chwilą, kiedy wypowiada ostatnie słowo, widzę go w zupełnie innym świetle. Jest bezbronny, a ja miałam rację. Mury, którymi się otoczył, są maską. To wszystko poza, rola, w którą próbuje się wcielić. Chamskie komentarze, uganianie się za Tiffani

i uzależnienia – wszystko to jest nieprawdą. Jest inny, niż to pokazuje. Jest taki, jakim widziałam go dziś w kuchni, kiedy tulił się do Elli. Nie był żadnym twardzielem, tak samo, jak nie był nim wtedy, kiedy żartował z Jamiem. Czasami zrzuca maskę i pokazuje prawdziwą twarz. Kilka razy miałam okazję ją zobaczyć.

Czasami, kiedy wzrok mu łagodnieje, każdy, kto umie patrzeć, może zobaczyć go takim, jaki jest naprawdę. Nie wiem, dlaczego dotarło to do mnie dopiero teraz. To takie oczywiste. Nasze kłótnie, żalosne rozmowy i gniewne spojrzenia wydają się tak... nieuniknione. Zupełnie jakbyśmy nie potrafili przestać, jakby te sprzeczki sprawiały nam radość. Nie wiem, jak to możliwe, ale tak właśnie jest. Szydzymy z siebie, odkąd tu przyjechałam, i kłócimy się, żeby poznać nawzajem swoje słabości. Moją jest brak pewności siebie. Słabością Tylera jest prawda.

A gdzieś pod nimi ukryte jest zauroczenie.

Tyler jest zauroczony mną, a ja nim.

Świadomość tego mrozi mi krew w żyłach i sprawia, że serce bije mi mocniej, kiedy podnoszę na niego oczy. Zupełnie jakbym zobaczyła go po raz pierwszy. Tyle że teraz nie widzę dupka, który niczym huragan wtargnął na grilla, i postrzegam go zupełnie inaczej. Ma hipnotyzujące spojrzenie, idealnie zarysowaną szczękę, a jego pełne usta układają się w krzywy uśmieszek. Jest tyle rzeczy, których chciałabym się o nim dowiedzieć. Przede wszystkim chcę poznać prawdę o nim. Muszę wiedzieć, kim naprawdę jest, a nie kim chce, żebym myślała, że jest. Udaje, jest jak aktor, który wciela się w rolę. Muszę wiedzieć, co dzieje się za kulisami, kiedy przedstawienie dobiega końca i kurtyna opada. Kim wówczas się staje?

Tyler czuje na sobie mój wzrok i wygląda na zakłopotanego.

– Myślę – zaczynam i biorę gwałtowny wdech – że ty też mi się podobasz.

Moje słowa go zaskakują. Powoli odwraca się w moją stronę i wyjmuje ręce z kieszeni. Na jego twarzy maluje się bezbrzeżne zdumienie. Patrzy na mnie z odległości dwóch metrów i zagryza

wargi.

– Naprawdę? – Unosi brew, jakby nie do końca pewny, czy nie prowadzę z nim jakiejś gry.

Prawdę mówiąc, żałuję, że tak nie jest.

Nie powinien pociągać mnie mój przyrodni brat.

– Tak. – Przyznanie się do tego sprawia mi niemal fizyczny ból, choć czuję też ulgę, jakbym w końcu mogła odetchnąć pełną piersią. Nie mogę dłużej patrzeć mu w oczy. – Przepraszam.

– Przestań przepraszać – mówi. Podchodzi do mnie nieufnym, wolnym krokiem i rozwiera zaciśnięte pięści. Szara koszulka ciasno opina jego ciało i łapię się na tym, że analizuję każdy szczegół jego ubioru. Szarą koszulkę, ciemne džinsy i białe conversy, podobne do tych, które sama mam na nogach. – Niczego nie żałuj.

Kiedy odrywam wzrok od podłogi, gdzie jego stopy pojawiły się nagle obok moich, wciągam gwałtownie powietrze, zaskoczona tym, jak bardzo jest blisko. Minę ma posępną, ale oczy patrzą na mnie łagodnie. Za jego plecami niebo eksploduje kolorami tęczy. Tyler podnosi rękę, dotyka mojego łokcia i wodzi palcami po mojej skórze. Kreśląc na niej tajemne wzory, muska mój nadgarstek, by chwilę później delikatnie objąć mnie w pasie.

– Co się dzieje? – szepczę. Atmosfera jest zbyt napięta, by mówić głośniej i czuję, że tracę oddech. Chcę zaprotestować, odepchnąć go, bo wiem, że to, co robimy, jest złe. Ale nie mogę. Nie potrafię, bo lubię czuć na skórze jego dotyk.

Patrzę gdzieś między jego ramieniem a oknem, ale wzrok mam zamglony. Tyler jakby wyczuwał, jak bardzo jestem spięta, bo uspokajająco głaszcze mnie po biodrze. Oddycha powoli, roztaczając wokół siebie zniewalający, czarujący zapach mięty i drewna. Zbliży usta do mojej brody i powoli przesuwając je w stronę kącika ust. Nagle zamiera.

– Pozwól mi się pocałować – mruczy. Kiedy tak czeka w niepewności, czuję na policzku jego gorący oddech.

– Ale jesteś moim przyrodnym bratem – szepczę. Gardło mam wyschnięte na wiór. Głos mi drży i nie potrafię opanować

zdenerwowania.

Czuję, jak przęłyka z trudem.

– Po prostu o tym nie myśl – mówi i przyciska wargi do moich ust.

Tym razem jest jeszcze lepiej niż poprzednio. Usta ma miękkie i wilgotne. Niemal czuję jego niepokój, tak jak on wyczuwa mój. Sztuczne ognie wciąż rozrywają niebo. Chwyta mnie mocniej w pasie i przyciąga do siebie. Nie mam nic przeciwko temu. Lubię to uczucie.

– Hej! – Gdzieś w drugim końcu korytarza rozlega się głos, jednak mój umysł nie zwraca na niego uwagi. Zresztą, nawet gdyby było inaczej, nie przejąłabym się tym. – Przestańcie.

My jednak ignorujemy ów odległy głos; jesteśmy zbyt zajęci sobą, żeby zwracać uwagę na to, co dzieje się dokoła. Rozchyłam usta i czuję, jak ręka Tylera pieści moją szyję. Druga błądzi po moich plecach, przyciskając mnie do niego. To on ma nad wszystkim kontrolę, nad długością pocałunków i ich intensywnością. Ale to również mi nie przeszkadza. A nawet mi się podoba.

Głos w tle przybiera na sile, podobnie jak towarzyszący mu odgłos kroków.

– Wynoście się stąd, zanim aresztuję was za naruszenie cudzej własności.

Ja jednak wciąż jestem zbyt pochłonięta Tylerem. Ciepło emanujące z jego dłoni przenika moją skórę, a pocałunki z gwałtownych i zachłannych stają się coraz głębsze i powolniejsze. Delikatnie ujmuję mnie pod brodę i zadziera moją głowę. Z pewnością nie mam nic przeciwko temu i cholernie podoba mi się to, co robi.

– Dobra, dość tego – nakazuje głos. Nagle, nie wiedzieć czemu, wydaje się przeszywająco głośny i szorstki. Otwieram oczy i pod czujnym spojrzeniem policjanta naprężam się niczym struna. Mężczyzna ma splecione ramiona i wyryty na twarzy grymas niezadowolenia. – Powiedziałem, dość tego!

– Cholera – syczy Tyler i odsuwa się ode mnie. Przeczesuje

palcami włosy i powoli odwraca się w stronę intruza. Zaciska pięści i krzyżuje ramiona. – Jakiś problem?

– Wtargnęliście na teren prywatny – stwierdza rzeczowo funkcjonariusz, taksując nas wzrokiem. Zupełnie jakby odkrył, że w szkolnej stołówce zagnieździły się myszy.

– Wtargnęliśmy? – powtarza pogardliwie Tyler. – Nie ma pan czegoś lepszego do roboty? Może zająłby się pan pijackimi awanturami na boisku? – Wskazuje głową okno, za którym dobiega końca pokaz sztucznych ogni. Fajerwerki są teraz znacznie bardziej okazałe. Bardziej dramatyczne i kolorowe. Na płycie boiska tłoczą się ludzie i policjanci. Wydarzenia takie jak to muszą być nadzorowane przez policję. Tak samo jest w Portland.

– Dość tego – warczy gliniarz. Staje w lekkim rozkroku z rękami na biodrach. – Budynek szkoły jest zamknięty, z wyjątkiem niektórych korytarzy. Wtargnęliście tu i macie szansę odejść dobrowolnie, w przeciwnym razie będę zmuszony użyć siły.

– Użyć siły? – powtarza Tyler.

Robię krok w kierunku, z którego przyszliśmy, ale zatrzymuję się i szarpnię go za koszulkę. Wygląda na to, że nie ma zamiaru nigdzie iść. Wbija wzrok w policjanta.

– Może dać nam pan minutę? – pyta. – Zaraz się stąd wyniesiemy. Chodzi o to, że nam pan przeszkodził.

– Chodź już, Tylerze – mruczę do niego. Od tego całowania brakuje mi tchu, ale to akurat mi nie przeszkadza. Mogłabym tak bez końca.

– Właśnie widzę, że w czymś przeszkodziłem – zauważa gliniarz i patrzy na nas z dezaprobatą. Czuję, że się czerwienię. – Nie mam zamiaru przemawiać wam do rozsądku. Proszę, żebyście wyszli, i oczekuję, że to zrobicie. Nie próbuj marnować mojego czasu, synu.

– To cholerny korytarz – parska Tyler i poirytowany wyrzuca w górę ręce. – Przecież nie buszujemy po Białym Domu. Proszę dać nam pięć minut.

– Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? – pyta policjant, z niedowierzaniem kręcąc głową. – Ojciec nie nauczył cię słuchać

poleceń?

Może niewiele wiem o Tylerze, ale pamiętam, że najmniejsza wzmianka o jego ojcu doprowadza go do szału. I właśnie to dzieje się w tej chwili.

– Jesteś pieprzonym dupkiem czy co? – syczy, wypinając pierś i robiąc krok w stronę funkcjonariusza. Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że go uderzy, ale na szczęście tego nie robi.

– Dość tego – burczy policjant. Sięga do pasa i szarpnięciem wyciąga kajdanki. Ma zakola, przez co widzę każdą zmarszczkę na jego czole. A teraz jest ich tam całe mnóstwo. Jest najwyraźniej zdenerwowany. – Prosiłem, żebyście stąd poszli, ale nie posłuchaliście, a wasze zachowanie jest dalece niestosowne, tak więc aresztuję was zgodnie z paragrafem sześćset dwa.

Tylerowi krew odpływa z twarzy. Zdumiona otwieram usta, jednak w tej samej chwili policjant wbija we mnie wzrok.

– Oboje – dodaje.



Musiałeś się odzywać? – syczę do Tylera. Mówię szeptem w obawie, że wpędzę nas w jeszcze większe tarapaty, na co w tej chwili naprawdę nie mogę sobie pozwolić. Dotykam dłonią czoła i powoli masuję skroń.

– Gliniarz był kutasem – mruczy w odpowiedzi. Wściekły opiera się o ścianę i krzywi usta. Wygląda przez kraty na zatłoczony posterunek i z pogardą patrzy na policjantów. – Jak oni wszyscy.

– Nie byłoby nas tu, gdybyś sobie odpuścił. – Marszczę czoło, wyobrażając sobie kary, które wymyśli dla mnie ojciec. Dostanę szlaban na resztę wakacji? Odeśle mnie do domu? Kaze mi robić pranie?

Rozglądam się po celi. Kobieta w kącie ma atak złości; rzuca się na boki i wali pięścią w podłogę, jakby liczyła, że dzięki temu się stąd wydostanie. Jest też milczący, umięśniony mężczyzna, który stoi pod ścianą z rękami splecionymi na piersi. Boję się spojrzeć mu w oczy.

Ja i Tyler siedzimy na ławce, blisko siebie, ale nie na tyle blisko, żeby się dotykać. Tyler mruczy coś pod nosem, opiera łokcie o kolana i pochyla się do przodu.

– Moja mama nas stąd wyciągnie – bąka. Zerka na mnie kątem oka, ale ja nie jestem tego taka pewna.

– Niby czemu? Bo jest prawniczką? – pryham. W tej sytuacji trudno o optymizm, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że Ella zna prawo jak własną kieszeń. Przecież musi. A skoro zna prawo, zna również luki w prawie.

– Bo robiła to już wcześniej – mówi Tyler i się prostuje. Splota palce i kręci młynka kciukami. – Zawsze ratuje mi tyłek.

– Wcześniej – powtarzam. Przewracam oczami i skupiam się na tym, co dzieje się za kratami. Patrzę na biurka, na których piętrzą się stosy papierów, i na telefony, które nie przestają dzwonić. Jeden z policjantów przygląda się nam z daleka. Ma ściągniętą, pomarszczoną twarz i mruży oczy. Nachylam się w stronę Tylera. – Ile razy byłeś już aresztowany?

Kąciki jego ust drgają i uśmiecha się z wyższością.

– Raz. Dwa. Może trochę więcej.

– Za co?

– Hmm. – Drapie się po głowie i zwilża językiem wargi. Nie mogę przestać myśleć o jego ustach. – Za jakieś głupoty – przyznaje w końcu. Wzrusza ramionami, wstaje i się przeciąga. Patrzę na niego i nie dbam o to, co za chwilę usłyszę. – Bójki – ciągnie i wyłamuje sobie palce – wandalizm, zakłócanie porządku. – Chichocze i ostrożnie zerka przez ramię. – No i wtargnięcie – dodaje.

– Przynajmniej nikogo nie zabiłeś – rzucam bez troski, choć sama nie wiem dlaczego. Tydzień temu kręciłabym nosem na to, że w ogóle był aresztowany, nieważne za co. Ale teraz zagadka o nazwisku Tyler Bruce wyjaśnia się, a moje zdanie o nim zmieniło się diametralnie w ciągu zaledwie kilku dni.

– Jeszcze – poprawia mnie. Sznuruje wargi i znowu mruży oczy. – Mam kogoś na oku. – Pożądanie, z jakim patrzyłam na niego chwilę temu, zmienia się w przerażenie. Tyler naśladuje mnie i parska śmiechem. – Eden – mówi, kręcąc głową, i przewraca oczami.

– Jeszcze nie do końca rozumiem twoje poczucie humoru – bronię się. Krzyżuję ręce na piersi i wzdycham. Nadal stanowi dla mnie zagadkę. – Nawet nie wiedziałam, że je masz.

Uśmiecha się i kiwa głową z uznaniem.

– To było dobre – mówi.

– Bruce, Munro – rozbrzmiewa czyjś szczekliwy głos.

Wzdrygamy się przestraszeni i Tyler odwraca się, żeby spojrzeć na funkcjonariusza policji z Culver City. – Przyjechali wasi rodzice. – Nasi towarzysze z celi wybuchają śmiechem.

– Zabijają nas – mruczę pod nosem. Oddycham szybko, gardło mam ściśnięte i nakazuję sobie wziąć się w garść. – O Boże. Oni naprawdę nas zabijają.

– Zamknij się – nakazuje mi Tyler. Głos ma cichszy od mojego i kiedy podnoszę się z ławki, posyła mi surowe spojrzenie. – Ja będę mówił.

Na szczęście policjant, który nas aresztował – funkcjonariusz Sullivan – opuścił posterunek. Może wrócił na ulice, żeby jeszcze komuś zepsuć wieczór. Wyglądał na takiego. Jakby żywił urazę do Święta Niepodległości i chciał ją przenieść na wszystkich dokoła. Drugi funkcjonariusz jest dużo młodszy i znacznie mniej przerażający. Nazywa się Greene i otwiera nam drzwi do celi.

– Proszę za mną – mówi z westchnieniem.

Wlokę się za Tylerem przez tętniący życiem komisariat, potrącana przez kolejnych policjantów, którzy mijają nas w pośpiechu. Funkcjonariusz Greene prowadzi nas do małej klitki, gdzie czekają na nas ojciec i Ella.

Tata opiera ręce na biodrach. Na jego twarzy maluje się pogarda i boję się, że zaraz zemdleje. Wygląda na naprawdę wkurzonego. Nieco z przodu stoi Ella i po raz pierwszy widzę ją taką poważną. Usta ma zaciśnięte, ręce splecione na brzuchu. Za każdym razem, gdy wściekała się na Tylera, w jej oczach można było dostrzec matczyną miłość. Teraz są puste. Ma na twarzy maskę adwokata.

– Co wy, do cholery, wyprawiacie? – warczy ojciec. Jego twarz robi się purpurowa, jednak zanim ktokolwiek zdąży się odezwać, Ella robi krok do przodu.

– Panie...? – urywa i mrużąc oczy, wpatruje się w policyjną odznakę.

– Greene – kończy za nią policjant.

– Panie Greene – powtarza Ella. Odchrząkuje i wyciąga do niego rękę. – Może mi pan wytłumaczyć, dlaczego oskarżono ich o wtargnięcie? Tak przy okazji, jestem prawnikiem. – Unosi brwi i oczekuje na odpowiedź, podczas gdy funkcjonariusz Greene nerwowo przestępuje z nogi na nogę, wiedząc, że nie wyłga się z

tej sytuacji.

– Zostali aresztowani na mocy paragrafu sześćset dwa kodeksu karnego – odpowiada, patrząc jej prosto w oczy – za wtargnięcie na teren prywatny w liceum Culver City. W trakcie obchodów Święta Niepodległości tylko niektóre części kampusu były otwarte dla publiczności. Tych dwoje zostało przyłapanych w zamkniętej części budynku.

– Naprawdę? – Wyjaśnienia policjanta brzmią tak żałośnie, że Ella z trudem powstrzymuje śmiech. Pierwszy raz widzę, jak przejmuje kontrolę nad sytuacją. Zwykle jest cicha, tylko czasem podniesie głos na Tylera. – Aresztowaliście ich, bo weszli nie na ten korytarz co trzeba?

– Nie ja ich aresztowałem, proszę pani – informuje ją Greene. – Funkcjonariusz Sullivan nie jest szczególnie cierpliwy, a pani syn stawiał opór, gdy poproszono go o wyjście. Oboje mieli kilka okazji, żeby opuścić tamto miejsce.

Tyler parska, ale natychmiast spuszcza głowę i wbija wzrok w podłogę. Mimo to Ella rzuca mu wściekłe spojrzenie.

– Ja również dziś wieczorem byłem w tej szkole – ciągnie, skupiając swoją uwagę na policjancie – i pamiętam znaki ZAKAZ WSTĘPU. Ale takie znaki to nie to samo co tabliczki informujące o tym, że wtargnięcie jest wykroczeniem, i dlatego tych dwoje nie miało pojęcia, że wchodząc na korytarz, popełniają przestępstwo. Zatem nie można ich aresztować tylko dlatego, że pański kolega jest dość nerwowy.

Przez cały czas, gdy Ella mówi, ojciec patrzy na mnie wilkiem. Nie potrafię spojrzeć mu w oczy i skupiam się na wszystkim, byle nie na nim. Stojący obok mnie Tyler zakrywa ręką usta, próbując opanować śmiech. Gdyby nie to, że stoi przed nami gliniarz, kopnęłabym go w pizczel. Opanowuje się, ale za każdym razem, gdy podnosi głowę i napotyka mój wzrok, znowu zaczyna się śmiać. Gryzie wierzch dłoni i wlepia wzrok w podłogę.

– Może więc zaoszczędzimy państwu i mnie papierkowej roboty i puścimy to w niepamięć? – słyszę głos Greene'a i zerkam na niego. Tym razem to on wyciąga rękę do Elli.

– Tak będzie najrozsądniej – przyznaje Ella i ściska jego dłoń. Spogląda na ojca, który prawie niezauważalnie kiwa głową, jakby porozumiewali się telepatycznie.

– Dobra – mówi ojciec. – Wy dwoje, idźcie do samochodu. Natychmiast.

Tyler zdążył się już uspokoić i beznamiętnie wzrusza ramionami, gdy tata przepycha się między nimi.

– Ktoś tu jest wściekły jak diabli – mruczy pod nosem. Szturcha mnie w ramię, odwraca się i oboje wychodzimy z komisariatu. Ella nie idzie z nami.

Kiedy docieramy na parking, jest już ciemno i robi się późno. W milczeniu podchodzimy do range rovera. Zza przyciemnionej szyby widzę twarz obserwującego nas Jamiego. Otwieram drzwi i spostrzegam Chase'a, który zasnął w drugim końcu kanapy.

– Co zrobiłeś tym razem? – pyta Jamie, patrząc na Tylera.

– Coś, czego nie powinienem – burczy Tyler i uśmiecha się do mnie znacząco.

Wsiadam do samochodu; tuż za mną pakuje się Tyler i przesuwamy Chase'a aż pod same drzwi. Jamie wzdycha głęboko. Spoglądam na tatę, który w milczeniu ściska kierownicę, i zamierzam zapytać, czy dobrze się czuje, kiedy do samochodu wsiada Ella. Otwiera drzwi od strony pasażera, zajmuje fotel i zatrząskuje je za sobą.

– Nieźle, mamó – mówi Tyler. Pochyla się do przodu i głaszcze ją po ramieniu. – Dałaś im popalić.

Ona jednak odpycha jego rękę i zerka na niego we wstecznym lusterku.

– Nawet się do mnie nie odzywaj, Tylerze – ostrzega go. – Któregoś dnia palcem nie kiwnę. Rozczarowałaś mnie.

– Ty też mnie rozczarowałaś, Eden – wtrąca ojciec. Kręci głową, uruchamia silnik i powoli wyjeżdża z parkingu. – Co wyście tam w ogóle robili? Jeśli dobrze pamiętam, pokaz odbywał się na zewnątrz.

– Wcale nie – żartuje Tyler. – Prawdziwy pokaz odbywał się w środku. – Dyskretnie wodzi palcem po moim udzie i zatrzymuje

się na kolanie. Dziwnie się czuję.

– Przestań pyskować – warczy Ella. Musi być naprawdę wściekła, bo zwykle nie odzywa się w ten sposób. – Podpisałam dokumenty za was oboje, a mogłam zostawić was tam na całą noc. Dlatego, Tylerze, choć raz w życiu siedź spokojnie i się nie odzywaj.

Przez resztę drogi Tyler nie mówi ani słowa, ale to mu nie przeszkadza, żeby muskać palcami moją dłoń, szturchać mnie kolanem i gapić się na mnie. Aż dziw bierze, że nikt tego nie zauważa. Staram się go ignorować, chociaż za każdym razem, gdy mnie dotyka, przechodzą mnie dreszcze.

Dochodzi północ, gdy wjeżdżamy na Deidre Avenue. Ojciec, zmęczony po podróży, wnosi Chase'a do domu i nie budząc go, kładzie do łóżka. Jamie znika w swoim pokoju.

– Nie wiem nawet, co ci powiedzieć, Tylerze – mruczy Ella, zamykając drzwi. Dotyka ręką szklanego panelu, ale się nie odwraca. – Mam tego... Po prostu mam tego dość – mówi zbolalym głosem. Wzdycha i kieruje się w naszą stronę. – Eden, idź do swojego pokoju. Prześpij się.

Uśmiecha się ze smutkiem i wiem, że tak naprawdę prosi o odrobinę prywatności. Kiwam głową, patrzę to na nią, to na Tylera i posłusznie idę na górę. Na schodach mijam się z ojcem i oboje przystajemy.

– Powinienem zadzwonić do twojej mamy – mówi cicho. Dziwnie się czuję, słysząc, jak o niej mówi. Zupełnie jakby nie miał do tego prawa.

– Nie rób tego. – Wydymam wargi. Mama ma wystarczająco dużo zmartwień w pracy, nie musi wiedzieć, że mnie aresztowano. – Tylko się zaniepokoi.

– Ja się niepokoję, Eden! – zaczyna podniesionym głosem, który gdzieś w połowie zdania zmienia się w szept. Rozgląda się dokoła, jakby chciał się upewnić, że nikomu nie przeszkodził, i przykłada dłoń do czoła. – Co się u diabła z tobą dzieje? Wiem, że chodziłaś na imprezy. Mam czterdzieści lat, nie sześćdziesiąt. Chcę, żebyś się dobrze bawiła. Do cholery, przecież są wakacje!

Martwi mnie tylko to, jak ta zabawa na ciebie wpływa. Okłamałaś mnie już kilka razy, a teraz to? Z kim ty się zadajesz?

Jego szczerość mnie zaskakuje. Myślałam, że nie wie, dokąd chodzę i co robię, ale najwyraźniej wie o mnie więcej, niż się spodziewałam.

– No... – jąkam się – z Rachael z naprzeciwka. Tiffani. Tiffani... Parkinson, chyba tak się nazywa.

– Dziewczyną Tylera? – pyta i nie czekając na odpowiedź, docieka. – Trzymasz się z nimi? Z Deanem Carterem? I tym całym Jake’iem?

– I Meghan – mruczę. Nie sądziłam, że ojciec zwraca uwagę na towarzystwo, w którym się obracam. – Przyjaźnimy się.

– Cóż – mówi, masując kark – przynajmniej to miłe dzieciaki. Lepiej idź już do łóżka.

Rozpina kołnierzyk koszuli i kręcąc głową jak ktoś, kto właśnie doświadczył porażki, schodzi na dół.

Nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy, ale nie zamierzam tak stać i czekać na powtórkę z rozrywki. Wpadam do pokoju, zdejmuję buty i odwracam się, żeby zamknąć drzwi, ale stoi w nich Tyler. Mało nie dostaję zawału.

– Cześć – szepcze i wchodzi do pokoju. Rozgląda się, jakby nigdy wcześniej tu nie był.

– Cześć.

Patrzy na mnie i nie jestem pewna, o czym myśli i co czuje. Otwarte drzwi rzucają cień na jego twarz, więc nie widzę jego oczu i emocji, które skrywają.

– Co powiedziała twoja mama?

– Nic – mówi niskim, gardłowym głosem. – Przepraszam, że cię w to wplątałem. Powinienem był odpuścić, kiedy gliniarz kazał nam się wynosić.

– W porządku. – Ochłonęłam i nie jestem już zła. Ostatecznie nie postawiono nam zarzutów, więc traktuję całą sprawę jak zwykle nieporozumienie między nami a policjantem.

Tyler otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym samym momencie dzwoni jego telefon. Słyszę wibracje, kiedy sięga do

kieszeni spodni. Patrzy na ekran i się krzywi.

– Tiffani – mruczy. – Przez chwilę wygląda, jakby miał ochotę odrzucić połączenie, ale kręci głową i zerka na mnie przepraszająco. – Przepraszam, muszę z nią porozmawiać. Wścieknie się, jeśli nie odbiorę.

Czuję, jak w jednej chwili opuszcza mnie cały entuzjazm. Mam wrażenie, że moja pierś zapada się w sobie, ściska i kurczy do tego stopnia, że nie mogę złapać oddechu. Niepokój uderza we mnie niczym spiętrzona fala. Przez ostatnie kilka godzin byłam nim tak zaabsorbowana, że zupełnie zapomniałam, że ma dziewczynę.

– Przepraszam – powtarza. Znowu się krzywi, podnosi wzrok i patrzy na mnie. Chyba widzi, że jest mi słabo, bo robi krok w moją stronę, ale zaraz zmienia zdanie. Jego westchnienie odbija się echem od ścian pokoju, a palce zaciskają się na telefonie. – Naprawdę przepraszam. Muszę – szepcze. Wbija wzrok w podłogę, odwraca się i powoli wychodzi z pokoju.

Stoję jak otępiała, gdy odbiera telefon i mruczy:

– Cześć, co słychać? Chwilę później drzwi do pokoju Tylera zamykają się z cichym szcękaniem.

Jego głos jest wyprany z emocji.

Pozbawiony życia; zupełnie jak ja.



Eden! – Nazajutrz rano moja najlepsza przyjaciółka krzyczy do słuchawki. Ma tak wysoki, piskliwy głos, że na chwilę odsuwam telefon od ucha. – W końcu!

– Wiem, wiem. – Wzdycham, co z całą pewnością słychać po drugiej stronie. – Byłam bardzo zajęta.

– Nie odbierasz moich telefonów – stwierdza Amelia. Wyczuwam w jej głosie nutkę poirytowania, ale wcale jej za to nie winię. Nie rozmawiałam z nią od tygodnia. – Jak obchody Święta Niepodległości?

Zagryzam wargę. Dzwonię do niej, żeby porozmawiać o tym, co wydarzyło się wczoraj, ale jej pytanie sprawia, że nie mogę wykrztusić słowa. W końcu decyduję się na krótkie, zdawkowe „dobrze”.

– Tylko tyle?

– No cóż – mówię. Nerwowo skubię zębami wargę. Wbijam wzrok w koldrę i czuję, że się czerwienię. – Pierwszy raz w życiu miałam okazję przejechać się policyjnym radiowozem.

Nastaje cisza, jakby Amelia czekała, aż zaraz krzyknę: „Żartuję!”. Ale ja milczę.

– Że co?

Rysuję palcem koła na materiale.

– Za wtargnięcie.

– Czy ja w ogóle rozmawiam z Eden? – słyszę denerwujące dudnienie, kiedy stuka kłykciami w telefon. – Halo? Eden Munro, to ty?

Śmieję się.

– To nie była moja wina. Mój przyro... – Urywam. Słowa więzną mi w gardle. Nie mogę wypowiedzieć ich na głos, bo przypominają mi, jak naprawdę wygląda sytuacja. – To znaczy

Tyler – poprawiam się – nas w to wpakował. Nic by się nie stało, gdyby się nie odzywał.

– To twój najstarszy brat, tak? – Słyszając to, wzdrygam się i mija kilka sekund, zanim przytakuję.

– Byłaś na festiwalu? – pytam pośpiesznie. Czekaając na odpowiedź, zaciskam palce na kołdrze.

– Pewnie – zachłystuje się, jakby była oburzona tego rodzaju pytaniem. Zawsze chodzimy na Waterfront Blues Festival. – Ale bez ciebie to nie to samo.

Marszczę brwi i przeczesuję włosy palcami.

– Z kim byłaś?

– Jak zwykle – mówi i zaczyna wymieniać – z Chloe, Eve, Annie, Jasonem, Andreiem... No wiesz, ze wszystkimi. Na dźwięk imion moich przyjaciół z Portland ogarnia mnie tęsknota za domem. Brakuje mi ich i czuję się jeszcze gorzej, wiedząc, że spędzają razem wakacje, podczas gdy ja utknęłam tu, w Santa Monica.

Zaraz jednak inna myśl przychodzi mi do głowy. Przypominam sobie, dlaczego wyjechałam z Portland i dlaczego zgodziłam się spędzić tu osiem tygodni. Wszystko dlatego, że za niektórymi ludźmi nie warto tęsknić. Biorę oddech i mruczę do słuchawki:

– Alyssa i Holly... też tam byli?

– Tak. – Cisza przeciąga się, dopóki Amelia nie wypuszcza ze świstem powietrza. Kiedy znów się odzywa, głos ma cichy i spokojny. – Nie rób mi tego, Eden. Wszystkie trzy jesteście moimi przyjaciółkami, a czuję się tak, jakbym była między młotem a kowadłem. Jakbym dopuszczała się zdrady za każdym razem, gdy rozmawiam z którąś z was.

Ignorując ją, staram się nie myśleć o bólu, który rozrywa mi pierś.

– Czyli fajerwerki się udały? – Entuzjazm w moim głosie brzmi fałszywie, kiedy zmuszam się do uśmiechu.

– Niesamowite! – piszczy Amelia. Zawsze była nadpobudliwa i ekscytowała się drobiazgami. – Po wszystkim

zrobiliśmy ognisko. Siedzieliśmy całą noc, piekliśmy s'mores¹, piliśmy piwo i słuchaliśmy muzyki. Wciąż jestem nieprzytomna, więc nie wiem, czy to, co mówię, ma sens. – Urywa. – Mam nadzieję, że tak.

– Tak – uspokajam ją i opieram się o ścianę. Staram się zebrać myśli. – Ognisko brzmi nieźle.

– Bo naprawdę było świetnie. – Kolejna porcja pisków, krzyków i dyszenia w słuchawkę. – Landon Silverman odwiózł mnie do domu.

Otwieram oczy ze zdumienia. Landon Silverman to naprawdę nieźle ciacho.

– Ten z ostatniej klasy?

– Tak – potwierdza zakłopotana. Wyobrażam sobie, jak się czerwieni i mruga. Jak zawsze, kiedy jest zawstydzona. Ale nieśmiałość znika równie szybko, jak się pojawiła. – Pieprzyliśmy się na tylnym siedzeniu jego furgonetki – dodaje Amelia.

Omam się nie dławię. Jeśli to żart, to wcale nie jest zabawny.

– Żartujesz, prawda?

– Obawiam się, że nie – mruczy. – Jego mały jest naprawdę mały. A ja spodziewałam się Bóg wie czego. Dramat.

– Brzmi strasznie – przyznaję, powstrzymując się, żeby nie parsknąć śmiechem. Amelia przypomina mi Rachael. Mają podobne poczucie humoru i obie lubią facetów.

– A ty? – dopytuje zaintrygowana. – Bzykałaś się już z jakimiś Kalifornijczykami?

– Obściskiwałam się z jednym... – Serce wali mi jak szalone, przyspiesza i tłucze się o żebra. Biorę głęboki oddech. – Wczoraj wieczorem.

– O Boże, z kim? – piszczy podekscytowana Amelia.

Zastanawiam się przez chwilę. Powiedzieć jej? Powiedzieć najlepszej przyjaciółce, której zawsze wszystko mówię, o tym, co wydarzyło się między mną i Tylerem? Czuję, że powinnam, żeby poradziła mi, co mam robić, ale nie mogę wydusić z siebie słowa. Cała ta sytuacja wydaje się zbyt skandaliczna i niemoralna. Wiem, że Amelia wyczuwa moje niezdecydowanie, więc dodaję szybko:

– Z takim jednym. Ma na imię Jake. – „Nieźle, Eden”, myślę.

– Fajny jest?

Wzruszam ramionami, przywołuję obraz Jake’a, analizuję rysy jego twarzy i przechylam głowę.

– Tak. Jest blondynem.

– Blondynem? – krzyczy oburzona Amelia. – Obściskujesz się z blondynem?

– Przestań to powtarzać – nakazuję jej, ale sama się śmieje. Nie można rozmawiać z Amelią i się nie uśmiechać.

Bierze głęboki wdech i krzyczy do słuchawki:

– ALE TY DOSŁOWNIE OBŚCISKUJESZ SIĘ Z BLONDYNEM!

– Szokujące – parskam.

– Kalifornijska woda uderzyła ci do głowy? Przecież nie cierpisz blondynów – stwierdza, jakbym sama nie wiedziała. – Chcesz, żebym zadzwoniła do twojej mamy? Bo naprawdę uważam, że potrzebujesz pomocy. Co się stało z dewizą, że „ciemnowłosi są lepsi?”.

Przewracam oczami.

– Jesteś jeszcze pijana?

– Nie wiem – przyznaje. – Pewnie tak.

Słyszając to, mówię jej, żeby się jeszcze zdrzemnęła. Jestem jej wdzięczna, bo obiecuje, że zajrzy później do mojej mamy. Odkąd została sama, pewnie czuje się samotna.

Po skończonej rozmowie idę pobiegać, żeby oczyścić umysł. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że w głowie mam chaos i ogarniają mnie wątpliwości. Nie wiem, co robię, i nie mam pojęcia, w co się pakuję. Wiem tylko, że to nie takie proste.

Ubieram się i informuję Ellę, że wychodzę. Dla odmiany biegnę na południe przez miasto, zamiast na zachód, do linii brzegowej. Pogoda jest boska. W mieście panuje ruch, ale nie zwracam uwagi na szczegóły. Zwykle mijając ludzi, zerkam na ich twarze, czytam numery tablic rejestracyjnych, zwracam uwagę na małe sklepiki, które wydają się interesujące. Ale nie dziś. Dziś skupiam się wyłącznie na Tylerze.

Tak więc podczas gdy mój umysł stara się przetworzyć setki myśli naraz, mnie udaje się zebrać do kupy kilka podstawowych faktów: (1) Tyler to palant, nie ma co do tego wątpliwości; (2) to palant, który oprócz zaburzeń zachowania ma problemy z kontrolowaniem agresji; (3) jest palantem, bo chce być palantem, bo (4) na pewno coś ukrywa; (5) jego hobby to chlanie i ćpanie; (6) ma cudowne mięśnie brzucha i podoba mi się kolor jego oczu; (7) czasami potrafi być naprawdę słodki, jak wtedy, gdy żartuje z braćmi; (8) czasami cholernie mnie irytuje, ale to nic, bo (9) potrafi świetnie całować. I w końcu (10) podoba mi się bardziej, niż jestem w stanie to przyznać.

Z zamyślenia wyrywa mnie dźwięk klaksonu, który przebija się przez muzykę. Zerkam w lewo na samochód, który zatrzymuje się przy chodniku, zwalniam i wyjmuję z ucha jedną słuchawkę. Dopiero po chwili dociera do mnie, że znam ten samochód – należy do Deana. Jego właściciel nie jest jednak sam.

Szyba opuszcza się i widzę Tylera, który uśmiecha się do mnie i unosi brwi.

– Wiedziałem, że to ty – mówi.

– Niby po czym poznałeś? – pytam i wyjmuję z ucha drugą słuchawkę. Dysząc, opieram ręce o drzwi samochodu. Nie mam pojęcia, jak długo biegłam.

W oczach Tylera pojawia się błysk. Śmieje się pod nosem i patrzy na kolana.

– Właśnie wyszliśmy z siłowni – mówi, ale nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. Myślałam, że odpowie na moje pytanie. – Jedziemy do mnie, a ty wyglądasz, jakbyś miała zejść na zawał, więc jak chcesz, możesz się z nami zabrać.

Patrzę ponad jego ramieniem na Deana. Policzki ma czerwone z wysiłku i pospiesznie kiwa głową.

– Nie umieram – oburzam się. Jestem zła, że powiedział coś takiego. – Potrafię biec bez przerwy kilka kilometrów, rozumiano?

– Rozumiano – przedrzeźnia mnie Tyler. Uśmiecha się krzywo i bez uprzedzenia otwiera drzwi samochodu, zmuszając

mnie, żebym się cofnęła. Wysiada i staje obok mnie na chodniku. Przez chwilę przygląda mi się w milczeniu. – Pobiegnę z tobą – mówi w końcu.

– Ale ja wolę biegać sama...

On jednak zagląda do samochodu, sięga po torbę i nie dając mi skończyć, zwraca się do Deana:

– Nie masz nic przeciwko temu, stary?

Dean kręci głową i pyta:

– Widzimy się w środę?

– Jasne – rzuca Tyler. – Do zobaczenia.

Dean podnosi szybę i odjeżdża, zostawiając mnie na nagrzanym słońcem ulicy z Tylerem u boku. Na widok mokrych od potu mięśni i koszulki, która klei się do opalonego ciała, przękam z trudem.

– Dla twojej wiadomości – odzywa się i zaczyna iść – poznałem cię po pośladkach.

Moje usta formują idealne „o” i odruchowo spoglądam na swoje ubrania. Może nie powinnam była zakładać takich obcisłych szortów. Nagle, nie wiedząc czemu, czuję się skrępowana.

Tyler ignoruje mnie, przyspiesza i zerka na mnie kątem oka.

– Potrafię chodzić szybciej niż ty biegać – droczy się ze mną.

– Szczerze w to wątpię – mruczę. Wypijam łyk wody i wkładam słuchawkę do ucha. Po tym, jak Jake zabrał mnie na koncert La Breve Vita, nie mogę przestać ich słuchać.

– Założę się, że będę w domu przed tobą – mówi. Zabawnie mruży oczy i kołysze torbą treningową. – Wchodzisz w to? – rzuca mi wyzwanie.

– Pewnie że tak – parskam.

Ruszam, nie czekając na odpowiedź. Oddech mam równy, czuję się silna i zdrowa. Moje stopy uderzają o beton, słońce świeci mi w twarz, a przyjemny wietrzyk chłodzi płuca. Po raz pierwszy od dawna mam wiarę w siebie. To cudowne uczucie.

– Frajerka – woła, mijając mnie. Słyszając to, śmieję się i przyspieszam kroku, żeby go dogonić. Chwilę później zapominamy o rywalizacji, zwalniamy i wyrównujemy krok.

– Dużo biegasz – mówi między kolejnymi oddechami, kiedy przecinamy skrzyżowanie, kierując się w stronę Deidre Avenue. – Bierzesz udział w biegach przełajowych czy co?

– Nie – odpowiadam, skupiając się na drodze. – Po prostu lubię biegać. To najlepszy trening.

– Osobiście wolę podnosić ciężary – przyznaje. Zerkam na niego i widzę, że spogląda na swoje ramiona. To śmieszne, jaki potrafi być pewny siebie, ale chyba zaczynam się do tego przyzwyczajać. – Dobra – mówi i podnosi rękę. – Poddaję się. Nie jestem biegaczem. – Dysząc, przyciska dłonie do ceglanej ściany budynku i próbuje złapać oddech. – Wygrałaś.

Ogarnia mnie duma. Rozciągam usta w uśmiechu, przechyliłam głowę i przyglądam mu się z uwagą.

– Masz rację, wygrałam.

– Ja miałem to powiedzieć. – Śmieje się, podnosi głowę i patrzy mi w oczy. Żadne z nas nie chce pierwsze odwrócić wzroku, więc spoglądamy na siebie. – Wychodzimy dziś wieczorem – oświadcza. Mam wrażenie, że nie byłabym w stanie odmówić, nawet gdybym chciała, tak więc stoję tam i jak zauroczona słucham tego, co ma mi do powiedzenia. – Zabiorę cię gdzieś. Byłaś już na molo? W Pacific Park?

– Nie – przyznaję z zakłopotaniem. Jak to możliwe, że jestem tu od trzech tygodni i nie byłam jeszcze na molo? Widziałam je z plaży i muszę przyznać, że z daleka prezentuje się imponująco.

– W takim razie pójdziemy na molo – postanawia.

Ściska mnie w gardle, kiedy widzę jego tajemniczy uśmiech i błysk w szmaragdowych oczach; oczach, które skrywają tajemnicę.

I nagle dociera do mnie, że miałam rację.

Ciemnowłosi kolesie są znacznie fajniejsi.

Tradycyjny smakołyk z ogniska pochodzący ze Stanów Zjednoczonych i Kanady [przyp. tłum.]. [\[wróć\]](#)



Chciałabym udawać, że patrzę na lasagne Elli. Ale tak nie jest. Patrzę ponad stołem na chłopaka, który siedzi naprzeciwko mnie z brodą wspartą na ręce. Chłopaka, który w tej chwili jest uosobieniem nonszalancji. Zagryzam wargi i zatrzymuję wzrok na linii jego żuchwy, na ustach, ściągniętych brwiach i błyszczących oczach. Od czasu do czasu, kiedy nikt nie patrzy, uśmiecha się pod nosem.

– Eden. – Ojciec nieznacznie podnosi głos, żeby zwrócić na siebie moją uwagę. Natychmiast spoglądam w talerz, nerwowo bawię się sztućcami i odkrawam kolejny kawałek lasagne. – Jesteś dziś wyjątkowo małowówna. – Unosi brwi i rozbawiony mierzy we mnie nożem. – O czym myślisz?

– Ja... no... ja tylko... ja... – dukam jak trzylatka próbująca sklecić sensowne zdanie. W końcu wkładam do ust jedzenie i się uśmiecham.

– Jak lasagne? – pyta Ella i spogląda na nas, licząc na słowa pochwały. Cieszę się, że zmieniła temat. Kiwamy z uznaniem głowami. Tyler prostuje się na krześle i uśmiecha się do niej. Dla niego zrobiła specjalną: wegetariańską z czterema rodzajami sera.

– Jest pyszna, mamó – mówi, na co Ella się rozpromienia.

Patrzę to na nią, to na niego, widzę czułość w ich oczach, gdy wymieniają spojrzenia, i zastanawiam się, jak naprawdę wyglądają ich relacje. Zwykle Tyler rozczarowuje matkę, ale zdarzają się chwile, gdy mam wrażenie, że łączy ich ciche porozumienie.

– Jest taka pyszna, że... – ciągnie Tyler. Przysuwa talerz, odkrawa kawałek lasagne i podnosi widelec do ust. Pochyliła się i gryzie, ale część porcji ląduje na stole. Zmieszany, śmieje się i kciukiem ściera sos z warg. – Jest taka pyszna, że nie zmieszczę już ani kawałka – mówi.

Ojciec, który siedzi w drugim końcu stołu, unosi brwi.

– Jesteś dziś w wyjątkowo dobrym humorze, Tylerze – zauważa.

Tyler zaciska usta, splata ręce na stole i patrzy to na mnie, to na mojego tatę. Kiedy napotyka mój wzrok, stara się zachować powagę. Widzę jednak, że ma ochotę się roześmiać.

– Chyba tak. – Odchrząkuje, wstaje od stołu i wkłada talerz do zmywarki. Kiedy się odwraca, jego twarz nie zdradza żadnych emocji. – Wychodzę.

– Dokąd? – Ella podnosi wzrok i odwraca się w jego stronę. Nawet Jamie nadstawia uszu, żeby usłyszeć, jaką wymówkę wymyśli tym razem jego brat. – Masz szlaban.

– Ale umówiłem się z Tiffani – kłamię z taką wprawą, że nawet ja przez chwilę daję się nabrać. I nagle sobie przypominam. – Eden, nie wspominałaś, że wychodzicie gdzieś z Meghan?

Zamierzam zaprzeczyć, ale posyła mi surowe spojrzenie. Chce, żebym przekreśliła fakty. Mówię więc „tak” i zerkam na ojca, żeby zobaczyć, jak zareaguje. Wygląda na to, że kupił moje kłamstwo.

– Mogę cię podrzucić – proponuje Tyler. Głos ma napięty i przez cały czas patrzy na mnie. Niezauważalnie kiwa głową i czeka, aż podejmę grę.

– Dzięki – bąkam. Boję się, że jeśli powiem coś więcej, zacznę potykać się o własne słowa. Uśmiecham się więc i kiedy Ella wstaje, żeby sprzątnąć ze stołu, odkładam sztucce na talerz.

Tymczasem Tyler szczerzy się do mnie, jakby zapomniał, że nie jesteśmy sami. Albo najzwyczajniej w świecie nie dba o to, że ktoś mógłby to zobaczyć.

– Dziesięć minut? – pyta.

Gdyby tylko nasi rodzice wiedzieli, że tak naprawdę wcale nie mówimy o podwózce do Meghan.

– Dziesięć minut wystarczy – mówię.

Wychodząc z kuchni, ukradkiem puszcza do mnie oko. Odprowadzam go wzrokiem; patrzę, jak masuje dłonią kark i jak oddalając się, pochyla głowę.

Chwilę później sama wstaję od stołu, przepraszam Ellę, że nie pomogę jej sprzątnąć po jedzeniu, i biegnę do pokoju, żeby poprawić włosy, umyć zęby, wyperfumować się i założyć sweter... Czyli zrobić to wszystko, co powinna uczynić dziewczyna przed wyjściem do parku rozrywki ze swoim przyrodnim bratem.

Po upływie dziesięciu minut wychodzę z domu i wsiadam do biało-czarnego samochodu zaparkowanego na ulicy, bo na podjeździe nie ma miejsca dla trzech aut.

Kiedy zbliżam się do drzwi pasażera, Tyler opuszcza szybę, pochyla się i patrzy na mnie znad szkieł okularów przeciwsłonecznych.

– Otworzyłbym ci drzwi, ale myślę, że twój ojciec miałby na ten temat coś do powiedzenia.

Oglądam się przez ramię. Tata stoi w oknie salonu, próbując ukryć się za żaluzjami, ale efekt jest raczej marny. Kiedy podnoszę rękę i macham do niego, szybko się wycofuje.

– Chyba masz rację. – Otwieram drzwi i wślizguję się do środka. – Pewnie zastanawiałby się, skąd nagle u ciebie takie dobre maniery.

– Hej! – oburza się i w geście protestu unosi rękę, podczas gdy ja podnoszę szybę. Zapiąwszy pas, odwracam się w jego stronę i widzę, że na białą koszulkę założył czerwoną flanelową koszulę. Przęłykam z trudem.

– Udowodnię ci, że jestem prawdziwym dżentelmenem.

– Poważnie? – rzucam sceptycznie.

– Poważnie – potwierdza. Uruchamia silnik, przez chwilę ustawia klimatyzację i opuszcza osłonę przeciwsłoneczną. – No dobra, nie jestem – przyznaje, patrząc na mnie kątem oka. – Po prostu słyszałem, że facet powinien być dżentelmenem. Wysiadać z samochodu, żeby otworzyć kobiecie drzwi, tak?

– Coś w tym stylu. – Uśmiecham się.

Kręcąc głową i wzruszając ramionami, wciska pedał gazu i z piskiem opon odjeżdżamy sprzed domu. Nie dziwi mnie to, zdążyłam się przyzwyczaić, że Tyler jest koszmarnym kierowcą.

Dopiero kiedy zbliżamy się do oceanu, pytam:

– Dlaczego okłamałeś swoją mamę? Dlaczego nie powiedziałeś, że jedziemy na molo?

Widzę, jak przewraca oczami.

– Daj spokój, Eden – prycha. – Przecież nie chcemy, żeby zaczęli coś podejrzewać.

– A Tiffani? – Bez względu na to, jak bardzo staram się o niej nie myśleć, nie potrafię. Za każdym razem, gdy jestem z Tylerem, mam wyrzuty sumienia. Nie dość, że jesteśmy przyrodnim rodzeństwem, to jeszcze spotykam się potajemnie z chłopakiem przyjaciółki.

– Muszę to jakoś załatwić. Tiffani myśli, że jestem z chłopakami. – Mówi to z taką swobodą, że zastanawiam się, czy w ogóle się nią przejmuję.

Na molo panuje tłok. Parking zastawiony jest samochodami. Gdzie nie spojrzę, widzę spacerujące rodziny, grupki przyjaciół i pary, które, trzymając się za ręce, przechadzają się promenadą. Zazdroszczę im. Kusi mnie, żeby wyciągnąć rękę i spleść palce z palcami Tylera. Ale nie jestem na tyle odważna, zwłaszcza w miejscu publicznym.

– Dobra. – Tyler zanosi się kaszlem i wskazuje głową tętniący życiem park rozrywki. – Oto Pacific Park. Zabiorę cię tam, bo będąc dzieckiem, uwielbiałem to miejsce i chcę pokazać ci je osobiście. – Mówi to tak szczerze, że uśmiecham się i czuję, że się rumienię.

Spacerujemy promenadą, słuchając szeptu oceanu, a ostatnie promienie zachodzącego słońca pieczą nasze twarze. Cieszymy się swoją bliskością i rozmawiamy o zwykłych rzeczach. Próbujemy zgadnąć, dlaczego kolejka górską jest żółta, komentujemy jedzenie sprzedawane w budkach i zastanawiamy się nad rozmieszczeniem ławek. Dlaczego jedne są zwrócone w stronę oceanu, a inne ku miastu?

– W dzieciństwie ten koleś napędzał mi niezłego stracha – wyznaje Tyler, kiedy docieramy do bram wesołego miasteczka. Nad ogromnym sztyldem Pacifik Park wisi wielka fioletowa ośmiornica. Tyler wbija ręce w kieszenie i przyspiesza kroku. –

Zresztą chyba nadal to robi – dodaje.

– No proszę. – Doganiam go i patrzę na niego rozbawiona. – Chyba nie jesteś już takim twardzielem, co?

– Cóż – mówi piskliwym głosem – czy twardziel przyznałby się, że uwielbia watę cukrową? – Wyjmuje ręce z kieszeni i wskazuje budkę z jedzeniem. Wśród tradycyjnych przysmaków są gorący popcorn, lody, precle i, oczywiście, wata cukrowa. Kupując ją, Tyler uśmiecha się od ucha do ucha.

Kiedy wręcza mi patyk i odwraca się, żeby odebrać drugi, jego twarz emanuje łagodnym spokojem.

– Jesteś pewien, że uwielbiałeś to miejsce? – pytam znacząco.

Pospiesznie unosi brwi, zaciska wargi, odrywa kawałek waty cukrowej i wkłada go do ust.

– Musimy się przejechać kolejką górską – mruczy, kiedy cukier rozpuszcza mu się na języku. Nie odpowiada na moje pytanie. Uśmiecham się.

Idę za nim wśród tłumu i siadamy na ławce, tuż pod żółtym rollercoasterem, nieopodal diabelskiego młyna. Jem watę cukrową i patrzę na obracające się ogromne koło.

– Eden. – Dźwięk jego głosu wyrywa mnie z zamyślenia. Minę ma markotną. – Wolałbym nie mówić o tym nikomu. Byłoby lepiej, gdybyśmy na razie zachowali to wszystko w sekrecie. Proszę, powiedz, że jesteś dobra w dotrzymywaniu tajemnic.

– Jestem – potwierdzam, ale na myśl o tym robi mi się niedobrze. Nie chcę się kryć, wykręcać i kłamać. Wiem jednak, że to konieczne. – Ty zresztą też, bo masz ich całe mnóstwo.

Uśmiecha się krzywo i łapczywie zajada resztki waty. Wstaje, wyrzuca patyk do kosza na śmieci i wskazuje na kolejkę.

– Czas się zabawić.

Denerwuje mnie to, że nigdy nie odpowiada na moje pytania, ale przecież cisza mówi więcej niż słowa. Nie odpowiada, bo wie, że mam rację, i wie, że krok po kroku rozgryzam go, choć wolałby tego uniknąć.

Tak więc spędzamy wtorkowy wieczór, czekając w kolejkach

do kolejnych atrakcji, i świetnie się przy tym bawimy. West Coaster, Pacific Wheel, Pacific Plunge... zapamiętam je wszystkie, bo zapamiętam ten wieczór. Zapamiętam histeryczny śmiech Tylera, kiedy przed startem Pacific Plunge myślałam, że zepsuł mi się pas bezpieczeństwa, a on nachylił się nade mną, żeby pomóc mi go zapiąć, i nasze ręce otarły się o siebie; jego sarkastyczne uwagi na West Coasterze, gdy inni przy najmniejszym zakręcie zdzierali sobie gardło; jak siedząc na szczycie diabelskiego młyna, zachwycał się widokiem na ocean, a kiedy na niego spojrzałam, wcale nie patrzył na wodę. Patrzył na mnie.

Kiedy wychodzimy z parku, jest już późno. Kolorowe neony rozpalają nocne niebo, a tłumy powoli zaczynają się przeredzać. Na pustoszejącym parkingu grupa osób robi sobie zdjęcia na tle samochodu Tylera. Widząc nas, umykają zawstydzeni, wiedząc, że zostali przyłapani.

– Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy – komentuje Tyler, kiedy wsiadamy do samochodu. Poklepuje kierownicę i pieszczotliwie wodzi palcem po logo audi. – Nie wiem dlaczego. To Los Angeles. W Beverly Hills na każdym rogu stoją wypasione lamborghini.

Próbuję się powstrzymać, ale w końcu nie wytrzymuję.

– Skąd w ogóle masz ten samochód? – pytam.

Nie odpowiada od razu. Przez chwilę głaszcze kierownicę, jakby się zastanawiał, co mi powiedzieć.

– Bo wcześniej dostałem pieniądze z funduszu powierniczego. A kiedy człowiek nagle dostaje taką ilość pieniędzy, nie zachowuje się racjonalnie, prawda? Jestem nastolatkiem, to oczywiste, że wydam wszystko na wypasioną brykę. – Śmieje się i nie wiem, czy robi to szczerze, czy śmieje się z siebie za to, że zrobił coś takiego.

– Dlaczego dostałeś je wcześniej? – naciskam, głównie dlatego, że jestem ciekawa. Obserwuję jego usta, patrzę, jak poruszają się, kiedy mówi.

– Bo pieniądze mogą sprawić, że poczujesz się lepiej – sarka. Wzdycha, a jego ręka zamiera na kierownicy. – To kupa kasy –

przyznaje. – Moja mama jest prawnikiem, a ojciec... – Urywa, spogląda na mnie i podejmuje przerwana opowieść. Patrzę na niego pytająco. Mam wyrzuty sumienia, że wściubiam nos w jego sprawy. Nie powinno mnie obchodzić, dlaczego dostał wcześniej pieniądze z funduszu. – Mój ojciec miał własną firmę – kończy. – Zajmował się inżynierią budowlaną. Na całym Zachodnim Wybrzeżu.

Oregon znajduje się na Zachodnim Wybrzeżu i zastanawiam się, czy przypadkiem o niej nie słyszałam.

– Jak się nazywała?

– Grayson's – mówi sztywno. Zaciska zęby, a w jego oczach dokonuje się subtelna zmiana. Na chwilę odwraca wzrok. – Bo tak nazywała się nasza rodzina.

Słyszając to, kieruję na niego spojrzenie i siadam na fotelu po turecku. Wiem, że wkraczam na grząski grunt, ale interesuje mnie jego przeszłość i fundamenty, na których ją zbudowano.

– Przed rozwodem?

– Przed rozwodem – powtarza i wzrusza ramionami. Pochyla się, zatapia palce we włosach i szarpie ich końcówki. – Kiedyś nazywałem się Tyler Grayson. Mama nie chciała pozostać przy tym nazwisku.

Nie wiem, co powiedzieć. Może tak bardzo skupiłam się na jego ustach, że myślę wyłącznie o tym, jak cudownie było się z nim całować. Coś ściska mnie w gardle i próbuję to przełknąć.

Moje milczenie musi być wymowne, bo Tyler prostuje się, opuszcza rękę i kładzie mi ją na kolanie. Przechodzi mnie dreszcz. Oblizuje wargi powoli, jakby chciał się ze mną droczyć.

– Mogę cię znów pocałować? – mruczy, rozchyła usta i ze spokojem w oczach czeka na moją odpowiedź.

Nie odpowiadam, tak jak on nigdy mi nie odpowiada. Zamiast tego podnoszę się i uważając, żeby nie zwichnąć sobie kostki, okrakiem siadam mu na kolanach. Moje serce bije przy jego piersi, plecy wciskają się w kierownicę. Może nie jest szczególnie komfortowo, ale mnie to wystarczy.

Bez wahania ujmuje w dłonie moją twarz i delikatnie, ale

stanowczo przyciska swoje wargi do moich. Znowu jest tak jak wczoraj, tyle że lepiej. Jego usta są zachłanne. To on kontroluje sytuację i robi rzeczy, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Im dłużej mnie całuje, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że euforia, którą czuję, nie minie.

Kiedy ustami muska moją szyję, zatapiam dłonie w jego włosach. Delikatnie łaskoczą mnie w opuszki palców i gdy powoli, ale zdecydowanie całuje moją skórę, ujmuję go pod brodę i zwracam ku sobie jego twarz. Serce galopuje mi jak oszalałe. Zbliżam usta do jego ucha i szepczę:

– Nie musisz nawet pytać.



Kiedy ubiegłej nocy wróciliśmy dokładnie o tej samej porze, skłamałiśmy, że Tyler odwiózł mnie do domu. Ella nam uwierzyła. Zapytała Tylera, czy on i Tiffani spędzili miły wieczór. Przytaknął. Mnie zapytała, czy dobrze bawiłam się z Meghan. Odparłam, że tak.

Tyler i ja wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia, dostrzegając w swoich oczach tajemnicę, sekret, o którym tylko my wiedzieliśmy i który tylko my byliśmy w stanie zrozumieć.

Dziś ojciec zaczyna pracę później niż zwykle, kiedy więc wracam z joggingu, wciąż krząta się po domu. Jestem wyczerpana. Zamiast wyznaczyć nową trasę wokół miasta, jak planowałam, biegłam wzdłuż nabrzeża, od Santa Monica do Venice. Tym razem nie słuchałam muzyki, rozkoszowałam się szumem oceanu. Relaksujące, mimo że bolały mnie płuca.

– O której wychodzisz? – pytam, przekraczając próg kuchni. Zdażyłam już wziąć prysznic i przebrałam się w czyste ubrania. Włosy mam upięte w niesforny kok na czubku głowy.

Prawie na mnie nie patrzy zajęty wpychaniem do teczki stosu papierów. Masuje skronie i sięga po leżące na blacie kluczyki do samochodu.

– Już. Mam ważne spotkanie z naszymi dostawcami, którego nie mogę spieć... schrzanić. – Oblewa się rumieńcem i mija mnie z aktówką w jednej ręce i kluczykami w drugiej.

– Możesz po drodze podrzucić mnie na promenadę? – Marzę o wyjątkowo gorącej kawie, a ekspres w domu Elli i ojca uparcie mi jej odmawia. Nogi mam tak sztywne od biegania, że nie dam rady iść pieszo aż na Third Street. Tyler mnie nie podwiezie, bo jest na siłowni z Deanem, a Ella, Jamie i Chase pojechali zapolować na celebrytów. Najwyraźniej dziś w okolicy ma się

pojawić Ben Affleck.

Ojciec tłumy westchnienie.

– No dobrze, chodź już.

Biegnę na górę po conversy i gotówkę, a kiedy wracam, ojciec niecierpliwie uderza stopą o frontowe drzwi. Mijam go i wsiadam do lexusa. Zamyka drzwi na klucz i idzie za mną. Na jego twarzy maluje się zdenerwowanie. Boję się, że jeśli coś powiem, rozplacze się, więc przezornie trzymam język za zębami. Cisza trwa jednak tylko dziesięć minut.

– No i jak? – pyta ojciec. – Dobrze się bawisz?

– Jest w porządku – mówię, choć to za mało powiedziane. Czy dobrze się bawię? Bawię się cudownie. Wakacje są jak sen, z którego nie chcę się obudzić. W ciągu ostatnich trzech tygodni wszystko jest takie nowe, nieprzyzwoite, ekscytujące i fantastyczne. – Jest okej – mruczę i wskazuję chodnik przy Santa Monica Boulevard.

Ojciec zatrzymuje się przy krawężniku i wsiadam z samochodu. Zanim zdążę zamknąć drzwi, nachyla się w moją stronę i posyła mi słaby uśmiech.

– Uważaj na siebie – mówi. – W Los Angeles nie jest tak bezpiecznie jak w Portland.

– Gdybyś nie wiedział – mówię i również się pochylam, żeby spojrzeć mu w oczy – liczba gwałtów w Portland jest wyższa od średniej krajowej. Powodzenia na spotkaniu.

Patrzy na mnie zdumiony, gdy delikatnie zamykam za sobą drzwi. Nie oglądam się za siebie. Przez chwilę gmeram przy pasku jasnobrązowej torebki i kieruję się do Refinery, małego baru kawowego na rogu, do którego Rachael i Meghan zabrały mnie na początku wakacji, tego, w którym jest fajny klimat i gdzie sprzedają najlepsze karmelowe drinki. W środku panuje spokój. Kilka osób pochyla się nad parującymi kubkami; jedni czytają, inni pracują na laptopach, a jeszcze inni rozmawiają z przyjaciółmi.

Dziewczyna za ladą patrzy na mnie i rozciąga usta w powitalnym uśmiechu. Podchodzę do niej i przeglądam menu wiszące na ścianie za jej plecami. Napisano je białą kredą, przez co

jeszcze bardziej mi się tu podoba.

– Co mogę podać?

– Waniliową latte na chudym mleku, wyjątkowo gorącą, z dodatkową porcją karmelu. – Sięgam do torby i kładę na ladzie pięć dolarów. Głupio mi, że poprosiłam o dodatkową porcję karmelu, ale Amelia miesiącami próbowała mnie przekonać, żeby od czasu do czasu sprawić sobie przyjemność i napić się ulubionego napoju.

– Jasne. – Dziewczyna wyskubuje resztę z kasy sklepowej. – Zaraz przyniosę.

Biorę pieniądze i podchodzę do małego stolika pod ścianą. Zdejmuję torebkę i rozsiadam się na krześle. Dobrze tak posiedzieć, zrelaksować się i poobserwować ludzi dookoła. Uwielbiam patrzeć na ludzi. Zawsze zastanawiam się, jak wygląda ich życie. Gdzie dorastali? Ile mają rodzeństwa? Jakie lody lubią?

A teraz przede wszystkim zastanawiam się, czy ich wakacje są tak skomplikowane jak moje.

– Proszę. – Kilka minut później dziewczyna stawia przede mną kubek gorącej kawy. – Smacznego.

Dziękuję jej i czekam, aż wróci za bar, a kiedy to robi, sięgam po kubek i upijając długi łyk, rozkoszuję się jego zawartością. Jest wrząca. Delikatnie parzy mnie w gardło, ale nie przeszkadza mi to, bo smakuje wybornie.

Odchylam się na krześle, wyjmuję z torebki słuchawki oraz telefon i włączam La Breve Vita. Zamykam oczy, oddycham i kiwam głową w rytm muzyki. Tak się cieszę, że byłam na ich koncercie. Uwielbiam ich. Ich teksty mają w sobie głębię, a każda piosenka to swoista opowieść o błędach, które popełniliśmy w przeszłości i o tym, co czeka nas w przyszłości. Teksty w większości są po włosku.

Pochłonięta muzyką wyczuwam przed sobą jakiś ruch. Otwieram oczy i serce mało nie wyskakuje mi z piersi, kiedy widzę utkwione we mnie czyjeś spojrzenie. Zrywam się z krzesła; słuchawki spadają na stół.

– Hej – słyszę.

– Przestraszyłeś mnie. – Chwytam się za pierś i próbuję złapać oddech.

To Dean. Wygląda jak ktoś, kto próbował przebiec maraton, ale zemdlał przed metą. Policzki ma czerwone, twarz spoconą, włosy potargane.

– Przepraszam. – Uśmiecha się żałośnie. – Kupowałem kawę i zobaczyłem, że tu siedzisz.

Spoglądam na papierowy kubek, który trzyma w rękach.

– Wyszedłeś z siłowni? – pytam.

– Aż tak widać? – Ociera czoło wierzchem dłoni i się śmieje.

– Nie. – Kręcę głową i upijam łyk latte. „Wyskoczył po coś do picia”, myślę. – Jest z tobą Tyler? – pytam.

Rozglądam się po barze, szukając zielonych oczu i czarnych włosów, ale Dean mówi:

– Nie, pojechał do Malibu umyć samochód.

– Aha. – Rozczarowana opuszczam wzrok i wodzę palcem po krawędzi kubka. – Jakoś mnie to nie dziwi.

– Czego słuchasz? – pyta. Pochyla się i sięga po telefon, a gdy na ekranie pojawia się nazwa La Breve Vita, patrzy na mnie rozpromieniony. – Nie wierzę!

Wzruszam ramionami.

– Są naprawdę dobrzy – mówię.

– Jaki jest twój ulubiony kawałek?

– Trudno powiedzieć. – Przechylam głowę, opieram policzek o dłoń i przeglądam tytuły piosenek ze wszystkich trzech albumów, zanim podejmuję decyzję. – Chyba *Holding Back*.

Prostuje się i splata ramiona. Zaciska usta i kręci głową.

– Niesamowite.

– Co?

Zamiera. Wbija we mnie spojrzenie brązowych oczu, aż w końcu się uśmiecha.

– Mój też.

Ja również się uśmiecham. Mam ochotę przygryźć wargi, ale się powstrzymuję.

– To niesamowita piosenka.

– Też tak sędzę – przyznaje. Patrzy na mnie rozpromieniony, jakby czerpał przyjemność z tego, że widzi, jak piję kawę. Siada naprzeciwko mnie. – Stawiam ci kawę – oznajmia. Sięga do kieszeni i wyciąga portfel. Przetrzęsa jego zawartość i kładzie przede mną pomięty pięciodolarowy banknot. – Pięć dolców zwrotu. Dla ciebie.

Rozchyłam usta, podnoszę banknot i przyglądam mu się spod zmrużonych powiek. Na odwrocie, na Mauzoleum Lincolna, zapisano coś czarnym długopisem. Im baczniej przypatruję się literom, tym szybciej uświadamiam sobie, na co patrzę. PIENIĄDZE EDEN ZA BENZYNĘ. Rozdziawiam usta i wlepiam wzrok w Deana.

– Zatrzymałeś je? – pytam. – I podpisałeś?

– Żebym pamiętał ci je oddać.

– Ale ja nie chcę, żebyś mi je oddawał.

– A to pech – mówi. Z nieśmiałym uśmiechem zaciska moje palce na banknocie i delikatnie odpycha moją rękę.

Rozbawiona jego zachowaniem, kręcę głową i chowam pięciodolarówkę do torebki. Przez chwilę oboje delektujemy się kawą.

Dean oddycha przez usta, jakby jego kawa była za gorąca, i pyta:

– Dokąd się wybierasz?

– Pewnie wrócę do domu. – Zdumiony unosi brwi. – Do tego w Santa Monica – wyjaśniam. – Nie w Portland.

– Tak myślałem – mówi i wstaje od stolika. Sięga po kubek, podnosi go do ust i upijając łyk, wygląda przez okno. – Podrzucić cię?

Odkryłam, że bycie w obcym mieście bez samochodu ma swoje dobre strony: nie trzeba prosić o podwózkę, bo wszyscy proponują ci ją z litości.

– Jeśli to nie problem. – Zresztą i tak nie mam prawa jazdy.

– Żaden – zapewnia Dean. – Chodź.

Wypijam ostatni łyk latte, chowam słuchawki do torby i zarzucam ją na ramię. Dean stoi oparty o drzwi, czekając, aż

wyjde. Nawet nie zauważyłam, że pogoda się zepsuła. Zadzieram głowę i zaskoczona patrzę na zaciągnięte chmurami niebo.

– Gdzie podziało się słońce?

Dean wzrusza ramionami i obserwuje uliczny ruch.

– Wbrew powszechnemu przekonaniu, w Kalifornii też czasem pada. – Kiedy nadarza się okazja, delikatnie popycha mnie do przodu i przebiegamy na drugą stronę ulicy. Samochód Deana stoi wciśnięty między dwa inne i zastanawiam się, jak tego dokonał. – Każdego lata mamy tu potężną burzę, która trwa przez cały dzień. Przychodzi znikąd i jest naprawdę imponująca.

– I tak jest co roku?

– Tak – potwierdza. – Zaufaj mi. Obiecuję, że zanim wrócisz do domu, zaczniesz lać.

Kiedy otwiera samochód, wślizguję się na siedzenie pasażera.

– Nie boję się deszczu. W Portland leje osiem miesięcy w roku.

– Kiepsko.

W drodze do domu rozmawiamy o nieistotnych rzeczach, takich jak deszcz i śnieg, bary kawowe i smaki syropów. Ja uwielbiam karmelowy, Dean cynamonowy. Kiedy docieramy na miejsce i nie dostrzegam na podjeździe samochodu Tylera, dobry humor mnie opuszcza. Nie widziałam go od rana i zaczynam za nim tęsknić, jakkolwiek żalosne może się to wydawać.

– Dzięki, że mnie podrzuciłeś... znowu – bąkam nieśmiało. Czerwienię się, kiedy mówi, że to żaden problem, i nagle wpadam na genialny pomysł. Jest tak świetny, że uśmiecham się od ucha do ucha. Sięgam do torby i szukam pięciodolarówki; tej samej, na której Dean zapisał wiadomość swoim niechlujnym charakterem pisma. W końcu znajduję zmięty banknot i kładę go na desce rozdzielczej.

– To za paliwo – mówię.

Dean parska śmiechem i kręci głową.

– Do następnego razu – żartuje i saltuje mi na pożegnanie.

Na podjeździe nie ma samochodu Tylera, jest za to range

rover, a to znaczy, że Ella i chłopcy zdążyli już wrócić. W domu panuje cisza. Zaglądam do pokoju gościnnego. Ella siedzi po turecku na skórzanej kanapie, a obok niej leży stos albumów ze zdjęciami.

– No i jak, spotkaliście Bena Afflecka? – pytam, wchodząc do pokoju.

Ella podnosi na mnie niebieskie oczy i zamyka album, który trzyma na kolanach.

– Z powodu ogromnej liczby ludzi nie miałam gdzie się zatrzymać i powiedziałam chłopcom, że nie będę płacić za parking. Zamiast tego podrzuciłam ich do przyjaciół.

Śmieję się i wskazuję głową albumy.

– Co oglądasz?

– Ach, nic takiego – mówi pospiesznie. – Stare fotografie. Byłam sama i pomyślałam, że zniosę je ze strychu i sobie na nie popatrzę. Chłopcy nienawidzą, kiedy oglądam ich zdjęcia z dzieciństwa. – Tłumi śmiech, spuszcza wzrok i muska palcami podniszczoną okładkę albumu.

– Mogę zobaczyć? – Podchodzę do kanapy, przesuwam albumy, żeby zrobić sobie miejsce, i siadam obok mojej macochy.

Ella wygląda na zdenerwowaną, ale otwiera album i kładzie go między nami tak, że jedna połowa leży na jej udzie, a druga na moim.

– Te zrobiono, kiedy urodził się Chase – objaśnia i pokazuje mi zdjęcia opatulonego niebieskim kocykiem noworodka w plastikowym szpitalnym łóżeczku. Na każdym z nich Chase płacze i jest purpurowy na twarzy. Ella przewraca kartkę, żeby pokazać mi więcej zdjęć ze szpitala. Tym razem Chase jest w ramionach nieznałomej kobiety w średnim wieku, a na następnej fotografii trzyma go mężczyzna mniej więcej w tym samym wieku.

– To dziadkowie chłopców – tłumaczy Ella odrobinę spiętym głosem. Kolejne strony są puste z wyblakłymi prostokątami w miejscach, gdzie kiedyś były zdjęcia. Nagle Ella wybucha śmiechem. – Boże, to ja z długimi włosami.

Chase wygląda na kilka tygodni starszego. Dużymi oczami

wpatruje się w obiektyw, podnoszony do góry przez młodą Ellę z długimi jasnymi włosami i szerokim uśmiechem, jakby przyłapano ją w chwili wyjątkowej radości. Jest taka szczęśliwa i beztroska. Zupełnie jak ktoś, kto prowadzi idealne życie. Obok, uczepiony jej fioletowych spodni od dresu, stoi mały chłopiec, który uparcie zaciska usta. Sądząc po jasnych włosach, to Jamie. Na zdjęciach ma mniej więcej trzy lata.

– Są trochę kiepskiej jakości – przeprosza Ella i wymienia album na inny. – A to zdjęcia Tylera.

Słyszając to, ozywiam się i nadstawiam uszu. Siadam wygodniej na kanapie, zagryzam wargę i wbijam wzrok w czarny album, który Ella otwiera na pierwszej stronie. Jest pusta. Przerzuca kilka kolejnych kartek. Wszystkie są puste. W końcu, na szóstej stronie znajdujemy dwie fotografie. Jest na nich maleńki bobas w inkubatorze, kruchy i różowutki.

– Urodził się cztery tygodnie przed terminem – mówi Ella. – Miał przyjść na świat w lipcu, a zamiast tego urodził się w czerwcu.

– Nie wiedziałam. – Odwracamy kolejne puste strony, aż natrafiamy na zdjęcie Elli, która leży na łóżku w ciemnym pokoju, z kulącym się obok Tylerem. Wygląda jeszcze młodziej, jak nastolatka, może rok starsza ode mnie. Długie włosy ma niedbale spięte w koński ogon i patrzy w obiektyw zmęczonym wzrokiem. Wygląda na wyczerpaną, ale nie komentuję tego.

Na ostatniej stronie albumu Tyler nie jest już niemowlakiem. Ma kilka lat, stoi na własnych nogach, ubrany w mały czarny smoking. Uśmiecha się do obiektywu, a ja uśmiecham się do niego. Ciemne włosy i zielone oczy wydają się takie znajome, jakby w ogóle się nie zmienił.

– To zdjęcie zrobiono w dniu mojego ślubu – tłumaczy cicho Ella.

Czuję się niezręcznie, biorąc pod uwagę fakt, że jestem córką jej drugiego męża, ale intryguje mnie to, co mówi.

– Kiedy wyszłaś za mąż?

– W wieku dwudziestu jeden lat. Tyler prowadził mnie do

ołtarza, bo nie utrzymuję kontaktów ze swoimi rodzicami. Miał cztery latka, ale bardzo mu się to podobało. – Zatrzaszkuje album i odkłada go na bok.

– To wszystko? – pytam z niedowierzaniem. – Tylko osiem zdjęć?

– Kiedyś ten album był pełen – wyznaje ze smutkiem. Zerka na mnie kątem oka i uśmiecha się, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że nic jej nie jest. – Tyler spalił większość z nich.

– Spalił? – Mówiąc to, ściągam brwi.

– Rozpalił ognisko w ogrodzie za domem. – Ella wzrusza ramionami. – Było dużo zdjęć, których nie chciał zatrzymać. Pozwoliłam mu, bo myślałam, że dzięki temu poczuje się lepiej.

Zanim zdążę zadać kolejne pytanie, sięga po następny album, prawdopodobnie ze zdjęciami Jamiego. W tej samej chwili słyszymy szcęk otwieranych drzwi i zaraz potem ktoś wchodzi do domu.

– Ella? – woła czyjś głos. Myślę, że obie spodziewamy się Tylera, ale głos należy do dziewczyny. Poznaję go.

– Tu jestem, Tiffani! – Ella tylko potwierdza moje przypuszczenia. Zastanawiam się, co ona tu robi.

Kilka sekund później Tiffani zagląda do pokoju.

– O, cześć, Eden.

– Cześć. – Prawie nie patrzę jej w oczy, jakbym była dilerem narkotykowym, a ona agentem federalnym.

– Jest Tyler?

Ella podaje mi album i wstaje z kanapy. Wygląda sukienkę i podchodzi do Tiffani.

– Hmm, nie widziałam go od rana – mówi. – Próbowałaś do niego zadzwonić? Może jest jeszcze na siłowni.

– Dzwonię do niego od wczoraj wieczorem – stwierdza beznamiętnie Tiffani. – Odrzuca moje telefony. A skoro już o tym mowa, gdzie on się wczoraj podziewał?

– Nie był z tobą? – Ella marszczy brwi.

Moje serce przestaje bić, krew ścina mi się w żyłach. Rozdziawiam usta i gapię się na nie. „Totalnie wszystko

spieprzyliśmy”, myślę. Nie wiem, dlaczego Tyler uważał, że nasze kłamstwa nie obrócą się przeciwko nam, i nie mam pojęcia, dlaczego się na nie zgodziłam.

Z chwilą gdy wydaje mi się, że zaraz padnę trupem, ktoś znowu wchodzi do domu. Tym razem rzeczywiście jest to Tyler. Słyszę go, jeszcze zanim zdążę go zobaczyć.

– Co ty tu robisz? – mruczy, idąc korytarzem.

Tiffani, która nadal stoi w drzwiach, odwraca się i patrzy na niego chłodnym wzrokiem.

– Gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

– Mówiłem ci – rzuca Tyler. Widzę połowę jego twarzy, przetyka nerwowo. – Z chłopakami.

– Tylerze. – Ella postanawia włączyć się do rozmowy i niemal widzę, jak chłopak przeklina w duchu. – Powiedziałeś mi, że byłeś z Tiffani. Dokąd poszedłeś wczoraj wieczorem?

– Chryste – warczy mój przyrodni brat. – Czy to ważne?

Ella odwraca się do mnie i patrzy mi w oczy. Od jakiegoś czasu wstrzymuję oddech i obawiam się, że jestem fioletowa na twarzy.

– Gdzie on był, Eden?

Teraz już wszyscy patrzą na mnie. Ella surowym wzrokiem, Tiffani wściekłym, a Tyler błagalnym, jakby prosił, żebym nie nawaliła. Żebym wymyśliła coś sensownego.

– Podrzucił mnie do Meghan i zmienił plany – kłamię, modląc się w duchu, żeby procesy myślowe zachodzące w mojej głowie przyniosły logiczne rozwiązanie. – Zamiast pojechać do Tiffani, spotkał się z chłopakami.

– Widzisz – mruczy Tyler. Podchodzi do Tiffani i próbuje wziąć ją za rękę, ale ona go odpycha.

– Nie mów do mnie – warczy i wypycha go z powrotem na korytarz. – Chodź ze mną, Eden. Musimy porozmawiać z Rachael i Meghan. Natychmiast. – Jej spojrzenie mówi, że lepiej się jej nie sprzeciwiać, więc odkładam na bok albumy i dźwigam się z kanapy. Kiedy podchodzę do niej, chwyta mnie za nadgarstek i szarpnięciem wyciąga na korytarz. Mijając Tylera, celowo trąca go

barkiem.

Tyler zaciska pięści. Jego wściekłe spojrzenie odprowadza nas aż do drzwi. Nie mam nawet czasu założyć butów i boso biegnę przez trawnik, wleczone przez Tiffani do jej samochodu.

Siada na fotelu kierowcy, zatrzaskuje za sobą drzwi i wybucha płaczem. Kryje twarz w dłoniach i łka pochylona nad kierownicą. Jej pierś unosi się i opada, kiedy próbuje złapać oddech.

– Wszystko w porządku? – pytam i wściekła na siebie przewracam oczami. To oczywiste, że nic nie jest w porządku. Odwracam się do niej i gładzę ją po plecach. To jednak nie pomaga. – Co się stało?

Spazmatyczny szloch wstrząsa jej ciałem i mija kilka chwil, zanim w końcu podnosi głowę i ociera oczy kciukami. Oddech wciąż ma nierówny, ale uruchamia silnik i drżącymi rękami zapina pas.

– Nie uwierzysz – jęczy. Tusz pozostawił na jej policzkach czarne smugi. – Przyjdą do mnie Rach i Meg. Muszę... po prostu muszę się wygadać.

Jedziemy w ciszy i dziękuję Bogu, że Tiffani mieszka w tej samej dzielnicy. Nie sędzę, żebym była w stanie wysłuchiwać jej szlochania dłużej niż przez dziesięć minut. Jednak te dziesięć minut wystarcza, by mój żołądek ścisnął się w supeł. Jestem prawie pewna, że płacze przez Tylera.

Rachael i Meghan czekają w samochodach przed domem Tiffani. Kiedy parkujemy na podjeździe, wysiadają i biegną w naszą stronę.

– Mój Boże, Tiff. Poszło aż tak źle? – Rachael przytula ją jako pierwsza. – Pamiętaj, że to mój sąsiad, więc mogę zakraść się do niego w środku nocy i uciąć mu jaja.

Teraz już wiem, że na pewno chodzi o Tylera i zastanawiam się, czy Tiffani rozpacza, bo wystawił ją, żeby pobujać się z kumplami. „Nie”, uznaję, „to nie powód, żeby robić taką aferę”. Tu chodzi o coś innego.

– Ile razy cię ostrzegaliśmy? – pyta Meghan. Bierze Tiffani

za rękę i prowadzi ją do drzwi. – Wiesz, że to nie pierwszy raz.

– Wtedy to były tylko plotki – jęczy Tiffani i po raz kolejny zanosí się płaczem. – Tym razem mam dowód!

– Dowód na co? – pytam, kiedy wchodzimy do domu. Do tej pory nikt mi nie wyjaśnił, o co chodzi i dlaczego Tiffani płacze.

– Chryste, Eden, nie zadawaj głupich pytań. – Rachael rzuca mi wściekłe spojrzenie i spogląda na Tiffani ze współczuciem. Wciąż jednak nie odpowiada na moje pytanie. W milczeniu wchodzimy po schodach do pokoju Tiffani, która z płaczem rzuca się na łóżko.

– Zaczynij od początku – mówi uspokajająco Meghan, podczas gdy Tiffani próbuje złapać oddech. Siedzimy wszystkie na materacu, jakby ona była królową, a my jej służącymi. I poniekąd jest to prawda.

– Już wam mówiłam – warczy poirytowana. – Wysłałam po pocztę do skrzynki, kiedy Austin Cameron zatrzymał się przed domem. Zagadnął mnie, jak tam wieczór z Tylerem, i puścił mi oko jak pieprzony zboczeniec. Zapytałam, o co mu chodzi, a on powiedział, że wieczorem widział nas na moło. Tyle że ja nie byłam na żadnym moło.

Jeśli wcześniej myślałam, że nie oddycham, to teraz z pewnością tracę oddech. Otwieram usta i gapię się na nią. Nagle dociera do mnie, że Tiffani nie płacze przez Tylera.

Ona płacze przeze mnie.

– Powiedziałaś Austinowi, że to nie byłaś ty? – pyta Rachael. Klepie Tiffani po kolanie, jakby to miało ją pocieszyć.

– Oczywiście, że mu powiedziałam – mruczy Tiffani, pociągając nosem, i znowu zaczyna płakać. – Stwierdził, że widział, jak Tyler całował się z kimś w samochodzie na pieprzonym parkingu i założył, że to ja, no bo przecież... jestem jego dziewczyną.

– A nie powinnaś – sarka Meghan. – Ten koleś nie zasługuje na ciebie.

Tiffani zaciska powieki i bierze głęboki oddech.

– Zapytałam Austina, czy to na pewno był samochód Tylera,

a on odparł, że tak i że takiej bryki nie sposób pomylić z żadną inną. Zresztą poznał ją po tablicy rejestracyjnej. Oczywiście zapytałam go, czy rozpoznał tamtą dziewczynę, ale twierdzi, że widział jedynie sylwetki. – Warczy wściekle i wali pięścią w poduszkę. – Po co mu, do cholery, przyciemniane szyby? Myślałam, że są zabronione. Teraz zaczynam rozumieć dlaczego. Ułatwiają zdrady!

„Boże”, myślę, „to wszystko moja wina”.

– Powiedział mi, że był z chłopakami, a swojej mamie, że był ze mną! Pieprzony kłamca! – Znowu boksuje poduszkę i szarpie wszystko, co wpadnie jej w ręce. Nie chcę nawet sobie wyobrazić, jak by zareagowała, gdyby wiedziała, że to ja. – Przez cały ten czas spotykał się z jakąś dziwką. Niedobrze mi. Boże, zaraz zwymiotuję. – Chwyta się za brzuch i opuszcza głowę.

– Musisz z nim zerwać, Tiffani – mówi protekcjonalnie Rachael, jakby przemawiała do dziecka, które przeżyło swój pierwszy zawód miłosny.

– Ale nie potrafię! – zawodzi Tiffani. Włosy opadają jej na oczy, po policzkach toczą się łzy. Podciąga kołdrę pod brodę i ociera twarz. Wkrótce materiał jest mokry od łez. – Potrzebuję go.

– Może Austin błędnie to zinterpretował? – Na siłę wypycham słowa z ust. W gardle mam sucho, ale robię, co mogę, żeby opanować drżenie głosu. Zachowuj się, jakbyś o niczym nie wiedziała, upominam się w duchu. Udawaj niewiniątko.

– Eden – Rachael wyciąga szyję i patrzy na mnie z dezaprobatą – wiemy, że to twoja rodzina, ale proszę, przestań go bronić.

– Nie bronię go – oburzam się. Czuję się mała i nic niewarta, i tak naprawdę wcale nie bronię Tylera. Bronię siebie.

Przez dwadzieścia minut słuchamy, jak Tiffani żali się i bluzga, aż w końcu się uspokaja. Przez cały czas siedzę cicho w obawie, że powiem coś, co mnie zdradzi. Rachael wymyśla rozmaite rzeczy, żeby ukarać Tylera, a Meghan radzi, żebyśmy wszystkie poszły na lody, jednak Tiffani nawet nie chce o tym słyszeć.

– Jeśli przytyję, będzie miał pretekst, żeby znowu mnie zdradzić – mówi. To mi się nie podoba. Czy ona sugeruje, że większe dziewczyny nie mogą być atrakcyjne? Że faceci nie lubią kobiet, które mają odrobinę ciała? Nie wiem, ale i tak mnie to wkurza.

W końcu oznajmia, że musi się zdrzemnąć. Dla nas to jasny sygnał, że powinniśmy już iść. Tiffani potrzebuje przestrzeni, a ja jestem wdzięczna, że w końcu mogę się stąd wynieść. Rachael proponuje, że odwiezie mnie do domu, żebym nie musiała włączyć się boso po okolicy.

– Dzwon, gdyby coś się wydarzyło – prosi Meghan, kiedy wszystkie trzy zatrzymujemy się w drzwiach. Tiffani leży na łóżku i przewraca się z boku na bok. – Chcemy być na bieżąco.

– Dobrze. – Pociąga nosem. – Mogę na chwilę porozmawiać z Eden?

Rachael, Meghan i ja wymieniamy spojrzenia. Mam ochotę poprosić je, żeby nie zostawiały mnie samej. Ale zanim zdążę otworzyć usta, Rachael mówi:

– Jasne. Zaczekam w samochodzie, Eden. – Po tych słowach obie wychodzą.

W pokoju zapada cisza. Tiffani zakrywa twarz kołdrą. Kiedy się odzywa, głos ma cichy, stłumiony.

– To, co teraz powiemy, ma zostać między nami. Nie waż się mówić o tym Tylerowi.

– Nie powiem. – Głos mam piskliwy i tęsknym wzrokiem spoglądam w stronę schodów. – Mam nadzieję, że już ci lepiej.

– Nie – odpowiada. – Ale, Eden?

– Tak?

Siada prosto, krzyżuje nogi i patrzy na mnie zapuchniętymi oczami. Zaciska wargi, wysuwa brodę i marszczy brwi. Coś błyska w jej niebieskich oczach; coś, czego nigdy dotąd nie widziałam. Coś tak chorego i pokręconego, że przez moment naprawdę się jej boję.

– Wiem, że wczoraj wieczorem nie byłaś z Meghan. Wiem, bo ja z nią byłam.



Kiedy wracam do domu, Tyler czeka na mnie w holu. Splata ramiona, zaciska zęby i patrzy wyczekująco. Wygląda, jakby lada chwila miał wejść na ring, gotów znokautować swojego przeciwnika. Sęk w tym, że nie wiem, kim jest jego przeciwnik.

– Co powiedziała? – rzuca pogardliwie. Podchodzi do mnie, opuszcza ręce i zaciska pięści. – Co jej powiedziałaś?

Kręcę głową i zaglądam do salonu. Ella zniknęła, podobnie jak albumy ze zdjęciami.

– Gdzie twoja mama?

– Pojechała po Chase'a – rzuca schrypniętym głosem. – A teraz mów, co się stało.

Biorę głęboki oddech i patrzę na niego, próbując to wszystko zrozumieć. Jestem śmiertelnie przerażona.

– Ktoś nas wczoraj zobaczył – bełkoczę i czuję, jak żółć podchodzi mi do gardła. – Austin Cameron... Powiedział Tiffani.

W oczach Tylera maluje się przerażenie, jednak chwilę później pojawia się w nich znajomy chłód.

– Jaja sobie robisz? – warczy. Przyptyw adrenaliny sprawia, że z głośnym plaśnięciem wali pięścią w otwartą dłoń. – Zabiję skurwie...

– Nie wiedzą, że to ja – dodaję pospiesznie. Głos mam spokojny, nerwowo splatam i rozplatom palce. Wlepiam wzrok w podłogę; czuję w piersi bolesny ucisk. – Ona jest zdruzgotana, Tylerze.

Nie jest zła. Jest wściekła. Myślę, że się domyśla. Wie, że Tyler i ja skłamałiśmy na temat tego, gdzie spędziliśmy wczorajszy wieczór i choć starałam się wszystko wytłumaczyć, dała mi jasno do zrozumienia, że dowie się, co ukrywam. Z perspektywy czasu mogłam wymyślić coś lepszego. Ale działałam pod presją, tak

więc powiedziałam, że skłamałam, bo Ella i ojciec nie pozwoliliby mi wyjść, gdyby wiedzieli, że coś może mi się stać. Przekonująca bajeczka? Nie dla Tiffani. Nie sądzę, żebym jeszcze kiedyś mogła spojrzeć jej w twarz.

Na chwilę zapada cisza. Tyler rozluźnia dłonie i wzdycha ciężko. Spoglądam spod rzęs, jak masuje kark i przeczesuje włosy palcami.

– Załatwię to – szepcze. Na dźwięk tych słów podnoszę wzrok i patrzę mu w oczy. – Posłuchaj, wiem, że jest wkurzona. Rozumiem, ale potrafię jej to wynagrodzić. Powiem, że popełniłem błąd. Kupię jej coś ładnego i wszystko będzie dobrze. Potem coś wymyślimy.

Patrzę na niego z niedowierzaniem. Zaciskam usta w wąską kreskę, zagryzam zęby i rzucam mu gniewne spojrzenie.

– Nic nie będzie dobrze, Tylerze! – rzucam krótko, wypluwając z siebie każde słowo. – Nic nie jest dobrze! To się musi skończyć!

– Co się musi skończyć?

– To. – Wskazuję na niego i na siebie. Nie powinnam była do tego dopuścić. Teraz jest za późno. O trzy razy za późno. – Masz dziewczynę. Nie chcę być nieuczciwa.

– Nie będziesz – zapewnia mnie, a kąciki jego ust drgają. Uśmiecha się, robi krok w moją stronę i bierze mnie pod łokieć. W zetknięciu z ciepłem jego skóry moje ramiona pokrywają się gęsią skórką. Przyciąga mnie do siebie, a kiedy zadzieram głowę, widzę, że zamyka oczy i pochyla się, żeby mnie pocałować. Wyrывam się z jego objęć i się odsuwam. Stoi tam, z uniesionymi rękami, powoli otwiera oczy i mierzy mnie wściekłym spojrzeniem.

Mrugam, próbując zgadnąć, co w tej chwili chodzi mu po głowie. Jest szalony. Mija chwila, zanim w końcu pytam:

– Żartujesz sobie? To nie czas na takie rzeczy. Nawet gdybyś zagwarantował mi, że o niczym się nie dowie, co nie jest możliwe, i tak bym tego nie zrobiła. – Cofam się o krok, chaotycznie macham rękami i kręcę głową. – Nie zrobię tego – mówię ze ściśniętym gardłem.

– Daj spokój. – Nie uśmiecha się już, ale wyraz zadowolenia nie znika z jego twarzy. Zniesmaczona odwracam się na pięcie. – Jakoś to rozwiążemy. – Słyszę, jak mówi, kiedy jestem już w połowie schodów.

– Jak, Tylerze? – pytam. Odwracam się, zaciskam dłoń na poręczy i patrzę na niego. – Mamy tylko dwa wyjścia.

– Tylko dwa?

– Dwa – powtarzam. Zaglądam mu w oczy i widzę Tiffani, z czarnymi od tuszu policzkami. Wyobrażam sobie poduszki mokre od łez i słyszę jej stłumiony szloch. Jego to nie obchodzi. – Musisz z nią zerwać.

– Nie – sprzeciwia się i stanowczo kręci głową. – Nie mogę.
– Dlaczego? – pytam.

Nie odpowiada od razu i spodziewam się, że zignoruje moje pytanie.

– Bo to bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Tiffani... Posłuchaj, nie przeginaj. – Milknie i spojrzeniem daje mi do zrozumienia, że bym z nim nie zadzierała. I choć w środku gotuję się ze złości, ściągam brwi i czekam na to, co zaraz usłyszę. – Jaka jest druga możliwość?

– Zapominamy o wszystkim, co się między nami wydarzyło. – Mówię to z bólem serca, ale wiem, że tak będzie najlepiej. Jeśli chce być z Tiffani, musimy pozostać przyrodnim rodzeństwem. Koniec z flirtowaniem, ukradkowymi pocałunkami i seksualnymi podtekstami. A jeśli tego właśnie chce, musi się rozstać z Tiffani. Inaczej dopuści się czegoś, co powszechnie nazywane jest zdradą.

– Krótko mówiąc – odzywa się i splata ręce na piersi – będę z tobą, tylko jeśli zerwę z Tiffani? Mam do wyboru: albo ty, albo ona, tak? – Wyraz zadowolenia zniknął z jego twarzy, zastąpiony wściekłym grymasem. Tyler zadziera brodę i patrzy na mnie spod przymkniętych powiek. Myślę, że nie na mnie się złości. Myślę, że jest zły na sytuację. Podobnie jak ja.

– Co cię tak dziwi? To chyba oczywiste – zauważam. – Mogłeś się spodziewać, że do tego dojdzie.

Zaciska zęby, odchyła głowę i zatapia palce we włosach.

Mruczy coś pod nosem i rusza do kuchni. Ja tymczasem idę do pokoju i ostentacyjnie trzaskam drzwiami.

Chwilę później opadają mnie wątpliwości i zaczynam zadreć się pytaniami. Najważniejsze z nich brzmi: dlaczego Tyler tak bardzo mi się podoba?

Nie przychodzi mi do głowy żadna rozsądna odpowiedź. Wszystko jest nie tak. Przede wszystkim podoba mi się mój przyrodni brat i nie mogę znieść myśli, że ktoś mógłby się o tym dowiedzieć. Zostalibyśmy osądzeni, wykluczeni ze społeczeństwa i wygnani. Ale chodzi nie tylko o to, że Tyler jest moim przyrodnim bratem. Ma też wiele wad, których nie potrafię nienawidzić, chociaż wiem, że powinnam. Dlaczego fascynuje mnie ktoś, kogo nic nie obchodzi? Powinnam go nie cierpieć za to, że jest takim arogantem i egoistą. A nie potrafię. Mimo tych wszystkich niestosownych uwag, które wygłasza, mimo wypalonych skrętów, wypitego w ciągu godziny alkoholu i wszystkich tych rzeczy, które robi tylko po to, żeby nie odstawać od towarzystwa, w którym się obraca. Tu chodzi o coś więcej: pod maską twardziela ukrywa się ktoś naprawdę intrygujący. Jestem tak zafascynowana i zauroczona, że chyba się w nim zakochuję.

Chciałabym, żeby było inaczej.

Niedługo potem do domu wracają Ella i Chase. Ella zagląda do mojego pokoju, żeby zobaczyć, czy wróciłam już do domu, i tłumaczy, że dziwnie się czuje w takiej ciszy. Zmuszam się do uśmiechu, ale ona zamyka drzwi i idzie do pokoju obok. Nie pamiętam, żeby Tyler wchodził do siebie, ale już po chwili słyszę za ścianą jego głos.

Kłóć się przez dobrą minutę, aż w końcu Ella daje za wygraną i zostawia go samego. Zastanawiam się, czy zawsze tak jest. Ella próbuje przemówić mu do rozumu, ale gdy on zaczyna się na nią drzeć, ona się poddaje. I tak w kółko. Chyba zdążyła się już do tego przyzwyczaić.

Jakiś czas później wraca i zaprasza na obiad. Nie mam ochoty schodzić do jadalni, ale upiera się, więc posłusznie za nią podążam. Ojciec i Chase siedzą już przy stole, obserwując każdy

mój ruch. Tyler również tu jest.

– Głodna? – pyta ojciec. Ma poluzowany krawat i odchyła się na krześle.

– Nie – odpowiadam i zmuszam się, żeby na niego spojrzeć. Czuję na sobie wzrok Tylera, który przewierca mnie na wylot. – Jak tam spotkanie?

– W porządku. – Tata wzrusza ramionami.

– Dave! – mówi Ella i stawia na stole talerz grillowanych żeberek. Tyler, widząc je, kręci nosem. Moja macocha podchodzi do ojca i kładzie mu ręce na ramionach. – Powiedziałaś, że poszło naprawdę dobrze.

Tata podnosi na nią wzrok, pozwala, by przez chwilę delikatnie masowała mu kark, i uśmiecha się do niej. Dawno temu, kiedy byliśmy szczęśliwi, uśmiechał się tak do mamy, ale te drobne gesty i spojrzenia skończyły się na długo przed rozwodem.

– Hmm... – mruczy i spogląda na mnie. – Poszło świetnie.

– To dobrze – mówię.

W tej samej chwili Tyler ostentacyjnie odsuwa od siebie talerz i wstaje od stołu. Kręci głową i krzywi się z pogardą.

– Nie mogę tu siedzieć. Idę na górę.

Uśmiech znika z twarzy Elli; jej dłonie spoczywają na szerokich ramionach ojca.

– Ale twoje jedzenie...

– Mam coś do zrobienia – ucina i nie patrząc na mnie, kieruje się w stronę drzwi. – Odgrzeję sobie później.

Ella wzdycha i podchodzi do piekarnika, żeby zmniejszyć temperaturę.

– No to dwójkę dzieciaków mamy z głowy – mruczy pod nosem.

Chase'owi najwyraźniej podoba się to, że jest nas mniej, bo uśmiecha się i woła:

– Więcej żeberek dla mnie!

Obiad mija w dziwnej atmosferze. Chase i ja prowadzimy luźną rozmowę, podczas gdy nasi rodzice opowiadają sobie, jak minął im dzień. Kiedy nie patrzą, podrzucam Chase'owi kilka

żeberek.

W pewnej chwili ojciec wstaje od stołu, żeby odebrać telefon. Nie zwracamy na niego uwagi, aż do chwili, gdy wraca do kuchni, odkłada słuchawkę na blat i sięga po kluczyki.

– Dzwoniła Grace. – Wyraźnie przejęty zwraca się do Elli. – Jamie upadł na nadgarstek. Obawia się, że może być złamany. Lepiej tam pojedźmy.

Ella krzywi się i przykłada rękę do czoła.

– Znowu? Tylko nie to!

– Nic mu nie będzie – uspokaja ją tata. – Zbierajmy się.

Ella krząta się po kuchni, sprawdzając, czy wszystko jest powylączane, a przed wyjściem zatrzymuje się w drzwiach.

– Czy ty i Tyler możecie zająć się Chase'em?

– Jedźcie już – mówię i wstaję od stołu.

Uśmiecha się do mnie z wdzięcznością i razem z ojcem wybiegają z domu. Kiedy odjeżdżają, jedynym dźwiękiem, jaki słyszę, jest siorbanie Chase'a, który zlizuje z talerza sos barbecue.

Podczas gdy on kończy jeść, ja sprzątam ze stołu.

– Dobrze, co? – zagaduję.

– Pyszne – poprawia mnie. Rzuca na talerz ostatnią kostkę i się uśmiecha. – Mmm.

Przewracam oczami i sięgam po jego talerz, żeby dołożyć go do stosu brudnych naczyń, który stawiam na zmywarce. Mało brakuje, a wrzuciłabym kości do młynka do rozdrabniania odpadków, ale w porę się orientuję i zamiast tego wrzucam je do kosza na śmieci.

– Jamie często łamie rękę w nadgarstku? – pytam.

– Nie – mówi Chase. Staje obok mnie, otwiera zmywarę i zaczyna ją zapelniać. – Ale Tyler tak.

– No proszę. – Uśmiecham się do siebie. – A myślałam, że z niego taki twardziel.

Dziesięć minut później, gdy kuchnia jest już posprzątana, Chase idzie do pokoju obejrzeć telewizję, a ja sprawdzam, czy drzwi wejściowe są zamknięte. Teraz, kiedy ja i Tyler jesteśmy prawie sami, uznaję, że to idealny moment na rozmowę. Nie wiem,

czy złości się na mnie, czy na siebie, ale widzę, że jest wściekły, a wolałabym, żeby był w lepszym nastroju.

Kiedy wchodzę do pokoju, siedzi na skraju łóżka. Głowę ma spuszczoną, ręce splecione na kolanach.

– Mamy zaopiekować się Chase'em – mówię cicho, żeby wiedział, że jestem w pokoju. – Jamie chyba złamał rękę w nadgarstku.

Natychmiast podnosi wzrok i zrywa się na równe nogi. Na jego twarzy maluje się przerażenie.

– Co się stało? Gdzie on jest? Kto?

Jestem zaskoczona taką reakcją i nie bardzo wiem, co odpowiedzieć.

– Co? – pytam.

Odchrząkuje.

– To znaczy, jak?

– Chyba się przewrócił – mówię. Tyler wygląda, jakby miał zemdleć, więc postanawiam rozładować napięcie. – Słyszałam, że tobie też zdarzają się takie rzeczy, twardzielu. – Unoszę brwi, ale to jeszcze bardziej go rozjusza.

W jego oczach wściekłość miesza się z niedowierzaniem.

– Skąd wiesz?

– Chase mi powiedział. – Patrzę na niego i nie mam pojęcia, czemu tak się wścieka. Nie potrafię go rozgryźć. – O co ci chodzi?

Wbija wzrok w podłogę i zaraz go podnosi. Robi krok w moją stronę.

– Co jeszcze powiedział ci ten dzieciak?

– Nic – szepczę.

– Na pewno? – Robi kolejny krok w moją stronę.

– Uspokój się – nakazuję. – Ignoruje mnie i taksuje od stóp do głów. – Na pewno – dodaję pospiesznie.

– Wiesz co? Mam już dość – warczy. Kręci głową, odwraca się i idzie do łazienki. – Mam dość ciebie i Tiffani. Dość twoich głupich pytań i jej marudzenia. Mam tego serdecznie dość. – Wygląda, jakby brakowało mu powietrza. Opiera się o umywalkę i wbija wzrok w kran.

– Za bardzo się denerwujesz – mówię i podchodzę do niego. Otwieram szerzej drzwi, żebym mogła stanąć razem z nim w małym pomieszczeniu.

– Uważaj na drzwi – sarka. – Zamek jest spieprzony.

Zachowuje się, jakby miał ochotę rozwalić umywalkę, więc żeby go uspokoić, kładę mu dłoń na ramieniu. On jednak się odsuwa.

– Potrzebuję kreski – syczy i zerka do szafki nad umywalką. Otwiera przeszkłone drzwiczki, sięga na najwyższą półkę i wyciąga plik banknotów. Zauważam walające się w szafce tabletki i buteleczki z lekami na receptę, ale nie one zaprzętają teraz moją uwagę.

Tyler zamyka szafkę i odwraca się, ale staje mu na drodze, blokując dostęp do drzwi.

– Nawet o tym nie myśl – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Eden – mówi, pochylając się nade mną. Jego wilgotne wargi zatrzymują się tuż przy moim uchu, a oddech chłodzi mi skórę. – Potrzebuję. Kreski. Natychmiast.

Patrzę na pieniądze, które ściska w dłoni, robię krok w tył i spoglądam mu w oczy.

– Bo dzięki koce wszystko będzie jak trzeba?

– Eden – powtarza schrypniętym głosem. – Przesuń swój słodki tyłeczek i zejdź mi z drogi, zanim naprawdę się wkurzę. Muszę się spotkać z Declanem.

– Nie pozwolę ci – warczę. Teraz to ja jestem wściekła. To oczywiste, że ucieka w narkotyki. To do niego podobne i takie żałosne. Co on sobie myśli? Nie mam ochoty mierzyć się z problemami, więc naprawię wszystko, rujnując sobie życie? Narkotyki są po to, żeby zyskać na czasie.

Tyler wali dłonią w ścianę, tuż obok mojej głowy.

– Nie ty będziesz, kurwa, decydować!

Nie wie jednak, że to właśnie ja będę decydowała o tym, czy wyjdzie, czy też nie, bo przez nieuwagę powiedział mi, jak go powstrzymać. Kiedy więc zaciska usta i gapi się na mnie, sięgam za siebie. Zanim zdąży się zorientować, co właściwie robię,

zatrząskuję drzwi, odwracam się i opieram się o nie plecami.

Spieprzony zamek właśnie stał się moim najlepszym przyjacielem.



Mała łazienka pogrąża się w pełnej napięcia ciszy. Serce wali mi jak szalone. W świetle jarzeniówek jak na dłoni widzę emocje, które malują się w zielonych oczach Tylera. Jest wśród nich zaskoczenie zmieszane z wściekłością.

– Jaja sobie robisz? – Rozgląda się po pomieszczeniu, jakby szukał nieistniejącego okna, jakby wierzył, że jeśli wystarczająco długo będzie gapił się na ściany, w jednej z nich pojawi się upragnione wyjście. Tymczasem ma do dyspozycji cztery ściany i zatrzaśnięte drzwi.

– Nie – mówię. Jestem dumna, że podjęłam błyskawiczną decyzję, w dodatku właściwą. Chciałam powstrzymać Tylera przed wyjściem z domu. Nie przeszkadza mi nawet to, że zamknęłam się z nim w tym klaustrofobicznym pomieszczeniu i że możemy tu spędzić kilka godzin. Być może, żeby otworzyć te drzwi, trzeba będzie zdjąć je z zawiasów albo wyważyć. Albo będziemy musieli poczekać do rana, kiedy miejscowy pan złota rączka przyjdzie nam z pomocą. Tak czy siak, nie obchodzi mnie to.

Tymczasem Tylera obchodzi. I to bardzo. Myśli wyłącznie o tym, żeby stąd wyjść, a jedyną rzeczą, która stoi mu na przeszkodzie, są zatrzaśnięte drzwi. Omija mnie, ocierając się o mnie ramieniem. Jego długie palce zaciskają się na klamce i energicznie nią potrząsa. Chce, żeby zamek ustąpił, ale jego starania spełzają na niczym.

– Daj spokój – mówię, patrząc, jak szarpie klamkę. Żyły na jego rękach nabrzmiewają, aż w końcu dociera do niego, że nie spotka się z Declanem Portwoodem.

Zakłada dłonie na kark, przeciąga się i patrząc w sufit, powoli wypuszcza powietrze. Lubię, kiedy wzdycha, gdy jego powieki łopoczą przez chwilę, a ramiona i pierś unoszą się i

opadają. Kiedy udaje mu się zebrać myśli, opuszcza głowę i posyła mi pełne oburzenia, poirytowane spojrzenie.

– Wybacz, że się o ciebie martwię – mówię. Oczekuje wyjaśnień, a może nawet przeprosin, ale nie usłyszy ani jednych, ani drugich. – Będziesz musiał znaleźć inny sposób, żeby zapomnieć. Alternatywę. Taką, która cię nie zabije.

Jeszcze raz rozgląda się po pomieszczeniu, ale kończy się na tym, że patrzy na swoje odbicie w lustrze. Nie mogąc znieść własnego spojrzenia, wbija wzrok w podłogę.

– Ty pozwalałaś mi zapomnieć – mruczy, głos ma jednak równie szorstki co kilka minut temu. – Ale wygląda na to, że nie mogę cię mieć.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Choć słowa puchną mi w gardle, nie mam siły, by je z siebie wykrztusić. Zamiast tego biorę głęboki oddech i kiedy w końcu się odzywam, mówię cichym, łagodnym głosem, jakbym się bała, że ktoś może nas podsłuchać.

– Dlaczego pozwalałam ci zapomnieć?

Tyler podnosi wzrok. Patrzy na mnie z obawą i przechyla głowę, jakby chciał sobie przypomnieć, jak brzmi odpowiedź. Chwilę później otwiera usta i mruczy:

– Bo dzięki tobie wszystko wydaje się odrobinę łatwiejsze. Bo zamiast skupiać się na innych rzeczach, skupiam się na tobie.

Obserwuję jego usta, gdy słowa powoli spływają z jego języka. Paraliżują mnie, sprawiają, że zamieram, i uświadamiają mi, jak bardzo to wszystko jest prawdziwe.

– Więc nie przestawaj – mówię drżącym głosem. Robię krok w jego stronę, choć nie bardzo wiem, co chcę osiągnąć. Po prostu czuję, że powinnam.

Wciąż na mnie patrzy, ale mruga gwałtownie i oddycha ciężko, i wiem, że nadal chce tylko jednego. Wyciągam rękę i dotykam jego twarzy. Skóra Tylera płonie jak ogień w jego oczach.

– Skup się na mnie – szepczę.

– Więc spraw, żebym zapomniał – nakazuje. Dotyka mojej ręki i odsuwa ją. W odróżnieniu od twarzy dłonie ma zimne i czując ten chłód, wzdrygam się. Dwa przeciwieństwa. Jak on i ja.

– Możemy porozmawiać – proponuję. Napiętą atmosferę zastąpił spokój i w obawie, że go zmacę, mówię szeptem. – Nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy.

– Dobra. Porozmawiajmy – mówi. Mija mnie, opiera się o kabinę prysznicową i siada na podłodze. Wyciąga nogi, wzdycha i zamknawszy oczy, opuszcza głowę. Zastanawiam się, o czym myśli. O mnie?

– Możemy porozmawiać o Tiffani? – pytam najdelikatniej, jak tylko mogę, wiedząc, że wchodzę na grząski grunt. – Tym razem spokojniej.

Najdrobniejsza wzmianka o Tiffani sprawia, że pojawia się między nami napięcie i Tyler patrzy na mnie, jakby nie był do końca pewien, czy rzeczywiście chcę o niej rozmawiać. Widzę w jego oczach dziwny błysk, jednak zaraz potem odwraca wzrok.

– W porządku – mówi przez zaciśnięte zęby.

Przechodzę nad jego nogami, siadam pod drzwiami na zimnych płytkach, podciągam kolana pod brodę i obejmuję je rękami.

– Dlaczego z nią nie zerwiesz? Nawet jej nie lubisz. Sam powiedziałeś.

Tyler patrzy na mnie. Na moje usta, na ręce, którymi ściskam kolana, i zagląda mi w oczy. Mam wrażenie, że zastanawia się, czy udzielić mi szczerzej odpowiedzi, i próbuje zyskać na czasie, żeby wymyślić jakieś kłamstwo.

– Nie mogę z nią zerwać.

– Ale dlaczego? – Jego odpowiedź tylko wzmacnia moją irytację. Nie rozumiem, dlaczego nie może zakończyć związku, na którym mu nie zależy. Chyba że Tiffani przystawia mu nóż do gardła.

Tyler kręci głową, przykładając dłoń do twarzy i jęcząc, trze oczy kciukiem i palcem wskazującym.

– Tiffani potrafi udawać najmiłszą dziewczynę z sąsiedztwa, ale wcale taka nie jest. Wystarczy, że zrobisz jej coś złego, a zmieni się w psychopatkę. Ta dziewczyna za dużo o mnie wie. Nie mogę ryzykować. Przynajmniej na razie.

– Psychopatkę? – Podnoszę głowę i patrzę na niego zdumiona. – Co takiego wie?

– No... – Urywa ze zbolaną miną i kładzie dłonie na płytkach. – Dobra. Na przykład w styczniu usłyszała, że w każdy wtorek w przerwie na lunch spotykam się z dziewczyną, co było kompletną bzdurą, i wpadła w szal. Od dwóch tygodni ślęczałem nad esejem na zajęcia z literatury angielskiej, bo chciałem poprawić ocenę, a Tiffani skłamała nauczycielce, że to ona go napisała. Obniżono mi ocenę i zostałem zawieszony za oszustwo. Tego samego dnia wysłała z konta swojej mamy wiadomość do mojej mamy, że martwi się o mnie, bo palę skręty w szkolnej piwnicy. To akurat była prawda i ona jedna o tym wiedziała. Mama nie odzywała się do mnie przez prawie miesiąc. Już wtedy zerwałbym z Tiffani, ale dała mi jasno do zrozumienia, żebym nawet o tym nie myślał. No i nie myślę. Zakończenie tego związku nie wchodzi w grę. Jest wiele innych rzeczy, do których mogłaby się posunąć, bo ma nade mną przewagę.

– Co jeszcze wie, Tylerze? – pytam po chwili milczenia. Chłonę jego słowa i próbuję je zrozumieć. Próbuję wyobrazić sobie Tiffani robiącą wszystkie te straszne rzeczy i z początku nie potrafię, ale nagle przypominam sobie wyraz jej twarzy, kiedy rano powiedziała mi, iż wie, że kłamię. Zaczynam wierzyć Tylerowi. Tiffani rzeczywiście mogłaby się daleko posunąć.

Tyler unika mojego wzroku.

– Pamiętasz pierwszy dzień lata? – pyta.

Zaskakuje mnie ta nagła zmiana tematu: od charakteru Tiffani do początku lata.

– Tak. Ojciec mnie denerwował, grill był do niczego, a ty zrobiłeś efektowne wejście.

– Fakt. – Czekam, aż się roześmieje, ale jemu wcale nie jest do śmiechu. Prawdę mówiąc, wygląda na jeszcze bardziej skrępowanego niż chwilę temu. – Byłem wtedy nieźle wkurzony.

– Dlaczego? – Pamiętam, jak podsłuchałam jego kłótnię z Ellą tamtej nocy, ale nie przypominam sobie, żeby mówił, dlaczego tak się wściekł. Wyglądał na zdenerwowanego, kiedy

parkował przed domem.

Nie od razu odpowiada.

– Byłem zły na Tiffani – przyznaje w końcu. Zamiast patrzeć na mnie, wbija wzrok w podłogę. – Planowałem coś od jakiegoś czasu i tamtej nocy się o tym dowiedziała – tłumaczy cichym, schrypniętym głosem. Dociera do mnie, że nie zamierza mi powiedzieć, co takiego planował, ale domyślam się, że nie chodzi o coś, z czego byłby dumny. – Obiecała, że nie powie nikomu, ale pod warunkiem że zostanę z nią do końca liceum. Dlatego podlizuję się jej od początku wakacji. No wiesz, wtedy w American Apparel i takie tam... – Oblewa się rumieńcem, zawstydzony, że musi o tym mówić, mnie jednak to nie przeszkadza. Cieszę się, że jest ze mną szczerzy. – Dopóki będzie szczęśliwa i dopóki z nią będę, nikomu o tym nie powie. Taka właśnie jest Tiffani. Lubi szantażem zmuszać ludzi, żeby robili to, na czym jej zależy. Dzięki temu wydaje się fajna i ma wszystko pod kontrolą. – Wypuszcza powietrze i kręci głową. – Powiedziała, że kiedy była młodsza, dzieciaki w szkole znęcały się nad nią, więc gdy po rozwodzie rodziców przeprowadziła się tu z matką, chciała mieć pewność, że sytuacja się nie powtórzy. Chce być lepsza i fajniejsza od innych. Związek ze mną dodaje jej pewności siebie. Dlatego w tym tkwię. I nienawidzę tego – dodaje.

– Jejku – mówię. Tylko na tyle mnie stać. Tyler od początku mówił prawdę. Rzeczywiście nie chce z nią być i nie mówi tego tylko po to, żebym poczuła się lepiej. Wygląda na to, że wdepnął w niezłe gówno, a ja jeszcze bardziej pogorszyłam całą sytuację. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie zerwę z nią – mówi łagodnym głosem i w końcu podnosi na mnie wzrok. Jest smutny. Współczuję mu, ale naprawdę nie mam pojęcia, co mu poradzić. – Przynajmniej na razie. Nie mogę ryzykować.

– No i co zrobimy? – Staram się ignorować chłód podłogi, całą swoją uwagę skupiam na Tylerze i próbuję go zrozumieć.

Patrzy na mnie z powagą.

– Po prostu nie chcę, żeby ktokolwiek zrobił się podejrzliwy

– mówi.

– Podejrzliwy wobec kogo?

– Wobec nas. – Przeczesuje palcami włosy i nerwowo szarpie końcówki. Robi to podświadomie, ze zdenerwowania albo złości, i na krótką chwilę przynosi mu to ulgę. – Musimy zachowywać się normalnie, dopóki czegoś nie wymyślimy. To kolejny powód, dla którego nie mogę z nią zerwać. Ludzie zaczęliby się zastanawiać. Tak więc na razie muszę być z Tiffani, bo Tiffani to moja normalność.

– Ale to nie w porządku wobec niej – mówię szeptem. Przypominam sobie jej zapłakaną twarz, kiedy szlochala, kryjąc się za kołdrą, skrzywdzona i nieszczęśliwa. To przez nas tak się czuła i choć od tamtej pory minęło ledwie kilka godzin, mam wrażenie, jakby upłynęła cała wieczność. Może nadal rozpacza, podczas gdy Tyler i ja stoimy na skraju granicy, której nie możemy przekroczyć. Fakt, że Tiffani zmusza Tylera, żeby pozostał w związku, którego nie może zakończyć, nie upoważnia nas do tego, żebyśmy ją oszukiwali.

– Eden – mówi Tyler. Kiedy patrzę na niego, przechyla głowę i przygląda mi się z uwagą. – Porozmawiajmy o czymś innym. Porozmawiajmy o Portland.

Ściągam brwi, krzyżuję nogi i splatam ręce na kolanach.

– Chcesz, żebym opowiedziała ci o Portland?

– Chcę, żebyś opowiedziała mi o sobie – mówi. Oczy mu błyszczą, kiedy uparcie się we mnie wpatruje. – Powiedz mi coś, o czym nie wie nikt inny.

Gdzieś, pośród ognia, który płonie w jego oczach, jest szczerść i wiem, że mogę zaufać mu na tyle, żeby powierzyć mu swoje tajemnice. Podejmuję decyzję w ciągu minuty. Tylko Amelia zna mój sekret i nie jestem pewna, czy chcę, żeby poznał go ktoś jeszcze, ale Tyler zachęcająco kiwa głową, jakby chciał mnie przekonać, żebym mu się zwierzyła.

Biorę kilka głębokich oddechów i zbieram się na odwagę. Tak naprawdę wcale nie chcę rozmawiać o tym, co się dzieje.

– Uwielbiam Portland. To cudowne miejsce, idealne, żeby w

nim dorastać – zaczynam ze smutnym uśmiechem, jak ktoś, kto wspomina stare dobre czasy. – Miałam trzy naprawdę bliskie przyjaciółki. Amelię, Alyssę i Holly.

– Miałaś?

– Tak, miałam – potwierdzam. Tyler przypatruje mi się z zainteresowaniem, chłonąc każdy mój ruch, każde słowo. – Miałam trzynaście lat, kiedy rodzice się rozwiedli. Bardzo to przeżyłam. Leżąc wieczorami w łóżku, płakałam, bo wiedziałam, że mama jest nieszczęśliwa, ojciec odszedł, a ja nie miałam pojęcia, jak ją pocieszyć. To było straszne. Naprawdę straszne. – Urywam na chwilę. Dalsze słowa przychodzą mi z trudem, ale w końcu wyrzucam je z siebie. – Zaczęłam zajadać problemy i w pierwszej klasie mocno przybrałam na wadze. Alyssa i Holly miały na ten temat wiele do powiedzenia.

Widzę, że taksuje mnie wzrokiem, przez co czuję się jeszcze bardziej niepewna niż zaledwie chwilę temu. Wciągam do płuc powietrze.

– Nie jesteś gruba – stwierdza beznamiętnie, jakby był na mnie zły, że w ogóle to powiedziałam.

– Dlatego że biegam.

Przygląda mi się, jak gdyby próbował odgadnąć moje myśli. Zupełnie jak ja próbuję odgadnąć jego. Przysuwa się i siada dokładnie naprzeciwko mnie. Jestem uwięziona między jego nogami, a gdy kładzie mi ręce na kolanach, aż się wzdrygam.

– Mów dalej – prosi.

Mam ochotę go pocałować, więc dotykam dłonią policzka i zmuszam się do dalszych zwierzeń.

– Sprawiały, że czułam się jak gówno – wyznaję i jest to prawda. Alyssa i Holly przez ponad rok traktowały mnie okropnie. W każdej rozmowie wtrącały złośliwe uwagi na temat mojej tuszy i to przez nie się załamalam. – Moje dwie najlepsze przyjaciółki codziennie wyzywały mnie od grubasów, więc zaczęłam biegać. Nie rozmawiamy ze sobą, ale one wciąż obgadują mnie za plecami. Wiem, bo Amelia... Amelia nadal się z nimi przyjaźni. Chociaż była przy mnie przez cały ten czas.

– Eden. – Wymawia moje imię stanowczo, jakby tylko w ten sposób mógł zwrócić na siebie moją uwagę. – To dlatego mówisz, że nigdy nie jesteś głodna?

Rozchylam usta i gapię się na niego, niemal zawstydzona, że tak bacznie mnie obserwuje. Nawet ojciec tego nie zauważył. Ale on zawsze widział wyłącznie czubek swojego nosa.

– Zauważyłeś?

– Dopiero teraz o tym pomyślałem. – Spogląda na moje nogi i wodzi palcami od kolan do ud, delikatnie mnie łaskocząc. – Chcę, żebyś wiedziała, że kompletnie się nie zgadzam z tymi dziewczynami. Przykro mi, że musiałaś przez to przejść. – Kreśli na mojej skórze skomplikowane wzory, aż w końcu spogląda na mnie spod firanki rzęs. Ma niesamowite oczy. Drzemiąca w nich siła i jego dotyk na mojej skórze sprawiają, że się poddaję.

Oddycham z ulgą i opuszczam ramiona. Tyler wyczuwa, że moje ciało wiotczeje pod jego dotykiem i chyba myśli o tym samym co ja, bo przestaje wodzić palcami po mojej skórze, chwytając mnie za uda i przyciska usta do moich ust.

Nie wiem dlaczego, ale podoba mi się, jak panuje nad sytuacją. Zupełnie jakby to on odwał najgorszą robotę, podczas gdy ja upajam się radosnym podnieceniem i przyływem adrenaliny. Zaczynam przyzwyczajając się do smaku jego ust. Moje ramiona zdają się żyć własnym życiem, owijają się wokół jego szyi, a ja uśmiecham się do niego między kolejnymi pocałunkami. Cieszy mnie myśl, że wszystko wydaje się takie znajome.

Niebawem jego dłonie zwalniają uścisk na moich udach i zaczynają błaznić w zupełnie nowym, ryzykownym miejscu. Pocałunek traci na sile, a uwaga Tylera skupia się na jego rękach. Palcami skubie rąbek mojej koszulki, jakby czekał, aż zaprotestuję, ale ja nie chcę, żeby przestawał. Jeszcze mocniej obejmuję go za szyję i przywieram do niego ustami.

Rozumie, co chcę mu powiedzieć. Jedną ręką obejmuje mnie w talii, drugą wsuwa pod materiał bluzki. Nie wiem, jak to robi, ale chwilę później jego dłoń wślizguje się pod koronkę biustonosza. Odrywa wargi od moich ust, przez moment patrzy mi

w oczy i zasypuje pocałunkami moją twarz. Jego dłonie nie przestają mnie pieścić, kciuk zatacza kręgi na mojej piersi. Skórę ma zimną, ale dziwnie przyjemną. Niebawem do jednej ręki dołącza druga i nagle czuję się skrępowana. Przymykam oczy i gapię się w sufit. Odwracam głowę, podczas gdy on wodzi ustami po mojej szyi i ujmuje w dłonie moje piersi. W tej kwestii nie bardzo mam się czym pochwalić – zwłaszcza w porównaniu z Tiffani – i boję się, że lada chwila Tyler parsknie śmiechem, jednak nic takiego się nie dzieje.

Zawstydzona staram się stłumić jęk narastający w gardle, ale słyszę przy uchu westchnienie Tylera i czuję jego oddech, który łaskocze moją skórę. Zbliżam twarz do jego twarzy, ale zanim nasze usta się spotkają, przez krótką chwilę patrzymy sobie w oczy. Chwytamy oddech i rozkoszując się swoją bliskością, uśmiechamy się do siebie.

Nie powinniśmy całować się na podłodze jego łazienki; jego dłonie nie powinny błądzić po moim ciele, a jego dotyk nie powinien sprawiać mi przyjemności.

Tymczasem skandaliczna otoczka całej tej sytuacji powoduje, że wszystko wydaje się jeszcze bardziej ekscytujące.

I warte grzechu.



Tyler i ja wyszliśmy z łazienki dwie godziny później. Kiedy rodzice wrócili do domu z jednym synem – który, jak się okazało, złamał nadgarstek – drugi syn desperacko czekał na ich powrót, zastanawiając się, dlaczego musi radzić sobie sam. Nie mieli pojęcia, że Tyler i ja przez cały czas byliśmy w domu i opiekowaliśmy się Chase'em na odległość. Słyszałam, jak Ella wściekała się, myśląc pewnie, że odpuściłam sobie opiekę nad Chase'em i wyszłam z domu, ale kiedy zaczęli nas wołać, odkryli, że zatrzasnęliśmy się w łazience nad ich głowami. Musieliśmy im sprzedać jakąś niewiarygodną historyjkę, żeby nas wypuścili.

– Nie wiem, jak to się stało – tłumaczyłam, stercząc przy drzwiach i kłamiąc jak z nut.

– Ja też – dodał Tyler.

– Szukałam go i wpadłam na drzwi – dodałam. Kolejne kłamstwo. Tyler zakrywał twarz dłonią, żeby nie parsknąć śmiechem.

Ojciec powiedział, że zadzwoni do znajomego majstra, pana Forde'a, żeby przyszedł nam pomóc. Jednak pan Forde najwyraźniej niespecjalnie przejmował się losem swoich klientów, bo pojawił się pod drzwiami dopiero czterdzieści minut później. Potrzeba było trzydziestu dolarów i ciągnącego się w nieskończoność wiercenia, żebyśmy w końcu mogli wyjść z łazienki.

Przez resztę wieczoru nie odzywaliśmy się do siebie. Nie dlatego, że nie chciałam, ale dlatego, że przez kolejną godzinę Tyler wisiał na telefonie z Tiffani i zmęczonym, błagalnym głosem próbował przeprosić ją za „koszmarny błąd”, który wydarzył się „pod wpływem chwili” i którego „bardzo żałował”. Słyszałam jego głos przez cienką jak papier ścianę, która dzieliła nasze pokoje.

Karmił ją kolejnymi kłamstwami, wymyślając historyjkę o tym, jak uczennica drugiej klasy z Inglewood chciała zobaczyć jego samochód, kiedy jechał na spotkanie z chłopakami, i ani się obejrzał, jak wylądowała mu na kolanach. Trochę naciągane, ale Tiffani mu uwierzyła. Skrucha, którą wyrażał, była tak wymuszona i nieszczerza, że miałam ochotę rozwalić ścianę i zapytać go, w co pogrywa. Nie zrobiłam tego jednak, bo przypomniałam sobie, że ta piętnastolatka z Inglewood to tak naprawdę ja.

Tak więc tego wieczoru położyłam się do łóżka targana wątpliwościami. Część mnie czuła się winna, a druga rozkoszowała się myślą o Tylerze i skrywanych przez niego sekretach.

Bo jakimś sposobem stałam się jednym z nich.

* * *

– I właśnie dlatego brytyjscy faceci są dużo fajniejsi od Amerykanów – oznajmia Rachael, kończąc pięciominutowe przemówienie, którego celem było porównanie obu narodów. Jej zdaniem Brytyjczycy są lepsi, bo mają słodki akcent, używają słodkich słów i ogólnie rzecz biorąc, są słodcy. To trzy koronne argumenty.

Tymczasem Meghan twierdzi, że fajniejsi są Francuzi, bo całują dziewczyny na szczycie wieży Eiffla i pijąc wino, szepczą im do ucha *je t'aime*.

Ich fantazje na temat Europejczyków są dość stereotypowe, tak więc śmieję się i wbijam wzrok w chodnik. Właśnie wyszliśmy z Refinery i moja latte na wynos przyjemnie parzy mnie w dłonie, kiedy zostając nieco z tyłu, wpatruję się w widoczne na betonie pęknięcia.

– Eden. – Rachael odwraca się gwałtownie. – Ty zdecyduj: Brytyjczycy czy Francuzi? – Obie z Meghan patrzą na mnie wyczekująco, jakbym lada chwila miała ogłosić, kto wygrał wybory prezydenckie.

– Francuzi – mówię, wruszając ramionami.

Rachael krzywi się z odrazą, obraca się na pięcie i

ostentacyjnie przyspiesza kroku. Meghan rozciąga usta w uśmiechu i mówi, że dokonałam właściwego wyboru. Chwilę później doganiamy Rachael, która zdążyła się już pogodzić z porażką.

– Musimy zaczekać na Tiff na Broadwayu – przypominam nam, kiedy docieramy na promenadę i skręcamy w Third Street.

Dzień jest upalny, nic więc dziwnego, że ludzie kręcą się i przepychają, byle tylko szybciej załatwić sprawunki. Nie mam pojęcia, gdzie jest Broadway, ale Rachael i Meghan z pewnością to wiedzą, dlatego zwalniam kroku i wlokę się za nimi, kiedy kierujemy się na południe. Za każdym razem, gdy tu przychodzę, zauważam sklepy, których wcześniej nie widziałam. Dziś jest to Rip Curl, australijska firma sprzedająca odzież do sportów wodnych, i Johnnie's New York Pizzeria, której włoski wystrój kojarzy mi się z Deanem.

Rachael zatrzymuje się przy H&M, unosi okulary i gapi się przez okno wystawowe na manekiny w kwiecistych strojach.

– Fajna koszula – stwierdza. Opuszcza okulary na nos i idzie dalej. Tym razem obie musimy ją gonić. Mam wrażenie, że kiedy nie ma Tiffani, status samicy alfa przechodzi na Rachael. Dziś jednak nie trwa to długo, bo chwilę później natykamy się na Tiffani.

Docieramy do końca promenady i wychodzimy na Broadway, w miejscu, gdzie znajduje się Santa Monica Place, ekskluzywne centrum handlowe, pełne najmodniejszych sklepów, do których dziewczyny zabierały mnie już wcześniej. Mijamy Nordstrom i zatrzymujemy się na rogu Broadway i Second Street. Meghan opiera się o sklepową witrynę i mruży oczy, a Rachael splata ramiona na piersi i nerwowo tupiąc nogą, spogląda na przejeżdżające samochody. Patrząc na nią i zastanawiam się, czego szuka, ale niebawem wszystko się wyjaśnia.

Kilka minut później prostuje ręce i wpatruje się w coś zaintrygowana. Podążam za jej wzrokiem i widzę, że zatrzymuje się na białym samochodzie, który zaparkował po drugiej stronie ulicy. To Tyler. Zaciskam zęby. Napięcie między nami jest tak

wielkie, że nie mogę znieść jego bliskości, zwłaszcza gdy czuję na sobie czujny wzrok naszych przyjaciółek.

– Dlaczego ona się uśmiecha? – pyta Meghan, stając między Rachael a mną. Kładzie rękę na głowie i zatapia palce we włosach.

– Bo jest szalona – odpowiada beznamiętnie Rachael.

Im dłużej gapię się na samochód, tym bardziej drga mi broda i tym bardziej irytuje mnie cała sytuacja. Tiffani siedzi na fotelu pasażera. Wiedziałam, że tak będzie. Rano, kiedy się obudziłam, Tyler powiedział, że jedzie się z nią spotkać, więc nic dziwnego, że widzę ich razem.

Przez chwilę patrzymy, jak rozmawiają w samochodzie. Tyler marszczy brwi, kiedy Tiffani odwraca się w jego stronę i gestykuluje. Chciałabym wiedzieć, co mówią. Zaraz potem on rozciąga usta w udawanym uśmiechu, a ona pochyla się, żeby go pocałować.

– Odbiło jej! – krzyczy Rachael. Jej nagły wybuch ściąga na nas uwagę przechodniów, ale ona zdaje się tego nie zauważać i nerwowo wymachuje rękami. Aż dziw, że nie rzuca kubkiem w samochód Tylera. – Cholerna wariatka!

Ja myślę to samo o Tylerze. Po prostu nie mówię tego na głos.

Coś niedobrego dzieje się ze mną; jakby ktoś przekreślił włącznik i nagle ogarnęła mnie fala wściekłości. Próbuje przekonać samą siebie, że to nie zazdrość; że nie jestem zazdrosna. Ale to nieprawda. Zaciskam palce na kubku i niemal zgniatam go w dłoni. Ściskam go tak mocno, że plastikowe wieczko spada na ziemię, a w powietrze unosi się smużka pary. Natychmiast podnoszę go do ust i sącząc latte, przyglądam się scenie, która rozgrywa się po drugiej stronie ulicy.

W końcu Tyler odsuwa się od Tiffani, która chichocze jak zakochana jedenastolatka, jakby znowu świata poza nim nie widziała. To mnie naprawdę denerwuje. Powinna go nienawidzić. Nie powinni niczego naprawiać. W ogóle nie powinni być razem. Ale są. Kiedy Tiffani wysiada z samochodu, uśmiecha się od ucha do ucha i biegnie w naszą stronę.

Popijam swoje latte i nie odsuwając kubka od ust, udaję, że jestem zbyt zamyślona, by cokolwiek powiedzieć. Samochód Tylera wciąż stoi po przeciwnej stronie ulicy. Wygląda na to, że on również mnie zauważył. Patrzy na mnie przez przednią szybę i nagle się uśmiecha. Jest to po części przepraszający, a po części szczery uśmiech, jakby się cieszył, że mnie widzi. Ja również się uśmiecham, ale czar pryska, gdy obok nas na chodniku staje Tiffani.

Rachael mruczy coś pod nosem i wrzuca papierowy kubek do pobliskiego kosza, jakby chciała zamanifestować, że jest oburzona zachowaniem przyjaciółki i jej dobrym humorem.

– Co z tobą? – pyta.

Patrzę na Tiffani. Za jej plecami samochód Tylera włącza się do ruchu, zostawiając gapiów w smudze dymu. Niestety, Tiffani nadal tu jest. Nie wiedzieć czemu, jej uśmiech staje się jeszcze bardziej promienny, więc z miną niewiniątka udaję, że nadal popijam kawę. Problem w tym, że nie jestem niewiniątkiem. Prawdę mówiąc, czuję się najbardziej winna z całego towarzystwa, a ostatni łyk kawy wypiałam dobre dwadzieścia sekund temu.

– O co ci chodzi? – Tiffani mruga, jakby zdumiał ją ten nagły atak.

– O to! – Rachael macha rękę w kierunku, w którym odjechał Tyler. – Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu mu wybaczyłaś.

Tiffani wydyma wargi i trzepocze rzęsami. Prezentuje się zupełnie inaczej niż wczoraj, kiedy wypłakiwała oczy i wyglądała jak siedem nieszczęść.

– Tyler się wytłumaczył.

– A ty uwierzyłaś w te jego bajeczki?

– To nie są bajeczki.

Rachael przechyla głowę i zaciska usta, tymczasem Meghan postanawia zabrać głos.

– Skąd masz tę torebkę, Tiffani? – pyta podejrzliwie. – Jest nowa, prawda?

Wszystkie cztery wbijamy wzrok w torebkę na ramieniu Tiffani. Widnieje na niej logo Louis Vuitton, a elegancka skóra lśni

w słońcu. Tiffani uśmiecha się zmieszana.

– No... – zaczyna ostrożnie i zagryza wargi. – Tyler mi ją kupił.

– Tak myślałam – mruczy Meghan. Ściąga brwi i z dezaprobatą kręci głową. – Przynajmniej wiemy, że aby zyskać przebaczenie Tiffani Parkinson, wystarczy torebka za tysiąc dolców.

Słyszając to, Tiffani parska śmiechem. Ja się nie śmieję. Gryzę brzeg papierowego kubka i powstrzymuję się przed powiedzeniem czegoś, czego nie powinnam mówić. Wbijam zęby w twarde karton z taką siłą, że prawie robię w nim dziury.

– Mógł przeznaczyć te pieniądze na cele charytatywne – zauważa Rachael i całkowicie się z nią zgadzam. Jestem przekonana, że bezdomnym przydałyby się bardziej niż Tiffani skórzana torebka. – Wiedziałyśmy, że prędzej czy później mu wybaczysz.

– A ty pół roku temu mogłaś przestać się pieprzyć z Trevorem – odgryza się Tiffani. – Wiedziałyśmy, że się w nim zakochasz.

Meghan prychnie i pospiesznie zakrywa dłonią usta. Czerwieni się, ale wciąż chichocze. Zerkam ponad krawędzią kubka na Rachael, której usta ułożyły się w kształt litery „o”. Przez chwilę wydaje się podenerwowana, jakby doznała wstrząśnienia mózgu i zapomniała, jak się mówi. Myślę, że jest zła, ale ona tylko wzdycha.

– No dobra – fuka w końcu. – Możesz wybaczyć Tylerowi.

– Dziękuję za pozwolenie – rzuca sarkastycznie Tiffani. – Możemy już wejść do środka? Mam straszną ochotę na deser w Johnny Rockets!

Słucham ich i jestem z siebie dumna, bo przez cały czas trzymałam język za zębami i udawałam, że piję najlepsze latte w swoim życiu. Kiedy wracając na Broadway, mijamy Nordstrom i Nike, wyrzucam kubek do kosza.

– Pospiesz się, Eden – woła przez ramię Meghan i zwalnia kroku, żeby na mnie zaczekać.

Santa Monica Place to miejsce wybudowane z myślą o bogaczach. Uderza mnie to za każdym razem, gdy tu jestem i widzę ludzi, którzy afiszują się ze swoim bogactwem. Wystarczy spojrzeć na mężczyznę wyglądającego przez okno wystawowe Hugo Boss czy na kobietę w wymyślnej sukience i niebotycznych szpilkach, żeby wiedzieć, że mają pieniądze i chcą je wydać. Tyler jest taki sam.

Santa Monica Place to pasaż handlowy z czterema uliczkami, które prowadzą do owalnego centrum, pełnego luksusowych sklepów. Jest tak skomplikowane, wyjątkowe i nowoczesne, że czuję się tu nie na miejscu, ale posłusznie idę za dziewczynami. Wjeżdżamy ruchomymi schodami na trzecie, ostatnie piętro z restauracją na świeżym powietrzu i ustawiamy się w kolejce do Johnny Rockets. Johnny Rockets to kolejna sieć restauracji typu fast food, której nie ma w Oregonie, bo Oregon jest do niczego i brakuje tam wszystkiego, oprócz deszczu. Akurat deszczu jest tam pod dostatkiem.

Kiedy w końcu docieramy do kas, Tiffani zamawia coś o nazwie Super Sundae, Meghan i Rachael wybierają Perfect Brownie Sundae, a ja pozostaję przy wodzie.

– Chłopaki są już w drodze – oświadcza Tiffani ze wzrokiem utkwionym w ekran telefonu. Pisze do kogoś, prawdopodobnie do jednego z nich, nabiera łyżeczką lody i wkłada je do ust. – W końcu podjęli decyzję co do soboty.

– A co jest w sobotę? – Ciekawość bierze nade mną górę i uświadamiam sobie, że to pierwsze słowa, które wypowiedziałam, odkąd orzekłam, że Francuzi są lepsi od Brytyjczyków.

Tiffani podnosi wzrok znad telefonu i przelyka lody. Patrzy na mnie przez długą chwilę, a zaraz potem zerka ponad stołem na Rachael i Meghan.

– Ona pyta poważnie?

– Coroczna impreza na plaży – tłumaczy Rachael. Jej łyżka zatrzymuje się tuż nad pucharkiem z deserem. – Największa impreza lata – dodaje.

– Aha – mówię. Odkręcam butelkę z wodą i upijam łyk.

– Dostają pozwolenie i zamykają pół plaży – wyjaśnia, choć nie interesują mnie szczegóły, a poza tym nie wiem, kim są „oni”.
– Teoretycznie, żeby wejść na imprezę, trzeba być pełnoletnim, ale, sama wiesz... – Kokieteryjnie poprawia włosy i wydyma wargi. – Wszyscy tam są. Na plaży nie ma drzwi, przed którymi ochroniarze mogliby cię wylegitymować.

– Ochroniarze?

– Zdarzają się bójki – tłumaczy Tiffani. – No i oczywiście nie można tam pić, bo to przecież miejsce publiczne. Chyba że, jak niektórzy, chcesz, żeby cię aresztowali.

– Więc – wtrąca Rachael – pijesz przed imprezą. Nie zalewasz się w trupa czy coś, bo wtedy ściągnęłabyś na siebie uwagę ochroniarzy i wykopaliby cię za to, że jesteś niepełnoletnia.

Tiffani kładzie telefon na stoliku, przysuwa do siebie pucharek z deserem i nabiera łyżeczką kolejną porcję. Patrzy na mnie i się uśmiecha.

– Chyba nie musimy się martwić, że Eden się nawali.

Urażona zaciskam usta i mrużę oczy. Rachael powstrzymuje się, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Co to miało znaczyć? – pytam.

Tiffani uśmiecha się znacząco, spogląda na Rachael i podnosi łyżeczkę do ust.

– Po prostu nie jesteś zbyt...

– Nie jestem zbyt jaka, Tiffani? – Przygryzam policzek, w mojej głowie kłębi się pięć milionów słów. Niezbyt fajna? Lubiana? Towarzyska? Ładna? Innymi słowy, nie jestem taka jak one?

– Lekkomysłna – mówi w końcu i oblizuje łyżeczkę.

Lekkomysłna? Nie jestem lekkomyślna? Mam ochotę prychnąć jak Meghan, ale w porę się powstrzymuję. „Och, Tiffani”, myślę, „zapewniam cię, że jestem cholernie lekkomyślna”. Gdyby tylko wiedziały.

Tiffani przetyka i gapi się na mnie, zaskoczona brakiem reakcji z mojej strony.

– Gdzie byłaś we wtorek wieczorem?

– We wtorek? – Mój głos brzmi jak skrzyżowanie szeptu z piskiem. We wtorek wieczorem byłam na moło z Tylerem. Na pewno nie byłam z Meghan i Tiffani dobrze o tym wie.

– Tak, we wtorek. – Mruga, czekając, aż odpowiem. Nie wiem, dlaczego znowu mnie o to pyta. Zupełnie jakby chciała mnie zaskoczyć, jakby miała nadzieję, że się wygadam.

Rachael też mi się przygląda, przez co czuję na sobie jeszcze większą presję. Poca mi się dłonie. Meghan znowu parska i zaczynam się zastanawiać, czy Johnny Rockets nie dodał jej do deseru kilku gramów marihuany. Nie może przestać chichotać.

Tiffani wzdycha ciężko.

– Gdzie byłaś naprawdę?

– Boże! – piszczy Rachael. Podrywa się z krzesła i pochyla nad stolikiem. – Miętolilaś się z Jake’iem.

– Też o tym pomyślałam. – Tiffani odwraca się do niej.

Z ulgą opuszczam ramiona. Dzięki Bogu, że coś takiego przyszło jej do głowy. Przez cały czas bałam się, że wpadnie na to, iż byłam wtedy z Tylerem, ale najwyraźniej w ogóle o tym nie pomyślała. Odwracam wzrok. Wolę, żeby sądziły, że migdaliłam się z Jake’iem niż z Tylerem.

Rachael niemal kładzie się na stoliku. Rozdziawia usta i kręci głową, jakby nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Nie winię jej; ja też bym nie uwierzyła.

– Przespałaś się z nim? Powiedz nam, Eden!

Meghan chichocze jak opętana i wszystkie trzy odwracamy się w jej stronę. Zagryza wargi, żeby powstrzymać kolejną salwę śmiechu, a w końcu zaciska powieki i mruczy pod nosem jakieś przeprosiny. Dopiero teraz dociera do mnie, że przez cały ten czas wymienia z kimś wiadomości.

– Z czego się śmiejesz, Meg? – pyta rozzłoszczona Tiffani.

– Przepraszam – bąka Meghan i próbuje się opanować. – Jared wysłał mi wiadomości. Jest przezabawny.

– Kim, do cholery, jest Jared? – pyta Rachael.

– To ten koleś z Pasadeny! Ten, którego poznałyśmy na plaży – mówi. Uśmiecha się do Tiffani. – On i jego kumple też wybierają

się na imprezę – dodaje.

– Chryste, obie z Eden jesteście śmieszne! – Rachael splata ramiona i przewraca oczami. – Obie gadacie z kolesiami i żadna z was nie raczyła nam o tym powiedzieć?

– Ty też nie powiedziałaś nam o Trevorze! – przypomina jej Tiffani. – Dowiedziałyśmy się tylko dlatego, że Meg nakryła was rok temu na imprezie u Jasona.

– Dajcie spokój – prycha Rachael, ale się uśmiecha.

Chłopcy zjawiają się pięć minut później. Oddycham z ulgą, bo przez ostatnie kilka minut słuchałyśmy Meghan, która rozpływała się w zachwytach nad poczuciem humoru Jareda i, prawdę mówiąc, zaczynała się powtarzać.

Do stolika podchodzą Tyler, Jake i Dean, który idzie między nimi. Nie rozumiem, jak to możliwe, że Tyler i Jake są przyjaciółmi, skoro się nienawidzą. Przez cały czas muszą się pilnować, żeby nie wybuchnąć. Wszyscy trzej przysuwają sobie krzesła od sąsiedniego stolika. Tyler siada obok Tiffani, ale nie za blisko. Nawet na mnie nie patrzy.

– A więc postanowiliśmy – zaczyna Jake – że przed sobotnią imprezą pójdziemy do Deana.

– Taki beforek – dodaje Dean. Uśmiecha się i patrzy na naszą szóstkę, jakby próbował zgadnąć, czy się na to piszemy. – My zajmiemy się alkoholem.

– Wy macie zrobić się na bóstwo – kończy Jake. Wydyma usta i wzrusza ramionami, odchyła się na krześle i splata dłonie.

Kiedy Rachael rzuca w niego łyżeczką, robi unik.

– Kutafon – mruczy Rachael i posyła mu krzywy uśmiech.

– Skarbie, przecież wiesz, że żartuję – mówi z miną niewiniątka. Zadziera głowę, jakby wyzywał Rachael na pojedynek.

– Nie mów tak do mnie!

Podczas gdy oni się kłócą, ja siedzę w milczeniu. Wstyd mi, bo dziewczyny myślą, że dwa dni temu przespałam się z Jake’iem, ale w towarzystwie Tylera staram się zachowywać nonszalancko. Zbyt częsty kontakt wzrokowy albo zupełny jego brak mógłby

wzbudzić podejrzenia. W końcu jest moim przyrodnim bratem. Byłoby dziwne, gdybyśmy zaczęli udawać, że się nie znamy. Tak więc od czasu do czasu zerkam w jego stronę z nadzieją, że w tym samym momencie podniesie wzrok, ale jakoś nie udaje mi się zwrócić na siebie jego uwagi. Siedzi jak słup soli, zbyt zajęty gapieniem się w stół, podczas gdy Tiffani wodzi palcami po jego ramieniu. W pewnej chwili ujmuje w dłoń jego twarz i zbliża usta do jego ust, ale Tyler odwraca głowę i Tiffani muska ustami jego policzek. Zaraz potem Tyler wbija wzrok w podłogę i nawet na chwilę nie podnosi głowy.

Odwracam się w stronę Meghan, licząc na jej pomoc, ale ona znowu bawi się telefonem, chichocząc z wiadomości, które przesyła jej Jared. Patrzę na nich wściekłym wzrokiem. Wszyscy oni denerwują mnie na swój sposób. Wszyscy oprócz Deana. Patrzę na niego, bo siedzi naprzeciwko mnie i wydaje się równie jak ja zagubiony.

– Świry – mówi bezgłośnie. Widząc, że się uśmiecha, myślę o pomazanej jego piśmem pięciodolarówce i również się uśmiecham, ale chwilę później głos Rachael wyrywa mnie z zamyślenia.

– Eden, ty i Jake powinniście iść na jakiś spacer albo coś – zauważa i patrzy na mnie zachęcająco. Uprzejmie kiwa głową i odwraca się do Jake'a. – No już, zmykajcie, kochasie.

Zdumiony Jake unosi brwi, jakby chciał spytać: „O co chodzi?”, ale na szczęście gryzie się w język. Wstaje od stolika, patrzy na mnie i wskazuje głową ruchome schody.

– Eden?

Rachael posyła mi promienny uśmiech, Dean patrzy w niebo, a Tyler w końcu podnosi wzrok. Tiffani kreśli palcem wskazującym kółka na jego szyi, ale on nie zwraca na nią uwagi i zamiast tego patrzy na mnie z wściekłością.

Jake nadal czeka, więc zrywam się na nogi, rzucam pod nosem: „Zaraz wracamy”, okrążam stół i staję obok niego. Nie czekam, aż ktoś mi odpowie, i chwilę później odchodzimy od stolika. Przecinamy część restauracyjną i kierujemy się w stronę

schodów.

Jake wsuwa ręce w kieszenie i zjeżdżamy na drugie piętro.

– Co słytać? – pyta, opierając się o poręcz.

– Niewiele – mówię. Nie mam ochoty z nim rozmawiać, zwłaszcza że od dwóch tygodni nie odpisuję na jego SMS-y. Miałam nadzieję, że sobie odpuści. Gdyby tak było, nie znaleźlibyśmy się w tej niezręcznej sytuacji. – Dawno nie rozmawialiśmy.

– Co ty powiesz.

– Byłam zajęta.

– Domyśliłem się.

W powietrzu wyczuwa się napięcie, kiedy schodzimy ze schodów i zbliżamy się do szklanej barierki, która opasuje cały poziom. Patrzymy piętro niżej, na ludzi, którzy chodzą od sklepu do sklepu. Jake opiera ręce o balustradę i wychyla się do przodu, podczas gdy ja wodzę palcami po chłodnym metalu.

– Wiesz, że w przyszłym miesiącu muszę wrócić do domu? – Zerkam w bok, ale przechylam głowę tak, by na niego nie patrzeć. On też na mnie nie patrzy. Wiem, że nie to miała na myśli Rachael, kiedy nas odprawiała, ale dzięki temu mam idealną okazję, żeby wyjaśnić sprawę z Jake’iem.

– Tak, wiem.

– No właśnie – mówię z niepokojem. Martwię się, że mnie źle zrozumie. – Więc może powinniśmy pozostać przyjaciółmi.

Jake nadal nie zaszczyca mnie spojrzeniem. Wzrusza ramionami i gapi się na grupę dziewczyn piętro niżej. Wyglądają na uczennice ostatniej klasy i zastanawiam się, czy je zna.

– Jak sobie chcesz – bąka pod nosem. – I tak nic by z tego nie wyszło. Chciałem się tylko zabawić. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Jejku. – Mrugam i odsuwam się od barierki.

– Co? – Teraz na mnie patrzy. Prostuje się i mruży niebieskie oczy, jakby nie powiedział tego, co właśnie usłyszałam. – Myślałem, że wiesz.

– Bo wiedziałam – odparowuję. Nagle dociera do mnie, że

Tyler miał rację, kiedy nazwał Jake'a graczem. „Nic poważnego”, tak nazywa się gra, w którą gra Jake. Nic poważnego, bo poważne związki nie są fajne. – Po prostu w to nie wierzyłam.

Nawet nie wiem, dlaczego tak mnie to złości. Prawdę mówiąc, powinnam się cieszyć, że mam go z głowy i że się nie obraził. Przecież i tak nie wyobrażałam sobie, że moglibyśmy być razem. Jake dobrze całuje i nieźle się z nim bawiłam, ale nic poza tym. Jesteśmy przyjaciółmi. Tyle że, w przeciwieństwie do innych dziewczyn, nie pozwalam mu na to, do czego, jak mu się zdaje, ma pełne prawo.

Wzdycham i pocieram skronie.

– Dobra, mnie to pasuje. No i dzięki, że zabrałaś mnie do Chick-fil-A.

– Nie ma sprawy. – Śmieje się, choć mam wrażenie, że jest podenerwowany. Problem z Jake'iem polega na tym, że wydaje się całkiem miły, ale coś w jego oczach każe mi przypuszczać, że zmienia się, kiedy sprawy nie idą po jego myśli.

Nie wiem, co mam powiedzieć, a on chyba też nie zamierza się odzywać, więc odwracam się i idę z powrotem w kierunku schodów. Jake wlecze się za mną. Wracamy do części restauracyjnej, gdzie przy stoliku siedzą nasi przyjaciele. Tiffani rozsiadła się na kolanach Tylera. Najwyraźniej wzięła sobie do serca powiedzenie „puścić coś w niepamięć”. Tyler nie podziela jej entuzjazmu. Tiffani klei się do niego, on jednak trzyma ręce w kieszeniach i patrzy przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Widząc nas, Rachael unosi brwi, ale udaję, że tego nie zauważam, i sięgam po wodę. Tiffani odsuwa się od Tylera i zaczynamy rozmawiać o sobotniej imprezie, o tym, jaki kupić alkohol i kto pojawi się na plaży. Ja ograniczam się do przytakiwania Rachael, z nadzieją, że to wystarczy, by przetrwać spotkanie.

* * *

Wieczorem, kiedy Rachael i ja wróciłyśmy do naszych domów na Deidre Avenue, skubnęłam zapiekanki makaronowo-

serowej, którą Ella zrobiła na kolację, poszłam pobiegać i dosłownie padłam na łóżko. Zasnęłam przed północą, zmęczona po całym dniu chodzenia po sklepach, udzielania się towarzysko i wieczornej przebieżce.

Nie wiem, o czym myślałam, zanim zasnęłam, ale jestem niemal pewna, że o Tylerze. Na pewno myślałam o nim, kiedy biegałam. Nie mogłam wyrzucić z pamięci dzisiejszego dnia. Tego, jak podjechał pod centrum handlowe z Tiffani i jej nową torebką, na którą wydał całe mnóstwo pieniędzy, i jak ją całował – zupełnie inaczej niż mnie wczoraj. Myślałam o tym, jak się do mnie uśmiechnął, jak zmrużył oczy, i o tym wszystkim, co musieliśmy zachować w tajemnicy. Wszystko to nie dawało mi spokoju.

Nagle coś wyrywa mnie ze snu. W pokoju jest ciemno, w domu panuje cisza. Na wpół przymkniętymi oczami wpatruję się w ścianę, słyszę ciche skrzypnięcie drzwi i dociera do mnie, że to właśnie ono mnie obudziło.

– Nie śpisz? – szepcze Tyler. Otwieram oczy. Drzwi zamykają się z cichym szcęknięciem.

„Teraz już nie”, myślę. Nie ruszam się. Leżę ze wzrokiem utkwionym w pustą ścianę i nasłuchuję jego cichych kroków, kiedy idzie w moją stronę po miękkim dywanie.

– Nie – mruczę. – Która godzina?

– Trzecia – mówi cicho, jakbyśmy nie powinni wydawać żadnych dźwięków. Słyszę, jak oddycha, a zaraz potem materac ugina się pod jego ciężarem. Podnosi kołdrę i wślizguje się do łóżka.

– Mogę z tobą spać?

Jestem strasznie senna, zamykam więc powieki i uśmiecham się słabym, zmęczonym uśmiechem. Kiedy nie odpowiadam, on zaczyna paplać.

– Nie chodzi mi o to, żeby się z tobą przespać, tylko zasnąć z tobą w jednym łóżku. No wiesz, odpocząć – wyjaśnia pośpiesznie. Jego oddech łaskocze mnie w kark, ale ciało nie dotyka mojego.

– Wiem, co miałeś na myśli – mówię.

Nastaje długa cisza, w której słychać jedynie nasze nierówne

oddechy. Za każdym razem, gdy ja robię wdech, on wypuszcza powietrze, aż do chwili, gdy zaczyna oddychać wolniej. To wówczas czuję jego ciepło, nagą skórę przyciśniętą do moich pleców, pierś, twardą, a mimo to przyjemną, i długie palce, które dotykają mojego ramienia. Czując na sobie ich dotyk, zaczynam drżeć.

– Przepraszam z powodu Tiffani – szepcze mi do ucha, drugą ręką gładząc moje włosy.

– I dobrze.

– Pozwól, że to załatwię. – Głos ma błagalny, podszyty czymś, co nie do końca rozumiem. – Próbuję to wszystko załatwić.

– Niby jak? – pytam, gapiąc się w ścianę.

– Eden – mówi – gdybyś jeszcze nie zauważyła, jestem kompletnie popieprzony. – Odsuwa się i odwraca się do mnie plecami. Ja również przekręcam się na drugi bok.

Patrzę teraz na jego plecy i widoczny na łopatkach tatuaż. Dotykam go.

– Chyba raczej zagubiony.

– Zagubiony?

– Tak – mówię. Głos mam tak cichy, że sama ledwie go słyszę. – Myślę, że jesteś zagubiony.

– Dlaczego tak sądzisz?

Wodzę palcem wzdłuż jego kręgosłupa i zatrzymuję dłoń na ramieniu, przysuwam się bliżej, łaknąc ciepła, którym emanuje jego skóra. Otulam go ramieniem, zamykam oczy i szepczę:

– Bo nie masz pojęcia, co robisz i dokąd zmierzasz. – Chwilę później zasypiam.

O siódmej rano już go nie ma.



Jestem taka podekscytowana! – piszczy Rachael. Słyszę, jak przesuwa wieszaki i zaraz potem wchodzi do pokoju w biustonoszu bez ramiączek, z naręczem rozmaitych bluzek. – Dobra, którą mam wybrać?

Oparta na łokciu, wyciągam się na łóżku, przechylam głowę i oglądam każdy ciuch, który podsuwa mi pod nos i wieszka na drzwiach.

– Tę białą, obcisłą.

Rachael zastanawia się przez chwilę, po czym stwierdza:

– Masz absolutną rację! – Chwyta ubrania, ciska je w kąt pokoju i zakłada białą koszulkę, która pasuje idealnie do długiej jasnoczerwonej spódnicy, którą wybierała przez dwadzieścia minut.

– Jesteś pewna, że to dobre połączenie? – Marszczę brwi i patrzę na to, co mam na sobie: miętową, rozkloszowaną spódniczkę i biały gorset, który sprawia, że moje piersi wyglądają na nieco większe, niż są w rzeczywistości. Założyłam też kilka bransoletek, ale wydaje mi się, że jestem ubrana zbyt nieformalnie.

– To impreza na plaży. – Rachael cedzi słowa, jakby przemawiała do dziecka, które musi nauczyć się znaczenia pewnych wyrazów. Siada na podłodze i zakłada jasnobrązowe sandały, zbyt zaaferowana butami, żeby na mnie spojrzeć. – Wyglądasz bosko. Naprawdę podoba mi się ten top.

– Mówisz tak, bo pożyczyłam go od ciebie – zauważam z uśmiechem. Chyba jednak rzeczywiście wyglądam dobrze i świetnie się z tym czuję. W tym stroju bardziej przypominam jedną z nich.

Rachael przewraca oczami, wstaje z podłogi i przegląda się w dużym lustrze. Mówię jej, że wygląda niesamowicie, ale

ignoruje mnie i się rumieni. Od tej chwili nie komentujemy swojego wyglądu.

– Przyjdziemy do Deana jako ostatnie – stwierdza kilka minut później, kończąc nakładać trzecią warstwę błyszczyku do ust. – Gotowa? – Patrzy na swoje odbicie i wydyma wargi.

– Rachael. – Siadam na łóżku. – Jestem gotowa od pół godziny.

– Fakt – potwierdza na głos. Parska śmiechem, sięga po jasnobrązową torebkę, podchodzi do mnie, chwytając mnie za rękę i szarpnięciem ściąga z łóżka.

– Pamiętaj – mówi z powagą – pij u Deana tyle, ile możesz, bo na plaży nie będzie alkoholu. Żadnego. – Mówiąc to, krzywi się ze smutkiem.

– Rozumiem – zapewniam ją. Po tych słowach puszcza mnie i idzie do drzwi. Ja tymczasem zakładam trampki. Chwytam leżący na łóżku szary sweter i zarzucam go na ramiona. Ponieważ impreza odbywa się na plaży, spodziewam się chłodnej bryzy od oceanu. Wychodząc, po raz ostatni zerkam na siebie w lustrze i stwierdzam, że wyglądam znośnie. – Chodźmy.

Zbiegamy na dół, do kuchni, gdzie Dawn rozpakowuje zakupy. Widząc nas, cmoka z niezadowoleniem.

– Mamo, podrzucisz nas do Deana? – pyta Rachael nienaturalnie słodkim głosem i nawija na palec pukiel włosów.

– Rachael, wiesz, że nie chcę, żebyś szła na tę imprezę – mówi Dawn i chowa do szafki puszkę ananasa. Zamyka drzwiczki, splata ramiona i przygląda się nam. – Nawet nie jesteś pełnoletnia.

– Mamo! – Rachael wydaje stłumiony okrzyk. – Wszyscy tam będą. Chcesz zrobić ze mnie frajerkę? Tym dla ciebie jestem? Frajerką?

Mam ochotę wyśmiać zdolności aktorskie Rachael. Tymczasem Dawn unosi brwi, jakby toczyła wewnętrzną walkę, zastanawiając się, czy być mamą-kumpelą, czy matką-frajerką. W końcu decyduje się na mamę-kumpelę, bo wzdycha ciężko i mówi ze spokojem:

– Tylko nie pij za dużo. Ty też, Eden. Rodzice wiedzą, że

będiesz piła?

– Moi rodzice się rozwiedli – mówię z kamienną twarzą.

Rachael parska śmiechem, ale Dawn wygląda na podenerwowaną. Na szczęście nie ciągnie tematu, bo gdyby to zrobiła, musiałabym skłamać, że owszem, mój ojciec i Ella doskonale wiedzą, że idę na imprezę i wypiję tyle, ile zdołam w siebie wlać. Tak naprawdę myślą, że idę do kina.

– Zaczekajcie przy samochodzie – mówi Dawn. Wyciera ręce w spodnie i przykłada dłoń do czoła, jakby chciała się pozbyć bólu głowy, o który ją przyprawiłyśmy. – Wezmę kluczyki.

Rachael posyła mi triumfalny uśmiech i puszcza się pędem w stronę drzwi, żeby wyjść z domu, zanim jej mama zmieni zdanie. Przez kilka nieznośnie długich minut czekamy przy zaparkowanej na podjeździe hondzie civic. Rachael tymczasem sprawdza w lusterku makijaż, a ja gapię się na dom naprzeciwko. Samochód Tylera nadal stoi przy ulicy. Zastanawiam się, czy mój przyrodni brat jest jeszcze w domu i, szykując się na imprezę, spryskuje się głupią wodą kolońską Bentley, którą tak bardzo uwielbia Tiffani. Na myśl o tym zagryzam zęby, odwracam się tyłem i patrzę na siebie w oknie samochodu. Muszę przyznać, że jeśli chodzi o makijaż, Rachael się spisała.

– Ta gadka o rozwodzie to świetny sposób, żeby uniknąć pytań – stwierdza z aprobatą Rachael, wyglądając znad dachu samochodu.

– Chyba będę wykorzystywała ją częściej – mówię.

Słyszymy trzask zamykanych drzwi i widzimy Dawn, która niechętnie idzie w stronę samochodu. Otwiera hondę i pakujemy się do środka – ja na tylnej kanapie, Rachael na fotelu pasażera. Dopiero gdy matka Rachael tyłem wyjeżdża spod domu, zaczynam się denerwować. Dziwne. Przecież tego lata byłam już na kilku imprezach, bo tutejsza młodzież nie ma nic innego do roboty, ale tym razem czuję pewne obawy. Może dlatego, że to impreza otwarta, nie byle jaka domówka, a może dlatego, że jesteśmy niepełnoletni i zamierzamy bawić się z dorosłymi. Jest jeszcze trzecia możliwość: będę tam ja, Tyler i Tiffani.

Podróż do domu Deana trwa zaledwie pięć minut i dopiero gdy jesteśmy na miejscu, dociera do mnie, że nigdy wcześniej tu nie byłam. Nie wiedziałam nawet, że mieszka w tej samej okolicy co Rachael i ja. Jego samochód stoi zaparkowany przy chodniku i widząc go, znowu zaczynam myśleć o pieniądzach za paliwo.

Dawn hamuje gwałtownie i odwraca się, żeby spojrzeć na Rachael. Patrzy na nią z powagą i zmartwiona marszczy czoło.

– Proszę, nie upij się – mówi łagodnie. – Pamiętaj, że masz dopiero siedemnaście lat, więc ciesz się, że w ogóle pozwoliłam ci iść. Zachowuj się odpowiedzialnie.

Rachael wydaje z siebie dramatyczne westchnienie i zerka tęsknie w kierunku domu.

– Wiem, mamo.

Dawn wyciąga szyję i spogląda na mnie z uśmiechem.

– Ty też na siebie uważaj, Eden.

– Dzięki – mówię, ale brzmi to niemal sarkastycznie i przez ułamek sekundy boję się, iż pomyśli, że naprawdę mam problem.

W końcu wychodzimy z samochodu i chwilę później, stojąc na podjeździe, machamy Dawn na pożegnanie. Dzięki Bogu, że nie założyłam butów na obcasie; bez nich wszystko wydaje się dużo prostsze.

– Moja mama bywa żenująca – tłumaczy się Rachael i widać, że jest jej naprawdę głupio. Szczerze, nie sędzę, żeby Dawn była aż tak zła. Moja mama zachowywałaby się tak samo. – Zachowuje się tak za każdym razem, gdy wychodzę. Zupełnie jakby próbowała wpędzić mnie w poczucie winy. – Wzdryga się.

Parskam śmiechem, na co Rachael posyła mi mordercze spojrzenie i pokazuje język. Odsuwam ją na bok i podbiegam do drzwi. Ręce drżą mi ze zdenerwowania. Ze środka dobiega stłumiony śmiech i dudniąca muzyka.

– Mam zapukać? – Zerkam pytająco na Rachael.

– Czy masz zapukać? – powtarza z niedowierzaniem. – Boże, Eden, nie. Po prostu pakuj się do środka. – I nie czekając na kolejne głupie pytania z mojej strony, otwiera drzwi i z olśniewającym uśmiechem przekracza próg domu.

Wchodzimy prosto do pokoju gościnnego, który sąsiaduje z kuchnią. Muzyka wwierca się w moje uszy, kiedy delikatnie zamykam drzwi i rozglądam się dokoła, żeby zobaczyć, kto jest już na miejscu. Wygląda na to, że wszyscy. Rachael miała rację: przyjechaliśmy jako ostatnie i skupieni wokół kuchennej wyspy ludzie przyglądają się nam z uwagą. Wygląda na to, że właśnie są w trakcie picia shotów.

– W końcu! – krzyczy Jake.

Dean mija ich i idzie w naszą stronę.

Meghan trzyma w dłoniach dwa kieliszki i popija to z jednego, to z drugiego. Między kolejnymi łykami uśmiecha się do nas radośnie. Jake stoi obok dwóch koleś, których nigdy dotąd nie widziałam, i zastanawiam się, skąd w ogóle się tu wzięli.

Dean staje przy nas szeroko uśmiechnięty, trzymając w ręce piwo.

– No dalej, dziewczyny, musicie nadrobić zaległości!

– Nami się nie przejmuj – odparowuje Rachael i szturcha mnie w żebra. – Potrafimy pić szybko.

Mam ochotę coś powiedzieć. Jeśli w ciągu lata Rachael dowiedziała się czegoś na mój temat, to z pewnością tego, że w kwestii picia jestem naprawdę beznadziejna. Alkohol smakuje jak ścieki, a picie go szybko i w dużych ilościach jest w moim przypadku niewykonalne. I nie przesadzę, jeśli powiem, że to dla mnie prawdziwa tortura. Ma tak gorzki i mocny smak, że czując go w ustach, zaczynam się krztusić. Nie mówię jednak tego na głos i przytakuję:

– Jasne, potrafimy pić naprawdę szybko.

Dean unosi brwi, jakby wiedział, że blefuję.

– Właśnie zamierzaliśmy zagrać w alkoholową ruletkę. – Zagląda do kuchni, gdzie towarzystwo pograżyło się w rozmowie i gdzie ustawiono koło do ruletki. Każdy kieliszek wygląda obrzydliwie; każdy zawiera inną mieszankę trunków i nie mam pojęcia, ile butelek zużyli, żeby je napełnić.

– Eden, chyba nie poznałaś jeszcze chłopaków. – Dean podaje mi butelkę Twisted Tea i jestem mu wdzięczna, że nie

uraczył mnie czymś mocniejszym. Mówiąc to, wskazuje głową dwóch gości, którzy stoją obok Jake'a.

Obaj podnoszą na mnie wzrok, przerywają rozmowę i uśmiechają się do mnie. Jeden jest bardzo wysoki, wyższy od Tylera, a drugi nieco niższy. Wysoki ma skwaszoną minę, jakby był wkurzony na towarzystwo i chciał nam dokopać, a niższy ma na głowie czapkę.

– To Jackson. – Dean wskazuje butelką chłopaka w czapce i kiwa głową na drugiego. – A to TJ.

– Jak leci? – pyta TJ i, nie czekając na odpowiedź, odwraca się do nas plecami, by podjąć przerwana rozmowę.

– To kumple z drużyny – tłumaczy gospodarz imprezy. – Jackson jest łapaczem, a TJ tylnym obrońcą. Wiedziałaś, że gram w futbol? Jestem wspomagającym. Środkowym wspomagającym. Lubisz futbol?

Dean chyba nigdy nie był taki gadatliwy, zwykle mamrotał coś pod nosem.

– Dean – mówię powoli. Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem. – Kiedy zaczęłaś pić?

Zmieszany przewraca oczami i pokazuje trzy palce.

– Trzy godziny temu? – pytam, a on potwierdza skinieniem głowy. – Za bardzo przejmujecie się tą imprezą. – Poklepuję go po ramieniu, okrążam wyspę, żeby wziąć sobie słomkę, wkładam ją do butelki i upijam mały łyk. Muzyka jest głośna, ale zgiełk w domu jeszcze większy, choć jest nas tylko dziewięcioro.

Nagle dociera do mnie, że nie widziałam jeszcze Tylera i Tiffani. Rozglądam się po kuchni, żeby się upewnić, czy przypadkiem ich nie przeoczyłam, ale z całą pewnością ich tu nie ma. Przychodzi mi do głowy, że jednak Rachael i ja nie byliśmy ostatnie, ale wówczas coś przykuwa moją uwagę.

Za kuchennym oknem widzę dwie sylwetki i, jak nietrudno się domyślić, są to Tyler i Tiffani. Zerkam przez szybę na niczego nieświadomą parę i krzywię się z odrazą. Tyler pali, podczas gdy Tiffani klei się do niego ze wszystkich sił.

Pociągam solidny łyk drinka, stawiam butelkę na blacie i

wychodzę. Nikt nie zauważa, kiedy wymykam się kuchennymi drzwiami do ogrodu na tyłach domu, ale Tyler i Tiffani od razu mnie dostrzegają. Milkną, kiedy zamykam drzwi i odwracam się w ich stronę. Tiffani zaciska usta, poirytowana, że przerwałam ich czułości. Żałuję, że nie ma ze mną Meghan.

– Możesz tam wrócić? – pyta Tiffani, nawet nie siląc się na uprzejmość. Minę ma kwaśną, a w jej głosie wyczuwa się gorycz. – I dać nam odrobinę spokoju?

– Oduść sobie – zwraca się do niej Tyler. Tiffani jest równie zaskoczona jak ja. Rzuca mu wściekłe spojrzenie i znowu patrzy na mnie.

Ignoruję ją i z dezaprobatą spoglądam na skręta, którego Tyler trzyma w dłoni.

– Co robisz?

– Wyluzuj – rzuca i wkłada papierosa między zęby. – To tylko szlug.

– To wszystko, co zamierzasz dziś palić? – Patrzę na niego wyczekująco. – Szlugi?

Przez kilka sekund, których potrzebuje, żeby się zaciągnąć i wypuścić dym, wbija we mnie wzrok.

– Jeśli zamierzasz mnie przesłuchiwać, siostrzyczko, to lepiej wróć do środka.

Tiffani parska śmiechem, ale ja nie zwracam na nią uwagi i skupiam się na Tylerze. Wszystko inne rozplywa się w chmurze dymu. Od tygodni nie odzywał się do mnie w ten protekcyjny sposób. Nie miał do tego prawa wtedy, tak jak nie ma teraz. Mam ochotę go spoliczkować, jednak czuję na sobie jego zimny wzrok. Chwilę później odwraca się i po raz kolejny zaciąga papierosem. I nagle pojmuję, że Tyler gra, udaje, bo tylko to umie robić. Znowu przywdział maskę głupiego twardziela, która daje mu poczucie kontroli nad sobą i przewagi nad innymi. „Oczywiście”, myślę, „wszystko dlatego, że jest tu Tiffani”. Nie może pozwolić, żeby poznała prawdę o tym, jaki naprawdę jest. A jest kompletnie zagubiony.

– Gramy w alkoholową ruletkę – rzucam sztywno, udając, że

nie słyszałam, co właśnie powiedział. – Więc jeśli chcecie się przyłączyć, powinniście wrócić do kuchni.

– Ja w to wchodzę! – oznajmia Tiffani. Odsuwa się od Tylera i zbliża się do mnie chwiejnym krokiem. Oczy lśnią jej z podniecenia. Zerkam na nią kątem oka i zastanawiam się, jakie są jej życiowe priorytety. Zgaduję, że tymczasem są to torebki Louis Vuitton, tequila i mój przyrodni brat.

Spoglądam na Tylera, który między kolejnymi sztachnięciami popija piwo. Przechylam głowę i pytam:

– Idziesz z nami?

– Jasne – odpowiada tym samym wyniosłym tonem. Słyszając to, kręcę głową i wracam do innych.

Wszyscy zgromadzili się wokół kuchennej wyspy i niczym sępy wpatrują się w koło ruletki. Jake trzyma w dłoni kulki, podrzuca je i łapie, co wydaje się nie lada wyczynem, zważywszy na to, że jest już nieźle wstawiony. W pewnej chwili przestaje zonglować i skinieniem palca przyzywa mnie i Tiffani.

Przeciskam się między Rachael a Deanem i podchodząc do niego, sięgam po butelkę Twisted Tea. Dean kładzie mi rękę na ramieniu, drugą podnosi do ust piwo. W pewnej chwili odwraca się tak gwałtownie, że boli mnie kark. Zaraz potem Jake rozpoczyna grę i rzuca kulki na koło ruletki. TJ i Jackson walą pięściami w blat, omal nie przewracając kieliszków. Jake chwyta swoją szklankę i wlewa do gardła całą jej zawartość.

– Co to ma być, do cholery? – bełkocze i krzywi się z odrazą.

TJ wyje ze śmiechu i klaszcze w swoje wielkie dłonie.

– Woda z kałuży za domem!

Jake zaciska usta w wąską kreskę, posyła TJ'owi wściekłe spojrzenie, odpycha go, podbiega do zlewu i wszystko wypłuka. Podczas gdy Jake krztusi się nad zlewem, do kuchni wchodzi Tyler. Ręce chowa w kieszeniach, a jego twarz nie zdradza żadnych emocji. Dołącza do gry: koszmarnej gry; gry w niewiadome. Kto wie, co jeszcze czeka na nas w kieliszkach.

– Nie mogę się doczekać, aż pójdziemy na plażę! – krzyczy mi do ucha Dean. Robi to tak głośno, że odsuwam się od niego. –

Naprawdę, ale to naprawdę nie mogę się doczekać!

– Musimy się porządnie nawalić – szepcze mi do drugiego ucha Rachael. Nagle dociera do mnie, że stoję pomiędzy kimś, kto już jest pijany a kimś, kto bardzo chce się upić. – Nawet Meghan jest od nas lepsza!

To prawda. Nie wiem, od jak dawna wszyscy tu są, ale zdążyli się już niezłe ubzdryngolić. Albo więc piją od kilku godzin, albo narzucili niezłe tempo. Najprawdopodobniej i to, i to. Jak powiedział Dean, Rachael i ja musimy szybko nadrobić zaległości. Rozglądam się po twarzach przyjaciół – a także TJ'a i Jacksona – i widzę, że śmieją się, krzyczą i wyglądają, jakby nigdy w życiu się tak świetnie nie bawili. Wszyscy z wyjątkiem Tylera, który stoi za plecami Tiffani, jakieś dwa, trzy kroki od niej, jakby obawiał się jej dotknąć. I patrzy na mnie. Tylko na mnie.

To jeszcze bardziej mnie stresuje. Tyler wciąż nie wie, jak poradzić sobie w tej sytuacji, podczas gdy Tiffani uśmiecha się od ucha do ucha i władczym wzrokiem spogląda na wszystkich dokoła. Chcę zapomnieć o nich, chociaż na krótką chwilę. Nie myśleć o tym, co jest między mną i Tylerem, bo zepsuję sobie wieczór. Nie chcę też zastanawiać się nad tym, co myśli Tiffani, bo jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że jej zdaniem nie jestem lekkomyślna.

Zaciskam palce na butelce, którą trzymam w dłoni, i zmuszam się do najszerzego uśmiechu, na jaki mnie stać. Odwracam się do Rachael. Już ja pokażę Tiffani, jak bardzo jestem lekkomyślna.

– Dobra, upijmy się – mówię.

– Wiem, gdzie starzy Deana trzymają naprawdę dobry alkohol – szepcze Rachael. Chwyta mnie za rękę i ukradkiem cofamy się pod ścianę. Przez chwilę stoimy w drzwiach do pokoju gościnnego, a gdy wszyscy są zajęci kolejnym shotem z kałuży, który tym razem trafił się Meghan, Rachael unosi oba kciuki i przebiegamy przez pokój, prosto do małego przedpokoju, gdzie muzyka nie jest tak głośna, a w powietrzu czuje się chłód.

– Są tam? – pytam.

– Kto?

– Jego rodzice.

Rachael uśmiecha się i wskazuje na dach.

– Na górze – mówi.

Szarpnięciem otwiera kolejne drzwi, tym razem do ciemnego, zimnego pokoju. Dopiero kiedy pokonuję pojedynczy stopień i uderzam ręką o samochód, uświadamiam sobie, że jesteśmy w garażu.

– Gdzie jest światło? – mruczy pod nosem Rachael, po omacku szukając na ścianie włącznika. Chwilę później robi się jasno.

Stoję obok czarnego BMW. Pospiesznie cofam się o krok w obawie, że mogłabym je uszkodzić, i rozglądam się dokoła. W każdym kącie stoją kartonowe pudła, a na ścianach wiszą czerwono-białe gadzety związane z futbolem. Jest tu szklana gablota mieszcząca bluzy sportowe, flagi i transparenty sięgające od sufitu aż do podłogi, mała półka ze złotymi kaskami i kilkoma piłkami, a także oprawiona w ramki kolekcja zdjęć.

– Ojciec Deana jest zagorzałym kibicem San Francisco 49ers – wyjaśnia Rachael i tanecznym krokiem podchodzi do półek w drugim końcu garażu, zastawionych różnymi trunkami. Patrzę, jak sięga po dwie butelki, przygląda się im z uwagą i z aprobatą kiwa głową. – Mówiłam ci, że wiem, gdzie znajdziemy naprawdę dobry alkohol!

Kiedy Rachael gapi się na butelki, ja omijam samochód i oglądam zdjęcia na ścianie. Na jednym z nich rozpoznaję o kilka lat młodszego Deana w bluzie San Francisco 49ers i czerwonej czapeczce. Obok niego stoi mężczyzna w takim samym stroju; w jednej ręce trzyma hot doga, drugą opiera na ramieniu Deana. To pewnie jego ojciec. Zdjęcie zrobiono przed wejściem na Levi's Stadium. Jest tu wiele podobnych fotografii. Zupełnie jakby dokumentowali w ten sposób każde wyjście na mecz.

Jedno zdjęcie różni się od pozostałych. Są na nim nie dwie osoby, lecz cztery. Obok Deana i jego taty stoi jakiś chłopiec, na oko dwunastoletni. Ma ciemne włosy i zielone oczy.

– Wypijemy tę tequilę, w dodatku zrobimy to jak totalne twardzielki, bez soli i limonki – oświadcza z powagą Rachael. Unosi brodę i odwraca się do mnie z butelką Cazadores w dłoni.

Zerkam sceptycznie na jej zawartość, przełykam i wskazuję na zdjęcie.

– To Tyler?

Mruży oczy i pochyla się w stronę fotografii.

– Chryste, wygląda jak wymoczek!

Gapię się na Tylera. Ma taką samą bluzę jak Dean, ale jego twarz wyraża zupełnie co innego. Dean uśmiecha się szeroko, podczas gdy Tyler marszczy brwi. Prawdę mówiąc, w ogóle nie patrzy w obiektyw. Spogląda w bok i ma minę, której daleko do entuzjazmu dzieciaka wybierającego się na mecz 49ers. Nawet jego ciało odchyła się w jedną stronę, choć Dean otacza go ramieniem. Może Tyler po prostu nie lubi 49ers? Może jest fanem Chargersów?

Z boku na fotografii, niedaleko ojca Deana, stoi jakiś mężczyzna. Ma czarne włosy, jest odwrócony tyłem do obiektywu i wskazuje nazwisko na plecach czerwonej bluzy, którą ma na sobie. GRAYSON.

Coś ściska mnie w żołądku. Odsuwam się od zdjęcia i ściągam brwi. Usta mam rozchylone. Ojciec Tylera. Nigdy wcześniej go nie widziałam, choć właściwie teraz też go nie widzę. Mam ogromną potrzebę zobaczyć jego twarz.

Odwracam się do Rachael.

– To jego tata? – pytam.

– Deana? – Patrzy na mnie spod firanki rżęs i odkręca butelkę. – Tak.

– Nie – mówię. – Ojciec Tylera. To on?

Rachael podnosi wzrok. Spogląda na mnie i jeszcze raz na zdjęcie.

– Tak. – Wzrusza ramionami. – Z wiekiem Tyler coraz bardziej go przypomina. Przynajmniej z tego, co pamiętam. Jego ojciec pewnie ma teraz brodę i wygląda staro. Myślisz, że więźniowie mogą się golić?

– Nie wiem – mówię, ale całą uwagę skupiam na zdjęciu. Jest w nim coś niepokojącego. Dean i jego tata wydają się tacy szczęśliwi i podekscytowani meczem, dumni i radośni. Tymczasem Tyler i jego ojciec stoją na przeciwnych końcach fotografii. Tyler wygląda na przybitego, wzrok ma spuszczone, ramiona przygarbione. Zastanawiam się, w jakich okolicznościach zrobiono to zdjęcie i dlaczego Tyler się nie uśmiecha. – O co chodzi z Tylerem i jego ojcem? Coś musiało się wydarzyć.

Rachael kręci głową i przykłada palec do ust, jakby chciała się uciszyć.

– Nie wiem. Mamy taką niepisaną zasadę. Nie rozmawiamy o ojcu Tylera, chyba że życie nam niemiłe, tak jak nie rozmawiamy o chorobach wenerycznych przy Meghan, która najbardziej w życiu obawia się chłamydiozy.

Postanawiam zignorować tę niepisaną zasadę i uparcie drażnę temat.

– A jeśli był adoptowany?

– Adoptowany? – Rachael patrzy na zdjęcie i przez chwilę rozważa taką ewentualność. Zaraz jednak kręci głową. – Nie, to na pewno jego dzieciak. Są do siebie zbyt podobni. No już – dodaje. – Musimy się pospieszyć! Inaczej naprawdę zostaniemy z tyłu.

Marszczę czoło i odwracam wzrok od fotografii. Rachael wymachuje butelką, którą trzyma w dłoni.

– Dobrze już, dobrze, jestem gotowa.

Rozciąga usta w uśmiechu i bierze głęboki wdech.

– Pali w gardle jak diabli, ale przynajmniej szybko się nawalimy, więc weź się w garść i do dzieła.

– Boże – mówię, ale zaciskam pięści, zamykam oczy i przygotowuję się na najgorsze. Ostatnim razem, gdy piłam tequilę, wypłułam wszystko do zlewu. A wtedy miałam do dyspozycji sól i limonkę. – Jestem gotowa.

Rachael kiwa głową, podnosi butelkę do ust i pociąga łyk. Natychmiast zgina się w pół, zatyka usta dłonią i wciska mi w rękę butelkę.

– Chryste – dyszy. Krzywi się i kręci głową, jakby liczyła, że

to zabije ohydny smak.

Patrzę na nią i mam ochotę stchórzyć. Po co się tak torturować? Zerkam z powątpiewaniem na butelkę i podczas gdy Rachael jęczy i macha wściekle rękami, zastanawiam się, co ja robię. I nagle przypominam sobie słowa Tiffani, iż nie martwi się o mnie, że się upiję i że jej zdaniem nie jestem lekkomyślna.

Zaciskam palce na szyjce butelki, podnoszę ją do ust, odchylam głowę i wlewam w siebie tyle tequili, ile tylko zdołam. Chwilę później moje gardło staje w ogniu. Tequila wygląda jak mocz, a smakuje jak benzyna.

O mało nie upuszczam butelki i pociągam łyk Twisted Tea, które dla odmiany smakuje jak woda. Tak więc piję i piję, i piję, aż w butelce nie zostaje nic. Wyczerpana, opieram się o ścianę i przez chwilę próbuję złapać oddech.

– Jeszcze raz – mówi Rachael. Wrywa mi butelkę i sytuacja się powtarza: odchyla głowę, upija solidny łyk i umiera.

Butelka przechodzi z rąk do rąk, aż przy czwartej kolejce wiem, że nie dam już rady. Gdy tylko czuję na języku smak tequili, zdaję sobie sprawę, że nie jestem w stanie przełknąć gorzkiego płynu i wszystko wypluwam. Krople tequili spływają po drzwiach BMW, od strony kierowcy. Patrzę na Rachael.

– Eden! – krzyczy, po czym parska śmiechem i przez kolejne trzy minuty nie może się opanować.

Jestem przerażona. Dean mnie znienawidzi, jego rodzice mnie pozwą i skończę w poprawczaku za zniszczenie mienia.

– Skąd się wziął ten samochód? – krzyczę poirytowana i czuję, jak oblewam się rumieńcem.

– To garaż!

– Myślałam, że to piwnica! – wyrzucam z siebie między kolejnymi atakami śmiechu. Podłoga ucieka mi spod nóg, przez co zataczam się na ścianę i myślę sobie, że tequila to prawdziwe cholerstwo.

Wiedziałam, że Rachael ma słabą głowę, ale nie miałam pojęcia, że to samo można powiedzieć o mnie. Niezjedzenie obiadu to chyba nie był najlepszy pomysł. I nagle głupia

wyliczanka zaczyna mieć sens: jedna tequila, dwie tequile, trzy tequile, gleba.

Spuszczam wzrok i widzę, że podłoga znajduje się dokładnie tam, gdzie Rachael, która, chichocząc, leży na betonie i nawet nie próbuje się podnieść. Wygląda jak martwa foka i najwyraźniej dobrze jej z tym.

– Musimy iść! – oświadczam. Podaję jej rękę i próbuję dźwignąć ją z podłogi, ale tracę równowagę i ląduję na Rachael, prawdopodobnie łamiąc jej kręgosłup.

– Tak, tak! Musimy iść! – Śmieje się histerycznie, podczas gdy ja usiłuję przeturlać się na ziemię.

– Jakie mamy teraz plany, Rachael, skarbie? – parskam. Wszystko wydaje się takie komiczne, beztrioskie i lekkomyślne. Nie mogę się powstrzymać. Leżę na plecach, patrzę na biały sufit garażu i nagle dociera do mnie, że wszystkie ściany są pomalowane. – Ten garaż jest taki piękny.

Rachael śmieje się bezgłośnie. Usta ma otwarte, oczy zamknięte i słyszę jedynie, jak desperacko chwyta powietrze.

– Co się z nami dzieje?

Podnoszę się na klęczki i patrzę na nią, starając się zachować powagę. Piętnaście minut z tequilą i jesteśmy kompletnie nawalone. To niesamowite.

– Musimy pić dalej! Wlać w siebie tyle, ile zdołamy! Pamiętaj!

Rachael kiwa głową z entuzjazmem i trzymając się lusterka bocznego, próbuje stanąć na nogi. Gdybym była trzeźwa, martwiłabym się, żeby nie uszkodzić samochodu, ale nie jestem trzeźwa i, prawdę mówiąc, w ogóle mnie to nie interesuje.

– Jägermeister! – krzyczy Rachael. Zdejmuje z półki kolejną butelkę i wyciąga ją w moją stronę. Szczerząc się od ucha do ucha, podnosi ją do góry w geście toastu. – Za zatrucie alkoholowe!

Piętnaście minut i dwie kolejki później zastanawiam się, dlaczego byłam taka głupia i w tak krótkim czasie wlałam w siebie taką ilość alkoholu. To jedna z tych rzeczy, przed którymi ostrzegają rodzice i nauczyciele; jedna z tych rzeczy, które ich

zdaniem mogą cię zabić. Ale to bez znaczenia. Nikt nie przejmuję się konsekwencjami, bo między pić alkoholu a chwilą, kiedy czujesz, że jesteś kompletnie zalany, wszystko wydaje się takie cudowne. To by tłumaczyło, dlaczego Rachael robi striptiz na masce samochodu i śpiewa hymn państwowy do pustej butelki Cazadores.

– Eden, fantastycznie jest upijać się z tobą – ogłasza, kończąc swój występ. Stoi w spódnicy i staniku, bo jej bluzka wylądowała na podłodze.

Niespodziewanie muzyka dobiegająca z głębi domu przybiera na sile, a kiedy odwracam wzrok od Rachael, widzę, że drzwi do spiżarni są otwarte. W progu stoi Dean ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Jego widok sprawia, że zamieramy z głupkowatym uśmiechem na twarzy.

– Rachael – mówi wolno Dean – zjeżdż, proszę, z samochodu.

Rachael zagryza usta, żeby nie parsknąć śmiechem, i próbuje z gracją ześlizgnąć się z maski, ale z głuchym plaśnięciem ląduje na betonie. Butelka Cazadores rozbija się w drobny mak. Patrzę na nią, jak chichocząc i jęcząc, próbuje dźwignąć się z podłogi i zaczynam się śmiać.

– Cholera, Rachael – mruczy Dean. – Uważaj na szkło. – W porównaniu z nami wydaje się zupełnie trzeźwy. Wchodzi do garażu, nachyla się nad Rachael i widząc, w jakim jest stanie, krzywi się z odrazą. Pomaga jej się podnieść i sięga po jej bluzkę. – Jesteśmy gotowi do wyjścia – mówi, ale widzę, że jest na nas zły. Podczas gdy ja chichoczę w kącie, on pomaga Rachael się ubrać i patrzy na nią z powagą. – Ile wypiliście?

Rachael nie odpowiada. Ogląda się na mnie i przywołuje mnie skinieniem dłoni. Niezdarnie stawiam butelkę Jägermeistera na podłodze i powłócząc nogami, podchodzę do samochodu. Unikam wzroku Deana, który wzdycha ciężko i prowadzi nas przez spiżarnię z powrotem do salonu. Jake przytrzymuje otwarte drzwi.

– Co wyście robiły? – pyta Jake. Rachael i ja wymieniamy spojrzenia i wybuchamy śmiechem, bo z jakiegoś powodu nie

możemy się opanować.

Dean wyłącza muzykę i woła do siedzących na górze rodziców, że wychodzimy. Tymczasem ja idę za Rachael do zaparkowanego przed domem minivana. Jak przez mgłę słyszę Meghan, która informuje mnie, że starszy kuzyn Deana zawiezie nas na plażę, chociaż w samochodzie nie ma wystarczająco dużo miejsc. Mimo to pakujemy się do środka (Rachael siada mi na kolanach). Za nami wchodzi Dean oraz Jake i wkrótce cała dziewiątka siedzi stłoczona w jednym małym busiku. Jestem zbyt pijana, by przejmować się tym, iż Tyler i Tiffani siedzą na samym końcu, że ona prawie na nim leży, a on obejmuje ją za szyję. Słyszę jej śmiech ponad dudnieniem muzyki, ale Tyler w ogóle nie zwraca na nią uwagi. Wygląda przez okno, a gdy zerkam przez ramię, widzę, że jest najbardziej trzeźwy z całego towarzystwa. Od razu wyczuwa moje spojrzenie i podnosi na mnie wzrok.

Jestem w siódmym niebie, więc rozciągam usta w głupawym uśmiechu. Głowa mi ciąży i Tyler to zauważa, bo mruży oczy, ale nie wiem czy z niezadowoleniem, czy może raczej z troską. Nie mam czasu, żeby się o tym przekonać, bo chwilę później wraca do gapienia się przez okno.

Przez resztę podróży opowiadamy sobie dowcipy i śmiejemy się bez końca. Dobrze jest wiedzieć, że wszyscy inni są równie wstawieni jak Rachael i ja. Chociaż wstawieni to mało powiedziane. Jesteśmy pijani, i to cudowne uczucie.



Impreza na plaży to najwyraźniej wielka sprawa. Na tę okazję wygradza się połowę plaży (tej na prawo od molo), drogi zostają zamknięte, a okolice patrolują ochroniarze. Kiedy na parkingu wysypujemy się z minivana, moje uszy zostają zbombardowane przez dźwięki muzyki i odgłosy zabawy. Atmosfera jest elektryzująca. Mrużąc oczy, patrzę na plażę i dostrzegam wzniesioną na piasku scenę z ogromnymi czarnymi głośnikami, na której DJ zagrzewa ludzi do zabawy.

– Jeśli jakiś kretyn odwali numer, przez który nas wyrzucą, osobiście skopię mu tyłek – grozi Jake, patrząc na nas ostrzegawczo. – Chyba że to będzie dziewczyna. Wtedy przestanę z nią gadać.

Po tych słowach ruszamy w stronę plaży. Mijając ochroniarzy, nieznacznie pochylamy głowy. Zastanawiam się, czy wyglądam na tak pijaną, jak się czuję. Mam nadzieję, że nie, bo w przeciwnym razie wywalą mnie w ciągu pięciu minut. Na szczęście docieramy do celu i wtapiamy się w tłum. Spodziewam się, że będziemy trzymać się razem, ale tak nie jest. Chłopcy kiwają nam głowami na „do widzenia” i idą w swoją stronę. Jestem zaskoczona, że Tyler zostawia Tiffani.

– Powinnyśmy wykąpać się na golasa! – proponuje Rachael, próbując przekrzyczeć muzykę. Jej słowa zwracają uwagę kilku mężczyzn, którzy kiwają głową z aprobatą.

– Zdecydowanie nie powinnyśmy kąpać się na golasa – stwierdza Tiffani. Rzuca mężczyznom wściekłe spojrzenie i popycha nas głębiej w tłum. Jestem tak pijana, że przemieszczając się, omal nie skręcam kostki.

Piasek wsypuje mi się do butów, więc ściągam trampki i chwytam je za sznurowadła. Kiwam głową w rytm muzyki,

podczas gdy mijający nas ludzie poszturchują mnie to z jednej, to z drugiej strony. Z tego, co widzę, wszyscy są pełnoletni, ale mam to gdzieś.

– To Jared i jego kumple! – krzyczy Meghan i odwraca się przerażona. Poprawia włosy. – Jak wyglądam?

– Jakbyś prosiła się o kłopoty! – odkrzykuje Rachael i ma rację.

– Zaryzykuję. – Meghan przesyła nam pocałunek i lawirując między ludźmi, znika w tłumie. Wątpię, żeby wkrótce do nas wróciła.

Macham butami nad głową, na co stojący obok ludzie reagują oburzeniem, głównie dlatego, że mało brakowało, a uderzyłabym ich w twarz, ale czuję się zbyt wolna i szczęśliwa, żeby kogokolwiek przeproszać. O dziwo, łapię się na tym, że tańczę, jest to szalony, dziki taniec, ale jednak taniec. A to do mnie niepodobne. DJ na scenie puszcza muzykę house i wszyscy machają rękami. Kręci mi się w głowie i nawet ocean przechyla się na jedną stronę.

Świetnie się bawię, kiedy tak skaczę po piasku, wywijam butami w powietrzu, ale Tiffani chwytą mnie i Rachael za ręce i przyciąga nas do siebie. Chyba nie bawi się tak dobrze jak my, ale nie wiem, czy dlatego, że za mało wypięła, czy też nie podoba się jej impreza.

– Idę poszukać Tylera – oświadcza, a kiedy robi krok w tył, widzę, że jest wkurzona.

– Niiieeee! – protestuje Rachael. – Zostań z nami!

– Po tym, co wydarzyło się w ubiegłym roku, muszę go pilnować – odpowiada, kręcąc głową.

Patrzę na nią spod przymkniętych powiek, owijam sznurowadła wokół palców i próbuję zdmuchnąć z twarzy włosy. Wieczorne słońce grzeje niemiłosiernie.

– Co się stało w ubiegłym roku? – pytam.

Tiffani rzuca mi pełne dezaprobaty, poirytowane spojrzenie.

– Przestań nimi machać, Eden. – Wyrywa mi buty, z pogardą patrzy na zapisany na nich tekst piosenki i oddaje mi je,

wzdychając przy tym ciężko. – Wyglądasz idiotycznie, więc postaraj się zachowywać trochę normalniej. A teraz bawcie się dobrze.

Pijana Rachael wzrusza ramionami, kiedy Tiffani, rozpychając się łokciami, toruje sobie drogę w tłumie. Podobnie jak ja nie może złapać tchu.

– Co się wydarzyło w ubiegłym roku? – pytam po raz kolejny, kiedy mogę już swobodnie oddychać. Sylwetka Rachael jest nieco rozmazana, więc mrużę oczy, żeby widzieć lepiej, ale to nic nie daje. Mam wrażenie, że moje ciało kołysze się na boki, jak ocean.

– Tyler wziął jakiś podejrzany towar – mówi, nachylając się w moją stronę tak, żeby nikt nie słyszał, choć wszyscy dokoła są zajęci imprezowaniem – a potem zemdłał i myśleliśmy, że umarł. No a później dostał ataku i okazało się, że jednak żyje. Zawlekliśmy go do domu Tiffani, a ona przepłakała całą noc, bo publicznie zrobił z niej idiotkę. Zamknęła się w łazience i nie chciała wyjść, więc musieliśmy zostać, żeby nic mu się nie stało. No i w końcu doszedł do siebie. To było przerażające i Tiffani panicznie się boi, że Tyler mógłby zrobić coś podobnego. – Znowu brakuje jej tchu, więc milknie, nabiera powietrza i powoli je wypuszcza.

Jestem pewna, że gdybym była trzeźwa, martwiłabym się i sama poszłabym szukać Tylera, ale jestem zbyt pijana, by cokolwiek zrobić. Pewnie byłabym też zła na Tiffani, że bardziej przejęła się swoją reputacją niż życiem Tylera, ale zamiast tego krzywię się i znowu zaczynam się kołysać. Po chwili dołącza do mnie Rachael.

Gdy człowiek jest pijany, traci nie tylko rozum, ale i poczucie czasu. Mam wrażenie, że w ciągu dziesięciu minut docieramy pod samą scenę, ale kiedy zadzieram głowę i widzę ciemniejące niebo, zdaję sobie sprawę, że musiało upłynąć znacznie więcej niż dziesięć minut. Zaczynam się pocić, a kiedy spoglądam w prawo, widzę, że jestem sama. Rachael zniknęła.

– O – mówię. Chichocząc nerwowo, odwracam się i

tanecznym krokiem zaczynam przedzierać się przez tłum, czując, jak ogarnia mnie atak klaustrofobii. Ludzie patrzą na mnie dziwnym wzrokiem. To oczywiste, że jestem za młoda i nie powinno mnie tu być.

Z dala od sceny ludzie wałęsają się bez ładu i składu, niektórzy udzielają się towarzysko, inni dwoją się i troją, żeby poderwać jakieś dziewczyny. Tłum nie jest tu taki gęsty, więc się zatrzymuję, żeby odetchnąć. Opadam z sił, a euforia, którą czułam po alkoholu, ustępuje, ale nadal jestem nieźle wstawiona i podoba mi się ten stan. Gdzieś obok dochodzi do bijatyki. Chwilę później pojawiają się ochroniarze, którzy wykrzykują polecenia, rozdzielają awanturników i wywlekają ich z plaży.

To wówczas uświadamiam sobie, że jestem zupełnie sama. Sama, a do tego pijana. Ogarnia mnie panika i odruchowo sięgam do kieszeni swetra po telefon. Jest tylko jeden problem. Mój telefon zniknął.

Przeszukuję drugą kieszeń, sprawdzam w staniku i w butach. Nie mam ani telefonu, ani pieniędzy. Wszystko przepadło. Nie wiem, czy wypadły mi z kieszeni i leżą teraz zagrzebane w piasku, czy może zostałam okradziona. Tak czy siak, nie mogę nigdzie zadzwonić. Gdybym była trzeźwa, wiedziałabym, że to nie koniec świata i że jestem czterdzieści minut spacerem od domu. Ale nie jestem trzeźwa i czuję, że mój świat legł właśnie w gruzach.

Łzy napływają mi do oczu. Próbuję je powstrzymać, ale drżą mi usta i chwilę później toczą się po policzkach. Owijam się swetrem i wbijam wzrok w piasek. Boję się, że ludzie zauważą, że płaczę, jak jakaś głupia szesnastolatka, którą przecież jestem. Jestem zbyt młoda, żeby tu być, a do tego pijana, zupełnie sama i okradziona.

– Cholera, Eden – mruczy ktoś za moimi plecami. Znajome brzmienie głosu i jego ciepło sprawiają, że przestaję płakać. Podnoszę wzrok i widzę Tylera, który idzie w moją stronę.

– Tiffani cię szuka – pociągam nosem. Wycieram oczy rękawami swetra, ostrożnie, żeby jeszcze bardziej nie rozmazać makijażu. – Twoja dziewczyna.

– Czemu płaczesz? – Ignoruje moje słowa, staje przede mną i patrzy na mnie spod długich ciemnych rzęs. Zieleń jego oczu przywodzi na myśl wodorosty.

– Wszyscy sobie poszli – mówię. Pieką mnie oczy i delikatnie przechylam się w prawo. – Tiffani, Meghan, Rachael... I nie mam telefonu.

Tyler chwyta mnie za rękę i pomaga mi stanąć prosto. Przygląda mi się z uwagą.

– Bardzo jesteś pijana?

– A ty? – odpowiadam pytaniem na pytanie.

– Już nie. – Zaciska usta i zastanawia się przez chwilę.

Pochyla się nade mną, wyplątuje sznurowadła spomiędzy moich palców i kładzie trampki na piasku. – Załóż buty. Pełno tu śmieci.

Spoglądam w dół i widzę, że ma rację. Na plaży walają się puste opakowania po jedzeniu, zgniecione puszki i zapalniczki. „A ja na tym tańczyłam”, myślę. Pospiesznie zakładam buty, chociaż ziarenka piasku nieprzyjemnie kłują mnie w stopy. Ale teraz, kiedy jest przy mnie Tyler, czuję się bezpiecznie, więc nie bacząc na rozmazany makijaż, posyłam mu promienny uśmiech.

– Ojciec cię zabije – mruczy, bardziej do siebie niż do mnie. Wzdycha i drapie się po głowie, jakby się zastanawiał, co zrobić.

Nie zamierzam utrudniać mu życia, ale czuję, że odzyskałam siły i mam ochotę się pobawić, więc się odwracam i tanecznym krokiem ruszam przed siebie. Kilka metrów dalej zatrzymuję się, patrzę na niego i uśmiecham się figlarnie. Tyler mruży oczy, patrzy na mnie i czeka. Ja również czekam, aż między nami nie będzie żadnych ludzi. Wówczas rzucam się na ziemię i turlam się po piasku w jego stronę. Efekt jest dość żałosny. Kończy się na tym, że leżę ze splątanymi nogami i prawdopodobnie zwichniętym ramieniem. Tu i ówdzie słyszę stłumione śmiechy.

– Wstawaj – nakazuje mi Tyler i pomaga stanąć na nogi. – Co ci mówiłem na temat śmieci?

– Uwieeeeeelbiam tę plażę – mówię, przeciągając samogłoski. Głowa mi ciąży i zataczam się w lewo, ale Tyler łapie mnie i trzymając za ramiona, stawia do pionu. – W przyszłym roku też tu

przyjadę, specjalnie na tę imprezę!

– Przyjedziesz w przyszłym roku? – Patrzy na mnie z powagą i w ułamku sekundy trzeźwieję.

– Nie wiem – mówię. – To zależy, czy ojciec będzie chciał mnie widzieć.

– Mam nadzieję, że tak – parska Tyler. Wciąż trzyma ręce na moich ramionach; wciąż mnie dotyka. – Ja na pewno będę chciał cię zobaczyć.

Chwila trzeźwości nie trwa długo i znowu się zataczam. Ledwie pamiętam jego słowa. Próbuję tańczyć, ale nie zdaję sobie sprawy, że zachowuję się jak idiotka.

– Zwracasz na siebie uwagę – syczy Tyler i chwytam mnie mocniej, żeby ograniczyć mi nieco swobodę ruchu. – Przez ciebie nas wywałą.

– Ale przecież mam dwadzieścia jeden lat! – krzyczę do niego i się śmieję. Uwalniam się z jego uścisku i cicho chichoczę.

– Chryste – mruczy pod nosem. Odwraca głowę i wbija wzrok w piasek. Zaciska usta i zamyka oczy. Łapie głęboki oddech, puszcza mnie i chwilę później bierze mnie na barana. – Musisz wytrzeźwieć, do cholery – sarka i zaczyna iść.

Obejmuję go za szyję tak mocno, że zaraz go uduszę, oplątam go nogami w pasie i czuję na udach jego silne ramiona. Krok ma lekki, jakbym nic nie ważyła, i myśl o tym sprawia, że przez chwilę czuję satysfakcję. Opieram głowę na jego ramieniu i pozwalam się nieść.

– Troy-James – woła Tyler i nagle się zatrzymuje. Na dźwięk nieznanego imienia podnoszę głowę.

Przed nami stoi mała, trzyosobowa grupka ludzi. Słyszając głos Tylera, wszyscy odwracają się jak na komendę. Widzę dwie dziewczyny i... TJ'a. Kolesia, którego poznałam u Deana, tylnego obrońcę. Troy-James. „No tak, TJ”, myślę i nagle czuję się wyjątkowo mądra.

– Co jest? – pyta Troy-James albo raczej TJ. Skwaszona mina zniknęła i wygląda na to, że TJ świetnie się bawi. Nic dziwnego, skoro towarzystwa dotrzymują mu dwie starsze dziewczyny. Obie

uśmiechają się do mnie z politowaniem.

– Muszę skorzystać z twojej chaty. – Tyler nie owija w bawełnę. – Dalej mieszkasz przy Ocean Avenue?

– Stary. – TJ mruga zaskoczony. Zerka na dziewczyny, a zaraz potem na Tylera. – Co planujesz?

Tyler wzrusza ramionami i zadziera głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Ona musi wytrzeźwieć. Ojciec ją zabije, jeśli wróci do domu w takim stanie.

– Koleś, krzyżujesz mi plany – mruczy TJ pełnym napięcia głosem. Krzywi się i patrzy na nas spod przymrużonych powiek.

– Ja mam wolne mieszkanie – odzywa się jedna z dziewczyn. Słyszając to, TJ sięga do kieszeni i rzuca Tylerowi klucze do mieszkania. Tak. Po prostu.

– Zostaw je pod wycieraczką – mówi.

Tyler zdążyła jeszcze podziękować, zanim TJ i dziewczyny odchodzą. Kiedy zostajemy sami, znowu wzdycha, chwytając mnie mocniej za nogi i rusza przed siebie. Idzie tak i idzie, aż uświadamiam sobie, że wychodzimy z imprezy.

– Dlaczego idziemy do jego mieszkania? – mruczę w materiał jego koszulki, bo nie jestem w stanie utrzymać prosto głowy. – Jak to możliwe, że on w ogóle ma mieszkanie?

– Bo zachowujesz się niepoważnie – chichocze, a ja żałuję, że nie mogę zobaczyć jego twarzy, spojrzeć mu w oczy i zgadnąć, co chodzi mu po głowie. Ale wciąż jestem zbyt pijana. – A jego rodzice są milionerami. Na szesnaste urodziny kupili mu mieszkanie. Kto w ogóle robi coś takiego?

– Milionerzy – odpowiadam.

Nie przeszkadza mi, że wychodzimy z imprezy. Zdążyłam zgubić telefon, pieniądze i przyjaciół, więc teraz, gdy słońce zachodzi, a alkohol przestaje działać, po prostu chcę wrócić do domu. Co, zważywszy na okoliczności, nie wchodzi w grę. Tata myśli, że jestem w kinie i oglądam jakąś ckliwą historię miłosną, gdy tak naprawdę wynoszą mnie z imprezy, bo za dużo wypiałam. Dziękuję tylko Bogu, że to Tyler przyszedł mi z pomocą. Gdyby to

Jake, Dean czy nawet Meghan próbowali odprowadzić mnie do domu, wszczęłabym awanturę.

– Możesz postawić mnie na ziemi – mruczę, bo od dziesięciu minut tkwię na plecach Tylera. Boję się, że zrobię mu krzywdę.

– Po co? Żebyś wpadła pod samochód? Nie ma mowy – rzuca szorstko i przystaje na skraju krawężnika. Pospieszenie rozgląda się w obie strony i przechodzi przez ulicę. Wciąż słyszę dobiegającą z plaży muzykę.

– Ominie cię reszta imprezy – mówię, ale nie odpowiada.

Niesie mnie aż do apartamentowców i hoteli przy Ocean Avenue, budynków z widokiem na plażę, które wielokrotnie mijałam, biegając ulicami Santa Monica. Zatrzymujemy się przy czteropiętrowym budynku i Tyler wnosi mnie po zewnętrznych schodach pod same drzwi. Dopiero tam pozwala mi się zsunąć na ziemię. Nogi uginają się pode mną, kiedy próbuję stanąć.

– Jak się czujesz? – pyta, nie podnosząc wzroku, zbyt zajęty majstrowaniem przy zamku.

– Zawstydzona – przyznaję. Zaczynam dochodzić do siebie po ostatnim drinku, którego wypiałam prawie trzy godziny temu, i dociera do mnie, jak idiotycznie się zachowywałam. Jak przez mgłę pamiętam, że oplułam tequilą samochód rodziców Deana.

W końcu Tyler otwiera drzwi, bierze mnie za rękę i wciąga przez próg do jasnego holu apartamentowca z lśniąca, wyfroterowaną podłogą.

– Wszyscy przez to przechodziliśmy. – Próbuje mnie pocieszyć.

– Tak jak ty w ubiegłym roku? – pytam z pogardą, choć wcale nie chcę, żeby tak to brzmiało. Po prostu jestem ciekawa. Jak zawsze.

Tyler zatrzymuje się na środku holu i wyciąga szyję, żeby na mnie spojrzeć. Twarz mu tężeje, kiedy patrzy na mnie spod przymrużonych powiek. Zagryzam wargi i czekam na kolejny wybuch agresji, ale nic takiego się nie dzieje. Zamiast tego kręci głową i ciągnie mnie w stronę windy.

– Dwieście sześć – mówi, wciskając przycisk z numerem

„dwa”. Unika mojego wzorku, choć jego palce wciąż zaciskają się na moim nadgarstku.

Mieszkanie dwieście sześć znajduje się z przodu budynku. Patrzę na wycieraczkę pod moimi stopami i z nieskrywanym zainteresowaniem przyglądam się wzorowi. W normalnych okolicznościach nie zwróciłabym na nią uwagi, ale wygląda na to, że po tequila człowiek odkrywa w sobie wyjątkową wrażliwość i porusza go sztuka wycieraczek. Przystaję, dopiero gdy Tyler wciąga mnie do mieszkania.

Boże, jakie ono piękne.

Salon skąpany jest w blasku zachodzącego słońca, który wlewa się do środka przez wysokie okna. Wszystko tu ma głęboki pomarańczowy odcień i wygląda naprawdę cudnie. Takie zachody słońca widuje się jedynie na kartkach pocztowych, a większość z nich i tak jest sfotoszopowana. Jednak to, co widzę za ogromnymi oknami z widokiem na plażę, to esencja prawdziwego piękna. Podziwiam je przez chwilę.

– Masz – słyszę za plecami łagodny głos Tylera. Odrywam wzrok od okien i patrzę na niego. Trzyma szklankę wody i wpycha mi ją do ręki. – Wypij to. Już.

Uśmiecham się, podnoszę szklankę do ust i pociągam solidny łyk. Dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo chce mi się pić. Woda przyjemnie chłodzi mi gardło, więc w ciągu kilku sekund opróżniam całą szklankę.

– Siadaj – nakazuje. Wyjmuje mi z ręki pustą szklankę i wskazuje głową kanapę za moimi plecami. Kiedy się nie ruszam, kładzie mi rękę na ramieniu i delikatnie popycha we wskazanym kierunku.

– Pięknie tu – mówię, kiedy już siedzę na kanapie. Rozsiadam się, wyciągam nogi i opieram się o poduszki, nie odrywając wzroku od okien. Jeśli się przysłuchać, wciąż dociera tu delikatne dudnienie muzyki. – Prawda?

– Pewnie – przyznaje. Odwracam się, żeby na niego spojrzeć, krzyżuję nogi i patrzę w milczeniu, jak po raz kolejny napełnia szklankę wodą z kranu. Przynosi mi ją. Ma mokre ręce i wyciera je

w nogawki spodni.

Panująca cisza kontrastuje z hałasem po drugiej stronie ulicy, ale jest coś odprężającego w tym wszystkim: w stłumionych dźwiękach muzyki i jaskrawym słońcu, które powoli przetacza się za horyzont. Tyler przysiada na skraju kanapy i patrzy, jak piję.

– Musisz się przespać, żeby dojść do siebie – mówi. Wciąż patrzy na mnie z dezaprobatą i ta nagła zamiana ról sprawia, że czuję się dziwnie. Zwykle to ja go krytykuję. – No już. – Wyjmuje mi szklankę z dłoni, stawia ją na stoliku do kawy i bierze mnie za rękę. Wzdrygam się, ale chyba tego nie zauważa. Dźwiga się z kanapy, stawia mnie na nogi i obejmuje w pasie, jakby się bał, że stracę równowagę. – Lepiej ci?

– Tak.

Odwraca się, ale nie wypuszcza mojej dłoni. Splata palce z moimi i prowadzi mnie przez kuchnię do przedpokoju. Przystajemy przed drzwiami na końcu korytarza, za którymi znajduje się mała sypialnia. Wchodzimy do niej, trzymając się za ręce.

Zdejmuję buty, podświadomie odsuwam je nogą na bok i zamierzam podejść do ogromnego łóżka, które zajmuje większą część pokoju, ale Tyler bierze mnie na rękę.

Jego twarz jest tak blisko mojej, że mogę jedynie gapić się na niego. Nic więcej. Jego oczy są tak piękne i tak intrygujące, że nie sposób się w nich nie zatracić. Nie patrzy na mnie, ale czuję, jak szybko bije mu serce. I nagle, równie niespodziewanie jak wziął mnie na rękę, kładzie mnie na łóżku i przykrywa kołdrą.

– Przyniosę ci wody – mruczy niemal wstydliwie. Zagryza wargi, odwraca się i wychodzi z pokoju.

Rozglądam się dokoła. Na ścianie po prawej stronie wisi lustro. Spoglądam w nie i widząc swoje rozmazane odbicie, niemal się zachłystuję. Wyglądam koszmarnie. Moje włosy, które prostowałam przez prawie godzinę, znowu są pokręcone, splątane i wyglądają ohydnie. Tak samo makijaż, nad którym ślęczała Rachael. Jedna ze sztucznych rzęs odpadła. Pospiesznie zdejmuję drugą i przyklejam ją do szafki nocnej.

– Proszę. – Zaskoczona wzdrygam się na dźwięk głosu Tylera. Po raz kolejny napełnił szklankę i stawia ją na szafce, tuż obok sztucznej rzęsy. – Woda i sen. Tylko w ten sposób wytrzeźwiejesz i unikniesz koszmarnego kaca. – Śmiejąc się, podchodzi do okna i zaciąga zasłony.

– Powinieneś czasami posłuchać swoich rad – drocę się z nim. Wciąż jeszcze jestem pijana. – Następnym razem, kiedy się upijesz, będę ci śpiewała „woda i sen, woda i sen”.

Kiedy odwraca się od okna, widzę, że stara się opanować uśmiech.

– Prześpij się, Eden. – Kręci głową.

Chichoczę, ale robię, co mi każe. W końcu ma rację. Potrzebuję snu. Podciągam kołdrę pod brodę, kładę się na plecach i układam głowę na poduszce. Zamierzam zamknąć oczy, ale widzę, że Tyler stoi w drzwiach, jakby nie wiedział, czy powinien wyjść, czy może raczej zostać.

Unoszę głowę, tak bym mogła na niego spojrzeć. Nie śmieję się już.

– Wracasz na imprezę?

– Nie wiem – szepcze. Wbija wzrok w podłogę i wzrusza ramionami. – Tiffani pewnie mnie szuka.

– No tak.

– Śpij – mówi i patrzy mi w oczy. Znowu się uśmiecha i jest to jeden z tych uśmiechów, które tak bardzo lubię. Autentyczny. Szczery. Łagodny i pokrzepiający.

Kładę głowę na poduszce, odwracam się na bok i zamykam oczy. Kiedy tak leżę sama w zupełnej ciszy, pragnę, żeby wrócił i został. Chcę, żeby leżał obok mnie, jak wtedy, gdy w środku nocy przyszedł do mojego pokoju. Chcę wiedzieć, że jest przy mnie. Czuć jego ciepło i dotyk. Tylko tego potrzebuję. Tylko tego mi brak.

Myślę, że wówczas dociera do mnie, że się w nim zakochałam.

* * *

Budzę się kilka godzin później. Upał w pokoju jest nie do wytrzymania. Jestem zlana potem i czuję, że mam wypieki. Nie zapalając światła, sięgam po stojącą na stoliku nocnym szklankę z wodą i siadam na łóżku. Uczucie gorąca mija, ale i tak piję dalej.

– Jak się czujesz?

Mało się nie krztuszę. Spoglądam w kąt pokoju, tuż przy oknie. Nawet w ciemności widzę sylwetkę Tylera i jego błyszczące oczy. Im bardziej wyteżam wzrok, tym wyraźniej go widzę; wkrótce dostrzegam już całą twarz.

– Lepiej – mówię. I rzeczywiście czuję się lepiej. Świat wokół mnie przestał wirować i odzyskałam jasność umysłu. Teraz moim jedynym problemem jest to, że strasznie chce mi się pić. – Która godzina?

– Trzecia. – Zerka w stronę okna i śmieje się tak cicho, że ledwie go słyszę. Dopiero teraz widzę, że zasłony są rozsunięte. Z miejsca, w którym siedzę, spostrzegam nocne niebo i księżyc. W oddali wciąż słychać stłumione dźwięki muzyki. Impreza trwa w najlepsze.

Patrzę na niego i zdezorientowana ściągam brwi.

– Nie wróciłeś na plażę?

– Nie – mruczy. Głos ma tak cichy, że graniczy z szeptem. – Bałem się, że zaczniesz wymiotować albo co. Poza tym uznałem, że lepiej będzie, jak zostanę.

Zagryza wargę i nagle robi się smutny, jakby czuł się niezręcznie. Nie chodzi o to, że wcześniej sprawiał wrażenie wyjątkowo szczęśliwego, ale przez tę nagłą zmianę nastroju wydaje się bezbronny, zmęczony, a nawet przygnębiony.

– O co chodzi? – pytam, ściskając w dłoni szklankę z ciepłą już teraz wodą.

– O nic. – Pochyliła się do przodu, opiera łokcie na kolanach, splata palce i patrzy przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Wiem, że coś jest nie tak. – Upijam kolejny łyk i przez cały czas patrzę na niego. Boję się, że coś mi umknie: emocje, które przemkną po jego twarzy, oznaka zdenerwowania, ale on z niczym się nie zdradza. – Co się stało, Tylerze? – pytam ponownie.

Podnosi głowę i odwraca wzrok. Wzdycha i się przygarbia.
– Chodzi o to, że...
– O co?
– Rok temu o tej porze... – urywa i ucieka wzrokiem w bok.
– Zemdlałeś – kończę za niego. Spogląda na mnie zmieszany.
– Rachael mi powiedziała. Straciłeś przytomność przez narkotyki.
– Napij się wody – mruczy pod nosem i wstaje. Jego ponura twarz ginie w cieniu.

Robię, co mi każe, dopijam wodę i odstawiam szklankę. Odrzucam kołdrę, wstaję i podchodzę do niego. Nogi mam sztywne.

– Dlaczego to robisz?
Nagle, bez uprzedzenia, wyrzuca w górę ręce. Cofam się w obawie, że znowu go rozzłoszczę.

– Po co kolejny raz mnie o to pytasz?
– Bo chcę poznać prawdę.
– Już ci powiedziałem cholerną prawdę – warczy. Policzki ma zarumienione, jakby wściekłość rozpałała go od środka. Tyler nienawidzi prawdy; ukrywa ją. – Robię to, co robię, żeby nie myśleć.

– O czym? – krzyczę mu w twarz, bo chcę w końcu poznać prawdę. Bo dość mam tego, że kompletnie nic o nim nie wiem. – Chcę wiedzieć, Tylerze. Chcę wiedzieć, po co ta cała gadka o niemyśleniu.

Ludzie tacy jak on niczego nie robią bez powodu. Nikt nie zachowuje się w ten sposób, żeby nie myśleć. Nikt. Muszę wiedzieć, co sprawia, że robi to, co robi, i mówi to, co mówi.

– Kiedy człowiek nie myśli, wszystko jest prostsze – syczy w końcu. Na czole ma głębokie bruzdy, tak bardzo marszczy brwi.

– Co jest prostsze?
Zaciska zęby i zwija dłonie w pięści, aż widzę pod skórą nabrzmiałe żyły. Wyobrażam sobie trybiki w jego głowie, które poruszają się i nieruchomieją, kiedy zapada między nami niezręczna cisza. Gdy znów się odzywa, głos ma cichy, ale pobrzmiewa w nim groźba.

– Przestań, Eden.

– Co mam przestać? – Robię krok do przodu i patrzę na niego ze spokojem. Postanawiam, że tym razem nie dam za wygraną. Chcę poznać prawdę i nie wystraszy mnie swoimi gniewnymi spojrzeniami.

– Przestań próbować mnie rozgryźć. – Wymawia słowa powoli, tak bym dokładnie usłyszała każdą sylabę. Ponieważ jest ode mnie wyższy, patrzy na mnie z góry, tym samym dziwnym spojrzeniem, które widziałam na zdjęciu w garażu Deana. Na fotografii zrobionej przed meczem 49ers, na której on i jego ojciec stoją po przeciwnych stronach.

– Tylerze. – Jest niczym puzzle z miliona kawałków, które należy dopasować, żeby wyłonił się pełen obraz. Jeden fragment prawdy naraz. – 49ers czy Chargersi?

– Co to za idiotyczne pytanie? – mówi poirytowany. Krzywi się, jakby nie wierzył, że tak nagle zmieniłam temat. Zupełnie jakby myślał: „Chwilę temu wierciła mi dziurę w brzuchu, a teraz gada o futbolu?”. – 49ers – odpowiada.

Rozdziawiam usta i patrzę na niego zdumiona. Mam gonitwę myśli i próbuję zrozumieć to, co właśnie usłyszałam. Jego odpowiedź przeczy temu, co było na fotografii.

– W domu Deana widziałam zdjęcie – zaczynam ostrożnie. – Byłeś na nim ze swoim ojcem, przed meczem 49ersów. Skoro ich lubisz, to dlaczego wyglądałeś tak, jakbyś był tam za karę?

Patrzy na mnie i mruga.

– Dean miał ściągnąć tę fotografię.

– Odpowiedz na moje pytanie – mówię. Zaczynam się niecierpliwić. Nagle wszystko wydaje się takie osobliwe. Jestem zdenerwowana, bo czuję, że krok po kroku zbliżam się do odkrycia prawdy. – Co się wydarzyło tamtego dnia?

Tyler odsuwa się ode mnie. Sięga po pustą szklankę i ściska ją z taką siłą, że bieleją mu kłykcie. Boję się, że szkło pęknie mu w dłoni, ale tak się nie dzieje. Podchodzi do okna i stoi w milczeniu. Słyszę jedynie odległe dźwięki muzyki i jego ciężki oddech.

Zza palm, którymi obsadzona jest ulica, widać światła moło i

obracający się w koło diabelski młyn. Nie wiem, dlaczego wciąż działa. Jest przecież środek nocy. Tyler opuszcza głowę.

– O co ci chodzi, Eden? – pyta, wyglądając przez okno na widoczną w dole ulicę. – Nie powinnaś próbować mnie zrozumieć. Nikt nie powinien.

W nagłym bezruchu wyczuwam zmianę jego nastroju. Wciąż przygarbiony, wodzi palcem po brzegu szklanki. Nie chcę się odzywać. Pragnę ciszy, żeby przyjrzeć mu się dokładniej, dostrzec wszystkie jego wady i zalety. Chcę spojrzeć mu w twarz i pochwycić jego spojrzenie, chcę się uśmiechnąć i pragnę, by odpowiedział tym samym. Chcę widzieć, jak zaciska szczęki i myśli, pragnę, by zaufał mi na tyle, żeby powiedzieć, co chodzi mu po głowie. Chcę spojrzeć na świat jego oczami, tak bym mogła go zrozumieć i zaakceptować.

Pragnę go.

– Tylerze – szepczę. Wymawiając jego imię, próbuję zwrócić na siebie jego uwagę, ale się nie odwraca. Zerka tylko przez ramię. – Zaufaj mi, proszę.

Stoi ze wzrokiem wbitym w dywan, ale powoli kręci głową, jakby się obawiał, że zostanie skrzywdzony. Zaciska powieki i wypuszcza powietrze.

– Nie każ mi tego mówić.

Ostrożnie staję między nim a oknem. Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Tyler nie patrzy już w noc, która trwa w najlepsze bez nas. Przełykam grudę, która utkwiała mi w gardle, i dotykam dłońmi jego piersi.

– Proszę – szepczę.

Przeraźliwie wolno otwiera oczy i czekam, aż uderzy mnie ich zieleń, a gdy w końcu na mnie spogląda, oddech więźnie mi w gardle. Źrenice ma rozszerzone, a spojrzenie łagodne i zbolące jak nigdy dotąd. Widziałam go wściekłego i bezbronnego, ale to, na co patrzę teraz, to nie jest zwykła bezbronność. To całkowita bezradność.

– Mój ojciec to dupek – mówi szeptem, prawie nie poruszając ustami. – Powiedziałem wszystkim, że siedzi w

więzieniu za kradzież samochodu, ale to nieprawda. – Zaciska usta i spogląda w bok. Patrzę, jak zbiera się na odwagę, żeby mówić dalej. Nozdrza mu drgają, ale się nie odwraca. Chwilę później wypowiada słowa, które w życiu nie przyszły mi do głowy. – Siedzi za znęcanie się nad dziećmi.

Te słowa mrożą mi krew w żyłach i przyprawiają o dreszcze. Ich dźwięk rani moje uszy. To słowa, które nigdy nie powinny pojawiać się obok siebie, bo nikt nie ma prawa znęcać się nad dziećmi, a coś takiego jak maltretowanie dzieci w ogóle nie powinno się zdarzyć. Żółć podchodzi mi do gardła, gdy rozdziawiwszy usta, gapię się na niego z niedowierzaniem.

– Chodzi o ciebie? – szepczę.

Kiwa głową.

Wszystkie szczegóły, które udało mi się zgromadzić do tej pory, nagle łączą się w całość tak przygnębiającą, że nie jestem w stanie się ruszyć. Mogę jedynie myśleć. Teraz rozumiem, dlaczego na zdjęciu wydawał się taki nieszczęśliwy. Bo był nieszczęśliwy. Rozumiem, skąd te złamane nadgarstki. Nic dziwnego, że się wściekał, kiedy poruszałam ten temat. Teraz rozumiem, dlaczego w jego albumie ze zdjęciami brakowało fotografii. Pozbył się ich. Rozumiem też, dlaczego potrzebuje czegoś, co pozwoli mu zapomnieć.

To oczywiste.

Oczywiste. Oczywiste. Oczywiste.

Teraz wszystko wydaje się takie oczywiste.

Wpuszczam powietrze i pytam:

– A Jamiego i Chase’a też to dotyczy?

– Nie, tylko mnie.

– Tylerze, ja... – Coś w moim wnętrzu roztrzaskuje się na myśl, że przeszedł przez coś tak strasznego i okrutnego. Głos mi się łamie i muszę przerwać, żeby się uspokoić. Wciąż dotykam dłonią jego piersi i czuję pod palcami powolne, głośne uderzenia jego serca. – Tak mi przykro.

– Nauczyłem się ukrywać to przed światem – mruczy i odsuwa się ode mnie. Miejsce rozpaczy w jego oczach zajmuje

kipiąca złość, podsycona bólem, który trawi go od środka. – Nikt nie wie. Ani Tiffani, ani Dean. Nikt.

– Dlaczego im nie powiedziałaś?

– Bo nie potrzebuję współczucia – rzuca gwałtownie, ale słyszę w jego głosie napięcie. Ze wzruszeniem ramion odwraca się ode mnie, staje po drugiej stronie łóżka i zaciska palce na rogu szafki nocnej. – Współczucie jest dla pańienek. Nie chcę, żeby myśleli, że jestem słaby. Mam dość bycia słabym. – Wali pięścią w szafkę i wściekły odwraca się w moją stronę. – Oto, kim zawsze byłem. Słabeuszem.

Nagle wszystko zaczyna mieć sens. Spoglądam przez okno na ciemny granat nieba. Pacific Wheel wciąż się obraca, ludzie nadal bawią się na plaży.

– Nie byłeś słaby – mówię, patrząc na niego. – Byłeś dzieckiem.

Gwałtownie kręci głową, przechodzi na drugi koniec pokoju, zaciska pięści, opiera się o ścianę i przygnębiony osuwa się na podłogę. Jego złość raz jeszcze ustępuje miejsca bezbronności. Wbijają wzrok w przeciwległą ścianę.

– Wiesz, przez jakiś czas nie rozumiałem – mówi ze spokojem. – Nie wiedziałem, co robię źle.

Wiem, że chce, żebym go wysłuchała, więc powstrzymuję się od pytań i siadam naprzeciwko niego. Krzyżuję nogi na dywanie i patrząc na jego usta, spijam z nich każde słowo.

– Moja mama i ojciec... – zaczyna, ale mówi powoli, jakby cały czas zastanawiał się nad doborem słów. – Byli nastolatkami, kiedy się urodziłem, więc pewnie nie mieli pojęcia, co robili. Oboje byli skoncentrowani na robieniu kariery. Tata miał swoją durną firmę, o której ci mówiłem.

– Grayson's.

– Tak, Grayson's – powtarza. Odchrząkuje, pochyla się do przodu i splata ramiona na kolanach. – Na początku było super. Przez kilka lat biznes świetnie prosperował, ale kiedy miałem osiem lat, jakaś inwestycja nie wypaliła. Ojciec zawsze był wybuchowy. Pewnego wieczoru wrócił do domu, a ponieważ

mama do późna siedziała w biurze, wyżył się na mnie. Zapomniałem o tym. Myślałem, że to jednorazowa sytuacja. Ale kiedy jego pracownicy zaczęli odchodzić, coraz częściej odgrywał się na mnie. Najpierw raz w tygodniu, a potem codziennie. Powtarzał mi, że nie mogę robić niczego, na co miałbym ochotę, bo muszę skupić się na nauce. Chciał, żebym dostał się do Ligi Bluszczowej, żebym nie spieprzył sobie kariery, tak jak on. Problem w tym, że ja nie chciałem robić kariery ani dostawać się na prestiżową uczelnię, a jednak co wieczór siedziałem zamknięty w swoim pokoju i próbowałem się uczyć, żeby tylko się na mnie nie wściekał. Myślałem sobie, że przecież się staram. Że to chyba wystarczy. Ale nie wystarczało. Co wieczór przychodził do mojego pokoju i mną pomiatał. – Milknie na dłuższą chwilę, a gdy znów się odzywa, jego głos brzmi niczym szept. – Każdej nocy. Przez cztery lata.

– Przykro mi – powtarzam. I naprawdę jest mi przykro. Nikt nie zasługuje na takie traktowanie, zwłaszcza przez rodzica, osobę, która powinna cię kochać i chronić. Robi mi się niedobrze.

Tyler wzrusza ramionami.

– Mama była tak zapracowana, że o niczym nie miała pojęcia. Teraz obwinia się o wszystko. Próbuje mnie karać, ale to nic nie daje, bo nie jest konsekwentna. Myślę, że boi się być wobec mnie surowa. Ale to przecież nie jej wina. Czasami coś zauważała. Pytała: „Tylerze, co ci się stało w twarz?”. A ja za każdym razem wynajdywałem jakąś idiotyczną wymówkę. Mówiłem, że mam podbite oko, bo na wuefie graliśmy w futbol, albo że złamałem nadgarstek, bo spadłem ze schodów. A tak naprawdę trzy razy w roku miałem złamany nadgarstek, bo ojciec chciał się przekonać, jak mocno jest w stanie go wygiąć.

– Dlaczego nikomu nie powiedziałaś? – pytam szeptem. Cisza jest tak krucha, że boję się ją zakłócić. – Czy mój tata wie?

– Bo panicznie się go bałem – wyznaje Tyler szorstkim, zimnym tonem. Kiedy podnosi ręce i przeczesuje palcami włosy, zauważam, że wraz ze zmianą nastroju zmieniły się też jego oczy; są teraz ciemniejsze, jakby czaił się w nich mrok. – Nie mogłem

nikomu powiedzieć. Jediną osobą, która o niczym nie wie, jest Chase. Był wtedy za mały. Mama nie chciała, żeby się bał. Reszta rodziny nienawidzi ojca.

– Kiedy to się skończyło?

– Gdy miałem dwanaście lat – mówi przez zaciśnięte zęby i wstaje z podłogi. – Pewnej nocy Jamie wszedł na górę i zobaczył, jak ojciec mnie bije. Był mały, ale wezwał gliny. Jeszcze tego samego wieczoru ojciec został aresztowany. Nie było rozprawy; tata przyznał się do winy, więc sprawa nie została nagłośniona. Muszę trzymać to w tajemnicy. Udawać, że wszystko jest w porządku. – Wzdycha głośno i zaczyna nerwowo krążyć po pokoju. – Nienawidzę go. Z całego serca. Mniej więcej po roku zacząłem wierzyć, że musiał być jakiś powód. Myślałem, że zasługiwałem na takie traktowanie, bo byłem bezwartościową kupą gówna. Nadal tak myślę. Nie potrafię normalnie żyć, bo nie umiem zapomnieć. Wiem, że brzmi to żałośnie, ale taka jest prawda. Powinienem łykać antydepresanty, ale ich nie biorę, bo wolę pić i palić, a nie można robić obu tych rzeczy naraz. I wiesz co, Eden? Masz rację. Jestem zagubiony. Kompletnie się pogubiłem w tym całym syfie.

Podrywam się z podłogi i próbuję wyczytać coś z jego oczu. Jest w nich tak wiele emocji, które zmieniają się jak w kalejdoskopie, że ledwie za nimi nadążam.

Słyszę, jak bierze gwałtowny oddech i krzyczy:

– Dlatego staram się nie myśleć! Dzięki temu wszystko wydaje się łatwiejsze, bo gdy jestem pijany albo na haju, albo i to, i to, zapominam, że mój własny ojciec mnie nienawidzi! – Przystaje krążyć po pokoju, w przypiływie adrenaliny chwytając stojącą na szafce nocnej szklankę i ciska nią przed siebie.

Wzdrygam się i odskakuję w bok, gdy szklanka uderza o ścianę. Moje uszy przeszywa brzęk tłuczonego szkła. Odłamki sypią się na podłogę, podczas gdy Tyler stoi nieruchomo, patrzy na wprost i oddycha. Chwilę później, zadowolony z siebie, pada na łóżko.

– Nienawidzę go – syczy. Podchodzę do niego, żeby go

pocieszyć. Może wydaje się wściekły, ale wiem, że w głębi duszy naprawdę cierpi. Słyszę to w jego głosie i widzę w oczach.

Jest ciemno; muzyka na plaży zaczyna stopniowo cichnąć, w miarę jak impreza dobiega końca. Księżyc dryfuje nad oceanem, zalewając mieszkanie i twarz Tylera łagodnym srebrzystym blaskiem. Powoli podchodzę do łóżka, na którym siedzi przygarbiony. Kiedy staję przed nim, podnosi na mnie oczy.

Drzę. Nie dlatego, że jest mi zimno, ale dlatego, że się denerwuję. Tyler patrzy na mnie z niepokojem i zastanawiam się, czy oczekuje kolejnych pytań. Moje intencje są jednak inne. Lepsze.

Nerwowo wyciągam ręce i ujmuję w dłonie jego twarz. Zmuszam go, żeby wytrzymał moje spojrzenie i siadam mu na kolanach. Nie rusza się, nie oddycha. Ja chyba też wstrzymuję oddech. Zbliżam usta do jego warg, ale go nie całuję. Trwamy tak oboje – tylko ja i on – przez krótką chwilę. To pocieszające, a zarazem przerażające. Wiem, że czeka, aż się pochylę, i wiem, że sama tego chcę, ale i ja czekam. Czekam, aż poczuję na policzku jego oddech.

– Dziękuję, że mi zaufałeś – szepczę mu do ucha i w końcu go całuję.

W otaczającej nas ciszy i ciemności coś się zapala. Nie wiem, co to jest, nie potrafię tego nazwać, ale czuję to. Czuję, jak krew pulsuje mi w uszach, jak serce wali mi w piersi. Czuję, że całe moje ciało pokrywa się gęsią skórą, a włoski na rękach stają dęba. Czuję usta Tylera – pełne, soczyste i ochocze, jak zawsze. Czuję, jak przelewa swój ból, swoją złość... jak przekuwa je w pragnienie. Pragnienie czegoś, czego oboje pragniemy i czego nie możemy mieć.

Smakuje piwem i papierosami, ale jest w tym coś zniewalającego. To znajomy smak; smak Tylera. Całuje mnie powoli i wsuwa mi ręce pod spódniczkę, delikatnie ściskając moje pośladki. Wciąż siedzę mu na kolanach, przywieram do niego całym ciałem i trzymając w dłoniach jego twarz, wodzę kciukami po jego skórze. Czuję, jak mięśnie jego ramion napinają się, gdy

kładzie mnie obok siebie na łóżku. Moje ciało przypomina bryłę lodu, kiedy pochyla się nade mną i leniwie pieści moje udo. Przez ułamek sekundy boję się, że jestem sparaliżowana, ale moje usta nadal się poruszają, wciąż go całują, więc chyba nic mi nie jest. To tylko lęk przed nieznanym.

Jednak niezależnie od tego, jak bardzo się denerwuję, nie odrywam ust od ust Tylera. Chwilę później jego pocałunki stają się szybsze i bardziej zachłanne. Wypuszczam z dłoni jego twarz, w pośpiechu zdejmuję sweter i ciskam go na bok. Moje ręce odnajdują Tylera i chwytają materiał jego białej koszulki. Ramiona mam zdrętwiałe i poruszam nimi niezgrabnie, próbuję zdjąć koszulkę, nie przerywając pocałunku. Zauważa moje starania i się śmieje. To szczerzy śmiech, który sprawia, że czujesz się dobrze i masz ochotę odpowiedzieć tym samym. Klęcząc, odsuwa się ode mnie, jednym ruchem zdejmuje koszulkę i rzuca ją za siebie. Czerwienię się, patrząc na jego klatkę piersiową i umięśniony brzuch, i zastanawiam się, czy to przypadkiem nie sen, że jestem w łóżku z kimś, kto wygląda jak z reklamy Abercrombie & Fitch.

Przyciska usta do mojego obojczyka, jedną ręką obejmując mnie w tali, a drugą wsuwając pod spódnicę. Powoli całuje moją skórę, podczas gdy ja zatapiam palce w jego włosach. Zamykam oczy i z brodą opartą na jego czole staram się uspokoić oddech, bo nigdy w życiu nie byłam tak podekscytowana i zdenerwowana. Bijące od niego ciepło kontrastuje z drżeniem mojego ciała, gdy opuszkami palców wodzi po koronkowym wykończeniu mojej bielizny. Żołądek podchodzi mi do gardła i przez krótką chwilę czuję się, jakbym miała zwymiotować.

Jest taki doświadczony, podczas gdy ja nie wiem nawet, co tak bardzo kręci facetów w kobiecych piersiach. Różne myśli przychodzą mi do głowy. Na przykład: co zrobić z rękami? Gdzie je położyć? Czekać, aż on coś zrobi, czy samej uczynić pierwszy krok? Czy oczekuje, że będę jęczała? Czy ja w ogóle potrafię jęczeć? Nie wyobrażam sobie siebie jęczącej. Powinnam teraz coś zrobić? Rozpinać guziki jego spodni, całować go po szyi? Kto w ogóle wymyślił seks? John F. Kennedy był w tym naprawdę dobry,

a skoro nasz ukochany prezydent potrafił uwieść każdą dziewczynę, jestem pewna, że seks nie może być taki zły. Przecież dziewczyny nie pchałyby się do prezydenckiego łóżka, gdyby czekało je tam coś okropnego. Przez sekundę zastanawiam się, dlaczego myślę o zamordowanym prezydencie. Założę się, że gdyby Lee Harvey Oswald nadal żył, podczas seksu z żoną nie myślałby o JFK. A przecież to on go zabił.

„Przestań, Eden”.

Usta Tylera znaczą moją skórę szlakiem pocałunków, podczas gdy jego dłonie odkrywają moje ciało niczym niezbadany łąd. Jedna z nich wędruje leniwie między talią a twarzą. Gładzi kciukiem mój policzek, dzieląc się ze mną swoim aksamitnym ciepłem. Pragnę, żeby ta chwila trwała wiecznie, choć tracę oddech i wczepiam się palcami w jego włosy. Nie chcę sprawiać mu bólu, ale wyginam się w łuk i szarpię je delikatnie.

Na szczęście Tyler w milczeniu prowadzi mnie krok po kroku. Nawet gdy w pewnym momencie waham się, przerażona, co pomyśli, gdy zobaczy moje ciało, czeka cierpliwie, aż się uspokoję. Podoba mi się to, że milczy, kiedy rozpina mój stanik, gdy wstaje, żeby zdjąć dżinsy i nerwowo szuka czegoś w portfelu. Podoba mi się ogłuszająca cisza, która towarzyszy nam przez cały ten czas.

Dzięki niej wszystko wydaje się jeszcze lepsze.

Dlatego, że jestem z Tylerem.

Nie z Jake’iem czy kolesiem z algebry – Zasmarkanym Scottym, ale z Tylerem. Chłopakiem, który ma swoje tajemnice i słabości i który zaufał mi na tyle, żeby mi o nich opowiedzieć. Szanuję go za to. Wiele go kosztowało, żeby wyznać mi prawdę, i dzięki temu pragnę go jeszcze bardziej. Nie chcę, żeby to się skończyło. Tyler i ja... Nie powinniśmy być razem, tak jak nie powinniśmy robić tego, co robimy, bo bez względu na to, jak bardzo tego nie chcemy, jesteśmy przyrodnim rodzeństwem. Tyler mnie fascynuje i nie powinnam czuć, że robię coś złego. Bo nie robimy niczego złego. Przecież nie łączą nas więzy krwi.

Po prostu wiem, że gdyby ktokolwiek się o nas dowiedział,

zostalibyśmy napiętnowani. Nie wiem nawet, jak mielibyśmy powiedzieć o tym naszym rodzicom. Jak powiedzieć małżeństwu, że ich dzieciaki spotykają się z sobą? Jak coś takiego może istnieć?

Od tej chwili nie ma już odwrotu. Nie zmienię tego, że Tyler dyszy mi do ucha, że wbijam paznokcie w jego plecy, a nasze biodra obijają się o siebie.

Ponieważ Tyler zdradził mi swoje tajemnice, a teraz ma kolejną.



Kiedy budzę się rankiem i rozglądam się po pokoju, nie czuję się jakoś szczególnie inaczej. A przecież powinnam być zupełnie inną osobą, patrzeć na wszystko w całkiem nowym świetle. Tymczasem ja czuję się tak, jak ubiegłej nocy, z tą różnicą, że boli mnie głowa. Nie jestem obolała i nie chce mi się płakać, ale też nie tryskam radością. Po prostu czuję się jak co dzień o poranku.

Gardło mam wyschnięte, jakbym od tygodnia przemierzała pustynię i wciąż nie natknęła się na oazę, a kiedy siadam i wołam Tylera, głos mam schrypnięty. To kolejna rzecz, która w moim przekonaniu powinna wyglądać inaczej, kiedy traci się dziewictwo: myślałam, że obudzę się u boku osoby, w której tak bardzo jestem zadurzona.

Ogarnia mnie panika. Może Tyler wyszedł. Może zostawił mnie tu i żalując tego, co się wydarzyło, uciekł, zanim się obudziłam. W mieszkaniu jest zbyt cicho. Powinien być przy mnie tak, jak robią to na filmach, kiedy po przebudzeniu twoja druga połówka całuje cię w czoło, bawi się twoimi włosami albo szepcze, że cię kocha.

Patrzę na małe okno i widzę, że zasłona znów jest zaciągnięta. Nie mam pojęcia, czy jest ranek, czy może środek nocy dwa dni później, bo w pokoju panuje mrok.

Krzywiąc twarz, odrzucam kołdrę i zerkam na lustro po prawej stronie łóżka. Jestem naga. Wstrzymuję oddech, podciągam kołdrę pod brodę i przerażona patrzę na swoje odbicie.

Gdzie, u diabła, jest Tyler?

W tej samej chwili drzwi sypialni uchylają się odrobinę, blokowane przez puszysty dywan. Tyler otwiera je łokciem i wchodzi do pokoju. Jest blady. Teraz, kiedy wiem, że tu jest, czuję ulgę. Zdażył się już ubrać i patrzy na mnie z uśmiechem.

– Właśnie miałem cię zbudzić. – Jasna zieleń jego oczu mówi mi, że jest spokojny. Oto, co udało mi się zauważyć, odkąd przyjechałam do Santa Monica: oczy Tylera odzwierciedlają jego nastrój. Jasne i spokojne: czuły i wrażliwy. Normalne: pewny siebie dupek. Ciemne i niespokojne: wściekły do tego stopnia, że byłby gotów kogoś zabić.

– Myślałam, że wyszedłeś – przyznaję i uświadamiam sobie, że moja reakcja była nieco przesadzona. Wiem, że nie zostawiłby mnie, że nie potraktowałby mnie w ten sposób. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Patrzy na mnie oburzony.

– Nie jestem aż takim dupkiem. – Uśmiecha się i wstydliwie odwraca wzrok, zupełnie jakby stracił całą pewność siebie. – Nie musisz się martwić.

Dostrzegam w jego ręce miętową zieleń mojej spódniczki, a on, dopiero gdy zauważa, że gapię się na swoje ubrania, przypomina sobie, po co wszedł do pokoju.

– Proszę – mówi i ostrożnie kładzie ubrania na skraju łóżka. Stoi tak, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Nie wytrzymuje mojego spojrzenia. Patrzy to na mnie, to na ubrania, na okno, na podłogę i na co tylko może. Rumieni się.

– Wszystko w porządku?

W końcu spogląda mi w oczy i cała jego twarz oblewa się rumieńcem. Masuje kark i przechyla głowę.

– Przepraszam – mruczy, ale słyszę po głosie, że jest zdenerwowany. – Ja... nie jestem przyzwyczajony do takich sytuacji. – Urywa na chwilę. – Pewnie powinniśmy porozmawiać o tym, co się wydarzyło.

Siedzę z kołdrą pod brodą i uśmiecham się do niego. Pierwszy raz widzę, żeby był taki zmieszany. Zwykle jest pewny siebie i to on kontroluje sytuację, a tu proszę – mamrocze coś pod nosem i wstydzi się spojrzeć mi prosto w oczy. Nagle jednak myślę o tym, co powiedział, i uśmiech momentalnie znika z mojej twarzy.

– Byłam kiepska?

– Nie, nie – mówi pośpiesznie. Rozchmurza się i nawet się śmieje. – Chodziło mi raczej o to... No wiesz... co teraz?

Patrzemy na siebie przez dłuższą chwilę. Tyler zagryza wargi i wstrzymuje oddech, czekając, aż się odezwę. Tyle że ja nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. To, co wydarzyło się ubiegłej nocy, jeszcze bardziej skomplikowało i tak już niełatwą sytuację, sprawiając, że wszystko stało się poważniejsze.

– Nie jestem pewna – przyznaję. – A ty jak myślisz?

– Nie jestem pewny. – Wzdycha i chowa ręce w kieszeniach, ale wystarczy na niego spojrzeć, żeby wiedzieć, że głęboko nad czymś rozmyśla. – Powiedz, żałujesz tego, co się stało?

– Nie – odpowiadam bez zastanowienia. Jak mogłabym żałować czegoś, czego tak bardzo pragnęłam. – A ty?

– Wiesz, że nie – mruczy i znowu posyła mi jeden z tych szczerych uśmiechów, których chyba nigdy nie będę miała dość. Bierze moje ubrania, staje z boku łóżka i kładzie mi je na kolanach. Wciąż się uśmiecha. – W końcu coś wymyślimy. A teraz się ubierz, musimy iść. Dzwonił Troy-James. Jest w drodze do mieszkania.

Zaciskam usta i jeszcze szczelniej opatulam się kołdrą.

– Dasz mi chwilkę? – pytam.

– Zachowujesz się, jakbym nie widział cię nago – żartuje, ale kiwa głową. – Pospiesz się – rzuca przez ramię, wychodząc z pokoju.

Kiedy znika za drzwiami, sięgam po spódnicę i zakładam ją pod kołdrą, nadal zbyt zawstydzona, żeby wyjść z łóżka bez ubrania. Zakładam stanik, bluzkę i dopiero wygrzebuje się z pościeli. Wciąż jeszcze kręci mi się w głowie. Zakładam sweter, przykładam dłoń do czoła i oddycham przez kilka sekund. Czuję się dobrze, dopóki nie wstałam. Teraz mam wrażenie, że w moich żyłach płynie trucizna, która zabija mnie od środka.

Kiedy wchodzę do kuchni, Tyler wyrzuca do kosza resztki stłuczonej szklanki. Zerkam nad blatem do zalanego słońcem pokoju gościnnego i zauważam, że wszystko zostało wysprzątane, jakby nigdy nas tu nie było. Musiał pozamiatać odłamki, kiedy ja

spalam.

Wzdychając, chowa szufelkę do szafki, odwraca się w moją stronę i zaciera ręce.

– Zadzwońm po taksówkę – informuje mnie. Zerka na zegarek i wskazuje głową drzwi. – Wiem, że to dziwne, ale gdybym poprosił kogoś, żeby nas podrzucił, ludzie zaczęliby się zastanawiać, co tu robiliśmy. A przecież nie chcemy zwracać na siebie uwagi, prawda? Taksówkarz nas nie zna. Powinien tu być w każdej chwili.

Kiwam głową.

– Gdzie moje buty? – Dywan sprawia, że jest mi ciepło w stopy, ale nagle uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, gdzie są moje trampki. Pospiesznie rozglądam się po pokoju.

– Nie wiem – mówi Tyler. On także rozgląda się po salonie. Ale musimy się stąd wynosić.

– Ale moje buty... – próbuję protestować, zła, że je zgubiłam. To moje ulubione conversy; te z zapisanym na nich tekstem piosenki. Te same, w których chodzę do szkoły, na zakupy, na imprezę na plaży, kiedy jestem pijana i gdy całuję się ze swoim przyrodnim bratem.

– Kupię ci nowe. A teraz chodź już – ponagla mnie Tyler, coraz bardziej zniecierpliwiony. Ściąga brwi, staje w otwartych drzwiach i czeka na mnie. Kiedy wychodzimy z mieszkania, zamyka drzwi i chowa klucz pod wycieraczką.

Wyfroterowane płytki są zimne, zanim więc Tyler zdąży się obejrzeć, biegnę na palcach do windy. Widząc to, uśmiecha się znacząco i dołącza do mnie w ostatniej chwili.

Kiedy winda rusza w dół, patrzy na mnie z powagą, ale widzę, że stara się opanować uśmieszek.

– Chyba nie powinniśmy mówić o tym naszym rodzicom.

– Chyba nikomu nie powinniśmy o tym mówić – poprawiam go i choć oboje żartujemy, robię się nerwowa. Mam ochotę wzdychać bez końca. Tak właśnie, wzdychać, bo nie mamy pojęcia, co robimy.

Tyler musiał dostrzec niepokój w moich oczach, bo łapie

mnie za rękę, tak jak wczoraj wieczorem, kiedy się mną opiekował. Przez chwilę patrzę na nasze ręce, na to, jak wyglądają, gdy splotamy palce. Podoba mi się ten widok. Kiedy podnoszę wzrok, Tyler uśmiecha się do mnie i delikatnie ściska moją dłoń.

Dręczy mnie myśl, że być może nigdy nikomu o tym nie powiemy i będziemy powtarzać sobie szeptem: „Ćśśś, to tajemnica”. Zachowanie tego w tajemnicy jest trudne, ale wyjawienie prawdy jest jeszcze trudniejsze. Tak czy siak, nigdy nie wygramy.

Drzwi windy otwierają się i Tyler prowadzi mnie przez hol do głównego wejścia. Przez przeszkolone drzwi widzimy zaparkowaną przy chodniku taksówkę. Waham się, czy wychodzić na zewnątrz bosą, ale zaraz się otrząsam i razem z Tylerem schodzimy po schodach i wsiadamy do samochodu. Siedząca za kółkiem kobieta w średnim wieku wita nas skacowanym uśmiechem.

Powrót do domu zajmuje nam dwadzieścia minut. Dziwne, zwłaszcza że jest niedziela i ruch jest minimalny. Myślę, że kobieta uznaje, że skoro jesteśmy młodzi, to pewnie naiwni i ślepi, i postanawia to wykorzystać. Przynajmniej pięć razy skręca nie tam, gdzie trzeba, i za każdym razem mruczy pod nosem: „Ups, nie tutaj!”. Rzucam jej gniewne spojrzenia z tylnej kanapy, bo widzę, że celowo błądzi, podczas gdy ja muszę siedzieć w ciszy i zastanawiać się nad tym, co wydarzyło się w nocy. Przez to wszystko robi mi się niedobrze, a kiedy naburmuszona wskazuje głową licznik, Tyler wzrusza tylko ramionami. Nie zamierza się wyklócać. Wręcza kobiecie dwadzieścia dolarów i wypycha mnie z samochodu, który odjeżdża, kiedy tylko zmykamy za sobą drzwi.

– Mówiłaś im wczoraj, gdzie wychodzisz? – pyta, gdy na chwilę zatrzymujemy się przed domem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć rodzicom. Wyglądam koszmarnie, zgubiłam buty, a do tego na pewno cuchnę alkoholem.

– Do kina.

Oddycha głęboko i kręci głową.

– Do kina? Gdzie twoja oryginalność?

- A ty co im powiedziałaś? – odparowuję.
- Nic. Wyszedłem, zanim zdążyli cokolwiek zauważyć.
- Cóż, jakoś mnie to nie dziwi.

Chichocze, ale widać, że jest zaniepokojony, bo nerwowo zerka w stronę domu. Nie mamy wyjścia, prędzej czy później będziemy musieli tam wejść. Szkoda, że nie mogę uniknąć spotkania z ojcem i Ellą, zaszyć się gdzieś z Tylerem i słuchać, jak opowiada o swoim życiu. Byłoby cudownie.

Kiedy wchodzimy, Ella jest w salonie. Zamyślona, z palcem przytkniętym do ust, przegląda jakieś papiery. Jamie siedzi na fotelu, opierając złamany nadgarstek na poduszce. Patrzy na nas z niechęcią i uświadamiam sobie, że pierwszy raz widzę, żeby był niezadowolony.

– Dave, wrócili – woła Ella, nie odrywając wzroku od kartek. Miałam nadzieję, że nas nie zauważą, ale to prawda, co mówią o rodzicach: mają oczy z tyłu głowy i czworo uszu.

Tyler zerka na mnie kątem oka, twarz ma napiętą. Radzi sobie z naszymi rodzicami lepiej ode mnie i mam szczerą nadzieję, że to on będzie mówił za nas oboje. Jeśli spróbuję się tłumaczyć, zacznę się jąkać i palnę coś głupiego, jak wtedy, gdy powiedziałam Elli, że byłam u Meghan, a Tiffani wszystko słyszała.

Chwilę później do pokoju wchodzi ojciec, ubrany w spodnie od dresu i koszulkę. Zwykle nie widuję go bez koszuli i krawata. W tym stroju wydaje się mniej przerażający, jakby był moim dziadkiem.

– Co macie na swoje usprawiedliwienie? – warczy i wiem już, że jego złość osiągnęła zupełnie nowy poziom.

– Że film był dobry? – próbuję, ale Tyler rzuca mi spojrzenie, które mówi: „Nawet nie próbuj”. Powinnam była wiedzieć, że ojciec się wścieknie, jeśli nie wrócę na noc do domu. Filmy nie trwają do dziesiątej rano.

– Poszliście na imprezę na plaży, tak?

Ella podnosi wzrok znad papierów i kładzie je na kolanach, podczas gdy Jamie patrzy, jak Tyler i ja próbujemy nie dać się pożreć. Wydaje się rozbawiony, jakby cała ta sytuacja była dla

niego niezłą rozrywką. Ja nie widzę w tym nic śmiesznego.

Nasze milczenie mówi rodzicom wszystko, co chcieliby wiedzieć: tak, okłamaliśmy ich i tak, poszliśmy na imprezę, chociaż jesteśmy niepełnoletni. Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że w Portland takie rzeczy się nie zdarzają. Jak mogłam nie wykorzystać takiej okazji? Mam nadzieję, że zdołam nas uratować i próbuję wziąć ojca na litość. Zaczynam płakać.

– Koleżanki zabrały mnie tam po tym, jak wyszliśmy z kina – mówię, szlochając. Głos mam schrypnięty, ale tego akurat nie muszę udawać. Nadal chce mi się pić. – Nie miałam o niczym pojęcia!

Tyler gapi się na mnie beznamiętnym wzrokiem. Bronię tylko siebie i najwyraźniej uznaje, że kiepsko mi to wychodzi. Wzdycha więc i spogląda na mojego tatę.

– To był mój pomysł – oświadcza. – I co mi zrobisz? Zamkniesz mnie w domu na kolejne pięć lat?

Ojciec mruży oczy i patrzy to na mnie, to na Tylera, jakby nie wiedział, którym problemem zająć się najpierw: moimi krokodylimi łzami czy jego zachowaniem. Ostatecznie nie podejmuje żadnej decyzji.

– Gdzie byliście przez całą noc? – przesłuchuje nas, podczas gdy Ella przygląda się całej rozmowie. Widząc jej spojrzenie, przypominam sobie słowa Tylera, że w kwestii wychowywania go i karania jest zbyt pobłażliwa. Ojciec najwyraźniej nie ma z tym żadnych problemów.

– Wszyscy spaliśmy u Deana – kłamie Tyler, choć to, co mówi, nie do końca mija się z prawdą. Rzeczywiście, nocowaliśmy u kogoś, tyle że nie u Deana, a u TJ'a i nie do końca nazwałabym to snem. – Wyluzuj. Są wakacje.

– Rzeczywiście – rzuca sarkastycznie ojciec. – Zapomniałem, że są wakacje, więc możecie robić, co wam się żywnie podoba. Najmocniej przepraszam.

Słyszę, że Jamie tłumi śmiech i mam ochotę powiedzieć mu, żeby się zamknął, ale wiem, że to jeszcze bardziej pogorszyłoby naszą sytuację. Poza tym lubię Jamiego. Jak na przyrodniego brata

jest całkiem w porządku.

– To nie pierwszy raz, kiedy nie wracasz na noc do domu, Eden – sarka ojciec z odrazą. Patrzą na niego i zmuszam się do kilku dodatkowych łez. Ma więcej siwych włosów niż miesiąc temu, gdy odbierał mnie z lotniska, a im częściej marszczy brwi, tym wydaje się starszy. W porównaniu z nim mama wygląda młodo.

– Po prostu nocowałam u znajomych. – Pociągam nosem bardziej dramatycznie, niż zamierzałam. Pierwszy raz nie wróciłam na noc do domu, gdy zasnęłam u Jake’a po całowaniu się na *Królu Lwie*. Drugi raz wydarzył się wczoraj, kiedy byłam zbyt urzeczona dotykiem Tylera, oczarowana jego głosem i nim całym.

– Nie o to chodzi!

– A o co?

Ojciec patrzy na mnie wściekłym wzrokiem, starając się wymyślić jakąś rozsądną odpowiedź. Kiedy nic nie przychodzi mu do głowy, skupia się na Tylerze.

– Jesteś nieznośny, więc w ogóle nie zamierzam z tobą rozmawiać. Po prostu idź na górę. Ale już. – Krzywi usta i ogląda się przez ramię na Jamiego, który bez słowa zrywa się z fotela.

– Z miłą chęcią – rzuca Tyler z uśmiechkiem, który znika, gdy nasze oczy się spotykają. W jego miejsce pojawia się szczerzy, pocieszający uśmiech, jakby próbował mi powiedzieć, żebym się nie martwiła, bo wszystko będzie dobrze. Kiedy Jamie podchodzi do niego, Tyler obejmuje go ramieniem i wyprowadza z pokoju, mruczając pod nosem. – Jak tam ręka, dzieciaku?

W tamtej chwili żałuję, że nie jestem taka jak Tyler. Chciałabym być taka odważna i traktować wszystko jak jeden wielki żart. Chciałabym pakować się w kłopoty tak często, żeby krzyki rodziców nie robiły na mnie wrażenia. Wolałabym nie stać przed ojcem, narażona na jego pytania i pełne dezaprobaty spojrzenie, ze łzami w oczach i resztkami makijażu na twarzy.

Tata nie wie, co to współczucie. Powinnam była wiedzieć. Nie przejmował się przecież, gdy mama była smutna. Nie obchodziło go, gdy płakała przez niego. Nic go nie obchodziło.

Przestaję płakać i rzucam mu zuchwałe spojrzenie.

– No i? – pytam.

Ella wciąż jest w pokoju. Zagryza wargi i w milczeniu obserwuje nas ze swojego miejsca na kanapie. Nie wiem, czy powinnam się cieszyć, bo nie rozgryzłam jej na tyle, żeby przewidzieć, czy stanie po stronie ojca, czy będzie próbowała mnie bronić.

– Eden – zaczyna tata i masuje skronie – nie przywiozłem cię tutaj, żebyś wymykała się z domu i mnie okłamywała.

– Więc dlaczego chciałeś, żebym przyjechała? – wybucham i macham rękami. – Miałeś zamiar zabrać mnie na zakupy? A może chciałeś, żebyśmy siedzieli przy ognisku i piekli s'mores? No, słucham, tato. Czego się spodziewałeś?

Nie pojmuję nawet, jak bardzo jestem wściekła. Przez sześć tygodni, które spędziłam w jego domu, nie zrobił kompletnie nic, żeby naprawić nasze relacje, przeprosić za to, że tak po prostu zostawił mamę i mnie, że wyjechał i czekał trzy lata, żeby zobaczyć swoją córkę. A teraz chce, żebym była częścią jego życia? Próbuje zachowywać się jak rodzic?

– Myślę, że wszyscy musimy się uspokoić. Najważniejsze, że Eden jest w domu. – W głosie Elli wyczuwa się napięcie. Teraz już wiem, że jest typem matki, która nie tylko pozwoli ci nocować poza domem, ale do tego będzie cię broniła.

– Dokładnie – rzucam, próbując zapanować nad głosem. – Oboje z Tylerem wróciliśmy do domu cali i zdrowi, ale jeśli to coś zmieni, przepraszam. Przepraszam, że nie wróciliśmy na noc do domu.

Tata nie przyjmuje moich przeprosin. Patrzy na mnie tak, jak nigdy nie sądziłam, że ojciec może patrzeć na córkę: jakby nie mógł mnie znieść. W tej chwili go nienawidzę.

– Czemu tak na mnie patrzysz? – pytam. – O co ci chodzi, tato?

– O nic – odpowiada. Kątem oka zerka na Ellę, jakby potrzebował wsparcia w starciu z szesnastolatką, ale ona się nie odzywa.

– Dlatego nie rozmawiałeś ze mną przez trzy lata? Bo o nic ci nie chodzi? – Nie wiem, skąd biorą się te słowa. To myśli, które kłębiły się w mojej głowie, odkąd nas zostawił. Wylewają się z moich ust wartkim strumieniem, bo jestem na niego wściekła i nie umiem ich zatrzymać. Słucha mnie i oblewa się rumieńcem. – Dlatego odszedłeś? Bo o nic ci nie chodzi?

– Dość tego! – warczy, nie mogąc znieść prawdy. Nie może pogodzić się z myślą, że jest kiepskim rodzicem, bo nie dostrzega w niczym swojej winy. To dlatego on i mama cały czas się kłócili. Nic nigdy nie było jego winą. Wszystko zwał na nią.

– W ogóle się nie starasz. – Mówiąc to, robię kilka kroków w jego stronę. Zadzieram głowę, chcąc pokazać mu, jak się czuję. – Nawet mnie nie przeprosiłeś. A powinieneś był to zrobić zaraz po tym, jak wysiadłam z samolotu.

– W porządku, Eden, przepraszam. – Unosi ręce w geście poddania. – Przepraszam, że nie było mnie przy tobie – mruczy, ale jego słowom daleko do szczerości. – Proszę bardzo.

Zadowolona?

– I po co to wszystko, tato? – Wzruszam ramionami. – Spóźniłeś się o trzy lata.

Chcę, żeby moje słowa go zabolowały. Żeby na niego wpłynęły. Pragnę utopić go w poczuciu winy. Ale on nie wygląda na zbolanego. Jest wściekły i mrużąc oczy, patrzy na mnie z nienawiścią.

– Wiesz, jesteś zupełnie jak twoja matka.

Ella jest wstrząśnięta.

– Dzięki Bogu – rzucam. – Bo w życiu nie chciałabym być taka jak ty.

Teraz, kiedy powiedziałam, co miałam do powiedzenia, dochodzę do wniosku, że czas wrócić do pokoju, zanim zdąży cokolwiek wyartykułować. Wie, że jestem na niego zła i będzie musiał się bardzo postarać, żebym mu wybaczyła.

Spogląda na Ellę lodowatym wzrokiem, podczas gdy ja odwracam się na pięcie i idę w stronę drzwi.

Słyszę jeszcze, jak Ella syczy:

– Do diabła, Dave! Idź za nią! Wiem, że nie wróciła na noc do domu, ale myślisz, że wynagrodzisz jej stracone lata, jeśli będziesz taki napuszony?

– Nie wiń mnie za to. Ty chciałaś, żeby tu przyjechała. Boże, nastolatki są koszmarnie... Może kiedy wróci do domu, a Tyler wyjedzie do Nowego Jorku, wszystko wróci do normy.

Zatrzymuję się przy drzwiach i przelękam z trudem. Czy ja dobrze słyszałam? Ojciec zaprosił mnie do Santa Monica, bo Ella mu kazała? To nie powinno mnie dziwić, nie powinno boleć, ale boli. Odwracam się i spoglądam na nich.

– Nie chcecie mnie tu?

Patrzę na mnie przerażonym wzrokiem. Ella podrywa się z kanapy.

– Eden, nie powinnaś była tego słyszeć. Oczywiście, twój tata...

Ale ja nie mam zamiaru słuchać ich wyjaśnień.

– A dlaczego Tyler jedzie do Nowego Jorku?

Ella posyła ojcu wściekłe spojrzenie, ale chwilę później patrzy na mnie i się uśmiecha.

– To nic takiego.

Wiem, że kłamie, ale dość mam zadawania pytań, które pozostają bez odpowiedzi. Jestem wściekła i czuję, że za chwilę pęknie mi serce. Mama zawsze miała rację co do ojca. To dupek.

Chowam ręce w kieszenie swetra, co przypomina mi, że zostałam okradziona, i biegnę na górę do swojego pokoju. Kręci mi się w głowie i jedyne, czego chcę, to woda, prysznic i Tyler. Dwie z tych rzeczy mogę mieć już zaraz.

Ech.

Muszę oczyścić umysł, wyjść z domu i zaczerpnąć świeżego powietrza. Muszę pobiegać. Wezmę prysznic po powrocie. Wtedy też porozmawiam z Tylerem. Najpierw muszę to wszystko przemyśleć.

Jest mi niedobrze, gdy zdejmuję spódnicę i przebieram się w strój do biegania. Biorę z kuchni butelkę wody i wychodzę tylnymi drzwiami, żeby uniknąć spotkania z ojcem.

Wybiegam na ulicę, kierując się bardziej na północ niż na zachód. Nie chcę wracać na plażę. Wybieram zupełnie nową trasę i biegnę tam, gdzie mnie jeszcze nie było. Wkrótce docieram do Pacific Palisades. Żar leje się na mnie z nieba, stopy miarowo uderzają o beton, a ból głowy powoli ustępuje.

Myślę, że ostatnia noc jeszcze bardziej wszystko skomplikowała. Teraz Tyler i ja musimy być jeszcze ostrożniejsi, uważać na to, co mówimy, by nikt nie zauważył naszych znaczących uśmiechów. Jeśli nas przyłapią, będziemy mieli przechłapanie.

W głowie mam chaos. W idealnym świecie Tyler i ja nie bylibyśmy skoligaceni aktem ślubu. W idealnym świecie nie musielibyśmy się ukrywać i krzywdzić ludzi naszym uczuciem. W idealnym świecie pochwalilibym się nim Amelii. Ale świat nie jest idealny. Daleko mu do ideału.

* * *

Kiedy czterdzieści minut później wracam do domu, wciąż lekko skacowana i bez tchu, zatrzymuję się na trawniku.

Na podjeździe stoi samochód Tiffani. Nie powinno go tam być. Jest niedziela rano, a ona i Tyler nigdy nie widują się w niedziele.

Podchodzę do drzwi. Ciało mam zeszywniałe, ale nie jestem pewna, czy to od biegu, czy dlatego, iż wiem, że coś jest nie tak. Mam ochotę zawrócić i przebiec następne tysiąc kilometrów, ale wchodzę do domu i wlokę się po schodach. Widzę, że ojciec i Ella rozmawiają w salonie; pewnie rozważają, jak pozbyć się z domu dwojga krnąbrnych dzieciaków.

Z chwilą gdy docieram na piętro, spostrzegam Tiffani, która wychodzi z mojego pokoju. Tuż za nią idzie Tyler. Widząc mnie, łapie ją za rękę, ale ona szarpnięciem wyrywa się z jego uścisku.

– A oto i ona – rzuca jadowicie. – W samą porę.

Stojący za jej plecami Tyler delikatnie kręci głową i przeczesuje palcami włosy.

– W samą porę na co? – pytam, choć sądząc po wściekłości,

jaka maluje się na jej twarzy, wolałabym nie wiedzieć. Tyler wygląda na zmartwionego i wcale mu się nie dziwię. Sama zaczynam czuć się podobnie.

Oczy Tiffani są zimne jak lód. Nigdy nie widziałam jej w tak podłym nastroju. Gdyby to była scena z filmu, z całą pewnością byłaby czarnym charakterem.

– Muszę z wami porozmawiać, bo jeśli nie zdążyliście zauważyć, jestem cholernie wkurzona. – Zaciska dłoń w pięść. – Mam ochotę przywalić ci w twarz, Tylerze.

– Co zrobiłem tym razem? – Patrzy na nią zakłopotany, ale na wszelki wypadek cofa się o krok.

– Co zrobiłeś? Pytasz poważnie? – Rozdziawia usta i bierze głęboki wdech. – Do ogrodu. Ale już.

Przechodząc, trąca mnie i wpycha na ścianę. Krzywię się, a kiedy schodzi po schodach, odprowadzam ją wściekłym wzrokiem. O co jej chodzi? Zerkam na Tylera, który przykładła dłonie do twarzy i mówi bezgłośnie:

– Kurwa.

Tiffani zatrzymuje się u podnóża schodów i piorunuje nas wzrokiem, a zaraz potem zerka wymownie w stronę pokoju, w którym są nasi rodzice.

– Możemy porozmawiać na zewnątrz albo tutaj – mówi powoli ściszone głosem. – A wierzcie mi, że lepiej będzie, jeśli porozmawiamy w ogrodzie.

„Ona wie”, myślę sobie. „Ona o wszystkim wie”.

Tyler myśli to samo, bo patrzy na mnie spanikowany i przetyka z trudem. Nie wyobrażam sobie gorszej chwili na podobną rozmowę. Jestem skacowana, spocona, zmęczona i wyglądam jakbym uciekła z odwyku. Koszmar.

Nie ma szans, żebym się z tego wyplątała. Zastanawiam się, czy na pewno jest za późno, żebym przebiegła te tysiąc kilometrów. Tyler szturcha mnie, nakłaniając do zejścia, i w jego dotyku czuję niechęć. Ręce ma sztywne, pięści zaciśnięte. Jakoś udaje nam się wyjść na patio i dalej, do ogrodu.

– A więc – zaczyna Tiffani.

Tyler ściąga brwi.

– A więc...

– A więc dziś rano dostałam SMS-a od TJ'a – oznajmia.

Patrzy to na mnie, to na Tylera, więc staram się wyglądać nonszalancko. Jakbym nie spała ze swoim przyrodnim bratem. – I wiesz co? – zwraca się do niego. – Mam dość tego, że inni ludzie opowiadają mi, że widzieli, jak się całujemy, bo w połowie cholernych przypadków nawet o mnie nie chodzi.

– O czym ty mówisz? – pyta Tyler i obie patrzymy na niego. Doskonale wie, o czym mówi jego dziewczyna.

– Nie zaczynaj, Tylerze. Po prostu nie zaczynaj – warczy Tiffani, podnosząc głos. Robi się złośliwa i coś mi mówi, że szanse na to, żebyśmy pozostały przyjaciółkami, są znikome. – Napisał, że ubiegłej nocy musieliśmy się nieźle bawić, bo jego pokój wyglądał jak po przejściu huraganu, a oboje dobrze wiemy, że mnie tam nie było.

– Posłuchaj. – Tyler robi krok w jej stronę. – Skarbie, z nikim się nie zabawiałem. Po prostu zapomniałem posprzątać pokój po...

– ZAMKNIJ SIĘ! – wrzeszczy Tiffani i Tyler robi, co mu każe. Myślę, że dość już ma wysłuchiwanie tych bzdur. Na sekundę zamyka oczy, bierze oddech, wypuszcza powietrze i patrzy na mnie z uśmiechem.

– Eden, nie chcesz odzyskać swoich butów?

Świat się zatrzymuje. Serce podchodzi mi do gardła, ręce i nogi sztywnieją, a krew ścina się w żyłach. Próbuje coś powiedzieć, ale nie jestem w stanie wykrztusić nawet słowa. Mój głos zmienia się w schrypnięty szept.

– Skąd...

– Ponieważ – syczy – TJ pytał, czy dobrze się bawiłam, i powiedział, że zostawiłam swoje conversy. Pytał też, co znaczy tekst, który na nich zapisałam. – Serce przestaje mi bić. – Dobrze pamiętam, że przez całą noc machałaś nad głową trampkami. Tymi samymi, na których zapisano słowa piosenki, prawda? Tak przy okazji: nie odzyskasz ich. Powiedziałam mu, że ich nie chcę, i poprosiłam, żeby je wyrzucił.

– Ale Tyler jest moim...

– Przyrodnim bratem? Tak, wiem. – Jest taka wściekła, że zaraz się rozpłacze. Pospiesznie wyciera oczy wierzchem dłoni, prostuje się i podciąga spodnie od dresu. – Przez ostatnie pół godziny klóciłam się sama z sobą. Mówiłam sobie: „To niemożliwe, przecież są spokrewnieni”. Ale oglądałam *Słodkie zmartwienia*, gdzie Cher zakochuje się w swoim przyrodnim bracie. Nie jestem GŁUPIA.

No i proszę. Tak to jest, kiedy człowiek zostaje przyłapany. To fatalne uczucie.

Oboje z Tylerem nie wiemy, co powiedzieć. Nie sądzę, by którekolwiek z nas przygotowywało się na to, co się wydarzy, jeśli dojdzie do takiej sytuacji i jeśli prawda wyjdzie na światło dzienne. Czuję się jak w dniu Sądu Ostatecznego. Gdy tak stoję przed Tiffani, czuję się zbyt mała i nic nieznacząca. Nie mam nawet odwagi spojrzeć na Tylera. Jest mi niedobrze, jakbym lada chwila miała zwymiotować, więc robię, co mogę, żeby się opanować, i spoglądam na stojący przy basenie grill.

Chciałabym móc przewinąć lato z powrotem do pierwszego wieczoru w tym mieście, do sąsiadów kręcących się po ogrodzie i ojca opowiadającego kiepskie żarty. Chcę przeżyć to wszystko raz jeszcze, ale tym razem nie zakochać się w swoim przyrodnim bracie. Nie chcę znowu znaleźć się w takiej sytuacji.

– Wcale nie spałaś z Jake’iem, Eden, prawda? – Tiffani naprawdę płacze. Są to łzy wściekłości – najgorsze z możliwych.

– Tak – szepczę.

– To ty byłaś z Tylerem na molo – ciągnie, a ja czuję się tak, jakby coś we mnie umarło. Zżera mnie poczucie winy. Nie chciałam być oszustką, a nią właśnie się stałam. – Jesteś kłamczuchą.

– Wiem – przyznaję łamiącym się głosem. Mnie też zbiera się na płacz. Nie chcę tu być. Chcę wrócić do Portland, do mamy i Amelii. Spać do południa i oglądać powtórki moich ulubionych programów telewizyjnych. Nie chcę tego wszystkiego. – Jestem kłamczuchą. Suką. Koszmarną przyjaciółką.

W tej samej chwili Tyler staje przede mną i odchrząkuje, jakby szykował się do przemówienia. Do tej pory milczał, więc zastanawiam się, co ma teraz do powiedzenia.

– Wiesz, Tiffani? – zaczyna, a ona patrzy na niego zbolalym wzrokiem. – Nie chcę być z tobą. Zmarnowałem trzy lata, bo mnie szantażowałaś. Rób, co chcesz. Powiedz wszystkim, co wiesz na mój temat, bo wolę, żeby ludzie poznali prawdę, niż dalej się z tobą użerać. – Z każdym słowem jego głos przybiera na sile. Niemal widzę, jak uderza w ego Tiffani. – Koniec z nami. Pozwij mnie. Złóż na mnie skargę na policji. Mam to gdzieś. Skończyłem z tobą.

Tego się nie spodziewałam. Niespełna tydzień temu Tyler zapewniał mnie, że nie może z nią zerwać, że gdyby to zrobił, Tiffani zrujnowałaby mu życie. A teraz... zupełnie jakby go to nie obchodziło, jakby chciał się od niej uwolnić. Może związek z nią jest gorszy niż zmarnowanie sobie życia.

– To wszystko twoja wina! – krzyczy na mnie Tiffani. Głos ma tak napięty, że instynktownie przysuwam się do Tylera, co jeszcze bardziej pogarsza sytuację. – Nie obchodzi mnie, że jesteście rodzeństwem, a powinno, bo to, co robicie, jest obrzydliwe, ale nie, obchodzi mnie tylko to, że wszystko zepsułaś!

Czuję się jeszcze gorzej niż chwilę temu. Ukradłam jej chłopaka. Nie zrobiłam tego celowo, ale jednak. Kręcąc głową, robię krok w jej stronę. Bez względu na to, co powiedziała na mój temat, dręczy mnie poczucie winy.

– Tiffani, ja nie chciałam...

Tyler podnosi rękę, żeby mnie uciszyć.

– To koniec, skarbie – zwraca się do niej. Bezdusznie wzrusza ramionami i wskazuje jej furtkę. Jest taki niedelikatny, że czuję się strasznie, nie tylko z powodu tego, co zrobiłam, ale najzwyczajniej w świecie żal mi Tiffani. Gdyby nie chciała mnie zabić, uściskałabym ją jak przyjaciółka, którą miałam być dla niej. Nie chciałam nikogo skrzywdzić.

Zdenerwowana i zapłakana wyrzuca ręce w powietrze i krzyczy:

– Ale ty nie możesz ze mną zerwać!

Tyler się śmieje. Śmieje się z niej. Nie sędzę, żeby dotarło do niego, że Tiffani odkryła naszą tajemnicę i ma wszelkie powody, żeby wyjawić ją światu.

– Bo beze mnie nie będziesz już taka fajna? Bo nie będziesz mogła mnie kontrolować?

– Bo JESTEM W CIAŻY, Tylerze!

Z chwilą, gdy wypowiada te słowa, atmosfera robi się gęsta, niemal duszna. Tyler wygląda, jakby ktoś spuścił z niego powietrze, krew odpływa mu z twarzy. Oglądam się na Tiffani, która zanosi się płaczem. Jej widok chwyta za serce i sprawia, że człowiek traci oddech. Jeszcze chwila i naprawdę zwymiotuję.

Tyler nie wie, co powiedzieć, a jedyne, na co go stać, to ledwie słyszalny szept:

– Co takiego?

Tiffani się cofa. Policzki ma mokre od łez, serce złamane. Nie mogę na to patrzeć. Czuję się, jakby ktoś uderzył mnie pięścią w twarz. Nagle wszystko staje się bezbarwne i rozmazane, jak pokój, który widzisz zaraz po przebudzeniu.

Ktoś rozsuwa drzwi na patio, ale jestem zbyt otępiała, by obejrzeć się za siebie. Słyszę tylko głos Elli, która pyta:

– Co to za krzyki?

Tyler milczy. Myślę, że jest w szoku. Patrzy na Tiffani z rozdziawionymi ustami, a jego oczy przywodzą na myśl ocean rozmaitych emocji. W końcu odwracam się w stronę drzwi i widzę ojca oraz Ellę, którzy gapią się na nas. Wiem, co sobie myślą. Zastanawiają się, dlaczego Tyler wygląda, jakby miał zawał i dlaczego zapłakana Tiffani idzie w stronę wyjścia.

Szarpnięciem otwiera furtkę, zatrzymuje się i pociągając nosem, patrzy na Ellę.

– Powinnaś wiedzieć, że jest uzależniony od koki! – krzyczy.
– I zaczął dilować!

– Ty suko! – warczy Tyler, który budzi się z otępienia, gdy furtka zatrząskuje się za Tiffani.

Jej słowa rozbrzmiewają w mojej głowie tak głośno, że

sprawiają mi ból. A więc to jest tajemnica, którą skrywała przez całe lato. To o tym mówił Tyler, gdy zatrzasnęliśmy się w łazience. Tego dowiedziała się na początku wakacji, w dniu, kiedy wściekły wparował na grilla. Dlatego za wszelką cenę unikał kontaktów z policją.

Bo mógł za to iść do więzienia.

Jeśli istniała rzecz, która mogła pogorszyć sytuację, to właśnie się wydarzyła. Zbyt wiele tajemnic wyszło naraz na światło dzienne: prawda o Tylerze i narkotykach, o Tiffani i, co najgorsze, prawda o mnie i moim przyrodnim bracie.

– Tylerze. – Ella mówi głośno i wyraźnie. – Proszę, powiedz, że się przesłyszałam. – Z rękami na piersi wychodzi do ogrodu. Tuż za nią idzie ojciec. – Proszę, powiedz, że to nieprawda.

Wstrzymuję oddech i czekam, żeby zobaczyć, czy Tyler wszystkiemu zaprzeczy. Tymczasem on stoi jak sparaliżowany, zbyt przytłoczony tym wszystkim, żeby się poruszyć. W jego umyśle trwa prawdziwa gonitwa myśli.

Opuszcza głowę, wbija wzrok w trawę i mruczy:

– Chciałbym.

Ella zakrywa dłonią usta i wydaje stłumiony okrzyk, łzy napływają jej do oczu. To dzień, w którym wszystko idzie nie tak jak trzeba. Odwraca się do ojca i przyciska twarz do jego piersi, a on przytula ją w milczeniu. Spodziewałabym się raczej, że zacznie krzyczeć. On tymczasem pociesza ją, jednocześnie posyłając nam wściekle spojrzenie.

Kiedy Tyler podnosi wzrok, ma w oczach ten sam ból, który widziałam wczoraj. Dręczące go poczucie winy jest niemal namacalne.

– Mamo – mówi zduszonym głosem – nie płacz. Wcale nie jestem uzależniony. To mi po prostu... pomaga.

Ella z twarzą wciśniętą w koszulę ojca mamrocze coś przez łzy, ale głos ma stłumiony i z trudem rozróżniam poszczególne słowa. Tyler chyba też ich nie rozumie.

– Mamo, odetchnij – mówi i robi w jej stronę niepewny krok. Mimo iż ojciec tuli ją do siebie, Tyler kładzie jej rękę na ramieniu,

ale Ella strząsa ją z siebie i podnosi głowę.

– Powiedziałam – szepcze – żebyś się wynosił.

– Co? – Tyler marszczy czoło.

– Wynoś się z tego domu.

W tym momencie wszyscy zamieramy w bezruchu. Jesteśmy zszokowani. Tata unosi brwi, jakby nie wierzył, że Ella wyrzuca z domu własnego syna, a oniemiały Tyler porusza ustami, z których nie dobywa się żaden dźwięk. Naprawdę mam ochotę się rozplakać. Przecież nie może go wyrzucić. To ostatnie, czego mu potrzeba, zwłaszcza po tym, co usłyszał od Tiffani.

– Mówisz poważnie? – pyta ze spokojem.

Ella nic nie mówi. Odsuwa się od ojca, pociąga nosem i przeciera oczy. Jest zdruzgotana.

– Proszę, Tylerze – mówi błagalnie i po raz kolejny wybucha płaczem. – Po prostu wyjdź. Dłużej tego nie zniosę.

Tyler i ja wymieniamy spojrzenia, podczas gdy ojciec tuli Ellę do piersi. Nikt z nas nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Jest przecież niedziela. Niedziele są nudne. Nie powinnam patrzeć, jak wyrzucają Tylera z domu.

Tymczasem widzę, jak spuszcza głowę, wbija ręce w kieszenie i bez słowa mijają naszych rodziców. Kiedy tak idzie przygarbiony, powłócząc nogami, wygląda na kompletnie załamane. Widząc to, budzę się z odrętwienia i ruszam za nim. Ignoruję spojrzenie ojca, bo dawno już przestałam przejmować się tym, co ma mi do powiedzenia.

Doganiam Tylera na szczycie schodów. Jamie oraz Chase stoją na piętrze i patrzą na nas zdumionym, ciekawskim wzrokiem. Zastanawiam się, czy słyszeli całą rozmowę, począwszy od tego, że Tyler jest uzależniony, a skończywszy na tym, że został wykopany z własnego domu. Odsuwają się, kiedy oboje z Tylerem mijamy ich i wchodzimy do jego pokoju. Tyler zatrząskuje za nami drzwiami.

Stoję przy łóżku i patrzę, jak ściąga z półki płócienny worek. Razem z nim spada na ziemię kurtka Deana, którą Tyler kopnięciem posyła w kąt. Przez kilka minut krąży po pokoju,

wyciągając koszulki i dzinsy i bez słowa wrzucając je do worka. Na jego twarzy maluje się stres.

– Dokąd pójdziesz? – pytam, przerywając milczenie. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby go tu nie być i że mogłabym nie słyszeć, jak co rano kłóci się z Ellą o bekon. Nie wyobrażam sobie, że sąsiedni pokój mógłby stać pusty, że miałabym nie widzieć jego uśmiechu, gdy mijamy się na schodach.

Patrzy na mnie, zarzuca worek na ramię i znowu ucieka wzrokiem.

– Nie mam pojęcia – mówi cicho. Odwraca się i idzie do łazienki. Podążam za nim. – Może do Deana. Nie wiem. Mam mętlik w głowie.

Staję w drzwiach łazienki. Powieki mam ciężkie, ale wpatruję się w niego. Biorę głęboki wdech.

– Zaczęłeś dilować?

Przestaje się krzątać i słyszę tylko jego powolny oddech. Zwiesza głowę i wbija wzrok w płytki.

– Od niedawna.

Jestem rozczarowana. Już wcześniej myślałam, że sprawa jest poważna, ale teraz martwię się jeszcze bardziej, wiedząc, że ma kontakty ze światem przestępczym.

– Dlaczego?

Nie odwraca się i tylko kręci głową, jakby nie znał odpowiedzi. Chciałabym zobaczyć jego twarz, a przede wszystkim oczy, żeby przekonać się, czy żałuje tego, co zrobił.

– Łatwo... wpakować się w to wszystko. Tiffani jest wściekła. Pewnie będzie próbowała donieść na mnie policji. Jestem o tym przekonany.

– Nie wierzę, że ona jest... – Nie potrafię powiedzieć tego na głos, bo wciąż to do mnie nie dociera. „Dobrze, że Ella o niczym nie wie”, myślę, „bo przeżyłaby załamanie nerwowe”.

– Ja też – mruczy. Otwiera drzwi szafki i nagle odwraca się i pochyla nad toaletą. Opiera dłoń o ścianę, żeby nie stracić równowagi, i wymiotuje. To efekt szoku. Jeszcze chwilę temu czułam się podobnie. – Cholera.

– Nie wiem, co powiedzieć, Tylerze. – Naprawdę nie wiem. Jak mam mu mówić, że wszystko będzie dobrze, skoro wygląda na to, że wcale tak się nie stanie? Masuję mu kark w marnej próbie pocieszenia go, ale czuję się przez to jak idiotka. Jego była dziewczyna jest w ciąży, a ja masuję mu kark, podczas gdy jemu na samą myśl o tym robi się niedobrze. – I co teraz będzie?

– Jak to?

– Z nami – mówię. – Co się z nami stanie? Co będzie z tobą i Tiffani?

Wstrząsany torsjami pochyla się nad toaletą, ale nie wymiotuje. Prostuje się, odwraca i patrzy mi prosto w oczy. Wygląda na skruszonego.

– Nie wiem. Najpierw muszę to wszystko poukładać.

– Ja też nie wiem – mówię i mam wrażenie, że za chwilę pęknie mi serce. Co teraz będzie? Tyler i Tiffani na pewno się nie rozstaną. Co stanie się ze mną? Zostanę zepchnięta na bok, podczas gdy oni będą się zastanawiać, jak wybrnąć z sytuacji, w której się znaleźli?

Tyler mija mnie, otwiera szafkę i wrzuca do worka przybory toaletowe. Widzę stojące na najwyższej półce buteleczki i dokładnie wiem, co w nich jest.

– Proszę, weź je. – Wskazuję głową antydepresanty. – Nie będziesz taki przybity.

Tyler podąża za moim wzrokiem i zastanawia się, czy mnie posłuchać. Wiem, co chodzi mu po głowie: antydepresanty czy alkohol i narkotyki. Patrzy na mnie, widzi moje błagalne spojrzenie i zgarnia do worka trzy białe buteleczki. Chcę wierzyć, że zrobi z nich dobry użytek. Może nawet poczuje się lepiej.

Przed jego wyjściem przez chwilę spoglądamy sobie w oczy. Wciąż jest upiornie blady, jakby chorował przez kilka tygodni i nadal nie wrócił do zdrowia. Jego oczy są mętne, zupełnie jak moje. Bez słowa pochyla się w moją stronę, obejmuje mnie i tuli. To pierwszy raz, kiedy tak naprawdę mnie przytula. Owszem, całowaliśmy się – nawet spaliśmy z sobą – ale nigdy dotąd tak po prostu nie tuliliśmy się do siebie. Pierwszy raz kryję twarz w jego

piersi, podczas gdy on opiera brodę o moją głowę i mogę tylko mieć nadzieję, że będzie jeszcze wiele takich chwil, bo podoba mi się, jak nasze ciała dopasowują się do siebie.

I choć jestem skacowana i spocona po bieganiu, całuje mnie w czoło i szepcze:

– Jakoś to załatwię.

Odsuwa się i mam wrażenie, że jest przerażony. Kompletnie nie ma pojęcia, co robi, i bez względu na to, jak bardzo sili się na odwagę, widzę, że jest bliski załamania. A ja nie mogę go winić.

Skinąwszy mi głowę na pożegnanie, mija mnie i idzie w stronę drzwi. Odprowadzam go wzrokiem. Jestem odrętwiała, więc tylko patrzę, jak nie oglądając się za siebie, wychodzi na korytarz.

– Mam taką nadzieję – mówię, zanim na dobre zniknie mi z oczu.



Mijają dwa dni.

Dwa dni, w ciągu których nie widzę Tylera ani z nim nie rozmawiam, a Ella snuje się po domu niczym cień. Dwa dni, kiedy nic nie jest takie, jak powinno. Czasami słyszę, jak pyta ojca, gdzie jego zdaniem może być Taylor. Ojciec zawsze odpowiada, że nie jest pewien. Wówczas Ella stwierdza, że wyrzucenie go z domu było najgorszym z możliwych rozwiązań, bo w ten sposób w ogóle straciła nad nim kontrolę. Jej zdaniem Tyler ma teraz więcej powodów, żeby się upalać. Chciałabym wierzyć, że się myli. Ufam mu i mam nadzieję, że ostatnie wydarzenia podziałały na niego jak zimny prysznic. Pokazały, że może odmienić swoje życie. Jamie i Chase nie są tacy wyrozumiali. Wczoraj wieczorem Jamie pokłócił się z Ellą. Nakrzyczał na nią, że wyrzuciła Tylera z domu, i powiedział jej, że jest niesprawiedliwa i zbyt surowa. Dziś rano Chase stwierdził, że w domu jest nudno, i oświadczył, że chce, żeby Tyler przewiózł go swoim audi. Chase lubi samochody. Ale jego brata nie ma w domu, żeby zabrał go na szaleńczą przejażdżkę po okolicy.

Kiedy myślę o samochodzie Tylera, czuję się dziwnie, nie widząc go zaparkowanego niedbale na chodniku. Wyobrażam sobie, że stoi teraz przed domem Deana, i mam ochotę tam pójść. To, że Tyler został wykopany z domu, nie znaczy, że nie mogę się z nim widywać. Jest pięć minut drogi stąd. Może poproszę Rachael, żeby mnie podwiozła.

Kręcąc głową, przecinam trawnik, przebiegam przez ulicę i podbiegam do czerwonego volkswagena, który na włączonym silniku czeka na mnie przed domem naprzeciwko. Rachael poprawia włosy, kiedy siadam na fotelu pasażera.

– Jeśli chodzi o zarządzanie czasem, jesteś naprawdę

koszmarna – rzuca z uśmiechem. Zamyka lusterko w osłonie przeciwsłonecznej i zapina pas.

– Przepraszam – mruczę i z udawaną skruchą przykładam dłoń do piersi. – Tak mi przykro. Nie powinnam była spóźnić się o trzy minuty. Spal mnie za to na stosie, wasza świętobliwość.

Rachael śmieje się, szturcha mnie w ramię i przewraca oczami, zupełnie jak Amelia. Od razu zaczynam tęsknić za domem.

– A więc – mówi – opowiadaj, co wydarzyło się w sobotę.

Patrzę na nią i boję się, że Tiffani dopilnowała, żeby wszyscy w okolicy poznali nasz sekret. „Rachael, wie”, myślę. „I Meghan, i Jake, i Dean. Oni wszyscy już wiedzą”.

Zerka na mnie kątem oka i posyła mi figlarny uśmiech.

– Hej. Musisz mi powiedzieć! Wróciłaś do domu z Jake’iem?

Może jednak nie wie, a może wie i próbuje przyłapać mnie na kłamstwie, żeby w pewnej chwili zatrzymać samochód i krzyknąć: KŁAMCZUCHA!

Widzimy się pierwszy raz od soboty. Po tym, jak wyleczyła trzydniowego kaca, zadzwoniła na telefon stacjonarny do domu mojego ojca i stwierdziła, że musimy wyskoczyć na kawę i nadrobić zaległości, bo ma wrażenie, że nie widziałyśmy się od wieków. Teraz żałuję, że nie wykręciłam się jakąś chorobą.

– Nie – odpowiadam krótko na jej pytanie i natychmiast odwracam wzrok. Opieram łokieć o okno i udaję, że podziwiam okolicę, która zdążyła mi już spowszednieć i teraz wydaje się zwyczajna i nudna. – A ty? – Patrzę na nią spod rzęs.

Czując na sobie moje spojrzenie, robi się niespokojna, pochyła się nad kierownicą i próbuje powstrzymać uśmiech.

– Nocowałam u Trevora.

– Nocowałaś u Trevora? – Unoszę brwi.

– Przy okazji wydarzyło się parę rzeczy, o których wolałabym nie rozmawiać. – Jej śmiech przechodzi w westchnienie. – Chciałabym, żeby w końcu zaprosił mnie na prawdziwą randkę. – Wzrusza ramionami.

Żal mi jej. Przez całe lato mówi tylko o Trevorze i choć

zdaniem Tiffani to wyłącznie „imprezowy związek”, nietrudno zauważyć, że Rachael spodziewa się po nim czegoś więcej.

– Faceci to dupki – pocieszam ją, bo powoli sama zaczynam w to wierzyć.

Weźmy takiego Trevora. Jasne, że potrafi być słodki, kiedy jest pijany, ale tak naprawdę to zwykły napaleniak. Przykład numer dwa: Jake. Gracz. Przyznaję, że na początku lata dałam się omamić. Myślałam, że mu na mnie zależy, gdy tak naprawdę chciał dodać moje imię do długiej listy swoich „zdobyczy”. No i Tyler. Zasluguje na miano dupka za to, jak traktuje ludzi i za to, że zmajstrował Tiffani dziecko.

Jego wpadka coraz bardziej mnie irytuje. Nie sądziłam, że Tyler będzie aż tak lekkomyślny i popełni tak wielki błąd. Świadomość, że stało się inaczej, jest bolesna. Tyler będzie ojcem. Jest zbyt młody, zbyt nieodpowiedzialny i jestem absolutnie przekonana, że sobie nie poradzi.

W drodze na Santa Monica Boulevard Rachael psioczy na Trevora. Jest fajny, ale to dupek. Potrafi być kochany, ale to dupek. Jego rodzice ją lubią, ale to dupek. Kiedy parkujemy i docieramy do Refinery, mam wrażenie, że wiem o Trevorze tyle, że mogłabym przejąć jego tożsamość.

– Jestem taka cholernie wściekła – parska Rachael i w końcu przestaje marudzić. Zamawia cappuccino dla siebie oraz latte dla mnie i kiedy siadamy przy drewnianym stoliku przy oknie z widokiem na ulicę, nagle się ożywia. – Chryste, zupełnie zapomniałam! – Przetrzęsa zawartość torebki i wyciąga banknot dwudziestodolarowy oraz mój telefon. – Musiałś zostawić je u mnie, zanim pojechałyśmy do Deana. Przed wyjściem z domu znalazłam je pod łóżkiem.

Gapię się na nią.

– Żartujesz? Myślałam, że okradli mnie na plaży!
Pobeczalam się przez to!

Parska śmiechem, a potem kładzie przede mną pieniądze i telefon. Kiedy próbuję go włączyć, okazuje się, że padła bateria. Wzdycham ciężko, ale kiedy barista stawia przed nami kawę, od

razu poprawia mi się nastrój.

– Dobra, od rana czekam, żeby ci o tym powiedzieć. To dopiero jest news! Dasz wiarę, że Tyler i Tiffani zerwali? – Upija łyk kawy i patrzy na mnie oczami wielkimi jak spodki. – Zawsze jej mówiłam, że to gnojek. Przepraszam, wiem, że to twój brat i powinnam się z nim kumpłować, ale ten koleś traktował ją jak gówno. – Macha rękami jak dziennikarka przekazująca wiadomość z ostatniej chwili. I po części tak właśnie jest.

– Rozmawiała z tobą? – Przyglądam się jej i zastanawiam, czy Tiffani opowiedziała jej całą historię, tę wersję, w której pojawia się ja. Staram się ignorować fakt, że Rachael bierze stronę Tiffani. To oczywiste, że Tyler nie traktował jej najlepiej, ale czy można go winić? Ta laska go kontrolowała i wcale nie chciał z nią być.

– Wpadła do mnie wczoraj wieczorem – mówi Rachael. Podnoszę do ust kubek i słucham jej, powoli sącząc latte. – Zerwał z nią. To jakieś szaleństwo. Powiedziała chyba, że w niedzielę rano.

– Tak. Byłam przy tym. – Wyglądam przez okno i obserwuję ludzi i samochody.

Oczy Rachael otwierają się jeszcze szerzej i widać, że cała koncentruje się na dramacie Tiffani.

– Dasz wiarę, że znowu ją zdradził?

Spoglądam na nią, powoli opuszczam kubek i oplatom go palcami. Serce wali mi jak oszalałe.

– Powiedziała ci, kim była ta dziewczyna?

– Nie – odpowiada i czuję, jak ogarnia mnie nieopisana ulga. – A ty wiesz?

– Nie – kłamię. Znowu się odwracam z nadzieją, że nie zauważy poczucia winy w moich oczach i nie wyczuje drżenia w moim głosie. – Myślę, że chodzi o jakąś dziewczynę spoza miasta.

– Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu z nią zerwał, kiedy powinno być zupełnie inaczej. – Zaciska usta i delikatnie kręci głową. – Była taka wściekła, że powiedziała jego mamie o kokainie.

Marszczę czoło. To nie jedyna rzecz, którą Tiffani powiedziała Elli.

– Tak, Ella wyrzuciła go z domu.

– Wiem – przyznaje Rachael – i dlatego nie mogę uwierzyć, że Tiffani pozwoliła mu zatrzymać się u siebie. – Podnosi kubek do ust i upija łyk cappuccino.

– Chwileczkę. Jak to?

– Co, jak to?

– Tyler mieszka u Tiffani? Powiedział mi, że zatrzyma się u Deana. – Czuję się, jakbym dostała obuchem. Rozumiem, że sytuacja, w której znalazł się Tyler, jest trudna, ale nie sądziłam, że chłopak tak od razu rzuci się w ramiona Tiffani. Jeszcze chwila i serce wyskoczy mi z piersi.

– Cóż, z pewnością nie ma go u Deana. – Rachael unosi brwi. – Sama nie wiem. Dla mnie też jest to dziwne. Ale znasz Tiffani. Jest wobec niego taka zaborcza. Nic dziwnego, że mu wybaczyła. Nie może znieść myśli, że jakaś inna dziewczyna mogłaby go mieć. Twierdzi, że wróćą do siebie, co moim zdaniem jest kompletnie bez sensu, bo skoro Tyler jest niewierny, to po co, do cholery, miałyby z nim być? – Milknie na chwilę i wydyma policzki. – Tiffani to wariatka. Nie potrafi odpuścić.

– Ona jest w ciąży, Rachael – mówię szeptem i robię to tak szybko, że zaczynam panikować. Nie ja powinnam przekazywać takie wiadomości. Może Tiffani chciała powiedzieć Rachael i Meghan osobiście.

Rachael rozdziawia usta i mało nie spada z krzesła. Cappuccino chlusta, kiedy kubek z impetem ląduje na stole.

– Co takiego? – Nachyla się w moją stronę i mruga z niedowierzaniem.

– Powiedziała mu w niedzielę – szepczę i na samą myśl robi mi się niedobrze. – Zaraz po tym, jak z nią zerwał. – Im dłużej o tym myślę, tym bardziej wszystko ma sens. To oczywiste, że zamieszkał u Tiffani. Tak to jest, gdy ludzie spodziewają się dziecka. Zapominają o przeszłości i trzymają się razem. – Ona musi mu wybaczyć, a on musi do niej wrócić.

– Ale to szaleństwo! – Rachael ni to szepcze, ni to krzyczy mi do ucha i chwilę później odsuwa się ode mnie. Zastanawia się nad tym, co właśnie usłyszała, i mrugając, wygląda przez okno. Wyraz zdumienia przemyka po jej twarzy. – Chwileczkę. – Patrzy na mnie. – Przecież piła w sobotę u Deana.

Nie odzywam się. Próbuję przypomnieć sobie, co działo się u Deana, zanim upiłyśmy się w garażu. Rachael ma rację. Tiffani aż się paliła do alkoholowej ruletki, co jest trochę dziwne jak na kobietę w ciąży. Kiedy rozmawiałam z nią w ogrodzie za domem, była już nieźle wstawiona.

– Chwileczkę – powtarza Rachael. Unosi palec i brew. – Powiedziała mu po tym, jak z nią zerwał?

– Tak. Mniej więcej pięć sekund później.

– Nie sądzisz, że to... ? – Rachael wypuszcza powietrze.

Kiedy dociera do mnie, co chce mi powiedzieć, czuję się tak, jakby ktoś uderzył mnie pięścią w brzuch.

Tiffani udaje.

– Boże.

– To żadna nowość – stwierdza Rachael, przykładając do ust wypielegnowany palec. Zupełnie jakby właśnie rozwiązała zagadkę morderstwa. – Mówisz facetowi, że jesteś w ciąży, żeby zatrzymać go przy sobie.

– Naprawdę myślisz, że Tiffani zrobiłaby coś takiego?

– Chciałabym wierzyć, że nie – szepcze i sięga po kawę – ale wiem, że zrobiłaby wszystko, byle tylko być z Tylerem. On jest ważny dla jej reputacji. Mówiłam już, to wariatka.

Albo, jak twierdzi Tyler, psychopatka. Nie sądzę jednak, żeby rzeczywiście była chora, po prostu ma poważne problemy. Musi je mieć, skoro zdecydowała się na coś takiego.

Nie mogę uwierzyć, że Tiffani upadła tak nisko, ale Rachael ma rację. Przez te kilka tygodni zdążyłam się przekonać, że ich związek jest nieźle popaprany. Bez względu na to, co robi Tyler, Tiffani nadal z nim jest, bo nie może pogodzić się z myślą, że straciłaby nad nim kontrolę. To oczywiste, że chce wszystko odzyskać. A jak zmusić chłopaka, żeby do ciebie wrócił?

Powiedzieć mu, że jesteś w ciąży.

– Mam pomysł, jak się dowiedzieć, czy kłamie, czy naprawdę jest w ciąży! – oświadcza z entuzjazmem Rachael. Odwracam się, żeby na nią spojrzeć, i zaniepokojona marszczę czoło. Nie wiem, co chodzi jej po głowie, ale znając Rachael, to pewnie coś niedorzecznego. – Wiesz, że idziemy do niej w piątek?

– Nie zostałam zaproszona – mówię. Uciekam wzrokiem i wpatruję się w sklep po drugiej stronie ulicy. Nie wiedziałam, że Tiffani zaprosiła do siebie wszystkich znajomych, więc najwyraźniej nie brała mnie pod uwagę. Nie winię jej za to.

– Ależ zostałam – mówi Rachael i wskazuje głową telefon, który leży przede mną na stoliku. – Nie miałaś go przez kilka dni. Pewnie wysłała ci wiadomość. Zresztą, to wieczór filmowy.

Zagryzam zęby, żeby przypadkiem czegoś nie palnąć. Rachael nie rozumie. Wiem, że nie zostanę zaproszona. Tiffani mnie nienawidzi. Oczywiście, nie mogę powiedzieć o tym Rachael, bo zacznie wypytywać dlaczego, a na to pytanie wolałabym nie odpowiadać. Zresztą, co miałabym powiedzieć? „Tiffani nienawidzi mnie, bo przespałam się z Tylerem, który – przypomnę ci na wypadek, gdybyś zapomniała – jest moim przyrodnim bratem. Dwa sekrety w jednym! Tak więc, Rachael, kiepska ze mnie przyjaciółka i kiepski człowiek”.

– A więc w piątek – ciągnie i wstaje od stolika – musimy ustalić, czy Tiffani kłamie. A ja mam pomysł, jak to zrobimy.

* * *

Po powrocie do domu podłączam telefon i widzę dwadzieścia nieodebranych połączeń od ojca z soboty i trzy od mamy, która próbowała się do mnie dodzwonić przez ostatnich kilka dni. Jest też parę wiadomości od Amelii, która informuje mnie, że Landon Silverman wciąż pisze do niej, odkąd kilka tygodni temu przespała się z nim na tylnym siedzeniu jego pick-upa, a ona go ignoruje, bo już nie jest w jej typie. A nie dalej jak dwa miesiące temu śliniła się na jego widok na szkolnym korytarzu.

Żadnej wiadomości od Tiffani.

Nic dziwnego.

I – o dziwo – żadnej od Tylera.

Nic mu nie zrobiłam, więc nie ma prawa być na mnie zły. Wiem, że ma w głowie mętlik, ale to nie znaczy, że może mnie ignorować. Wciąż mi na nim zależy. Nadal chcę wiedzieć, jak się trzyma. Staram się jednak nie przejmować jego milczeniem. Może po prostu potrzebuje trochę przestrzeni.

Ojciec, Ella i chłopcy pojechali na drugi koniec miasta, więc mam cały dom wyłącznie dla siebie. Krzątając się po kuchni, postanawiam zadzwonić do mamy i dowiedzieć się, co u niej słychać. Odkąd przyszłam na świat, nie rozstawałyśmy się na dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. A jednak przetrwała beze mnie całe lato.

Bębnię palcami w blat i słucham monotonnego sygnału po drugiej stronie słuchawki, ale nikt nie odbiera. Dzwonię więc na komórkę. Mama podnosi po trzecim sygnale.

– Patrzcie, patrzcie, moja ulubiona córka żyje!

Jej głos wypełnia mnie ciepłem, którego nie da się z niczym porównać, ciepłem, które sprawia, że masz ochotę się uśmiechnąć bez względu na to, jak kiepski jest twój dzień. Coraz bardziej to doceniam.

– Mamo – mówię z uśmiechem. – Jestem twoją jedyną córką.

– Dlatego to taki prosty wybór – odpowiada. – Jak się masz? „Fatalnie”, myślę. „Koszmarne, beznadziejnie i do niczego”.

– Dobrze.

– A jak relacje z dupkiem, który przekazał ci połowę twoich genów?

Przewracam oczami i otwieram lodówkę. Mama nie kryje się ze swoją niechęcią do ojca.

– Nie za dobrze – przyznaję. Od soboty ojciec jest dziwnie milczący i nie wiem, czy dlatego, że nadal jest na mnie zły, czy dlatego, że w tym wypadku postanowił odpuścić i nie prześladować mnie na każdym kroku. Prawdopodobnie to pierwsze.

– Co się stało? – Głos mamy podszyty jest troską.

Wzruszam ramionami, chociaż mnie nie widzi, ramieniem przyciskam telefon do ucha i szperam w lodówce, przestawiając pojemniki z mięsem, aż natrafiam na schowane z tyłu jabłka. Biorę jedno i zamykam drzwi.

– Nic. Po prostu często się kłócimy.

– O co? – pyta wyraźnie zmartwiona. Gdzieś w tle słyszę jakiś gwizd. A więc jest poza domem.

– O to, że nie wracam do domu. – Mama to moja najlepsza przyjaciółka. Była przy mnie zawsze, kiedy jej potrzebowałam, i wiem, że mogę powiedzieć jej wszystko. Mogę być z nią całkowicie szczerą. – Dwa razy nocowałam poza domem.

– Jak to? – Troska w jej głosie ustępuje miejsca powadze. – Eden? Mam zacząć ci kupować pigułki antykoncepcyjne?

Milczę przez chwilę, zbyt zawstydzona, żeby cokolwiek powiedzieć. To kolejna rzecz, jeśli chodzi o mamę: jest bardzo, bardzo bezpośrednia.

– Dość tego – mówię. – Rozłączam się. Pa, mamo, proszę, nie dzwoń do mnie więcej. Nie będę mogła spojrzeć ci w oczy. Miło było cię znać. Kocham cię, pa!

– Eden.

– Tak?

Słyszę jej łagodny, szczerzy śmiech.

– Przepraszam. Chodzi o to, że masz szesnaście lat i w twoim wieku...

– Możemy zmienić temat? – Z rumieńcem na twarzy podchodzę do zlewu, myję jabłko, siadam na blacie i wgryzam się w nie.

– Hmm – mruczy mama – miło spędzasz czas, co?

Biorę kolejny kęs, macham nogami i przechylam głowę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Wiem, że gdybym została w Portland, spędziłabym lato z Amelią, unikając Alyssy i Holly. Miło było uciec na chwilę od ich ciągłych przytyków odnośnie mojej wagi. Prawdopodobnie zapisałabym się na siłownię, może nawet zaczęłabym się uczyć i z pewnością nie zakochałabym się w kimś, w kim nie powinnam się zakochiwać. Wakacje w Santa Monica to

dla mnie zupełnie nowe doświadczenie.

– Tu jest inaczej – mówię w końcu.

– Poznałaś nowych przyjaciół?

Nie odpowiadam od razu. Tiffani z pewnością skreśliła mnie ze swojej listy przyjaciół, więc się nie liczy, a Jake po bliższym poznaniu stracił na wartości, więc nie nazwałabym go przyjacielem – raczej dupkiem, który próbował zaciągnąć mnie do łóżka. Tak więc zostaje Rachael, która wypełnia pustkę po Amelii, niezmiennie kochana Meghan i Dean, który wiecznie ratuje mnie z oparów i poprawia mi humor. No i, oczywiście, Tyler. Choć z nim łączy mnie chyba coś więcej niż zwykła przyjaźń. Dawno temu przekroczyliśmy tę granicę.

– Kilkoro.

– I podoba ci się miasto? – draży temat, choć w jej głosie wyczuwam zniecierpliwienie. Wyobrażam sobie, że przyciska telefon do ucha, jak zawsze, kiedy jest spragniona ploteczek albo gdy krzyczy na przedstawicieli handlowych, którzy dzwonią do niej z samego rana.

– Chyba tak.

– Eden. – Powoli wymawia moje imię i robi dramatyczną pauzę. – Co sądzisz o tym, żeby się tam przeprowadzić?

Odsuwam telefon od ucha i krzywiąc twarz, patrzę w ekran. Zastanawiam się, czy przypadkiem się nie przesłyszałam. Przeprowadzić? Zamieszkać tu?

– Jak to? – Podtrzymuję telefon ramieniem, zeskakuję z blatu i gapię się na drzwi do ogrodu. – Miałabym przeprowadzić się tu na stałe?

– Nie ty. My – poprawia mnie. Milczy, ale słyszę mijające ją samochody.

– My?

– Tak sobie myślałam – mówi i podnosi głos, jak zawsze, gdy chce dać upust swoim emocjom. – Jak to jest, że twój ojciec może tak po prostu wyjechać i zacząć nowe życie w zupełnie nowym miejscu? Dlaczego ja tak nie mogę? Dlaczego utknęłam w Portland, mieście, w którym tak naprawdę nigdy nie chciałam

mieszkać? Byłam szczęśliwa w Roseburgu, ale nieeeeee, twój ojciec chciał wielkomiejskiego życia w Portland.

– Santa Monica to miasto.

– Tak, ale w Portland jest o pół miliona ludzi więcej – informuje mnie tym samym rzeczowym głosem, którym przemawia do pacjentów. – Sprawdziłam.

– Ale dlaczego? – niemal krzyczę ze złością. Dziwne, że skoro tak bardzo nienawidzi ojca, ma zamiar przeprowadzić się bliżej niego. – Skoro tak bardzo chcesz zacząć nowe życie, możesz na dwa lata przeprowadzić się ze mną do Chicago. Albo do Kanady. Dlaczego Santa Monica?

Czekając, aż odpowie, wbijam paznokcie w jabłko. Słyszę, jak bierze głęboki wdech.

– No bo... – zaczyna niepewnie – kiedy cię nie było, rozmawiałam z paroma osobami. Zalogowałam się na portalu randkowym.

Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Mama... randki. Nie spodziewałam się czegoś takiego, bo przez ostatnie trzy lata wbijała mi do głowy, że mężczyźni to diabelskie nasienie.

– Jaja sobie robisz?

– Nie. – Śmieje się, ale wyczuwam, że jest odrobinę zdenerwowana, a przede wszystkim zawstydzona. – Te wakacje uświadomiły mi, że nie chcę zostać sama, kiedy ty wyjedziesz na studia, i że muszę z powrotem wejść do gry. Od miesiąca rozmawiam z naprawdę miłym facetem. – Czeka, jakby chciała zobaczyć, czy mam coś do powiedzenia. Ja jednak milczę – Ma na imię Jack. I zgadnij, gdzie mieszka. W Culver City. Piętnaście minut od Santa Monica – ciągnie.

Wiem, gdzie jest Culver City. Tak się składa, że to właśnie tam Tyler i ja wylądowaliśmy na posterunku policji.

– Chcesz się tu przeprowadzić, bo od miesiąca rozmawiasz z jakimś facetem? Mamo, to może być kompletny popapraniec.

– Boże, Eden, nie. – Wzdycha, słyszę brzęk kluczy i zastanawiam się, gdzie jest i co robi. – Najpierw umówię się z nim na kawę i zobaczymy, co z tego wyjdzie. Kto wie? Może wszystko

się ułoży. Ty masz już tam przyjaciół, więc pójdźcie do nowej szkoły nie powinno być aż tak bolesne. To dobre miejsce, żebyśmy mogli zacząć wszystko od początku.

Mniej bolesne? Chodzenie do szkoły z Tiffani, Jake'iem i Tylerem? Nie wyobrażam sobie niczego bardziej stresującego.

– Nie wiem – mruczę. Przygryzam wargę, wyrzucam nadgryzione jabłko do kosza i przeczesuję włosy palcami. – To poważna decyzja.

– Myślę, że dobrze ci to zrobi – dodaje. – Nie będziesz musiała przejmować się tymi dziewczynami. Tymi, które mają nadętych rodziców.

– Alyssą i Holly. – Mój głos przypomina szept. Próbuję nie myśleć o tym, że żołądek podchodzi mi do gardła, a serce wali jak oszalałe i zamiast tego skupiam się na matczynym cieple.

– Niedawno mijałam je w Walmarcie – rzuca mimochodem. – Nie masz pojęcia, jaką miałam ochotę cisnąć w nie workiem cebuli.

Śmieję się. To cudownie, że potrafi mnie rozśmieszyć w każdej sytuacji, i dobrze jest wiedzieć, że zawsze mogę na nią liczyć.

– Nie wątpię.

– Posłuchaj – mówi i słyszę, jak otwiera drzwi. Rozpoznaję znajome, irytujące skrzypienie nienaoliwionych zawiasów. – To tylko propozycja. Porozmawiamy o tym, kiedy wrócisz do domu. Zgoda?

Zamierzam odpowiedzieć „zgoda”, ale ubiega mnie trzask zamykanych drzwi, a zaraz potem piskliwe szczekanie.

Unoszę brwi.

– Czy to był pies? – pytam.

– Cholera – mruczy mama. – To miała być niespodzianka.



W piątek miałam dość snucia się po domu i czekania na powrót Tylera. Chciałam go zobaczyć, choćby podczas jego krótkiej wizyty po czyste ubrania. Ale w tygodniu się nie pojawił, nie odpisywał też na moje SMS-y.

Wkurzało mnie to bardziej, niż mogłam przypuszczać. Wiedziałam, że będzie mi go brakowało, ale nie sądziłam, że zacznę się na niego złościć. To bez sensu, że postanowił na dobre wykluczyć mnie ze swojego życia. Kiedy zapytałam, czy ma ochotę spotkać się w Refinery na kawę (oczywiście jako przybrane rodzeństwo), nie doczekałam się odpowiedzi. Kiedy spytałam, czy w ogóle pamięta, co się wydarzyło w ubiegły weekend, nie odpisał. Tiffani pewnie owinęła go sobie wokół palca.

Tiffani, która nienawidzi mnie z całego serca.

Tiffani, w której domu zamierzam pojawić się bez zaproszenia.

Tiffani, która dostanie szału na mój widok.

– Wychodzisz? – pyta głos za moimi plecami. Odwracam się od okna w pokoju gościnnym i napotykam ciekawski wzrok Elli. Spogląda na moje ubrania, które rzeczywiście nie bardzo nadają się do leniuchowania w domu.

– Mam szlaban? – Podejrzewam, że może tak być, ale ojciec nie powiedział na ten temat ani słowa, więc modlę się w duchu, żeby puścił w niepamięć ostatni weekend. Zresztą, nawet jeśli mam szlaban, to nie ma go w domu, żeby zatrzymać mnie w nim siłą.

– Nie – mówi Ella. – Dokąd się wybierasz?

Znów patrzę w okno i obserwuję przez rolety zaparkowany na podjeździe samochód Rachael. Powinna zaraz wyjść. Na zewnątrz leje jak z cebra. Ciemne niebo wisi nad miastem niczym

ciężka od wody szara płachta i muszę mrużyć oczy, żeby zobaczyć coś przez ścianę deszczu.

– Na wieczór filmowy z przyjaciółmi – odpowiadam, nawet na nią nie patrząc.

W panującej dokoła ciszy słyszę, jak idzie w stronę drzwi. Nagle zatrzymuje się i bierze głęboki oddech.

– Wiesz może... – Jej głos brzmi jak cichy pomruk. – Wiesz może, czy Tyler tam będzie?

– Będzie – odpowiadam bez zastanowienia. Jest jeszcze jeden powód, dla którego zgodziłam się tam pojechać. Tyler. Jeśli tylko w ten sposób mogę się z nim zobaczyć, jestem gotowa zaryzykować i pojawić się w domu jego walniętej byłej dziewczyny. Chcę się tylko przekonać, czy nic mu nie jest. Odwracam się i patrzę w oczy Elli. – Tęsknisz za nim?

Chyba nie jest pewna odpowiedzi, bo zastanawia się przez sekundę. W niedzielę, kiedy Tyler wyszedł z domu, przepłakała całą noc, a ja zastanawiałam się, czy nie płacze wyłącznie dlatego, że dowiedziała się o narkotykach.

– Tak – przyznaje w końcu i siada na kanapie. Sięga po poduszkę i przyciska ją do piersi. – Pusto tu bez niego. Wiem, że brzmi to dziwnie, bo większość czasu i tak spędzał poza domem, ale teraz jest jakoś inaczej.

Wiem, o czym mówi. W domu panuje dziwna cisza, wegetariańskie jedzenie leży nietknięte w lodówce, codziennie rano przy stole brakuje jednej osoby, a jej syn nie wraca do domu w środku nocy, jeszcze bardziej zagubiony niż dzień wcześniej.

– Tak – mówię. – Rozumiem.

– Martwię się o niego – wyznaje. Podoba mi się to, że przez całe lato jest ze mną szczerą. Ella nie jest złą macochą, wbrew temu, co sądziłam o niej, kiedy pierwszego dnia oprowadzała mnie po ogrodzie i przedstawiała sąsiadom. Myślałam wtedy, że jest okropna i hałaśliwa. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że być może udawała odważną, tak samo jak jej syn, który otoczył się murem, żeby wszyscy myśleli, że nic mu nie jest... Ale to nieprawda.

Mam wrażenie, że całe wakacje byłam ślepa. Teraz wszystko wydaje się takie oczywiste i żałuję, że nie przejrzałam na oczy wcześniej. Powinnam była już dawno rozgryźć Tylera, zrozumieć, skąd w nim tyle agresji do własnego ojca. Tak samo jest z Ellą. Byłam tak pewna, że jej nie polubię, że nawet nie próbowałam jej zrozumieć. Teraz doceniam jej wrażliwość. Teraz ją rozumiem.

Boję się, że się rozplaczę, więc odwracam się do okna i próbuję powstrzymać łzy, zanim Ella je zauważy, choć myślę, że już to zrobiła. Rachael nadal siedzi w domu. Nie wiedząc, co z sobą zrobić, wbijam wzrok w podłogę i próbuję przełknąć gulę, która utknęła mi w gardle.

– Tyler opowiedział mi o swoim ojcu – mówię cicho.

Słyszę, jak Ella bierze gwałtowny wdech. Boję się odwrócić, bo nie wiem, czy nie jest zła, że poruszam ten temat, ale w domu jesteśmy tylko my dwie i czuję, że to najlepszy moment, żeby o tym porozmawiać. Tata pojechał z Jamiem do lekarza, Chase zabrał się z nimi. A Tyler... Cóż. Nadal nie wrócił.

– Powiedział ci? – pyta.

Wyciągam szyję, żeby na nią spojrzeć. Patrzę na jej ściągnięte brwi oraz rozchylone usta i siadam obok na kanapie. Wygląda na zaskoczoną.

– Wtedy, w weekend – mówię, uważając na każde słowo, żeby się nie domyśliła, że spałam z jej synem – powiedział mi o wszystkim.

– Naprawdę? – Mruga zdumiona, a gdy przytakuję, jeszcze mocniej obejmuje poduszkę i odwraca wzrok. – Nie mogę uwierzyć, że ci powiedział. Nie lubi o tym rozmawiać. Ja... – urywa i kręci głową. – Chcę, żeby był szczęśliwy. To wszystko, czego pragnę. – Głos ma łagodny. Patrzy to na mnie, to na ścianę. – Nie chcę, żeby miał średnią 4.0, żeby sprzątał pokój albo mył naczynia. Chcę tylko, żeby był szczęśliwy. Ale nie jest.

Kiedy jej słucham, łzy napływają mi do oczu i nie jestem w stanie zdobyć się na odpowiedź. Jeśli coś powiem, głos mi się załamie, a kiedy załamie mi się głos, to się rozplaczę. Tak więc siedzę, wstrzymuję oddech i zagryzam wargi, bo nie chcę, żeby

widziała, jak płacę.

– Rozmawiałam z pewnymi ludźmi... – mówi powoli, dzięki czemu nie muszę się odzywać i czekam na to, co zaraz usłyszę. – Organizują akcje na Wschodnim Wybrzeżu. Akcje, które mają uwrażliwić społeczeństwo na... – Bierze głęboki oddech i zaczyna jeszcze raz. – Mają uwrażliwić społeczeństwo na różne rodzaje przemocy. – Odwraca głowę i zaciska usta. Czeką chwilę, żeby się uspokoić, i spogląda na mnie. – Organizatorzy chcą, żeby Tyler był prelegentem.

– Prelegentem?

Ella kiwa głową.

– Chcą, żeby poprowadził wykład na temat przemocy fizycznej. Inni młodzi ludzie opowiedzą o przemocy domowej i emocjonalnej... Chcą, żeby przez rok opowiadał ludziom swoją historię. Nie sądzę, żeby dał radę, bo Tyler nienawidzi mówić o tym, co go spotkało. Tym bardziej mnie dziwi, że ci o tym powiedział.

Zastanawiam się nad tym, podczas gdy deszcz dudni o szyby. Wyznanie mi prawdy było dla Tylera niezwykle trudne i nie wyobrażam sobie, jak by się czuł, gdyby musiał opowiedzieć swoją historię zupełnie obcym ludziom. Choć spotkanie z ludźmi, którzy przeszli przez to samo co on, mogłoby mu pomóc.

– To mogłoby być dla niego dobre... No wiesz, gdyby o tym porozmawiał.

– To naprawdę świetna okazja – dodaje Ella, ale wzrok ma wbity w podłogę, jakby rozważała wszystkie „za” i „przeciw”. – Najpierw jednak musiałby wziąć się w garść. To zaleta całego tego przedsięwzięcia. Trzeba mu solidnego kopniaka, żeby zerwać z nałogami i stać się osobą, która nie potrzebuje alkoholu i narkotyków. – No i na rok musiałby się przeprowadzić do Nowego Jorku. Zaczynając od przyszłych wakacji. To z kolei bardzo poważny argument przeciw.

Próbuję spojrzeć jej w oczy, ale ona wciąż wpatruje się w podłogę.

– To o tym mówił ojciec? Kiedy wspomniał o Nowym Jorku?

Kolejne skinienie głowy.

– Nie mówiłam jeszcze Tylerowi. To nie jest najlepszy czas.
– Zerka na mnie kątem oka i uśmiecha się blado. Zawsze zadziwiali mnie ludzie, którzy potrafią się uśmiechać, nawet gdy są smutni. Nie ma czegoś takiego jak smutny uśmiech. Jest za to odważny.

– Jesteś naprawdę dobrą mamą – mówię, bo tylko to przychodzi mi do głowy, kiedy patrzę, jak gryzie się całą tą sytuacją z Tylerem. Chce dla niego wyłącznie tego, co najlepsze, ale czasami to za mało. Mimo to się stara.

Zdumiona otwiera usta. Wygląda, jakby chciała coś powiedzieć, ale w tej samej chwili za oknem rozlega się dźwięk klaksonu.

– To Rachael – mówię i zrywam się z kanapy. Wyglądam nogawki spodni i uśmiecham się do Elli, bo mam wrażenie, że w ciągu ostatnich dziesięciu minut zbliżyliśmy się do siebie. Po raz pierwszy naprawdę widzę w niej moją macochę. – Porozmawiamy, jak wrócę.

Ona również odpowiada mi uśmiechem, który tym razem nie jest odważny. Jest szczery.

Rachael wycofała już samochód ze swojego podjazdu i gazując wściekle, czeka przed naszym domem. Kiedy podbiegam do auta, opuszcza szybę i krzyczy:

– Miałaś być gotowa! Tracimy cenny czas!

Otwieram drzwi, siadam na fotelu pasażera i ledwie zdążam zapiąć pas, kiedy wyjeżdżamy na drogę. Siedzenie jest mokre od deszczu.

– Rozmawiałam z Ellą – mówię. – Jaki mamy plan? – dodaję pośpiesznie, nie czekając, aż spyta o czym.

– Nie bądź taka ciekawska – strofuje mnie i macha mi palcem przed nosem. Śmieję się. Ciekawość to moje drugie imię. – Nie musisz nawet nic robić. Wszystko byś zepsuła, więc pozwól, że to ja będę mówiła.

Przewracam oczami, przez chwilę wiercę się na fotelu i odsuwam go, żeby móc wyciągnąć nogi. W końcu rozsiadam się

wygodnie i wzdycham.

– Skąd się bierze ten cały deszcz?

– To coroczna ulewa w Santa Monica! – rzuca z udawanym entuzjazmem. Pamiętam, że Dean wspominał o tym kilka tygodni temu, o burzy, która co roku nawiedza miasto. Wygląda na to, że mówił prawdę.

– Czuję się jak w Portland – mruczę, stukając kłykciami w szybę i próbując uspokoić skołatane nerwy. Nie mogę dać poznać po sobie, że się denerwuję, bo Rachael zaczęłaby się zastanawiać dlaczego, a przecież nie powiem jej, że jestem przerażona wizją, że Tiffani wpadnie w szal, kiedy zobaczy mnie na progu swojego domu.

Tak więc podczas pięciominutowej podróży staram się zachowywać najzupełniej normalnie. Wysyłam wiadomość do Amelii, przeglądam płyty CD w schowku na rękawiczki, ustawiam klimatyzację, no i oczywiście słucham Rachael. Znowu opowiada mi o Trevorze, o tym, że ostatnio zaczął kończyć swoje wiadomości uroczymi serduszkami i że w ogóle zrobił się słodki.

Kiedy zbliżamy się do domu Tiffani, zapominam o nerwach i chcę jak najszybciej uwolnić się od Rachael oraz jej opowieści o Trevorze. Wolałabym rzucić się w ramiona Tiffani, niż słuchać o tym, jak cudowne są ramiona Trevora.

Ale jak tylko docieramy na miejsce, czuję, że znowu zaczynam się denerwować. Samochód Tylera stoi zaparkowany na podjeździe obok auta Tiffani i nagle ogarnia mnie przerażenie. Muszę stawić czoło im obojgu i podczas gdy jestem pewna, że Tiffani najchętniej wyrwałaby mi włosy, nie mam pojęcia, co powie Tyler. Jeśli w ogóle będzie chciał ze mną rozmawiać.

Uspokajam się nieco na widok samochodów Deana i Jake'a. Im nas więcej, tym lepiej. Ich obecność sprawi, że sytuacja nie będzie taka napięta. Jeśli oczywiście zdołam przejść przez próg. Nawet Jake wydaje się teraz świetnym kompanem.

– Pamiętaj, że to ja będę mówiła – przypomina Rachael, sięgając na tylne siedzenie po torebkę. Prawdę mówiąc, może być spokojna, bo wcale nie mam ochoty się odzywać.

Zamykamy samochód i biegniemy przez trawnik do drzwi frontowych, które Rachael otwiera i nie czekając, pakuje się do środka. Rachael nigdy nie puka i powoli zaczynam się do tego przyzwyczajać. Mimo to nie tylko czuję się tu niemile widziana, ale też uważam, że to, co robimy, jest niegrzeczne. Wciąż jednak idę za nią w głąb domu, który wypełnia zapach popcornu.

W pokoju na lewo widzę Jake'a i Deana, którzy leżą rozwaleni na kanapach w kształcie litery L. Meghan nie przyjdzie, bo ma szlaban po ubiegłym weekendzie, ale Dean prostuje się na nasz widok i uśmiechając się, kiwa głową. Obaj wyglądają na znudzonych i skrępowanych. Jake bawi się pilotem telewizora i wzdychając, przeskakuje po kanałach. Zwykle w piątki jesteśmy na imprezach, nie na wieczorach filmowych.

Spoglądam w prawo, skąd dobiega śmiech. Od razu zauważam Tiffani. Wyciąga z mikrofalówki miskę popcornu i niedbale stawia gorące naczynie na blacie. Śmieje się i wcale nie wygląda na zrozpaczoną. Nic dziwnego, skoro obok niej stoi Tyler i obserwuje jej żalosne starania w przygotowywaniu jedzenia. Próbuje się śmiać, ale jego usta wykrzywia nieszczerzy, udawany uśmiech.

Zastanawiam się, o czym myśli i co zamierza zrobić. Tymczasem utknął w domu Tiffani, wierząc w coś, co może okazać się nieprawdą i co Rachael zamierza udowodnić. Co chodzi mu po głowie? Czy on i Tiffani znowu są razem? To byłoby straszne. Ledwie się od niej uwolnił i nie chciałabym, żeby znowu pakował się w to samo.

Są tak zajęci sobą, że nawet nas nie zauważyli. Splatam dłonie, nerwowo przebieram palcami i idę do salonu. Próbuję zmusić się do uśmiechu, ale to jeszcze bardziej pogłębia grymas na mojej twarzy.

Dean zauważa to, bo prostuje się na kanapie. Niebieska koszulka kontrastuje z ciepłym brązem jego oczu.

– To takie żenujące – szepcze, wskazując głową Tylera i Tiffani, która, trzepocząc rzęsami, zatapia palce w jego włosach. – Rozstali się, ale...

„Mów mi jeszcze”, myślę. Wszyscy jesteśmy zdezorientowani. Zerwali? Są przyjaciółmi? Wrócili do siebie? Co ich łączy, poza tym, że do siebie nie pasują?

Rachael nadal stoi w progu, patrząc na nich z niedowierzaniem. Wyciąga szyję, żeby spojrzeć na mnie i Deana, wskazuje palcem Tiffani i mówi bezgłośnie: „Co jest?”. Odkryłam właśnie, że Rachael jest absolutnie przeciwna temu związkowi.

Oboje z Deanem wrzuszamy ramionami, ale tak naprawdę mam ochotę zedrzyć tynk ze ścian, rozwalić telewizor albo podpalić kanapy. Chcę dać upust swojej wściekłości, chociaż nie bardzo wiem, na kogo właściwie jestem zła. Po części na samą siebie, za to, że wpakowałam się w tę sytuację i utknęłam między moim przyrodnim bratem i jego dziewczyną albo była dziewczyną. Sama już nie wiem.

– Rachael! – woła Tiffani i obie z Rachael odwracamy się w jej stronę. Tuli do piersi miskę popcornu i uśmiecha się od ucha do ucha. Taki stan rzeczy nie trwa jednak długo. Na mój widok uśmiech znika z jej twarzy. – Eden?

– Nieprędko nas zauważyłaś! – żartuje Rachael i sunie po dywanie w stronę schodów.

Tiffani wciąż mierzy mnie wściekłym spojrzeniem.

– Przepraszam – rzuca, nawet nie patrząc na Rachael. Mam wrażenie, że jeszcze chwila i jej oczy wypalą mi dziury na twarzy. Próbuję spuścić wzrok, ale nie mogę, bo gapię się na kogoś, kto stoi obok niej.

Ten ktoś też na mnie patrzy.

Tyler ma rozchylone usta, przygryza policzek i nieznacznie przechyla głowę. Jest bledszy niż zwykle, a jego zapadnięte oczy wydają się bez życia, jakby nie spał od kilku dni i zaraz miał zemdleć.

– Tiff, możemy chwilę pogadać? – pyta Rachael z połowy schodów.

– Jasne – rzuca gorzko Tiffani. Odwraca się i stawia miskę popcornu z powrotem na blacie.

Czuję wzrok Deana, który obserwuje ją, jak podchodzi do

Rachael, słyszę, jak Jake ogląda futbol w telewizji, i widzę Tylera, który idzie do pokoju. Ma na sobie spodnie od dresu i spłóviałą koszulkę. Wygląda, jakby był tu u siebie, przez co czuję się jeszcze bardziej niezręcznie. Tiffani wbiega na górę, podczas gdy Rachael przywołuje mnie skinieniem. Dołączam do niej, bo choć obawiam się Tiffani, muszę wiedzieć, czy kłamie, czy też rzeczywiście jest w ciąży. Kiedy mijam Tylera, łapie mnie za łokieć. Szarpnięciem przyciąga do siebie i syczy mi do ucha:

– Co ty tu robisz?

– Mogłabym zapytać cię o to samo – mruczę. Wyrrywam się mu i mierzę go wściekłym spojrzeniem, które po chwili zmienia się w pełen rezygnacji grymas. W jego oczach dokonuje się subtelna zmiana, podobna do tej, którą widziałam w ubiegły weekend, ale zanim zdążę odgadnąć, o co mu chodzi, odwraca się i idzie do pokoju.

Przez krótką chwilę mam ochotę zatrzymać go i powiedzieć, że Ella za nim tęskni, że w Nowym Jorku czeka na niego wielka szansa i że nie musi marnować swojego czasu z Tiffani. Ale Rachael woła mnie ze szczytu schodów, więc zostawiam Tylera i podążam za jej głosem.

Gdzieś z tyłu głowy pojawia się myśl, że nigdy nie będziemy razem.

Na górze Tiffani stoi w drzwiach do swojego pokoju. Ramiona ma splecione na piersi. Wygląda, jakby chciała zatrzymać nas w progu, ale uświadamiam sobie, że czeka, aż obie wejdziemy na górę.

Od razu spostrzegam, że pokój wygląda inaczej, niż go zapamiętałam. Po podłodze walają się ubrania Tylera.

Rachael również to zauważa i, jak zwykle, ma na ten temat coś do powiedzenia.

– Twoja mama poważnie pozwoliła mu tu zamieszkać? – Mówiąc to, kopnięciem odsuwa parę dzinsów.

– Tak – warczy Tiffani. Jest wściekła, bo pojawiłam się w jej domu, ale przede wszystkim dlatego, że oderwałyśmy ją od Tylera.

– O co chodzi?

Czekając na odpowiedź, patrzy to na mnie, to na Rachael. Tymczasem ja patrzę na Rachael, a Rachael na Tiffani. Nie zamierzam się odzywać. Zdaniem Rachael, jeśli się odezwę, wszystko schrzanię. Czekam więc, aż wprowadzi w życie swój genialny plan i w końcu poznamy prawdę.

– Nie zamierzam być subtelna i zapytam cię wprost – mówi Rachael. Atmosfera w pokoju robi się gęsta, kiedy wszystkie trzy czekamy na pytanie, które zaraz padnie. Rachael, z torebką na ramieniu, nerwowo rusza stopą i mierzy Tiffani wzrokiem. – Jesteś w ciąży?

Patrzę na nią. To wszystko? Na tym polega jej misterny plan? A jednak pytanie kompletnie zaskakuje Tiffani. Wytrąca ją z równowagi do tego stopnia, że rozdziawia usta i w milczeniu spogląda na swoją przyjaciółkę. I nagle przenosi wzrok na mnie.

Jej niebieskie oczy są zimne jak lód. Wściekła zaciska zęby. Wie, że powiedziałam Rachael. Jestem jedyną osobą, która mogła to zrobić. Krople deszczu tłuką o szyby, niebo ma paskudną szarą barwę.

– T... tak – duka w końcu.

Unoszę brwi i zerkam na Rachael, która kiwa głową.

– W porządku – mówi. Otwiera torebkę i przez chwilę przetrząsa jej zawartość. – W takim razie nie będziesz miała nic przeciwko zrobieniu kilku testów. – Mówiąc to, wyciąga dwa testy ciążowe i macha nimi w powietrzu.

Tiffani jest przerażona. Mrugając wściekle, wpatruje się w kartonowe pudełeczka i krzywi usta, jakby bała się słów, które mogą się z nich wydobyć. Wbija paznokcie w skórę dłoni.

– Nie ma problemu – rzuca piskliwym, drżącym głosem, który zdaje się przeczyć jej słowom.

– My tu sobie posiedzimy i zaczekamy – oświadcza Rachael. Z pełnym napięciem uśmiechem wręcza Tiffani testy.

Tiffani gapi się na opakowania, kiwa głową i kieruje się w stronę łazienki. Krok ma powolny i niechętny, oddech szybki i nierówny. Kiedy dociera do drzwi, kładzie rękę na futrynie i odwraca się do nas. Twarz ma czerwoną, po jej policzkach toczą

się łązy.

– Dobrze! Nie jestem w ciąży! – krzyczy i wybucha płaczem.

Rachael uśmiecha się triumfalnie, ale mnie wcale nie jest do śmiechu. Jestem odrętwiała. Tiffani skłamała. Niedobrze mi na myśl, że zrobiła coś tak żalospnego, i martwi mnie, że zamierzała zwodzić Tylera. Jak długo chciała ciągnąć to przedstawienie? Co zamierzała zrobić? Udać, że poroniła, i mieć nadzieję, że będą żyli długo i szczęśliwie?

– Co z tobą, Tiffani? – syczy Rachael, a mnie przychodzi do głowy to samo. Trzeba być straszną i zdesperowaną osobą, żeby zrobić coś takiego.

Tiffani szłocha, jednak dudniące o parapet krople deszczu zagłuszają odgłosy łkania. Nagle wszystkie dźwięki przybierają na sile, a ja mogę myśleć wyłącznie o Tylerze.

Jest na dole, kompletnie nieświadomy tego, co się tu dzieje, przekonany, że popełnił ogromny błąd. Nie zasługuje na takie traktowanie. Pewnie przejmuje się całą tą sytuacją, zastanawia się, jak powiedzieć o wszystkim Elli, i myśli o tym, co stanie się z Tiffani. Tyle że nie ma powodu, żeby z nią być, bo nic już ich nie łączy.

– Idę powiedzieć Tylerowi – oświadczam. Serce wali mi jak szalone. Wiem, że muszę powiedzieć mu jak najszybciej. Nie ufam Tiffani i nie wierzę, że sama naprawi swój błąd, więc otwieram drzwi od sypialni. – On musi wiedzieć.

– Nie! – krzyczy Tiffani, ale zanim zdąży mnie zatrzymać, wychodzę na korytarz. Jestem zbyt wściekła, żeby zajmować się tym, co robi. Wiem, że zna naszą tajemnicę, ale w tej chwili tak bardzo zależy mi na tym, żeby Tyler poznał prawdę, że nie dbam o to, czy komukolwiek powie.

Kiedy zbiegam na dół, Tyler leży wyciągnięty na kanapie i razem z Jake’iem i Deanem ogląda mecz.

– Tylerze – rzucam na tyle głośno, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. – Muszę z tobą porozmawiać. Teraz. W kuchni. – Najszybciej jak mogę wyrzucam z siebie kolejne słowa i choć brzmia nijako, Tyler wyczuwa w moim głosie napięcie i od razu

wie, że coś się wydarzyło.

Dean patrzy na mnie pytająco, ale odwracam się na pięcie i idę w najdalszy kąt kuchni, tak by nikt nas nie słyszał. Tyler wlecze się za mną w swoich dresach. Na jego twarzy maluje się zdumienie. Kiedy zatrzymuje się tuż przede mną, zerkam ponad jego ramieniem, żeby się upewnić, że Dean wrócił do oglądania meczu.

– Tiffani nie jest w ciąży – szepczę. – Udawała, żebyś do niej wrócił.

Cofa się i patrzy na mnie zdumiony.

– Jak to?

– Właśnie nam powiedziała!

Przez chwilę patrzy na ścianę. Oddycha powoli. Czekam. Czekam, żeby się przekonać, co wyczytam z jego twarzy. Zaciska zęby, zwija dłonie w pięści. Jego twarz tężeje, maluje się na niej wściekłość. Wygląda, jakby siłą woli powstrzymywał się, żeby nie walnąć pięścią w ścianę. Widząc to, kładę mu rękę na ramieniu, ale cofam ją, gdy słyszę na schodach kroki.

Zapłakana Tiffani zbiega na dół i nerwowo zagląda do pokoju. Jake i Dean spoglądają na nią zdumieni, natychmiast zapominając o meczu. Ona jednak odwraca się i maszeruje do kuchni, gdzie czeka na nią Tyler.

Tiffani musi domyślać się, że jest na nią wściekły, bo zalewa się łzami i podbiega do nas.

– Skarbie, proszę, przepraszam – zaczyna stłumionym głosem, przez co trudno ją zrozumieć. – Bardzo, bardzo cię przepraszam!

Próbuje go dotknąć, ale Tyler odsuwa się od niej.

– Jesteś psychopatką! – wrzeszczy tak głośno, że wszystko dokoła milknie.

Rachael stoi na dole schodów. Dean i Jake włączyli pauzę i wyciągają szyje, żeby zobaczyć, o co chodzi.

– Nienawidzę cię! – krzyczy Tiffani, ale dopiero gdy na nią patrzę, widzę, że wcale nie zwraca się do Tylera. Spogląda na mnie. Jej oczy płoną z wściekłości i dobrze wiem, co zaraz się

wydarzy. „Teraz się zacznie”, przebiega mi przez myśl. Zaraz powie o nas wszystkim, bo teraz ma ku temu wszelkie powody.

Zamykam oczy i czekam, aż wyrzuci z siebie prawdę i usłyszę stłumione okrzyki zdumienia, ale nikt nic nie mówi. Kiedy rozchylam powieki, widzę usta Tiffani zaciśnięte w wąską kreskę i czuję na sobie jej wzrok. Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że się uśmiecha.

I nagle dociera do mnie, że wcale nie zamierza im mówić. Przynajmniej na razie. Jeszcze przez jakiś czas zamierza dochować tajemnicy.

To mnie przeraża.

Tymczasem Tiffani znowu uderza w płacz, kryje twarz w dłoniach, odwraca się i biegnie z powrotem na górę, po drodze potrącając Rachael.

Tyler nadal jest wściekły. Wali pięścią w blat i ściska palcami grzbiet nosa. Zamyka oczy i powoli wypuszcza powietrze.

– Wychodzę – mówi. – Nie zostanę tu. To wariatka.

Gdzieś na górze trzaskają drzwi i cała nasza piątka wymienia spojrzenia, nie bardzo wiedząc, jak się zachować w tej sytuacji. Jedynie Tyler wie, co robi. Chwyta leżące na kuchennym blacie kluczyki do samochodu, podchodzi do drzwi i nie mówiąc słowa, otwiera je. Deszcz wdziera się do domu, krople wsiąkają w miękkiego dywan. Chwilę później wychodzi i słyszymy trzask zamykanych drzwi.

Cisza. Tyler wyszedł, Tiffani na górze przeżywa załamanie nerwowe, a my siedzimy w jej domu, próbując zrozumieć, co się właśnie wydarzyło.

– Rozumiem, że jednak nie są razem – rzuca ze śmiechem Jake.

Stojąca w drugim końcu pokoju Rachael patrzy na mnie i unosi brwi. Chyba nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Wygląda jakby się wahała, czy pójść na górę i sprawdzić, co z Tiffani, bo przestępuje z nogi na nogę i nerwowo zerka w stronę schodów.

Gdzieś wśród ulewy słyszę ryk silnika. Przypominam sobie

swoją rozmowę z Ellą i to, co mówiła o Nowym Jorku. Może nie wiem, dokąd jedzie teraz Tyler, ale wiem, dokąd powinien jechać. Do domu.

Otulam się bluzą i szykuję się do biegu. Naciągam kaptur i ruszam do wyjścia, modląc się w duchu, żebym złapała go, zanim odjedzie. Bez słowa otwieram drzwi. Deszcz zacina mi w twarz. Słyszę za plecami głos Rachael, która pyta, dokąd idę, ale jestem zbyt skupiona na samochodzie Tylera, by zwracać na nią uwagę.

Trzymając kaptur, biegnę kamienną ścieżką i zatrzymuję się przy drzwiach kierowcy. Przyciemniane szyby i rześisty deszcz sprawiają, że ledwie widzę, co dzieje się w środku. Pukam w szybę i mrużę oczy, gdy zimne krople spływają mi po policzkach. Leje jak w październikowy poranek w Portland, tylko bardziej.

Tyler opuszcza szybę i krzyczy:

– Wsiadaj!

Okrażam samochód, pospiesznie wślizguję się na fotel pasażera i wzdychając, zamykam za sobą drzwi. Dwadzieścia sekund na deszczu wystarczyło, żebym przemokła do suchej nitki. Zdejmuję kaptur, odsuwam z twarzy mokre kosmyki i patrzę na Tylera.

Włosy ma mokre i zmierzwiłone. Zaciska usta w wąską kreskę i wrzuca bieg.

– Gotowa?

– Nie, Tylerze. – Kręcę głową. Thukące o karoserię krople deszczu brzmią w moich uszach niczym werble. – Ja tam wracam.

Robi minę, jakby chciał powiedzieć, że chyba oszalałam.

– To po cholere wychodziłaś na zewnątrz?

– Bo – dyszę, ocierając twarz wierzchem dłoni – najpierw muszę z tobą porozmawiać, więc słuchaj. Po pierwsze, proszę, nie wracaj nigdy do Tiffani.

– Pieprzyć Tiffani – parska i zaciska palce na kierownicy. – Jest nienormalna.

Patrzę na przednią szybę, na spływające po szkle strugi wody, i przez chwilę czuję się odprężona. Tyler siedzi ze wzrokiem wbitym w kierownicę.

– Tylerze – szepczę, starając się zmusić go, żeby na mnie spojrzał. I rzeczywiście podnosi wzrok. Delikatny rumieniec na policzkach kontrastuje z bledością jego ust. – Proszę, wróć do domu i porozmawiaj ze swoją mamą. Jest teraz sama i wierz mi, z radością przyjmie cię z powrotem. Ma ci coś do powiedzenia. Coś bardzo, bardzo ważnego.

Zaciska zęby i spogląda przez szybę na tonący w deszczu trawnik.

– Nie jestem tam mile widziany – mówi chłodno.

– Mówię poważnie. – Siadam tak, żeby móc spojrzeć mu w oczy. Są pełne życia, a jednak dziwnie spokojne i jestem w stanie wyobrazić sobie, co dzieje się w jego głowie, kiedy rozważa moje słowa. – Po prostu wysłuchaj, co ma ci do powiedzenia. Wróć do domu i zapytaj ją o Nowy Jork.

Ściąga brwi i zerka na mnie z ukosa.

– Nowy Jork?

Wypuszczam powietrze i mówię:

– Porozmawiaj ze swoją mamą.

– Dobrze. – Wzdycha i przeczesuje palcami mokre włosy.

Mam ochotę znowu go pocałować.

Mam ochotę usiąść mu na kolanach, jak wtedy na molo, wbić się ustami w jego usta, jak wówczas, gdy pocałowałam go pierwszy raz przed wyjściem na imprezę urodzinową Meghan, i poczuć na sobie jego dotyk, tak jak czułam go w sobotę.

Chcę tego wszystkiego, ale nie potrafię zdobyć się na żadną z tych rzeczy.

Coś w mojej głowie mówi, że to nie ma sensu. To, że Tyler i Tiffani nie są parą, nie znaczy, że my będziemy razem. Nie możemy. To nierealne i świadomość tego boli mnie najbardziej. Bardziej niż to, że ojciec zostawił mnie i mamę. Bardziej niż okrutne komentarze Alyssy i Holly.

To nie ból.

To agonia.

To wszystko, o czym myślałam przez ostatnie kilka dni. Że w przyszłym miesiącu wracam do domu. Że rodzice zabiliby nas,

gdyby wiedzieli, co się między nami wydarzyło. I że to, co robimy, jest złe, a ja nie potrafię przekonać siebie, że jest inaczej.

Chcę być z Tylerem. Naprawdę. Pragnę tego najbardziej na świecie. Chcę tego bardziej, niż dostać się na uniwersytet w Chicago. Bardziej, niż chcę być chuda. Zrobiłabym wszystko, żeby tak się stało. Ale tak się nie stanie, więc nie ma sensu, żebyśmy tracili czas.

Tyler zauważa moje spojrzenie.

– O co chodzi? – pyta.

– Chciałabym móc całować cię każdego dnia – przyznaję. Siłą woli powstrzymuję łzy. Wiem, że najlepiej będzie, jeśli zakończę to tu i teraz. Z czasem będzie mi coraz trudniej. Wszystko stanie się zbyt skomplikowane. Zbyt złe.

– Możesz. – Jego głos przypomina szept. Oczy patrzą na mnie łagodnie, jakby się bał, że moje ciało rozpęknie się na dwoje pod jego spojrzeniem. – Każdego dnia. Nie miałbym nic przeciwko.

– Ja też – mruczę. Czuję suchość w ustach i zbieram się na odwagę, żeby to zakończyć, żeby raz na zawsze wydusić to z siebie z nadzieją, że będzie mi łatwiej. – I na tym polega problem, Tylerze. Oboje nie mielibyśmy nic przeciwko. A co z innymi?

Potrzebuje chwili, żeby zrozumieć, co chcę mu powiedzieć, i dlatego patrzę na niego z takim smutkiem. Kiedy to do niego dociera, krzywi się z bólu. Przetyka z trudem i odwraca wzrok. Brwi ma ściągnięte, oczy przymrużone.

– Możemy to wszystko jakoś obejść – próbuje, ale głos ma słaby i urywa, jakby musiał nabrać sił. – Znaleźć rozwiązanie. Oni zrozumieją. Może nie od razu, ale w końcu się z tym pogodzą. Poważnie. Damy radę. Razem... Razem nam się uda. – Gestykułuje, recytując niekończącą się listę zapewnień, ale żadne z nich nie jest wystarczająco przekonujące.

– Tylerze. – Uspokaja oddech i słucha. Łzy napływają mi do oczu, bo dokładnie wiem, co zaraz usłyszy. Boję się, że kiedy wypowiem te słowa, wszystko stanie się jeszcze bardziej prawdziwe. – Nie możemy być razem.

I rzeczywiście tak jest. To prawda.

Tyler zagryza zęby, żeby powstrzymać drżenie ust. Powoli kręci głową, zaciska powieki i oddycha przez nos. Przez chwilę po prostu siedzi, trzymając się najlepiej, jak potrafi. Wierzchem dłoni ocieram łzy, które toczą się po moich policzkach. Płacz sprawia, że wszystko wydaje się jeszcze gorsze, niż jest w rzeczywistości.

Tyle że gorzej już być nie może. I dlatego wolno mi płakać. Wolno mi gapić się na drżące usta Tylera i czuć się, jakbym umierała w środku. Wolno mi, bo naprawdę umieram. Moje ciało popada w odrętwienie. Klatka piersiowa zapada się w sobie. Serce się kurczy.

W końcu Tyler otwiera oczy. Szmaragdowy blask zgasł, źrenice się rozszerzyły. Bierze głęboki oddech i powoli wypuszcza powietrze. Nerwowo szarpie końcówki włosów.

– Powiedz, że to nieprawda – szepcze.

Jego reakcja sprawia, że przestaję panować nad łzami, które bez końca wzbierają w moich oczach i spadają tak szybko, że nie nadążam z ich ocieraniem.

– Po prostu nie możemy – oznajmiam schrypniętym głosem. Mówienie sprawia mi ból.

– Nie rób tego. Przysięgam na Boga, Eden – błaga. Głos mu się łamie, odwraca głowę w stronę okna. Jego oddech osiada mgiełką na szkle. – Zaszliśmy tak daleko. Nie możesz się teraz poddać.

– Musimy. – Nie obchodzi mnie, że wyglądam jak siedem nieszczęść. Bełkoczę bez ładu i składu i nie potrafię wziąć się w garść. Chcę być silna i zrobić to, co należy, ale nie umiem. Jestem słaba.

Nagle się odwraca. W jego ruchach i słowach wyczuwam zniecierpliwienie.

– Powiedz, co mam zrobić, a zrobię to. Wszystko naprawię. – Jedną ręką ściska kierownicę, drugą wyciąga, żeby dotknąć mojego kolana.

Patrzę na jego palce. Gapię się na jego rękę, powstrzymując zółć, która podchodzi mi do gardła.

– Proszę, nie utrudniaj – mówię, nie podnosząc wzroku.

– Chcę być z tobą – szepcze. Chwyta mnie za rękę i ściska ją mocno na wypadek, gdybym próbowała się wyrwać. Splata palce z moimi. Nie mam wyjścia, muszę na niego spojrzeć, muszę popatrzeć w jego pełne łez oczy. Nigdy nie widziałam go tak... rozdartego. – Nie rozumiesz? Nie chodzi o to, że pozwalasz mi zapomnieć. Taki właśnie jestem, Eden. Oto cały ja. Taki, jakim widzisz mnie teraz. Sprawiasz, że jestem kompletnie rozbity, ale to nic, bo taki właśnie jestem. Rozbity. Uwielbiam to, że przy tobie mogę być sobą. Bo ci ufam. Jesteś jedyną osobą, której zależało na mnie na tyle, żeby próbować mnie rozgryźć.

– Nadal będzie mi na tobie zależało – mówię. Łzy, które nieustannie napływają mi do oczu, sprawiają, że wszystko dokoła wydaje się rozmazane i nierzeczywiste. – Ale jak przyrodniej siostrze.

– Eden – powtarza błagalnie i jeszcze mocniej ściska moją dłoń, jakby bał się ją wypuścić. – A ubiegły weekend? My... Czy to nic dla ciebie nie znaczyło? Czy to całe cholerne lato było dla ciebie niczym?

– Nie – odpowiadam. Patrzę na nasze ręce, na to, jak idealnie do siebie pasują. Żołądek skręca mi się w supeł. – Wiele się nauczyliśmy.

– To nie w porządku! – krzyczy i wali ręką w kierownicę. Ściska ją tak mocno, że bieleją mu kłykcie. – Powiedziałem ci o sobie wszystko. Wyjawilem ci prawdę. Zerwałem z Tiffani, która pewnie już teraz zastanawia się, w jaki sposób zrujnować mi życie, ale mam to gdzieś, bo myślałem, że będzie warto. Wierzyłem w to, bo myślałem o tobie. Byłaś najważniejsza. Wiesz, o czym myślałem, kiedy wychodziłem z tego domu? W końcu będę mógł być z Eden. – Milknie, przeciera oczy i wypuszcza powietrze. Jego pierś unosi się i opada. Kładzie obie ręce na kierownicy i spogląda na toczące się po szybie krople deszczu. – A ty wychodzisz i mówisz, że wcale tego nie chcesz.

– Jeśli myślisz, że łatwo mi to mówić, to się mylisz. Wcale nie jest mi łatwo i robię to wyłącznie dla naszego dobra. – Próbuję

zmusić go, żeby na mnie spojrzął, ale na próżno. Tyler gapi się na tonący w deszczu podjazd przed domem Tiffani, bo lejące się z nieba strugi wody są niczym w porównaniu z burzą, która rozpętała się w samochodzie. – Nie chcę patrzeć, jak cierpisz, jeśli coś pójdzie nie tak. Co zrobisz, jeśli nasi rodzice dowiedzą się o wszystkim i nas znienawidzą? To nie jest właściwy czas. Nie udźwigniemy tego ciężaru. Musisz uporządkować swoje życie i wyjechać do Nowego Jorku. Nie potrzeba ci kolejnych problemów.

– O co, do diabła, chodzi z tym Nowym Jorkiem? – krzyczy poirytowany. – Czemu nie możesz mi powiedzieć?

– Bo chce to zrobić twoja mama. – Mój głos przypomina urywany szloch. Pociągam nosem, żeby uspokoić oddech i wziąć się w garść. To jednak nie pomaga. – Cokolwiek jest między nami, od tej pory musimy to ignorować. Trzeba to zakończyć, zanim zabrnijemy za daleko.

Kręci głową i zaciska powieki. Deszcz bębni o szyby, głośno i nieustępliwie.

– Jeśli tego właśnie chcesz – odzywa się w końcu niskim, gardłowym głosem. Wiem jednak, że jest temu przeciwny równie mocno jak ja. – Jeśli naprawdę chcesz, żebyśmy zaczęli to ignorować... Chyba nie mam wyjścia.

Wzdycham. Pragnę, by to wszystko okazało się sennym koszmarem. Chcę obudzić się w Portland, odkryć, że nigdy nie byłam w Santa Monica i nie mam przyrodniego brata imieniem Tyler. Nie chcę, żeby cokolwiek z tego, co się wydarzyło, okazało się prawdą. To zbyt bolesne, by było prawdziwe.

Tyler spogląda na mnie. Nie mogę znieść widoku jego oczu, smutnych i przepelnionych emocjami, ale nie potrafię odwrócić wzroku. Jego oddech, głośniejszy od deszczu, przyspiesza, kiedy Tyler pochyla się w moją stronę. Wiem, o czym myśli i ja również chcę go pocałować. Dlatego robię to ze świadomością, że to ostatni raz.

Odwracam się w jego stronę i delikatnie obejmuję go za szyję. Wszystko to dzieje się tak nagle, że nie potrafię się powstrzymać. Myślę o dniu, kiedy zabrał mnie na molo, i o tym,

jak całowaliśmy się w jego samochodzie. I tak jak wtedy przyciskam usta do jego warg.

Mam wrażenie, że wszystko odbywa się w zwolnionym tempie. Tyler obejmuje mnie w talii i przyciąga do siebie, nawet na chwilę nie przestając mnie całować. Niemal czuję na ustach jego westchnienie. To straszne całować go, wiedząc, że nigdy więcej tego nie zrobię, ale jest też w tym jakiś spokój. Świadomość, że coś dobiega końca.

Bębnienie deszczu wwierca nam się w uszy. Jesteśmy przemoczeni, moje włosy lepią się do twarzy i rąk Tylera, który jeszcze chwilę temu był bliski załamania, a ja wypłakałam już tyle łez, że można byłoby wypełnić nimi sadzawkę w ogrodzie. Wszystko jest takie pogmatwane.

Oto jak wygląda nasza sytuacja.

I z tego powodu jest idealna.

Kiedy odrywa usta od moich ust, żołądek podchodzi mi do gardła. Nie chcę wypuszczać go z objęć. Z twarzą przy jego twarzy oddycham mu w policzek. Oczy mam zamknięte, więc nie wiem, czy on wciąż zaciska powieki.

– Przyrodnie rodzeństwo – szepczę. Wymawiam każde słowo powoli, ostrożnie. – Nic więcej.

– Nic więcej – potwierdza ze spuszczoną głową i odsuwa się ode mnie. Spogląda w okno i kładzie rękę na kierownicy. Chyba w końcu dał za wygraną.

Naciągam kaptur, zakładam za uszy wilgotne kosmyki i odwracam się w stronę drzwi. Chwytam za klamkę i czekam chwilę, żeby zobaczyć, czy coś powie, ale milczy, więc wysiadam z samochodu.

I tak po prostu odchodzę od niego. Od nas.

Zamykam drzwi, żeby deszcz nie nalał się do środka, i przecinam trawnik. Zerkam przez ramię. Zimne krople chłoszczą mnie po twarzy, ale widzę jeszcze, jak samochód Tylera odjeżdża i kieruje się na zachód. Mam nadzieję, że jedzie do domu. Stoję na podjeździe w ulewnym deszczu, czekając, aż stracę go z oczu.

Najlepsze w deszczu jest to, że można płakać do woli, a

ludzie i tak pomyślą, że to krople ściekają ci po twarzy. Po moich policzkach łzy spływają strumieniami i wsiąkają w materiał bluzy. Odwracam się i biegnę w stronę drzwi. Na szczęście Dean otwiera je przede mną. Zatrzymuję się tuż za progiem i ocieram twarz. Mój niedbały kok przechylił się na jedną stronę.

– Oszalałaś? – pyta ze śmiechem. – Zaczekaj, przyniosę ręcznik.

Biegnie do drugiego pomieszczenia, prawdopodobnie łazienki, podczas gdy ja czekam, ociekając wodą, obok pokoju gościnnego. Zauważam, że Jake i Rachael zniknęli. Dom wciąż pachnie popcornem, w tle słyszę niski głos komentatora sportowego. Chwilę później wraca Dean z wielkim białym ręcznikiem. Rozkłada go i zarzuca mi na ramię. Okrywam się nim i wycieram twarz. Czuję się, jakbym tonęła w bieli.

Dean nadal się uśmiecha, ale im dłużej mi się przygląda, tym bardziej jego uśmiech przygasa.

– Wszystko w porządku? – pyta, marszcząc brwi.

– Nic mi nie będzie – zapewniam, choć to nieprawda. Czuję się zraniona i zdruzgotana. Nie wiem, czy kiedykolwiek dojdę do siebie, ale Dean nie może o tym wiedzieć, więc pociągam nosem i wskazuję głową schody. – Są z Tiffani?

– Jake i Rachael? Tak. – Zagryza wargi i parska śmiechem. – Kiepski ze mnie przyjaciel, skoro stoję tu, zamiast oferować moralne wsparcie, ale właśnie wychodziłem.

– Wychodziłeś? – powtarzam. – Dokąd?

– La Breve Vita grają dziś w centrum – mówi szeptem. Podoba mi się sposób, w jaki mamrocze, i to, że wstydzi się swojej fascynacji zespołem. Dzięki niemu zapominam o tym, co wydarzyło się chwilę temu. – Zamierzałem wpaść po filmie na koniec koncertu, ale w tej sytuacji pojedę tam od razu. Możesz zabrać się ze mną. Oczywiście, jeśli chcesz. Pewnie masz do roboty ciekawsze rzeczy, a poza tym wyglądasz na zdenerwowaną, ale jestem pewien, że poprawiliby ci humor.

– Pojadę. – Uśmiecham się i rozpuszczam włosy, żeby osuszyć je ręcznikiem. Nagle obsesja Tylera na punkcie

zapomnienia zaczyna nabierać sensu. Tym razem to ja szukam ucieczki w towarzystwie Deana, bo im mniej człowiek myśli o tym, co go gnębi, tym lepiej się czuje. – Naprawdę ich lubię.

– Jesteś pewna? – Przechyliła głowę i przygląda mi się z uwagą.

– To tylko woda. – Wzruszam ramionami. Kładę ręcznik na podłodze i ściągam wilgotne włosy w koński ogon. W tej chwili kompletnie nie dbam o to, jak wyglądam. Pięką mnie oczy i policzki. – Wyschnę po drodze.

Dean wygląda, jakby miał zamiar zaprotestować, ale rozciąga usta w uśmiechu i wyciąga kluczyki.

– Teraz będziesz musiała tam wrócić.

Biorę więc ręcznik, rozkładam go nad głową jak prowizoryczny parasol i biegnę do samochodu. Tuż za mną biegnie Dean. Chwilę później oboje siedzimy już w środku, ogrzewanie działa pełną parą, w głośnikach rozbrzmiewa trzeci album La Breve Vita, a Dean rzuca dowcipami o ręczniku, które nie są zabawne, ale i tak się śmieję.

– Widzisz, miałem rację co do burzy. – Pochyliła się nad kierownicą i przez chwilę spogląda w niebo. Wypuszcza powietrze i opada na fotel kierowcy. – Zawsze jest tak samo. Istne szaleństwo.

– Jak długo to potrwa? – pytam. Patrę na wycieraczki, które nie radzą sobie z taką ilością wody, choć pracują na najwyższych obrotach. Leje tak od samego rana.

– Cały dzień – informuje mnie, ścisza kierownicę i skupia się na drodze. – Naprawdę trudno powiedzieć.

Koncert odbywa się w tym samym miejscu co poprzednio. I tak jak wtedy podłoga usłana jest plastikowymi kubkami, a w powietrzu unosi się ten sam zapach wody kolońskiej. Kluczemy w mroku i stajemy pod ścianą w drugim końcu sali. Tutaj nikt nikogo nie popycha. Wzruszam ramionami, pogodzona z myślą, że szybko nie wyschnę. Zaczęłam wysychać w samochodzie, ale, oczywiście, musiałam znowu wyjść na deszcz. Na szczęście wszyscy tu są równie przemoknięci jak ja i nikt nie zwraca na to uwagi.

– Chłopaki pracują obecnie nad nową płytą – mówi Dean, próbując przekrzyczeć hałas. Zespół jest już na scenie, ale ma kilkuminutową przerwę, żeby napić się wody i nastroić gitary. – Ukaże się w styczniu. Nie mogę się doczekać, bo zapowiada się świetny materiał!

Podobają mi się jego emocje i entuzjazm. To urocze, że tak bardzo się tym ekscytuje. Oczy mu błyszczą, nagle jednak odwraca wzrok i nerwowo masuje kark, jakby się wstydził swojej reakcji.

Przyjechaliśmy akurat przed rozpoczęciem kolejnego utworu i widzę, jak wokalista podchodzi do mikrofonu. Mrużąc oczy, patrzy na zgromadzony pod sceną niewielki tłum.

– To niesamowite, że przyszliście tu dziś mimo tak beznadziejnej pogody – chichocze. – A jeszcze bardziej niesamowite jest to, że przyszliście tu dla nas. Zagramy teraz jeden z moich ulubionych kawałków z drugiego albumu. – Tłum klaszcze w oczekiwaniu na kolejną piosenkę. Dean wbija wzrok w scenę i zagryza wargi. – Napisaliśmy ten utwór kilka lat temu. Najdziwniejsze jest to, w jakich okolicznościach powstał. – Wierzchem dłoni ociera pot z czoła, przechyla głowę i zaczyna krążyć po scenie. – Miałem przyjaciela... Nazwijmy go Bobby. A więc ten przyjaciel, Bobby, był zajebistym facetem. Chodziłem z nim do college'u i mieszkaliśmy w jednym akademiku. Bobby studiował prawo. I wiecie co? Koleś nienawidził prawa. Chciał pracować w teatrze muzycznym, ale poszedł na prawo. A wiecie dlaczego? Bo społeczeństwo to kupa gówna. – Kręci głową i urywa na chwilę. – Bobby się uparł, żeby ukończyć te studia. Zmarnował cztery lata życia, robiąc coś, czego nie chciał, bo w liceum ludzie szydzili z niego i jego zainteresowań. Wiecie, jak dziś czuje się Bobby? Jest wkurzony, że studiował to cholerne prawo. Tak więc pieprzcie to, co ludzie mówią i myślą na temat waszych decyzji. Jeśli jesteście homoseksualni, nie wstydźcie się tego. Jeśli chcecie otworzyć pieprzony sklep z farbami, zróbcie to, do cholery. Przestańcie się wzbraniać przed byciem sobą. – Odchrząkuje, zatrzymuje się na środku sceny i ogarnia wzrokiem publiczność. – Jeśli jeszcze się nie domyślacie, co teraz zagramy,

posłuchajcie *Holding Back* . Miłego słuchania. *Tanto amore* . Wiele miłości.

Nie wiem, co takiego jest w tym zespole, ale nagle kocham ich jeszcze bardziej. Już wcześniej lubiłam tę piosenkę i rozumiałam jej przesłanie, ale szczerłość frontmana sprawiła, że jeszcze bardziej doceniam ten tekst i utożsamiam się z nim. Słuchając go, zastanawiam się, czy postąpiłam właściwie. Może powinnam była wrócić do domu i powiedzieć Tylerowi, że popełniłam błąd, bo naprawdę chcę, żebyśmy byli razem. Jednak w głębi duszy wiem, że musimy się powstrzymać. Nie mamy wyjścia. Łzy napływają mi do oczu, kiedy słucham tej piosenki. Jest zaprawiona kroplą goryczy.

Kłuje mnie w sercu, ale zagryzam wargi i patrzę na scenę. Do gitary dołącza bas, a zaraz potem perkusja. Wkrótce ogarnia nas fala muzyki, ogłuszająca, a przez to jeszcze bardziej ekscytująca. Czuję, jak wibruje w moim ciele, przyprawia mnie o gęsią skórę i sprawia, że włoski na karku stają mi dęba.

I nagle Dean bierze mnie za rękę.

Zaskakuje mnie, ale ma ciepłą skórę, delikatnie ściska moją dłoń i kciukiem rysuje na niej koła. Nie cofam ręki. Po części dlatego, że się tego nie spodziewałam i nie wiem, co o tym myśleć, po części zaś dlatego, że jego dotyk... dodaje mi otuchy. Przy Deanie zawsze czuję się swobodnie. A teraz, jak nigdy, potrzebuję pocieszenia.

Kiedy zerkam na niego kątem oka, patrzy na scenę i kiwa głową w rytm muzyki. Ale przede wszystkim się uśmiecha.

Epilog

Dziesięć miesięcy później

Gdyby rok temu ktoś powiedział mi, że będę kończyła liceum w Santa Monica, a nie w Portland, nigdy bym mu nie uwierzyła. Wyśmiałabym go. A jednak jestem tu, pakuję do szafki podręczniki do biologii i szukam kluczyków samochodowych. Kiedy je znajduję, widzę Rachael, która macha do mnie z drugiego końca korytarza.

– Kolejny dzień za nami! – oświadcza z uśmiechem. Podnosi rękę i pokazuje mi dwa palce. Wczoraj pokazywała trzy, a przedwczoraj cztery. – Dwa dni do końca roku!

– Jasne, dla ciebie – mruczę, udając, że jestem wkurzona, ale zaraz przewracam oczami i parskam śmiechem. Rachael odliczała dni od świąt Bożego Narodzenia i opanowała do perfekcji podrzucanie czapki, więc odpuszczam jej, chociaż nie mogę znieść myśli, że już pojutrze skończy szkołę. – Kiedy będziesz w college’u, pomyśl czasem o najlepszej przyjaciółce, która tu została.

– Jesteś naszym maleństwem – grucha i wyciąga rękę, żeby poklepać mnie po głowie. Odsuwam się i posyłam jej wściekle spojrzenie. Rozglądam się po korytarzu, żeby się upewnić, że nikt niczego nie zauważył, ale Rachael chichocze i sznuruje usta z miną niewiniątka. – Musisz kultywować nasze tradycje – mówi. – Masz zapisywać moje imię na każdej kabinie toaletowej, żebym przeszła do historii tego budynku. Chcę, żeby ludzie, którzy przyjdą tu za pięć lat, wiedzieli, że kiedyś chodziłam tymi korytarzami.

– Obawiam się, że ludzie mają to gdzieś. – Słyszac to, żartobliwie trąca mnie w ramię i uśmiecha się półgębkiem. Wiem, co znaczy ta mina, więc wzdycham i zadaję pytanie, na które dobrze znam odpowiedź. – Nadchodzi Tiffani, tak?

Rachael pospiesznie kiwa głową, a kiedy się odwracam, widzę to, co zawsze. Tiffani i Jake idą, trzymając się za ręce. Nie dziwi mnie to. Naprawdę myślę, że dobrana z nich para. Pozostali uczniowie są chyba tego samego zdania, a inne dziewczyny cały czas powtarzają Tiffani, jak bardzo jej zazdroszczą, na co zwykle odpowiada olśniewającym uśmiechem. Spotykają się już od jakiegoś czasu. Tyler już dawno został skreślony z jej listy „rzeczy, które trzeba mieć”.

– Cześć – rzuca Tiffani, a Jake pozdrawia nas dyskretnym skinieniem głowy. Nie zatrzymują się jednak. Nigdy się nie zatrzymują, bo Tiffani i ja nie rozmawiamy ze sobą. Jesteśmy wobec siebie uprzejme, tak samo jak Tyler i Jake (choć stosunki między nimi są jeszcze bardziej napięte), ale się nie przyjaźnimy. Rachael i Meghan starają się spotykać z każdą z nas osobno. Na szczęście Tiffani dostała się na Uniwersytet Kalifornijski, więc już jesienią wyjedzie do Santa Barbara. Tymczasem Jake będzie studiował na Uniwersytecie Stanowym Ohio. Ciekawa jestem, jak długo wytrzyma ich związek. Daję im miesiąc.

Kiedy znikają za drzwiami, Rachael odwraca się w moją stronę i oddycha swobodnie.

– Pociesz się myślą, że nie będziesz musiała codziennie jej widywać – mówi.

Na tym polega problem, kiedy człowiek przyjaźni się z ludźmi starszymi od siebie. Rachael, Meghan, Tiffani, Jake, Dean i Tyler ukończą w czwartek liceum, a ja tu pozostanę. Będę musiała przebrnąć przez ostatnią klasę, zanim sama przekonam się, jak wygląda studenckie życie. Tymczasem jestem skazana na towarzystwo swoich rówieśników, których poznałam przez ostatni rok. Może nie są moimi najlepszymi przyjaciółmi, ale to naprawdę fantastyczni ludzie.

Obracam kluczyki na palcu i kieruję się w stronę drzwi. Rachael podąża obok mnie, zerkam więc na nią kątem oka. Dzięki Bogu, że idzie na Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles. Tylko ona i Dean nie wyprowadzają się z Santa Monica.

– Spotykasz się dziś z Trevorem?

– Chyba tak. – Na sam dźwięk jego imienia rozpromienia się. Mimo że są parą, Rachael nadal jest w nim nieprzytomnie zadurzona, jakby ciągle starała się zwrócić na siebie jego uwagę. W obecności Trevora czerwieni się i uśmiecha. – Meghan mówiła, że Jared przyjeżdża do miasta, żeby się z nią spotkać.

– Gdzie jest Meg? – pytam, kiedy wychodzimy na zalany słońcem parking przed szkołą. Jest prawie pusty, po lekcjach wszyscy rozjeżdżają się do domów. – Nie widziałam jej.

– Po lunchu zerwała się z lekcji – informuje mnie Rachael, kiedy podchodzimy do zaparkowanych obok siebie samochodów. Otwiera drzwi volkswagena i rzuca torbę na fotel. Sama ociąga się przez chwilę i spogląda na mnie ponad dachami samochodów. – Widzimy się jutro rano?

Kiedy kiwam głową, przesyła mi pocałunek, a ja udaję, że łapię go w locie.

– Miłego wieczoru z Trevorem! – wołam, sadowiac się na fotelu kierowcy. Kierownica parzy mnie w dłonie, więc dotykam jej czubkami palców i wyjeżdżam z parkingu na ulicę.

Na szczęście dom mamy znajduje się w północnej części regionu Montana, podobnie jak dom ojca. Dobrze, że mieszkają blisko siebie, dzięki temu nie muszę kursować między jednym a drugim końcem miasta. Jadąc Deidre Avenue, mijam dom taty, zerkam w lusterko wsteczne i widzę, że Rachael zjeżdża z drogi i parkuje na podjeździe. Kiedyś żartowałyśmy, że będziemy się nawzajem podwozić, bo jeździmy dokładnie tą samą drogą, tyle że moja trwa kilka minut dłużej, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. A teraz jest już za późno.

Opuszczam szybę, żeby wpuścić odrobinę świeżego powietrza, zakładam okulary przeciwsłoneczne i kiwam głową w rytm nowego singla La Breve Vita – optymistycznego kawałka z chwytliwym refrenem, który chodzi za mną od kilku dni. Słucham go na okrągło.

Przed domem mamy nie ma żadnych samochodów. Nie dziwi mnie to. Oboje z Jackiem są w pracy, jak zwykle w tygodniu, kiedy wracam do domu. Parkuję na podjeździe, gaszę silnik i

wychodzę na palące słońce. Dzień jest wyjątkowo upalny. Ocieram pot z czoła, wydaję z torby klucze i otwieram drzwi.

Zawsze uważałam, że dom mamy jest bardziej przytulny od domu ojca. Pokochałam go, odkąd znalazła go w ubiegłym roku. Podoba mi się, że jest mały i ma tylko dwie sypialnie, uroczą werandę i kominek. To idealne miejsce dla mnie i mamy. A teraz także dla Jacka. Wprowadził się miesiąc temu i zaczynam przyzwyczajać się do jego obecności.

Już w progu wita mnie Gucci. Podbiega do mnie z wywieszonym językiem, dudniąc łapami po drewnianej podłodze. Gdy się pochylam, żeby podrapać ją między uszami, płacze się pod nogami i obwąchuje ubrania. To uroczy owczarek niemiecki. Okazało się, że mama mówiła poważnie, kiedy w ubiegłym roku wspominała o kupnie psa. Cudownie było wrócić do Portland i zastać tam uroczego szczeniaka. To mama wybrała imię. Powiedziała, że miała nadzieję, iż dzięki temu Gucci poczuje się dobrze w Los Angeles. Potrzebowałam trochę czasu, żeby zrozumieć, co miała na myśli.

Akurat gdy mama rozważała przeprowadzkę do Kalifornii, okazało się, że w Saint John's Hospital Center, w samym centrum miasta, zwolnił się etat. I jakby tego było mało, to właśnie ona dostała tę pracę. Pensja jest lepsza, a zmiany bardziej dogodnie, tak więc mama nie jest już taka zmęczona. Uśmiecha się cały czas i wiem, że to zasługa kilku czynników: Jacka, nowej pracy i Gucci. Przeprowadzka naprawdę wyszła jej na dobre.

– Obyś miała ochotę na spaghetti z klopsikami, bo to wszystko, na co stać mnie dziś wieczorem – prychnęła, wchodząc do salonu. Zdjęła strój pielęgniarki i przebrała się w domowe ubrania, ale włosy wciąż ma upięte w staranny kok. Uśmiecha się, widząc Gucci, która skacze na nią z radości.

– Jest podekscytowana – stwierdzam, wskazując głową oszalałe zwierzę, które ślini się i próbuje lizać mamę po twarzy, ona jednak trzyma je na odległość. – Wyprowadzałaś ją przed pracą?

– Nie, o mało się nie spóźniłam. – Prostuje się i strzepuje ze

spodni psią sierść. Podwija rękawy i wskazuje głową wiszącą przy drzwiach smycz. – Wyjdiesz z nią? Ja zajmę się kolacją.

Zgadzam się. Pogoda jest piękna, a ja jestem znudzona i chętnie odwiedzę kilka osób. Zostawiam mamę w kuchni, biorę Gucci na smycz i wychodzę na dwór. Gucci wrywa się do przodu. Jest silniejsza ode mnie i jak zwykle ciągnie mnie za sobą. Kiedyś zabrałam ją na przebieżkę, ale skończyło się tym, że po dziesięciu minutach wróciłam zziębnięta, bo nie mogłam za nią nadążyć.

Musiałam zawrócić, zanim do reszty by mnie wykończyła.

Dziesięć minut później docieramy do domu Deana. Zamiast wejść do środka, tak jak robię to zawsze, staram się wymyślić coś nowego. Sięgam więc po telefon i wybieram jego numer. Słucham monotonnego sygnału oczekiwania i patrzę w okno sypialni.

– Eden – wita mnie.

Uśmiecham się na dźwięk jego głosu.

– Wyjdź na dwór. Gucci chce cię zobaczyć. – Słyszając swoje imię, Gucci strzyże uszami i kieruje na mnie duże, szkliste oczy.

Dean śmieje się i choć tak samo śmiał się wczoraj, kiedy byliśmy w kinie, mam wrażenie, że nie słyszałam tego śmiechu od kilku dni. Nie sądzę, żeby kiedyś mi się znudził.

– Już idę – rzuca i się rozłącza.

Wsuwam telefon do kieszeni i poklepuję Gucci po głowie.

– Dobra robota, piesku. – Siada przy mojej nodze na trawniku i merdając ogonem, czeka, aż Dean wyjdzie z domu. Strużki potu spływają mi po czole.

Drzwi wejściowe otwierają się i Dean poklepując się po udach, woła:

– Gucci!

Wie, że nienawidzę, kiedy tak robi. Zanim zdążę puścić smycz, Gucci rzuca się do przodu z taką siłą, że mało nie wrywa mi ręki ze stawu. Przecina pędem trawnik i skacze na Deana.

– Z kim się umawiasz? – pytam. Słyszając to, uśmiecha się krzywo i odsuwa od siebie psa. Bierze smycz i podchodzi do mnie.

– Ze mną czy z nią?

– Zdecydowanie z tobą – odpowiada. Wolną ręką obejmuje

mnie w pasie, przyciąga do siebie i całuje w usta. Pocałunki Deana są delikatne i głębokie, a on uśmiecha się między nimi, tak jak teraz. Czuję, jak jego usta rozciągają się w uśmiechu. – Jedno jest pewne, całujesz lepiej od psa.

Parskam śmiechem, na co odsuwa się ode mnie i wręcza mi smycz.

– Zmartwiłabym się, gdyby było inaczej.

Hugh, ojciec Deana, wystawia głowę zza drzwi i macha do mnie. Ma na sobie umazany smarem granatowy kombinezon, a to oznacza, że niespełna kwadrans temu wrócił do domu. Hugh jest właścicielem warsztatu samochodowego, w którym Dean będzie pracował po ukończeniu szkoły. Przed pójściem na studia zamierza zrobić sobie rok przerwy i cieszę się, że zostanie w Santa Monica, kiedy ja będę w ostatniej klasie liceum.

– Mam wpaść później?

– Jasne. – We wtorkowe wieczory mama i Jack wychodzą z domu, żeby dać nam trochę swobody. Mama nazywa je „Deanowymi wieczorami”.

– Super. – Sięga do kieszeni, wyciąga portfel i przegląda banknoty. – Masz – mówi i wręcza mi pięciodolarówkę, którą dajemy sobie od roku. Każdy pretekst jest dobry, żeby ją oddać. – Pięć dolców za to, że pozwoliłaś mi zobaczyć psa.

Przewracam oczami, chowam banknot do kieszeni, owijam smycz wokół ręki i wyglądam na ulicę.

– Zajrzę jeszcze do taty. Widzimy się wieczorem.

Całuję go w kącik ust. Kiedy Dean znika za drzwiami, Gucci ogląda się za nim i muszę siłą ściągać ją z trawnika. W końcu daje za wygraną i kierujemy się w stronę domu, w którym mieszka mój tata.

To tylko pięć minut szybkim marszem, co nie jest trudne, zwłaszcza że Gucci ciągnie mnie za sobą. Kiedy docieramy na miejsce, widzę trzy samochody zaparkowane na podjeździe: lexusa, range rovera i audi – znak, że wszyscy są w domu. Tyler również. Serce wali mi jak szalone.

Podchodząc do drzwi wejściowych, słyszę śmiech i głosy

dobiegające z ogrodu za domem, więc kieruję się w stronę furtki. Chase jest w basenie, ojciec próbuje rozpać grilla, a Jamie ugania się za piłką. Widząc to, Gucci zaczyna szczeać i próbuje wyrwać się do przodu, ale przytrzymuję ją za obrożę.

– Eden! – Tata podnosi wzrok i wita mnie skinieniem głowy. Sprawia wrażenie szczerze ucieszonego moim widokiem. Nigdy nie usiedliśmy i nie rozmawialiśmy o tym, co wydarzyło się w ubiegłe wakacje, i nadal jestem na niego zła, ale ostatnio dokłada wszelkich starań, żeby poprawić nasze relacje. Może między nami nigdy nie będzie tak jak kiedyś. A może potrzeba czasu, żeby wszystko wróciło na właściwe tory. Na razie oboje próbujemy. – Głodna? Przygotowujemy ucztę. – Kiedy go słucham, przypominam sobie dzień, w którym przyjechałam do Santa Monica i pierwszy raz zobaczyłam Tylera. Mam wrażenie, że od tej pory minęło dziesięć lat.

– Mama szykuje kolację – rzucam pospiesznie, bo wciąż próbuję poskromić Gucci. Patrzę błagalnie na Jamiego. – Proszę, Jamie, schowaj na chwilę tę piłkę.

Mój przyrodni brat przewraca oczami i przez otwarte drzwi wrzuca piłkę do domu. Spuszczam Gucci ze smyczy, a ona jak szalona zaczyna ganiać po ogrodzie.

– Jest Tyler? – pytam głównie dlatego, że nie miałam okazji porozmawiać z nim w szkole. Poza tym jestem ciekawa, co robi, o czym myśli i czy nadal lubi watę cukrową tak samo jak przejażdżki kolejką górską w wesołym miasteczku.

Tata nie podnosi wzroku znad grilla, ale macha ręką w stronę domu.

– Na górze – mówi.

Zostawiam Gucci w ogrodzie pod okiem Jamiego i wchodzę do domu, który jest także moim drugim domem. Przez ostatni rok bywałam tu coraz częściej i traktuję Jamiego i Chase’a jak młodszych braci. Ella nigdy nie zajmie miejsca mojej mamy, ale wiem, że mogę na nią liczyć. A tata... Cóż, tata to tata. Co tydzień mieszkam u innego z rodziców, żeby spędzać z nimi jednakową ilość czasu, bo tak naprawdę kocham ich oboje.

– Eden! Przyszłaś na grilla? – Ella stoi przy kuchennej wyspie i nalewa sok do dzbanków. Widząc mnie, uśmiecha się ciepło. Wciąż ma na sobie kostium, od którego żakiet wisi na oparciu krzesła za jej plecami, tak więc jest w domu od niedawna. Pół roku temu wróciła do pracy.

– Nie dziś – odpowiadam. – Wyszłam na spacer z psem i pomyślałam, że wpadnę. Tyler jest na górze, tak?

– Tak. Pakuje się. – Wzdycha, ale nie przestaje się uśmiechać.

Mimo że serce pęka mi na myśl o tym, że wyjedzie, wychodzę z kuchni i wbiegam na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Pokoje toną w blasku słońca. Drzwi do sypialni Tylera są uchylone i wylewa się z nich smuga światła. Otwieram je na całą szerokość.

Na łóżku leżą otwarte walizki, do połowy wypełnione ubraniami, poza tym pokój jest pusty. Reszta rzeczy została wywieziona i czeka na niego w mieszkaniu w centrum Manhattanu. Tyler wychodzi z łazienki i uśmiecha się do mnie.

– Cześć – mówię.

– Cześć.

Zapada cisza, jak zawsze, gdy się spotykamy. Nie jest ona jednak niezręczna. Z czasem przyzwyczailiśmy się do niej. To tak, jakbyśmy musieli się przygotować na wypadek, gdyby któreś z nas zrobiło albo powiedziało coś, czego nie powinniśmy robić ani mówić. To moment na założenie masek, silenie się na odwagę i przekonywanie samych siebie, że nie jesteśmy w sobie zakochani.

Ignorując spocone dłonie i galopujące serce, patrzę na walizki i przenoszę wzrok na Tylera.

– Możesz uwierzyć, że naprawdę przeprowadzasz się do Nowego Jorku?

Trzeba go było przekonywać do tego pomysłu, ale się udało. W poniedziałek wylatuje do Nowego Jorku, gdzie będzie mieszkał przez kolejny rok, podróżował wzdłuż Wschodniego Wybrzeża, opowiadał swoją historię i pomagał innym. W czwartek kończy liceum ze średnią 3,3. Od ośmiu miesięcy nie tknął narkotyków.

Ostatni raz podniósł na nas głos rok temu. Teraz, kiedy wszyscy znają prawdę i rozumieją go, jest tak, jakby ktoś zdjął mu z ramion ogromny ciężar. Prawda wyszła na jaw po pojawieniu się informacji, że Tyler wyjeżdża na drugi koniec kraju. Od tego czasu Rachael jest dla niego znacznie miłsza.

– To jakieś szaleństwo. – Wzrusza ramionami i wrzuca do walizki kolejny stos ubrań. – Jutro przewiozą samochód i to chyba koniec przeprowadzki.

– Dziwnie będzie nie widzieć cię przez cały rok. – Jestem dumna ze wszystkiego, co osiągnął i co zamierza zrobić, ale nie mogę pogodzić się z myślą, że go tu nie będzie. Tyler jest dla mnie kimś więcej niż przyrodnim bratem, bez względu na to, jak bardzo staram się przekonać samą siebie, że jest inaczej. Przeraza mnie fakt, że nie będę mogła codziennie widywać osoby, którą kocham. Gdzieś w głębi duszy wiem, że taka rozłąka może wyjść nam na dobre. Może dzięki temu odpoczniemy od siebie i pogodzimy się z myślą, że nie możemy być razem.

– To jest w tym wszystkim najgorsze – mruczy. Zamyka jedną z walizek i odwraca się w moją stronę. Oczy ma cudowne, jak zawsze, ale staram się nie zwracać na nie uwagi. – Myślałaś o przyszłych wakacjach?

W ubiegłym tygodniu zaproponował, żebym latem przyjechała do Nowego Jorku. Cykl spotkań kończy się w czerwcu, ale on wróci do domu dopiero w sierpniu, wakacje spędzi więc w Nowym Jorku i zaprosił mnie do siebie. To jednak niebezpieczny pomysł.

– Tylko nas dwoje – przypomina mi. Oczy mu błyszczą, gdy próbuje stłumić uśmiech. Kiedy robi krok w moją stronę, serce chce wyskoczyć mi z piersi. Jak zawsze, gdy jest zbyt blisko mnie. Powietrze ulatuje mi z płuc. Tyler wyciąga rękę i zamyka drzwi sypialni.

Przez ostatni rok odwaliliśmy kawał dobrej roboty, starając się ignorować nasze uczucia, i dokładaliśmy wszelkich starań, żeby nikt się o nich nie dowiedział. Poza tym, mam teraz Deana. To na nim powinnam się skupiać. Ale czasami Tyler i ja

zapominamy się i przestajemy udawać. Tak jak teraz.

Robi kolejny krok w moją stronę, bierze mnie w ramiona i tuli do siebie. Czuję zapach wody kolońskiej Bentley – jego ulubionej. Już za nim tęsknię, a przecież jeszcze nie wyjechał. Opieram brodę na jego ramieniu, czując, jak jego dłonie ześlizgują się na moje biodra. Stoimy tak, przytuleni, i nie powinno być w tym nic złego, bo przecież mogę się przytulać do swojego przyrodniego brata. A jednak jest w tym coś złego. Seksualne napięcie, którego być nie powinno.

Gorący oddech Tylera łaskocze mnie w szyję, jego policzek muska moją twarz. Obejmuje mnie jeszcze mocniej i wodzi ustami po mojej skórze, całując kącik ust. Czuję, że się uśmiecha, i słyszę, jak szepcze:

– Do zobaczenia w przyszłe wakacje, Eden.

